

NIC NIE PRZYCIĄGA Z WIĘKSZĄ SIŁĄ NIŻ OTCHŁAŃ

JAMES M. TABOR



PO OMIACKU

W POSZUKIWANIU NAJGŁĘBSZEGO MIEJSCA NA ZIEMI

360°

człowiek
na krawędzi

Jeśli wydawało wam się, że czasy wielkich odkryć geograficznych definitywnie się skończyły, to jesteście w błędzie, ale jest to niewiedza w pewnym sensie usprawiedliwiona: najwybitniejsi współcześni eksploratorzy realizują bowiem swoje pasje kilometr pod ziemią i w całkowitej ciemności. Fascynująca książka Jamesa Tabora pozwala rozjaśnić nieco mrok spowijający osiągnięcia grotolazów i nurków zdobywających najgłębsze jaskinie świata – miejsca z piekła rodem.

PIOTR KOFTA

Dziennik Gazeta Prawna

Speleologia – brzmi nudno. A ekstremalna eksploracja superjaskiń? To określenie pasuje zdecydowanie lepiej. Niestety pod nim kryje się nie tylko niezbadane piękno podziemnych korytarzy, studni, podwodnych syfonów i wodospadów zanurzonych w egipskich ciemnościach, ale również niebezpieczeństwo, tragedia i śmierć – nieodłączny akcent tej dyscypliny. Fantastyczna książka o mocnej niczym lita skała treści!

KACPER AGNIESZCZAK

Gazeta Co Jest Grane

Niektórym badaczom towarzyszy myśl, że urodzili się kilkadziesiąt lat za późno i na świecie nie zostało już nic do odkrycia... Aleksander Klimczuk i Bill Stone udowodnili, że horyzont zawsze można przesunąć dalej, a w tym przypadku – można sięgnąć głębiej do wnętrza Ziemi. „Po omacku” Jamesa Tabora to pasjonująca i trzymająca w napięciu opowieść o pasji, wytrwałości i nieustającej ciekawości świata. Inspirująca!

MARTYNA WOJCIECHOWSKA

National Geographic Polska

Poszukiwanie najgłębszej jaskini świata niewątpliwie dostarcza emocji niczym pierwsza wyprawa na Mount Everest. Co kryje „dno Ziemi”, na jakie pytania znajdziemy tam odpowiedzi? „Po omacku” dostarcza wiedzy, jakie emocje, myśli, przygotowania i plany towarzyszą wyścigowi dwóm speleologom w poszukiwaniu najgłębszej jaskini na świecie.

MAŁGORZATA SOBICH

Extremium

Amundsen–Scott, Kukuczka–Messner, Maiorca–Mayol... Czas na kolejny pojedynek. W głębinach Ziemi.

PAWEŁ ZAJĄC

OnetPodróże

James Tabor obnaża naszą nieznaną tajemnicę świata, w którym żyjemy, pokazuje oczami bohaterów książki, jak fascynujące może być poznawanie tajemnic ukrytych głęboko pod jego powierzchnią. Świat podziemny jest równie fascynujący jak niebosiężne Himalaje czy rozległe lasy Amazonii. Przygody dwóch śmiałków, bohaterów tej książki, wymagają od nich niesamowitej odwagi, bo miejsca, do których docierają, to inny świat: świat grozy, chłodu i ciemności. Tam można liczyć wyłącznie na siebie, a każdy błąd może być błędem ostatecznym.

Ta książka zmienia sposób myślenia nie tylko podróżników i globtroterów. Napięciem i zwrotami akcji zachęca do przewracania kolejnych stron, a po zakończeniu na długo pozostaje w pamięci.

ALBIN MARCINIAK

Klub Podróżników Śródziemie

JAMES M. TABOR

PO OMACKU:
W POSZUKIWANIU NAJGŁĘBSZEGO MIEJSCA NA ZIEMI

W PRZEKŁADZIE
DOROTY KONOWROCKIEJ

Mayfly
WARSZAWA 2011

Tytuł oryginału:
BLIND DESCENT
THE QUEST TO DISCOVER THE DEEPEST PLACE ON EARTH

This translation published by arrangement with Random House,
an imprint of The Random House Publishing Group, a division of Random House, Inc.

Zdjęcie na okładce:

KASIA BIERNACKA
MARCIN GALA

Grafika i skład wydania:

KUBA SOKÓLSKI

Redakcja:

MARCIN GALA
OLO SAWA

Korekta:

JOLANTA KUCHARSKA

ISBN 978-83-62827-02-2

Wydawca:

Mayfly sp. z o.o.

02-093 Warszawa, ul. Pasteura 4/6/54

Książkę tę dedykuję plemieniu

*Witamy w świecie głębi, gdzie najdziwniejszymi
stworzeniami są ludzie, których spotykasz.*
HAZEL BARTON, MIKROBIOLOŻKA I BADACZKA JASKIŃ

Nic nie przyciąga z większą siłą niż otchłań.
JULIUSZ VERNE
„Wyprawa do wnętrza Ziemi”

PRZEDMOWY

ALEKSANDER KLIMCZUK

BILL STONE

MACIEJ KUCZYŃSKI

Dzisiaj, w XXI wieku, najbardziej oddalone zakątki Ziemi, a nawet dno wszechoceanu zostały udokumentowane za pomocą precyzyjnych, wykonanych na odległość zdjęć, dzięki czemu każdy, korzystając z komputera, może je oglądać. Świat naturalnych jaskiń pozostał prawdopodobnie jedynym obszarem ludzkiej działalności, gdzie skoncentrowało się geograficzne nieznanie; gdzie do tej pory dokonuje się znaczących odkryć geograficznych i spełnia się sen o prawdziwym – w jego pierwotnym, dosłownym znaczeniu – geograficznym odkryciu. W podziemnym świecie epoka wielkich odkryć rozpoczęła się dopiero pod koniec XIX wieku, szczególnie dynamiczny rozwój przeżywała w drugiej połowie XX wieku i równie intensywnie rozwija się po dzień dzisiejszy. Wraz z nią rosną w siłę właściwe dla takiej epoki emocje i napiętność, trudności i niebezpieczeństwa, tragiczne wypadki i inspirujące zwycięstwa.

Odkrywanie i eksploracja nowych przestrzeni pociąga ludzi emocjonalnie. Z pewnością w genach człowieka jest zaszyty kod, który zmusza go do nieustannych starań poszerzania granic znanego mu świata. Potrzeba ta stanowiła siłę napędową w rozwoju człowieka, chociaż we współczesnym świecie w znacznym stopniu przekształciła się w formy intelektualne, naukowe i technologiczne, a także przeniosła w przestrzeń pozaziemską. W pierwotnej formie, fizycznego odkrycia, w pełnym wymiarze realizuje się w eksploracji jaskiń.

Odkrywanie jaskiń jest podobne do odkrywania lądów, jakie ludzkość przeżywała setki lat temu, gdy człowiek udawał się w nieznanie i nie wiedział, co znajduje się za najbliższym lasem czy pasmem górskim. Często nie był pewien, czy przybił do brzegu wyspy, czy do stałego lądu. Odkrywanie jaskini bądź jej nowej nieznannej części zawsze wiąże się z dosłownym fizycznym odkrywaniem nieznanego. Odkrywca jaskiń nie wie, co go czeka za następnym zakrętem korytarza, za kolejnym pionowym kominem, za przepłyniętym syfonem. Ślepy zaułek, zawalisko, wielka sala czy zawile labirynty korytarzy... Nawet najbardziej rozwinięte technologie, zróżnicowane metody geofizycznego sondowania na razie są bezskuteczne w dokładnym określeniu struktury i granicy korytarzy w jaskiniach, których głębokość przekracza kilkadziesiąt metrów. Do dziś ludzkość nie dysponuje robotami, które mogłyby same pracować w nadzwyczaj zmiennym i trudnym środowisku podziemnym i dostarczać ludziom informacji o nim (choć nad robotami tego typu trwają prace w NASA, mają one być wykorzystywane w badaniach podpowierzchniowych na Marsie). Bezpośrednie, fizyczne przejście człowieka przez jaskinię pozostaje nadal jedyną wiarygodną metodą badania i dokumentacji jaskiń.

I jeszcze jedna bardzo ważna właściwość: odkrywanie jaskini praktycznie zawsze pozostaje niedokończone. Dotyczy to większości znanych już jaskiń, gdzie kolejny badacz-entuzjasta kiedyś pokona przeszkody, które zatrzymały jego poprzedników: przecisnąć się przez wąską szczelinę, usunąć zawalisko, rozkopać gliniany korek, dać nurka

do jeziora w ślepych zaułku i wypłynie w nowej, nieznannej części jaskini... Wielu ważnych odkryć dokonano w, zdawałoby się, jaskiniach dawno i dokładnie zbadanych. Zasada nieskończoności odkrywania jaskini odnosi się szczególnie do oddalonych i słabo spenetrowanych zakątków naszej planety i całego świata podziemnego, gdzie przestworzy dla pierwszych odkrywców wystarczy jeszcze dla wielu pokoleń speleologów.

Jaskinie pozostają jedyną znaczącą kategorią obiektów geograficznych, w których hierarchia wielkości (długości, głębokości, objętości) nie została określona absolutnie i nieodwracalnie. Na tym polega istota międzynarodowej rywalizacji w dziedzinie osiągnięć za pierwotne odkrycie speleologiczne, a zwłaszcza za odkrycie nowej, najgłębszej jaskini na świecie. Jeśli Czomolungma już w chwili zmierzenia jej wysokości przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne w 1856 roku (prawie sto lat przed pierwszym wejściem na szczyt) została i już na zawsze zostanie najwyższym szczytem Ziemi, to tytuł najgłębszej jaskini naszej planety przez cały czas zmieniał położenie, zmieniała się też liczba określająca głębokość. Prawdopodobne jest, że także w przyszłości najgłębsza jaskinia świata będzie się przemieszczała, a z całą pewnością jej głębokość będzie się zwiększać.

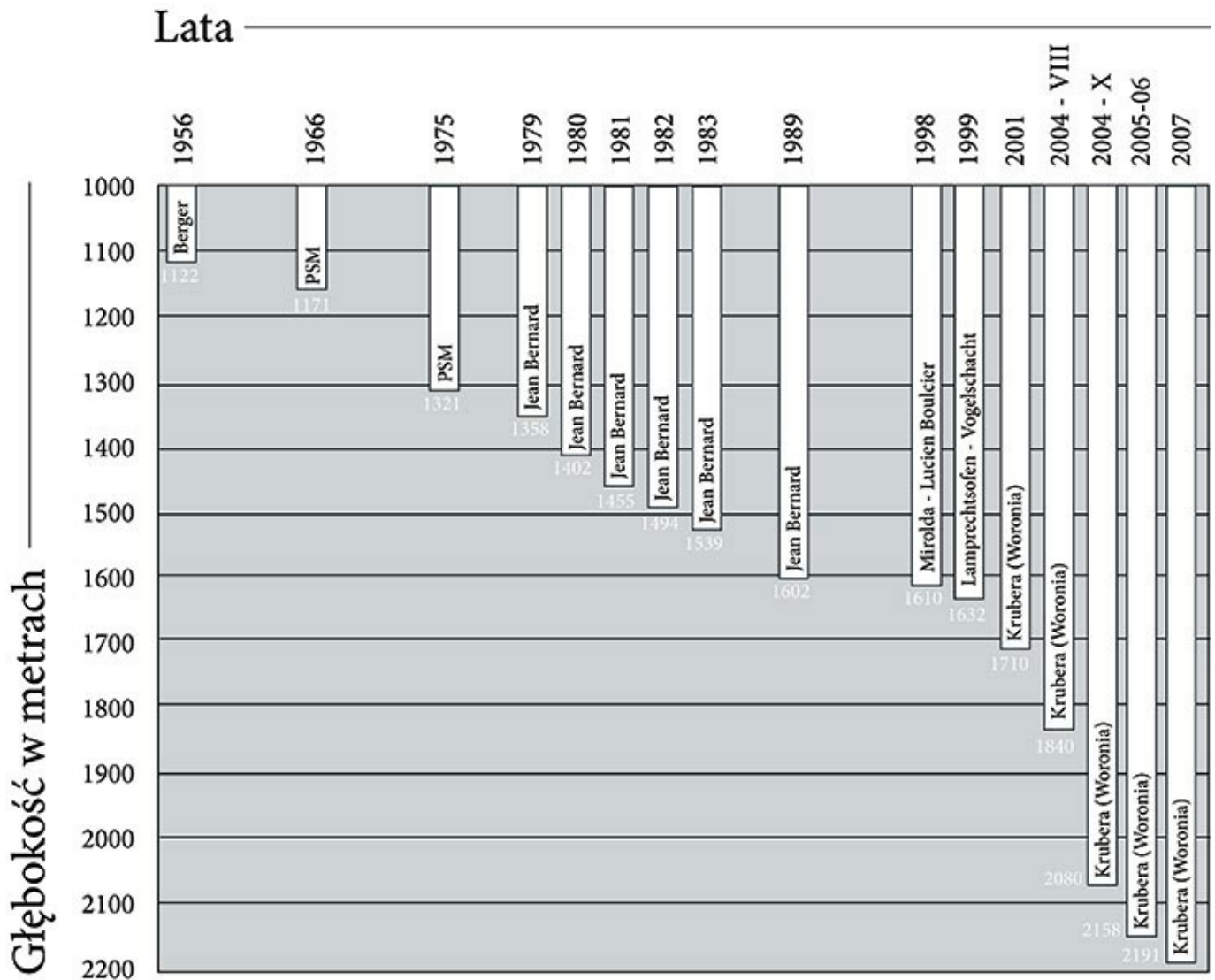
Książka Jamesa Tabora jest sumienną i napisaną w sposób mistrzowski próbą przybliżenia masowemu czytelnikowi warunków, atmosfery i wewnętrznej logiki poszukiwań najgłębszej jaskini na naszej planecie. Autor skupił się na historiach dwóch jaskiń: Krubera w Kaukazie Zachodnim i Cheve w południowym Meksyku. Książka ta jednak nie ogranicza się do tych dwóch jaskiń, w zasadniczych zarysach można bowiem odnieść ją do całego procesu poszukiwania i zdobywania przez człowieka „podziemnego bieguna” Ziemi, który nie może być absolutnym. To, że najbardziej głębokie jaskinie w przeszłości były znacznie płytsze, nie powodowało, że stawały się mniej trudne do przejścia dla ówczesnych odkrywców, a co za tym idzie nie sprawia, że ówczesne osiągnięcia stają się mniej znaczące od współczesnych. Krótki przegląd historii zdobywania głębin w jaskiniach byłby pożytecznym tłem percepcji książki Tabora.

Historia ta rozpoczyna się w 1723 roku, kiedy inżynier Nagel z rozkazu austriackiego imperatora dotarł do dna przepaści Macocha w Morawskim Krasie – 138 metrów. W ciągu stu lat „podziemny biegun” przeniósł się do północnych Włoch, najpierw do jaskini Padriciano (226 metrów w 1839 roku), a potem do jaskini Trebiciano (320 metrów w 1841 roku), a następnie do Szwajcarii, Austrii i ponownie do Włoch. Dopiero w 1944 roku w jaskiniach została przekroczona granica 500 metrów – stało się to w systemie jaskiń Dent de Crolles we Francji. Od tego czasu prawie do końca XX wieku w podboju najgłębszych jaskiń świata dominowali Francuzi, do których należała zarówno część zdobywców, jak i przywilej umiejscowienia „podziemnego bieguna” w ich kraju.

Złożoność przeszkód i ekstremalność eksploracji w jaskiniach wzrastały wraz

z powiększaniem się ich głębokości w postępie geometrycznym. Dlatego każda nowa wyrwa w Ziemi stawała się sensacją swojego czasu, uosobieniem wieloletnich kolektywnych wysiłków, najnowszych, dla danego czasu, osiągnięć w technice i taktyce przechodzenia skomplikowanych jaskiń. Była wyrażeniem ducha odkrywania, nieprzewyżzonego dążenia ludzkości do ekspansji i poznania nieznanego.

W dalszym odkrywaniu jaskiniowych głębin szczególnego znaczenia nabrały magiczne, okrągłe liczby. Pierwszą taką granicą była głębokość 1000 metrów, którą przekroczone w 1956 roku w Gouffre Berger w Alpach Francuskich. W drugiej połowie ubiegłego wieku najgłębszymi jaskiniami świata było sześć różnych jaskiń w Alpach i Pirenejach (rysunek). Potrzeba było prawie trzydziestu lat, żeby osiągnąć kolejną magiczną granicę 1500 metrów – udało się to w 1983 roku w Gouffre Jean-Bernard we Francji (1535 metrów). W tym czasie na Ziemi pojawiło się prawie sześćdziesiąt jaskiń głębokich na kilometr. W roku 1998 „podziemnym biegunem” Ziemi stał się system Lamprechtsofen w Alpach Austriackich, którego deniwelacja osiągnęła 1632 metry. Sukces ten był rezultatem uporczywych, wieloletnich wysiłków. Niezwykle trudna eksploracja prowadzona była początkowo z dołu do góry, od wywierzyska do powierzchni masywu. Ustanowienie Lamprechtsofen najgłębszą jaskinią świata udało się polskiemu zespołowi. Jednak krótko dzierżyła ten tytuł. Na początku 2001 roku wyprawa Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego zbadała do głębokości 1710 metrów jaskinię Krubera w masywie Arabiki, która od tego momentu stała się nową, najgłębszą jaskinią na świecie. „Podziemny biegun” planety po raz pierwszy w historii przeniósł się poza granice zachodniej i środkowej Europy – na Kaukaz Zachodni, a poprzednia maksymalna głębokość została przekroczona od razu o 80 metrów. Rzecz jasna, w świecie speleologów stanowiło to nie lada sensację.



Na rysunku przedstawiającym dynamikę pogłębiania się „podziemnego bieguna” Ziemi w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat widać wyraźne, jak powolne i trudne było wdzieranie się w głąb. Za każdym najmniejszym, nawet 10- czy 30-metrowym, posunięciem się w dół stoją liczne, poważne ekspedycje, tytaniczna praca, a czasami także ofiary. W drugiej połowie XX wieku granica maksymalnej głębokości w jaskiniach przesuwała się średnio o 13 metrów w ciągu roku, a ostatnie jednorazowe przesunięcie granicy głębokości o ponad 25 metrów miało miejsce w 1983 roku. Jeśli takie tempo utrzyma się w przyszłości, osiągnięcie kolejnej magicznej granicy 2000 metrów może nastąpić dopiero około 2030 roku.

Eksploracja jaskini Kruber w ostatnich dziesięciu latach radykalnie zmieniła wcześniejszą dynamikę, co można prześledzić na wykresie. Dotarcie ekspedycji Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego w październiku 2004 roku do głębokości 2080 metrów było wyczynem bezprecedensowym w historii speleologii. Jaskinia Kruber stała się pierwszą i na razie jedyłą na Ziemi, która przekroczyła magiczną granicę 2000

metrów. Akcja książki Tabora na tym się kończy, ale kolejne wyprawy Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego pogłębiły jaskinię do obecnych 2191 metrów. Głębokość tę osiągnięto w 2007 roku, kiedy Giennadij Samochin zanurzył się w końcowym syfonie na głębokość 46 metrów poniżej poziomu wody. Jeszcze dziesięć lat temu ta głębokość wydawałaby się speleologom fantastyczna – jaskinia Krubera jest głębsza od drugiej pod względem głębokości jaskini świata o ponad 440 metrów.

Ta ogromna dysproporcja obniżyła ostrość wspomnianej wcześniej międzynarodowej rywalizacji w odkrywaniu najgłębszej jaskini świata. Jaskinia Krubera może być jeszcze głębsza, ale przesunięcie jej na drugą pozycję przez jakąkolwiek inną jaskinię będzie wyjątkowo trudne. Prawdopodobnie będzie na to potrzeba wielu lat wytrwałych prób.

Opowiadając o najgłębszej jaskini świata, Tabor skupia się na odkrywaniu dwóch jaskiń: Krubera i Cheve. W wielu opiniach spotkałem się ze słusznym, skądinąd, pytaniem: Dlaczego Cheve, skoro z głębokością 1484 metrów znajduje się dopiero na jedenastym miejscu na liście najgłębszych jaskiń naszej planety? Żeby prześcignąć Krubera, w tej jaskini trzeba zejść ponad 700 metrów niżej!

Niemniej myślę, że takie zestawienie jest w pełni usprawiedliwione. Ta książka nie jest publikacją naukową ani poradnikiem, tylko utworem literackim, który odkrywa ludzki wymiar i motywację skomplikowanych eksploracji. A z tego punktu widzenia faktyczne dzisiejsze umiejscowienie poszczególnych jaskiń na światowej liście nie ma szczególnego znaczenia. Duże znaczenie ma natomiast to, co wspólne w obu historiach, a także w historiach większości innych systemów jaskiń: ich odkrywanie było rezultatem ogromnych, wieloletnich wysiłków (często pracowały na nie całe pokolenia), wytrwałości i uporu badaczy, ich opętania i pasji. Niestety czasem takie połączenie nie prowadzi do upragnionego celu. Jednak w speleologii nie ma wybitnych osiągnięć bez takiego połączenia.

W książce często pojawia się motyw rywalizacji ekip eksplorujących jaskinie Krubera i Cheve. Również ja zdążyłem już użyć określenia: rywalizacja. Nie należy tego rozumieć dosłownie. Oczywiście, każda grupa badaczy, biorąca udział w poszukiwaniach najgłębszej jaskini świata, chce osiągnąć sukces i w tym sensie rywalizuje z pozostałymi. Ale my szczerze cieszymy się z sukcesów innych odkrywców. Pojawienie się każdej nowej wyróżniającej się jaskini sprawia nam radość. Bardzo bym chciał, żeby Bill Stone, bądź inna wytrwała ekipa, odkrył nową, najgłębszą jaskinię świata, która zdetronizuje jaskinię Krubera. To byłoby nie tylko wspaniałe nowe odkrycie, ale także pozwoliło przywrócić rywalizacji odkrywania najgłębszych jaskiń jej dawną dynamikę.

W historii odkryć geograficznych jest wiele wydarzeń, które są wyraźnie powiązane z wolą i działaniem poszczególnych osób. Jest to szczególnie widoczne, gdy chodzi o konkretne jednorazowe przedsięwzięcia. Jednak mass media i literatura piękna często starają się personalizować także i te bardziej złożone historie, w których łączyły się

i splatały ze sobą różne role i funkcje wielu osób. Książka Tabora swoją strukturą personalizuje jaskinie Cheve i Krubera, kojarząc je z osobami Stone'a i Klimczuka, chociaż jej tekst sam w sobie adekwatnie odkrywa całą złożoność i różnorodność historii tych jaskiń. W projektach badawczych Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego staramy się unikać personalizacji i wyznajemy filozofię zespołową. Istnieją ku temu poważne podstawy.

W wieloletnich badaniach dużej jaskini zazwyczaj uczestniczą dziesiątki, a nawet setki speleologów i grotolazów. Każdy z nich ma do odegrania swoją rolę, która na określonym etapie mogła być kluczowa. U kogoś rodzi się pomysł i pojawia cel, ten ktoś określa perspektywiczny obszar, tworzy zespół, przekonując do swojego pomysłu. Kiedy obszar jaskini jest jeszcze słabo zbadany i mało znany, kiedy przyszła najgłębsza jaskinia nie stała się jeszcze głęboka i słynna (albo nie została jeszcze odkryta), możliwość osiągnięcia ambicjonalnego celu wcale nie jest oczywista. Często ogromny upór i wysiłek wielu osób składają się na przygotowanie i osiąganie wielkich zwycięstw, ważnych przejść, potwierdzających perspektywiczność danego obszaru i jaskini, a także realność postawionego sobie celu, otwierających drogę ku dalszym odkryciom.

Wraz z pojawieniem się pierwszych znaczących osiągnięć rozgłos i popularność projektu nabiera siły, rośnie też liczba osób, które chcą w nim uczestniczyć. Niektórzy z rekrutów stają się stałymi i kluczowymi uczestnikami projektu, zamieniając wycofującą się kadrę. Inni uczestniczą tylko w jednorazowych akcjach, czasem grając w nich główne role. Rośnie techniczna, materialna, organizacyjna i polityczna złożoność bieżących spraw, wzmagą się konieczność integracji i koordynacji komplikującej się struktury projektu.

Ale kiedy przychodzą sukcesy na poziomie światowym, kiedy każdy kolejny krok w jaskini staje się światowym rekordem, przyciągającym uwagę mass mediów, liczba i ambicje chętnych do włączenia się w pracę nad wielkim wydarzeniem osiągają maksimum. Na scenie pojawiają się poszukiwacze przygód i sportowcy uprawiający sporty ekstremalne, dla których kluczowe znaczenie mają rekordy i szum medialny, a nie odkrywanie i badanie jaskini. Kiedy natychmiastowa perspektywa pobicia rekordu i zdobycia sławy znika i ponownie trzeba wrócić do systematycznych zabiegów przygotowujących dalsze przejścia, takie osoby zazwyczaj znikają.

Wiele ekspedycji Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego było zorganizowanych na zasadzie odwróconej piramidy, kiedy sama możliwość pójścia na całość (to znaczy dokonania nowego odkrycia) jednego lub kilku grotolazów była zabezpieczana działaniami dużej liczby osób znajdujących się u podstawy piramidy. I wiele osób, tych znajdujących się i pracujących u podnóża piramidy, robiło to nie dlatego, że nie nadawało się do pójścia na całość. Ci ludzie rozumieli taktyczną potrzebę prowadzenia działań w innym miejscu, a wszystko w imię realizacji projektu i osiągnięcia sukcesu.

Czy grotołaz, który wskoczył do końcowego syfonu głębokiej jaskini i pogłębił ją o kilkadziesiąt metrów, jest ważniejszym odkrywcą od tych, którzy przez wiele dni dostarczali do syfonu kupę żelastwa, by uczynić ten skok możliwym? Czy grotołaz, który zbadał kilka nowych studni za zawaliskiem i dotarł do nowej głębokości, jest ważniejszym odkrywcą od tych, którzy przez wiele dni, a może nawet w czasie wielu wypraw rozkopywali to zawalisko? Czy grotołaz, który precyzyjnie się przez ledwo widoczną szczelinę i odkrył nowy odcinek jaskini, jest ważniejszym odkrywcą niż organizator i lider, który przyprowadził do jaskini mającego szczęście grotołaza? Zgodnie z naszymi zasadami, opierającymi się na pracy zespołowej i rozumieniu skali projektu w całości, takich pytań nie należy stawiać.

Na różnych etapach rozwoju projektu kluczową rolę odgrywały różne zdolności i umiejętności: analiza geologiczna i prognozowanie, pokonywanie zawalisk, technika pracy w pionowych studniach, wytrzymałość podczas niekończących się transportów ciężkiego sprzętu, zanurzanie się w syfony i badanie podwodnych korytarzy, dokumentacja zdjęciowa, kartowanie i wiele innych. Najważniejszą cechą naszych wysiłków w Krubera było nieustające integrowanie możliwości i starań wielu osób w jednolity, wieloletni proces badania skomplikowanej jaskini. Historyczne osiągnięcie w Krubera należy do całego projektu, dlatego z dezaprobatą odnosimy się do prób zarówno nadmiernej personalizacji projektu, jak i samej jaskini.

Niektóre osoby odegrały szczególnie ważne role w badaniu Krubera. Przede wszystkim Jurij Kasjan, kierujący większością wypraw w ostatnim dziesięcioleciu. Na różnych etapach liderami byli: Aleksiej Żdanowicz, Julia Timoszewskaja, Kirył Markowski, Giennadij Samochin. Symbolem ciągłości ukraińskich wysiłków w tym projekcie jest Nikołaj Sołowiew – weteran naszych badań na Arabice, który od początku lat osiemdziesiątych XX wieku uczestniczył w trzydziestu pięciu wyprawach (!) i do tej pory aktywnie pracuje w najgłębszych partiach Krubera.

W pomysłach poszukiwania najgłębszej jaskini świata jest jedna ważna właściwość, związana ze względnością tego pojęcia i zasadą nieskończoności jaskiniowych poszukiwań. Z punktu widzenia speleologii, a nie konkretnej grupy, taki cel jest ideą abstrakcyjną, w sposób skoncentrowany wyrażającą istotę odkrywania, stanowi potężny motor postępu w badaniu jaskiń.

Przecież najgłębsza jaskinia to – zgodnie z określeniem – najgłębsza z wielu jaskiń. I właśnie tych wiele jaskiń należy zbadać, przy czym należy to zrobić do maksymalnie możliwych granic, po to by w tym bezliku jaskiń znaleźć tę najgłębszą. Na dziesiątkach oraz setkach wejść i szczelin prowadzących do jaskiń nowego krasowego masywu nie ma tablic informujących o głębokości, do jakiej można w nich dojść... Ty powinieneś zbadać każdą jaskinię, żeby ustalić jej głębokość. I u wejść do znanych jaskiń, znajdujących się w przebadanych rejonach, nie ma wyłożonych certyfikatów gwarantujących, że te

jaskinie zostały zbadane do końca...

A to oznacza tylko jedno: przez postawienie sobie celu poszukiwania najgłębszej jaskini świata rozumie się badanie wszystkich jaskiń, znajdujących się na wybranym obszarze, i próby maksymalnego przejścia poszczególnych wybranych jaskiń, co nieuchronnie prowadzi do pełniejszych badań jaskiń w najszerszym pojęciu. Stanowi to nie mniej ważny rezultat prób niż lokalne czy czasowe osiągnięcie postawionego sobie celu. Najgłębszej jaskini nie należy poszukiwać niczym skarbu złożonego ze złotych monet. Można ją stworzyć uporem i wytrwałością, wyhodować jak drzewo. Ale inne drzewo, dzięki zabiegom innego sadownika, może wyrosnąć na większe i bardziej płodne.

Przytoczę kilka przykładów. W latach siedemdziesiątych XX wieku nasza kijowska grupa w poszukiwaniu najgłębszej jaskini na Ziemi udała się do Azji Środkowej i zajęła się masywem Kyrktał w Górach Zараfszańskich w paśmie Tien-szan. Wskutek wieloletnich starań jedna jaskinia (Kilsı) została wówczas obwołana najgłębszą jaskinią na terenie byłego ZSRR i Azji, a czwartą na świecie. Ale rezultatem było też zbadanie około stu pięćdziesięciu jaskiń w masywie Kyrktał i rozpoznanie kilku innych, górskich wapiennych masywów gór Tien-szan. Rozpoczynając w 1980 roku prace w masywie Arabiki, w procesie poszukiwania najgłębszej jaskini świata, zbadaliśmy około stu nowych jaskiń, w tym kilka dużych i głębokich, i tylko dzięki tak zorganizowanej pracy w ciągu trzydziestu lat stało się jasne, że jaskinia Krubera jest najgłębsza. W roku 2000 rozpoczęliśmy prace w tureckim masywie Aladaglar, w poszukiwaniu najgłębszej jaskini na Ziemi zbadaliśmy prawie dwieście innych jaskiń i w czasie tych prac przebadaliśmy do głębokości 1400 metrów jaskinię Kuzgun. Prace w Krubera, nawet po osiągnięciu historycznych sukcesów w głównym ciągu, trwały w innych miejscach i kierunkach, czego rezultatem było przebadanie drugiego ciągu (Niekujbyszewski) do głębokości 1697 metrów. Wieloletnie wysiłki Billa Stone'a i jego grup w Meksyku, mające na celu odnalezienie nowej, najgłębszej jaskini na naszej planecie, na razie nie przyniosły żądanych rezultatów. Jednak dzięki nim nastąpił ogromny postęp w badaniu systemu Cheve, a co za tym idzie odkryto wiele dziesiątków innych jaskiń.

Można stwierdzić, że poszukiwania najgłębszej jaskini na świecie przypominają chęć dojścia do linii horyzontu przy odkrywaniu nowego lądu. Uparcie zmierzasz w stronę horyzontu, a on się oddala. Ale ile nowych, wspaniałych odkryć dokonało się i jeszcze dokona na tej drodze!

ALEKSANDER KLIMCZUK

Aleksander Klimczuk (ur. 1956) — ukraiński speleolog i odkrywca, kierownik i uczestnik wypraw do jaskiń położonych w masywie Arabiki na Kaukazie. Jedną z nich, Krubera, jest obecnie najgłębszą znaną jaskinią na świecie.

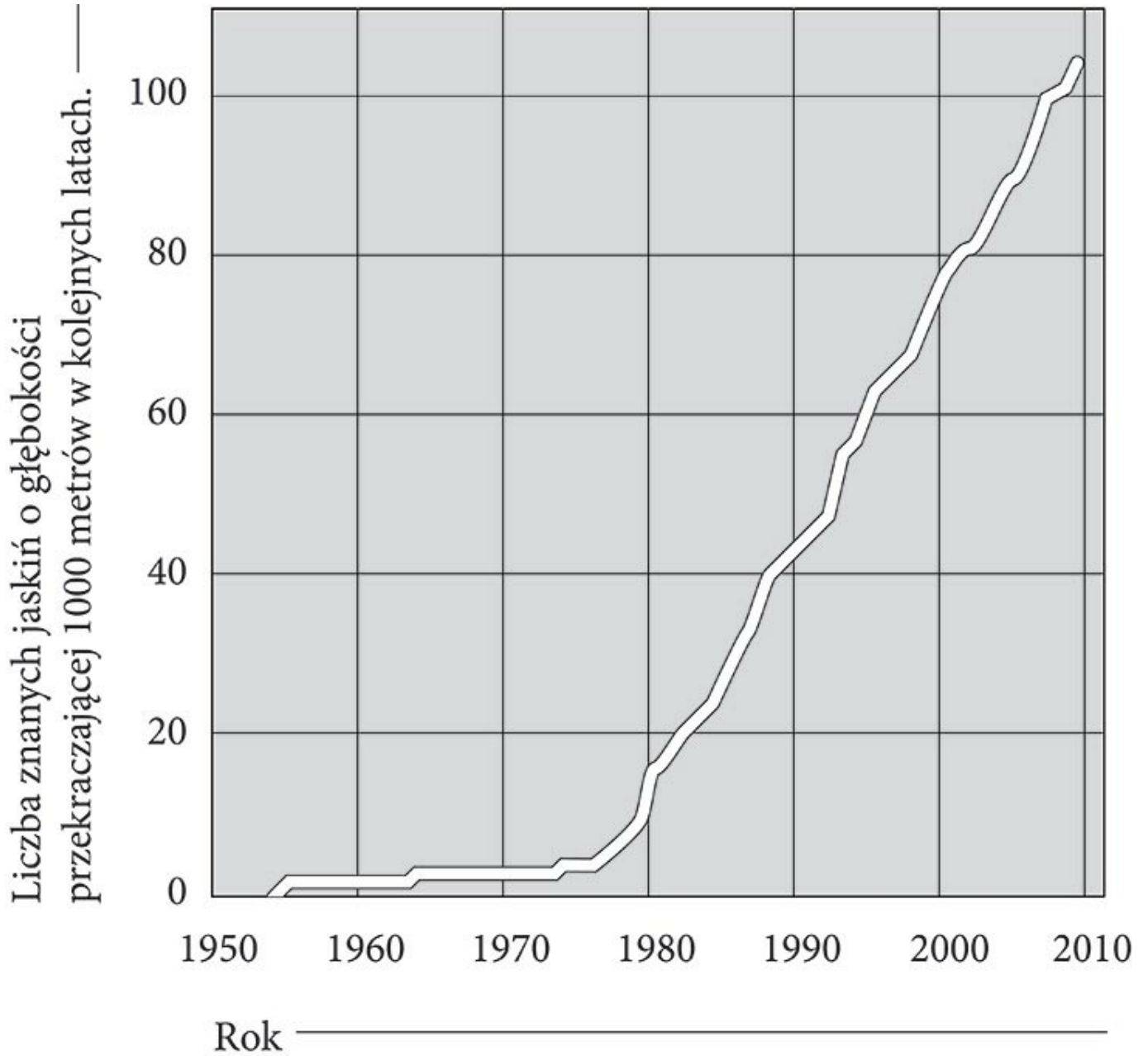
W ciągu kilku ostatnich tysiącleci człowiek, jako istota rozumna i zdolna wytwarzać narzędzia, wyrósł ponad podstawową potrzebę przetrwania i zaczął szukać okazji do samorealizacji. Jednym z jego celów stało się zaspokojenie ciekawości poznawczej poprzez fizyczną eksplorację pograniczy znanego świata. Mamy dziś rok 2011 i zaledwie kilka zakątków Ziemi czeka jeszcze na swoich odkrywców. Podejmujemy również próby opuszczenia Ziemi i kierujemy zainteresowanie w stronę innych planet Układu Słonecznego. Wiele osób dorastających jak ja w okresie zimnej wojny ma poczucie, że podbój kosmosu postępuje boleśnie wolno. Jak to się stało, że tak ogromne kwoty zostały przeznaczone z pieniędzy podatników na umieszczenie pierwszego człowieka na niezbadanych Księżycu, a następnie to niezwykle osiągnięcie zostało przyćmione dekadami biurokratycznej nieporadności, niekompetencji i polityki do tego stopnia, że dziś niektórzy zaczynają się zastanawiać, czy naprawdę poleciliśmy na Księżyc?

Marzyłem kiedyś o tym, by pójść w ślady Neila Armstronga i Buzza Aldrina, by stać się kontynuatorem postępu w dziedzinie podboju kosmosu. W roku 1968 przyszłość wydawała się tak obiecująca, że wielu z nas wybrało kierunki studiów, dzięki którym mieliśmy przyczynić się do rozwoju programów kosmicznych. Czas pokazał jednak, że iluzję szybkiego podboju może podtrzymać jedynie nieprzerwany strumień pieniędzy płynący ze skarbców dwóch krajów: Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.

Na szczęście w 1968 roku poznałem smak eksploracji jaskiń. Na pewnym poziomie – poziomie, którego wymaga przesunięcie granic poznania w kilku najgłębszych i najbardziej rozległych systemach jaskiń – człowiek orientuje się, że cofnął się w czasie do momentu, w którym dokonanie jakichkolwiek postępów wymaga zaprzęgnięcia całej dostępnej techniki, wykorzystania pełni potencjału intelektualnego i wyczerpania pokładów odwagi. Nie ma tu żadnych dodatkowych warunków, które określają dziś wyzwania współczesnej wspinaczki wysokogórskiej, kiedy nie chodzi już o to, by zdobyć szczyt, który został wielokrotnie wcześniej zdobyty, ale by dokonać wejścia jakąś szczególną drogą, ścianą czy granią lub też wspiąć się zimą, by przydać temu przedsięwzięciu unikatowych cech. W eksploracji jaskiń, w szczególności bardzo głębokich jaskiń, zejście głębiej wymaga sięgnięcia po całą dostępną ludzkości technologię; żadne dodatkowe sztuczne wyzwania nie są już potrzebne.

Przekroczenie prawdziwych granic wymaga opracowania nowej technologii, nowych narzędzi, nowych technik. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat narzędzia wykorzystywane w eksploracji głębokich jaskiń przeszły radykalną ewolucję. Prawdopodobnie w znacznie większym stopniu niż rozrost klasy średniej na całym świecie przyczyniło się to do dramatycznego wzrostu liczby znanych nam jaskiń

o głębokości przekraczającej kilometr (por. rysunek 1). Gwałtowny wzrost tempa poznawania nowych jaskiń o głębokości przekraczającej kilometr zaznaczył się około 1976 roku. Od tego czasu każdej dekady odkrywano prawie czterdzieści nowych systemów i natężenie tego zjawiska nie wydaje się słabnąć.



Gdy liczba znanych jaskiń o głębokości przekraczającej kilometr systematycznie rośnie, tego samego nie można powiedzieć o jaskiniach cieszących się przejściowo tytułem najgłębszej na świecie. Na rysunku 2 zilustrowano nagłe skoki, do których dochodzi co 10 do 20 lat. Na początku lat pięćdziesiątych jaskinia Gouffre Berger nosiła tytuł najgłębszej jaskini świata przez prawie dziesięć lat. Jaskini Pierre-Saint-Martin leżącej na granicy hiszpańsko-francuskiej ten zaszczytny tytuł przysługiwał przez kolejnych

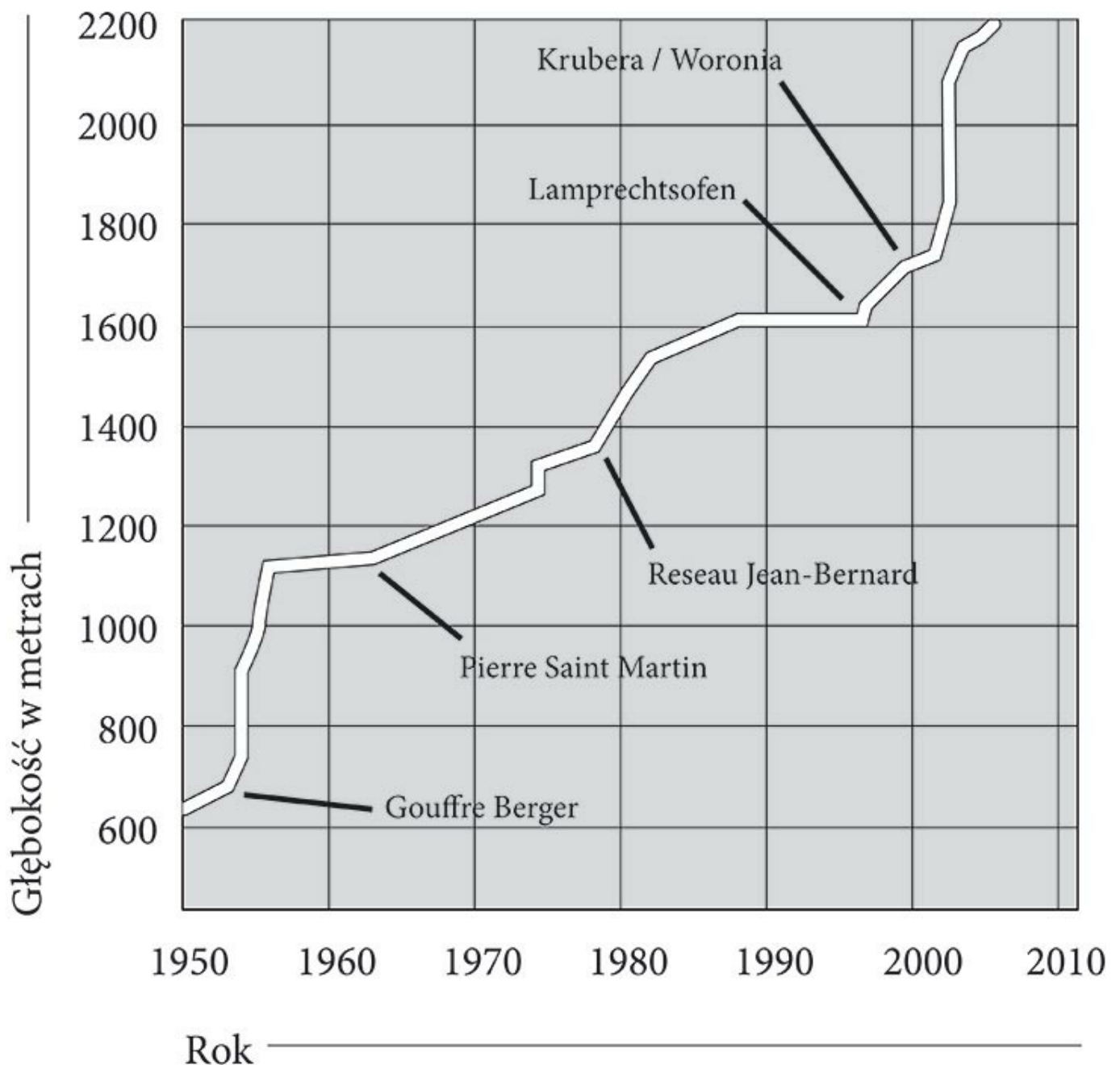
piętnaście lat, by następnie oddać go francuskiej Réseau Jean-Bernard na lat dwadzieścia. Austriacka Lamprechtsofen, jedyna jaskinia na krótkiej liście najgłębszych jaskiń świata — eksplorowana częściowo z dołu do góry, nosiła ten tytuł. Krótco po niej przejęła go jaskinia Krubera, którą w nieodległym czasie kilkakrotnie radykalnie pogłębiono, podobnie jak zdarzyło się to w przypadku jaskini Gouffre Berger w latach pięćdziesiątych.

Ludzie zaangażowani w poważne wyprawy jaskiniowe tworzą niewielkie, zamknięte bractwo. Inaczej niż w przypadku wspinaczki wysokogórskiej, na temat grotolażenia napisano niewiele książek przeznaczonych dla szerokiej grupy odbiorców. Nowa książka Jamesa Tabora „Po omacku” umożliwia przyjrzenie się specyficznej subkulturze grotolazów, koncentrując się w głównej mierze na wydarzeniach w latach 2003-2004 roku w jaskiniach Cheve i Krubera.

Ustanowienie Krubera najgłębszą jaskinią świata jest owocem kilkudziesięcioletnich, nieprzerwanych wysiłków Aleksandra Klimczuka podejmowanych w miejscu, którego geologia sugeruje istnienie takiej właśnie jaskini. Faktyczna eksploracja nigdy nie jest łatwa. Upór Klimczuka i członków jego zespołu pozwolił nadać teoretycznej hipotezie kształt najgłębszej jaskini świata. Poza Rosją i Ukrainą nie powstało wiele publikacji na temat eksploracji Krubera. Taborowi należy przypisać zasługę przybliżenia jej historii w języku angielskim (a obecnie polskim) na stronach „Po omacku”.

Czy to zatem koniec poszukiwań najgłębszej jaskini świata? Czy Krubera została nią raz na zawsze, podobnie jak Everest niezmiennie cieszy się tytułem najwyższej góry świata? Wystarczy spojrzeć na rysunek 2, by ujrzyć zaprzeczenie tej tezy. Na całym świecie istnieje wiele miejsc, w których grubość warstw wapiennych przekracza 4 kilometry. Co więcej, do dzisiaj niewiele uwagi poświęcano wielokilometrowym zejściom w kominach wygasłych wulkanów o określonej morfologii i pochodzeniu. Mam przeczucie, że w kolejnych dekadach będziemy świadkami kolejnych wielkich przełomów będących kontynuacją trendu widocznego na rysunku 2 i w miarę rozwoju technologii i uzyskiwania dostępu do kolejnych rejonów krzywa głębokości będzie systematycznie zbliżać się do asymptoty na głębokości 4 kilometrów. Równie oczywiste jest to, że eksploracja tego rodzaju systemów jest przedsięwzięciem na miarę całego życia, procesem stopniowego przesuwania granic w trakcie kolejnych wypraw, uświetnianych od czasu do czasu triumfalnymi przełomami. Czytelnikowi, któremu obca jest eksploracja jaskiń, trudno uzmysłwić sobie, jakiego zaangażowania czasowego, jakiej ilości zasobów, treningu i jak precyzyjnego planu wymaga każda kolejna wyprawa. „Projekty” w rodzaju Krubera, Lamprechtsofen, Huautla czy Cheve mogą składać się z kilkudziesięciu wypraw organizowanych w kolejnych dekadach życia głównych uczestników.

Kolejne rekordzistki z tytułem „najgłębszej jaskini świata”



Jeśli wyprawy jaskiniowe wymagają tyle wysiłku, czasu i pieniędzy, jeśli prowadzenie eksploracji jest fizycznie niebezpieczne i nieprzyjemne (praca w atramentowych ciemnościach, mokro, dotkliwie zimno), po co to robić? Nasuwają mi się dwie oczywiste odpowiedzi. Pierwszą jest przywilej bycia odkrywcą i stawiania pierwszych kroków na terytorium nietkniętym ludzką stopą. Ludziom, którzy nigdy tego nie doświadczyli, może się to wydawać próżne i egoistyczne. Dla niewielkiej grupy, która zna to uczucie, to doświadczenie niemal mistyczne, coś niezwykle specjalnego. Druga odpowiedź to

możliwość współpracy z niewielkim, ale świetnie wyszkolonym zespołem ludzi o podobnej mentalności, którzy czują się doskonale w ekstremalnych warunkach panujących na krańcach świata. W pamięci najmocniej zapisały mi się nie ulotne rekordy, lecz ludzie, którzy tam byli, i poczucie braterstwa.

W przedmowie do polskiego tłumaczenia „Po omacku” chciałbym wspomnieć o moich spotkaniach z polskimi grotolazami w ciągu czterech ostatnich dekad. Dziś w wyprawach do Sistema Cheve bierze udział najczęściej nawet pięćdziesiąt osób z piętnastu albo więcej krajów. Kiedy próbuje się przesunąć granice ludzkiego poznania, najbardziej utalentowanych ludzi trzeba szukać na całym świecie. Taka współpraca ponad granicami stała się możliwa między innymi dzięki rozwojowi Internetu.

Nie zawsze tak było. Przypominam sobie z pewnym zażenowaniem, jak głębokim nacjonalizmem naznaczone były wyprawy jaskiniowe jeszcze stosunkowo niedawno. Podczas naszej pierwszej wyprawy do jaskini Huautla w latach siedemdziesiątych zależało nam na tym, by w zespole znaleźli się wyłącznie Amerykanie. U każdego obserwatora z zewnątrz wzbudziłoby to zapewne uśmiech politowania, gdyż nasza wyprawa miała miejsce w Meksyku, w którym w tamtym czasie grotolazenie nie cieszyło się niewielką nawet popularnością. Mimo wszystko czuliśmy się tak, jakbyśmy uprawiali dyscyplinę olimpijską i konkurowali z Francuzami o laur odkrywców najgłębszej jaskini świata. W tych pierwszych zespołach znaleźli się tak znani odkrywcy jak Jim Smith, Bill Steele, Steve Zeman i Mark Minton; każdy z nich miał znakomite osiągnięcia, prowadząc własne wyprawy. Publikowaliśmy wyniki naszych badań i mapy, które oddawały nasz entuzjazm. Inni czytali nasze teksty i organizowali własne wyprawy na Huautla Plateau niczym zespoły wspinaczy różnych narodowości wysyłanych przez swoje kraje dla zdobycia szczytu Everestu lub K2.

Na początku lat osiemdziesiątych do Huautli dotarła polska wyprawa prowadzona przez Macieja Kuczyńskiego, której celem było zejście do syfonu znajdującego się na dnie Sótano de San Agustín oraz próba połączenia San Agustín i jaskiń położonych wyżej w masywie; efektem ich prac miała być pierwsza jaskinia licząca ponad kilometr głębokości poza Europą. Byliśmy nieco zszokowani, kiedy dowiedzieliśmy się o polskiej wyprawie zaledwie kilka dni przed zaplanowanym wyjazdem naszego zespołu z Teksasu na czteromiesięczną wyprawę do Huautli, której cel był identyczny. „Pierwszy kontakt” jest czasem trudny i z pewnością pierwsze spotkanie naszych zespołów odbyło się w wyjątkowo niesprzyjających okolicznościach: po szczęśliwym dotarciu do syfonu San Agustín dwóch członków zespołu Kuczyńskiego zostało poważnie rannych na głębokości ponad 600 metrów. Jerzy Musioł spadł w korytarzu prowadzącym w kierunku jednej z wyżej położonych jaskiń i złamał nogę. Idąc mu na pomoc, Józef Cuber spadł 23 metry, wskutek zerwania się liny podczas zjazdu, i wylądował na nachylonej skalnej płycie. Przeżył, ale w wyniku wypadku został sparaliżowany od pasa w dół. Zorganizowana

wówczas akcja ratunkowa była najgłębszą kiedykolwiek podjętą i wziął w niej udział zarówno zespół Kuczyńskiego, jak i nasz zespół z Teksasu, inny zespół amerykański i zespół belgijski, który działał w pobliżu w Cuetzalan, oraz meksykański Czerwony Krzyż. Śmigłowiec użyczony przez spółkę naftową PEMEX przewiózł Cubera i Musioła do szpitala w Puebla. Był to pierwszy statek powietrzny, jaki miejscowi widzieli kiedykolwiek.

Po przeprowadzeniu akcji ratowniczej polski zespół zaprosił wszystkie osoby, które brały w niej udział, na ucztę w pobliskiej wiosce, a następnie pojechał na następną część wyprawy do południowomeksykańskiego stanu Chiapas. Fakt, że zdecydowali się kontynuować wyprawę po dwóch tak poważnych wypadkach, zrobił na mnie duże wrażenie. Miało minąć dwadzieścia lat, zanim ponownie zszedłem pod ziemię z polskimi grotolazami. Współpraca między różnymi nacjami, której świadkiem byłem wówczas, w 1980 roku, zmieniła jednak mój sposób myślenia. W miarę jak nasze projekty robiły się technicznie coraz bardziej skomplikowane i wymagały coraz więcej nurkowania w jaskiniach, zacząłem stopniowo szukać uczestników spoza Stanów Zjednoczonych, początkowo z Meksyku i z Anglii, a z czasem z całej Europy, Australii i Rosji.

Wiosną 2001 roku nasz zespół w wynajętym domu w wiosce San Agustín kończył tradycyjne lokalne śniadanie składające się z fasoli i tortilli, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Za drzwiami stała dwójka młodych ludzi z ogromnymi plecakami. Byli to Marcin Gala i Kasia Biernacka z Warszawy, których nigdy wcześniej nie spotkałem i o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Przyjechali do Meksyku, by przeszukać okolice pod kątem obiecujących jaskiń na przyszłe wyprawy, i zdecydowali się odwiedzić rejon Huautli, który wówczas wzbudzał jeszcze zainteresowanie środowiska grotolazów. W mieście znajdującym się jakieś 9 kilometrów dalej dowiedzieli się, że nasz zespół mieszka w wiosce San Agustín, przyszli więc do nas, by się przywitać i spytać, czy nie mogliby się przyłączyć do wyprawy. Nie jest w zwyczaju, by tak po prostu „wpadać” na czyjąś wyprawę, i z pewnością nie spodziewaliśmy się żadnych gości. Przez moment zabrakło nam słów. Ale ta dwójka polskich grotolazów była tak radosna i entuzjastycznie nastawiona, że nie mogliśmy się zdobyć na to, by ich splawić.

Pozostawały jednak kwestie bezpieczeństwa. Po fatalnym wypadku w Cheve w 1991 roku wprowadziliśmy absolutny wymóg dla wszystkich członków zespołu: muszą przejść w obozie bazowym sprawdzian umiejętności pokonywania przepinek z dodatkowym obciążeniem. Wyjaśniliśmy to Marcinowi i Kasi i pokazaliśmy im trasę linową z przepinkami zainstalowaną na sąsiednim budynku. Ich tempo i precyzja na linach uświadomiły nam, że są doskonale wyszkoleni, więc już bez dalszych oporów przyjęliśmy ich w poczet członków wyprawy. W swej skromności nie wspomnieli nam o tym, że Marcin jest instruktorem jaskiniowym i wspinaczkowym oraz że zarówno on, jak i Kasia

należą do grona najlepszych europejskich grotolazów; wyszło to znacznie później podczas jednej z rozmów. Nie wiedzieliśmy wówczas, że w Polsce po 1989 roku dojrzało zupełnie nowe pokolenie grotolazów. Transformacja wyzwoliła ducha młodych Polaków, spośród których część miała zapisać się w annałach wspinaczki wysokogórskiej, skałkowej i eksploracji jaskiniowej. Od tego pierwszego spotkania w 2001 roku miałem przyjemność pracować z Kasią i Marcinem podczas siedmiu wypraw, podobnie jak z wieloma innymi polskimi grotolazami, których zaczęli ze sobą przywozić i przedstawiać nam, włącznie z tak wybitnymi jak Paweł Skoworodko, Tomek Fiedorowicz, Kasia Okuszko i Artur Nowak, by wymienić niektórych z nich. Od 2003 roku co najmniej jedna trzecia naszych zespołów w Sistema Cheve to Polacy. Z niecierpliwością oczekuję kolejnych lat międzynarodowej współpracy i nowych odkryć. Jestem przekonany, że jeszcze niejednokrotnie będę miał okazję spotkać wybitnych grotolazów z Polski.

BILL STONE

William Stone (ur. 1952) — amerykański speleolog i odkrywca, uczestnik ponad 44 międzynarodowych ekspedycji eksploracyjnych. Jego marzeniem jest stworzenie pierwszej kolonii na Księżycu.

* * *

Doskonale znamy imiona i nazwiska wielkich alpinistów, dawnych i współczesnych zdobywców szczytów i ścian alpejskich, a przede wszystkim himalajskich. Zapewne dlatego, że we wchodzeniu na ośmiotysięczniki, najbliższe niebu wzniesienia tej planety, pociąga nas nie tylko skala wyczynu fizycznego i psychicznego, ale także wymiar mistyczny. Wspięcie się na wierzchołek bliski już przestrzeni kosmicznej dokonywane w skrajnym wysiłku, wyczerpaniu, właśnie mistycznym oszołomieniu często jest bliskie modlitewnej ekstazie.

Nepalscy i tybetańscy buddyści byli początkowo przeciwni wchodzeniu europejskich intruzów na święte góry, siedziby istot duchowych – bogów. Barbarzyńscy przybysze nie rozumieli, o co chodzi. A Święta Góra u wszystkich plemion świata, od zarania dziejów, była wizerunkiem pionowej Osi Świata, której naśladownictwem stała się piramida. Ta Oś wznosi się od podziemnych jaskiń – królestwa bogów śmierci, poprzez Górę-Piramidę doczesnego życia, na którą z wysiłkiem i cierpieniem wspinają się ludzie, ku Niebu, symbolizowanemu przez lśniący wierzchołek góry lub świątynię na szczycie piramidy. Taki jest mistyczny porządek istnienia. W mitach bogowie i herosi zawsze wznosili się ku niebu lub zstępowali do podświata.

To, w naturalny sposób, instynktownie i zwykle bez zrozumienia, jest odtwarzane i przez współczesnych ludzi. Autor tej książki spostrzegł, że zarówno wielcy himalaiści, jak i zdobywcy jaskiń są trawieni obsesją często dominującą ich życie. Tak właśnie jest, bo obsesja to podświadoma potrzeba spełniania mistycznego wzorca podszywającego porządek przyrody. On prowadzi alpinistów i grotolazów w dwu przeciwnych kierunkach Osi Świata. Stają się swoistymi herosami współczesności odgrywającymi, wciąż od nowa, prastary mit. Wkraczają do Górnego i Dolnego Świata, obu nieprzeznaczonych dla życia. Cierpią, męczą się, czasem tracą fizyczne życie, prowadzeni pierwotnym nakazem dążenia i odkrywania zakrytych obszarów.

Rdzenni mieszkańcy Himalajów z czasem oswoili się z deptaniem ich świętych gór. Zachodni przybysze uznali, że przekonały ich dochody z turystyki. Nie mówi się o tym, co usłyszałem od nepalskiego mnicha: „Duchy gór bywają łaskawe, bo ich górski lud wzbogaca się dzięki turystom, ale i tak, kiedy chcą, pobierają daninę życia”.

To samo dotyczy tych, którzy zstępują w głąbiny Ziemi. Oni też starli się z przeszkodą, jaką są wierzenia tubylców. W wielu krajach żywe jest przekonanie, że naturalne groty, szczeliny, studnie, jaskinie są siedzibami duchów, Panów i Pań wszelkich form terenu. W tej książce autor opowiada najpierw o jaskiniach Meksyku. Tam, bohater, Bill Stone, napotkał opór tubylców, którzy wielokrotnie przecinali liny czy kable telefoniczne prowadzące do jaskiń. To samo zdarzało się na moich wyprawach. Bill Stone wspomina w swojej książce „Beyond the Deep”, jak podczas eksploracji jaskini San Agustín w meksykańskiej Sierra Mazateca, okoliczni mieszkańcy odnosili się niechętnie do amerykańskiej wyprawy, ale kiedy jeden z jej uczestników utonął, nurkując w syfonie, i jego ciało zostało wyniesione z jaskini, powitał je szpaler kilkuset Mazateków przybyłych

z okolicznych wiosek. Chcieli uczestniczyć w ofierze ludzkiego życia, należnej Panu tych gór, Nindo Tokosho. To, co dla obcych było tragedią, dla nich stanowiło naturalny akt religijny, mający w tym kraju tradycję kilku tysięcy lat, odkąd na piramidach wrywano ofiarom serca.

Tak! Bohaterowie tej książki są napędzani obsesją, w której wcale nie chodzi o metry i rekordy. Chodzi o zaspokojenie wrodzonej ludziom potrzeby zstępowania pod i wstępowania nad dany ludziom obszar życiowy.

Osobiście poznałem tylko jedną z opisanych postaci, Billa Stone'a. W roku 1980 przybył ze swoją drużyną do najgłębszej wówczas jaskini Meksyku, San Agustín, odpowiadając na moje wezwanie. Skierowałem je wtedy do wszystkich cudzoziemskich wypraw jaskiniowych bawiących w tym kraju. Przybyli bez wahania Belgowie i Amerykanie, aby obok Meksykanów i Polaków ratować życie polskiego kolegi rannego w jaskini na głębokości 600 metrów. Stone i jego ekipa zrobili na mnie szczególne wrażenie. Byli profesjonalni, zorganizowani, konkretni, świetnie wyszkoleni i doskonale

wyposażeni. Uzgadniając działania ze Stone'em, czułem jego charyzmę i energię. Dziękując jego ekipie po szczęśliwie zakończonej akcji ratunkowej, czyniłem to z przekonaniem, że właśnie Stone odegrał kluczową rolę w końcowej, decydującej fazie wynoszenia rannego Polaka z jaskini. Jestem głęboko przekonany, że Bill zasłużył na taki literacki portret, jaki stworzył w tej książce Tabor, umieszczając go w szeregu najwybitniejszych eksploratorów Dolnego Świata.

Przez dalsze lata śledziłem z podziwem dokonania Stone'a także w innych jaskiniach Meksyku. Jednak równocześnie najlepsze życzenia i nadzieje kierowałem w inną stronę, ku systemowi Lamprechtsofen w Alpach Austriackich, gdzie uparcie, przez lata wykuwały swą drogę na dno świata polskie zespoły. I tu muszę spełnić swój obowiązek oddania honoru wielkiemu nieobecnemu w książce Tabora. Jest nim Andrzej Ciszewski. On te zespoły animował i prowadził, poświęcając ćwierć wieku na eksplorację jednego systemu. Jednak w odróżnieniu od Billa Stone'a osiągnął cel, doprowadził do ustanowienia rekordu świata – 1632 metry deniwelacji. Zmagania obu tych wielkich odkrywców, napędzanych tą samą obsesją, przybrały niemal mitologiczne wymiary. Lecz Stone stał się bohaterem niespełnionym. Jego wyprawy były nękane przez śmiertelne wypadki, a mimo heroicznego wysiłków i ekstremalnych nurkowań podziemnych, które przejdą do historii, zwycięstwo nie nadeszło. Ciszewski poprowadził swoich ludzi do upragnionego celu bez strat. Jest w tym jakaś ironia losu, a może nauka. Stone podporządkował jaskini życie osobiste, jak czytamy, znaczone klęskami. Ciszewski potrafił zbudować i wpleść w kanwę nieustannych wypraw udane życie rodzinne i sukces zawodowy. Jego swoistą przewagę dostrzegam w tym, że swoją pozycję wśród kilku najlepszych z najlepszych na świecie, swoją charyzmę, zbudował na profesjonalizmie najwyższej miary i „sile spokoju”, która jest bezcenną cechą przywódców, a także na umiejętności jednoczenia i inspirowania ludzi oraz harmonijnego łączenia różnych nurtów życia. Obsesja nigdy nie wzięła nad nim góry. Nie dał się jej pochłonąć tak, jak Stone. Ciszewski prowadzi eksploracje na całym świecie i cieszy się swoją pasją, czerpiąc z niej pełnymi garściami to, co daje pełnię i radość życia.

Pod wieloma względami Andrzej Ciszewski bliski jest drugiej postaci tej książki, Aleksandrowi Klimczukowi. To dzięki Klimczukowi „polska” Lamprechtsofen straciła rekord na rzecz jaskini w Abchazji. Jak się to stało, dowiedzą się czytelnicy z dalszych stron. Dodam jedynie, że o rozmiarach tych rekordów decydują w pierwszym rzędzie nie ludzie, ale masywy skalne i ich grubość. Gdzieś na świecie czeka jaskinia jeszcze głębsza, w wapieniach o jeszcze większej miąższości. Dlatego dla mnie nie jest to książka o rekordach. Nie odczytuję jej jako zapisu metrów, dni, ciężarów, ilości sprzętu czy wyczynu czysto sportowego. Dla mnie jest ona świadectwem siły ducha, cech charakteru, każących ludziom dążyć do niemal abstrakcyjnego celu, wbrew potocznej logice, wbrew własnemu ciału, wbrew strachowi, z pogwałceniem zdrowego rozsądku. To, być może –

jak pisało już wielu autorów – jest właśnie miarą człowieczeństwa. A dla mnie także wskazaniem, że – jak to uzasadniłem na wstępie – kierujemy się w tym szaleństwie wyższą inspiracją.

MACIEJ KUCZYŃSKI

Maciej Kuczyński (ur. 1929) — polski pisarz, inżynier architekt, speleolog, polarnik i alpinista.
Członek The Explorers Club.

SPIS TREŚCI

[Przedmowy](#)

[Prolog](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA](#)

STONE

[CZEŚĆ DRUGA](#)

KLIMCZUK

[CZEŚĆ TRZECIA](#)

GAME OVER

[Posłowie](#)

[Podziękowania](#)

[Warte przeczytania](#)

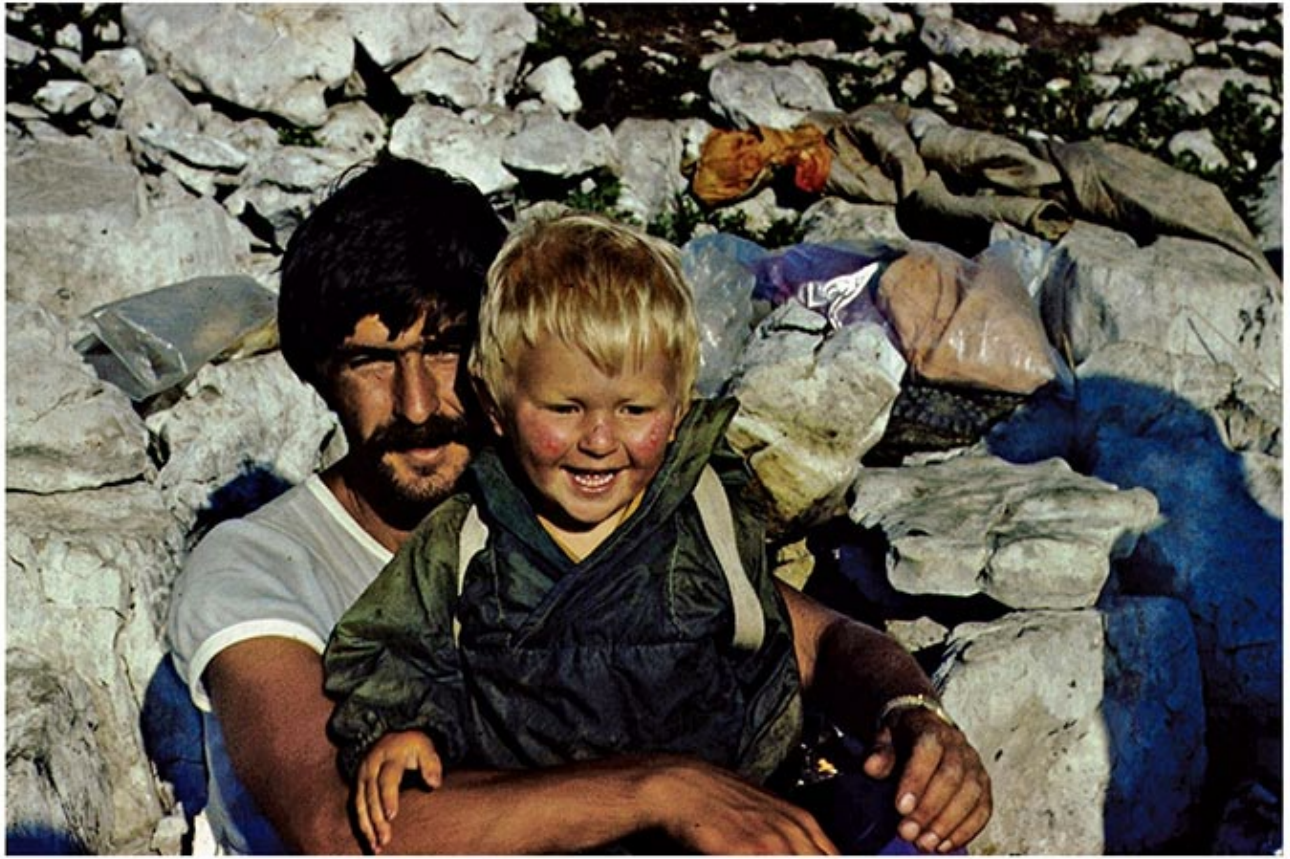
[Przypisy](#)

[25 najgłębszych jaskiń świata](#)

[25 najdłuższych jaskiń świata](#)

[Mapa Cheve](#)

[Mapa Krubery](#)



Aleksander i Aleksiej Klimczuk
fot. Call of the Abyss Project

PROLOG

Na początku XV wieku żywiliśmy głębokie przekonanie, że Ziemia jest płaska.

Na początku XXI wieku żywiliśmy równie głębokie przekonanie, że wszystkie wielkie odkrycia lądowe zostały już dokonane. Minęło prawie sto lat od chwili, w której Peary jako pierwszy człowiek postawił stopę na biegunie północnym, a Amundsen – na południowym. W 1953 roku Hillary i Norgay zdobyli Mount Everest, w 1960 roku Piccard i Walsch zeszli w batyskafie na dno Rowu Mariańskiego. W 1969 roku Armstrong i Aldrin odbyli spacer po Księżycu, a wkrótce człowiek zagrał na Srebrnym Globie w golfa i przejechał się terenowym pojazdem księżycowym.

Mylili się zwolennicy teorii płaskiej Ziemi i mylili się ci, którzy przedwcześnie opłakiwali zmierzch epoki odkrywców. Wraz z nadejściem trzeciego milenium stało się jasne, że jeszcze jedno miejsce czeka na swoich odkrywców: najgłębsza jaskinia na Ziemi. Superjaskinia.

Ekstremalna eksploracja jaskiń jest równie ekscytująca, trudna i niebezpieczna jak pionierskie wyczyny himalaistów, oceanologów, polarników, a nawet astronautów. Kiedy Buzz Aldrin dowiedział się o superjaskiniach, stwierdził: „Sądziłem, że nie istnieje środowisko bardziej nieprzyjazne niż powierzchnia Księżyca. Myliłem się”. Ani Aldrin, ani ktokolwiek inny nie powinien być zatem zaskoczony, że stanęliśmy na szczycie świata w 1953 roku, ale do końca drugiego tysiąclecia nie zdołaliśmy odnaleźć jego dna.

Superjaskinie wydają się obce, odstręczające i śmiertelnie niebezpieczne, lecz nie chodzi w nich jedynie o przygodę. Bill Stone, jeden z dwóch wielkich, przedstawionych w tej książce, badaczy superjaskiń, zachnął się, kiedy dziennikarz NationalGeographic.com zapytał go, w jaki sposób opisałby swój rodzaj „przygody”.

„Pozbądźmy się na dobry początek tej nieznośnej etykiety” – orzekł stanowczo i dodał, że współczesne, oparte na zaawansowanej technologii badania – „a tym właśnie się zajmuję – są zupełnie inne. Naszym celem jest przesunięcie granic ludzkiego poznania poprzez dostarczenie nowych danych”. Innymi słowy, chodzi o naukę. I rzeczywiście, jaskinie kryją obfitość zagadek naukowych, pozwalając rozwijać badania w obszarach tak od siebie odległych jak zapobieganie epidemiom, kształtowanie kuli ziemskiej, pozaziemskie prapoczątki życia, nowe rezerwy paliw kopalnych i misje na Marsa.

Poszukiwanie najgłębszej jaskini na Ziemi jest prawdopodobnie tą częścią historii wielkich odkryć, o której nigdy nie słyszeliście. Badania najgłębszych jaskiń nie cieszą się rozgłosem, choć są zazwyczaj dramatyczne, niebezpieczne i pozwalają wnieść cenny wkład w rozwój światowej nauki. Wolimy prawdopodobnie bohaterów prawych i urodziwych. Pomyślcie o najdoskonalszej ikonie wielkich odkryć, Neilu Armstrongu: czysty i nieskalany w swej rycerskiej zbroi oślepiającej bielą na tle szarej powierzchni Księżyca i czarnej przestrzeni kosmicznej. Eksploracja jaskiń jest z natury zajęciem

ciemnym, brudnym i mokrym.

Chodzi o coś jeszcze. Już w XIX wieku dysponowaliśmy fotografiami wspinaczy, niewiele dłużej musieliśmy czekać na materiały filmowe. Są dostępne niezłe nagrania podwodnego świata wykonane w latach czterdziestych. Obserwowaliśmy, jak Neil Armstrong stawiał pierwszy krok na naturalnym satelicie Ziemi. Speleologia zaś przez większą część swojej długiej historii rozwijała się poza zasięgiem naszego wzroku. Dopiero w ostatnich latach wyrafinowane baterie i zaawansowane techniki cyfrowe umożliwiły korzystanie z kamer wideo w ciemnych, ciągnących się kilometrami i sięgających ponad tysiąc metrów w głąb Ziemi korytarzy superjaskiń. Kiedy więc wspinacze, nurkowie i astronauta pławili się w blasku reflektorów, grotołazi mozolili się w ciemnościach, pod powierzchnią ziemi i ponad nią.

Podziemny świat pozostaje największą białą plamą naszej planety, nazywaną przez niektórych „ósmym kontynentem”. Góry, oceaniczne głębie, Księżyc, a nawet Mars zostały odkryte i zbadane przez ludzi lub ich mechanicznych wysłańców. Jaskinie – nie. Są jedyną, w dużej mierze nieodkrytą przestrzenią, której można doświadczyć jedynie osobiście.

U progu XXI wieku stały się jasne trzy kluczowe założenia dalszych wypraw badawczych w te niezmierzone rejony. Po pierwsze, najgłębsza jaskinia zostanie prawdopodobnie odkryta w ciągu najbliższej dekady. Po drugie, odkrycie to zostanie prawdopodobnie dokonane w jednym z dwóch miejsc: w gruzińskiej Abchazji lub w stanie Oaxaca w południowym Meksyku. Po trzecie, zespół odkrywców zostanie poprowadzony przez jednego z dwóch ludzi, któremu odkrycie to zapewni miejsce w panteonie odkrywców u boku takich sław jak Amundsen i Hillary. Pierwszym z nich był Ukrainiec Aleksander Klimczuk, drugim Amerykanin Bill Stone. Obaj poświęcili życie badaniom dna Ziemi.

Jaskinie zachęcają do konstruowania dychotomii: światło i ciemność, powierzchnia i głębia, bezpieczeństwo i przerażenie. Aleksander Klimczuk i Bill Stone są w podobnym wieku, poza tym różni ich prawie wszystko, a to wpisuje ich zgrabnie w koncepcję przeciwieństw. Klimczuk jest niski i drobny – Stone potężny i umięśniony. Klimczuk jest cichy, skromny i dobroduszny – Stone obcesowy, zuchwały i apodyktyczny. Klimczuk od dziesięcioleci trwa w szczęśliwym związku małżeńskim z jedną i tą samą kobietą – Stone rozwiódł się w 1992 roku i ma na koncie związki z silnymi, atrakcyjnymi, odnoszącymi sukcesy kobietami zafascynowanymi sportami ekstremalnymi; aktualnie jest zaręczony z badaczką jaskiń Vickie Siegel. Są jednak podobni pod dwoma kluczowymi względami: obaj są naukowcami i badaczami wywodzącymi się z tradycji Magellana, Amundsena i Armstronga, gotowymi poświęcić wszystko – łącznie z życiem własnym i innych – w imię najważniejszego odkrycia.

Inni odkrywcy i naukowcy rozumieją historyczną naturę tego rodzaju odkrycia. Wiedzą, że z nakreślonych wyżej powodów mogłoby ono przemknąć w zasadzie niezauważone, co nadałoby mu podwójnie tragiczny wymiar. Po pierwsze dlatego, że każdy, kto ryzykuje wszystko dla osiągnięcia takiego celu i osiąga go, zasługuje na takie uznanie, na jakie tylko jesteśmy w stanie się zdobyć. Po drugie jednak – i jest to zapewne jeszcze istotniejsze – to odkrycie miało być nie tylko monumentalne, ale też smutne, znaczące koniec tysiącletniego projektu ludzkości, którego celem było wydarcie Ziemi wszystkich jej tajemnic. Perspektywa finału tej sagi była tak ekscytująca – i jednocześnie tak niepokojąca – że zachowujący na co dzień stoicki spokój redaktorzy „National Geographic” zapożyczyli tym razem tytuł od Juliusza Verne’a: „Wyprawa do wnętrza Ziemi”.

U progu trzeciego milenium wszystko było więc przygotowane na rozegranie dramatu dwóch badaczy. Dramatu, jakiego świat nie oglądał od czasów Roalda Amundsena i Roberta Falcona Scotta podążających łeb w łeb na biegun południowy, by przynieść światu historyczne odkrycie i przerażającą opowieść.

Niniejsza książka jest historią wyścigu ku ostatniemu wielkiemu odkryciu. Historią kobiet i mężczyzn, którzy go wygrali – i przegrali.



Otwór jaskini Cheve
fot. Frank Abbato

CZEŚĆ PIERWSZA
STONE

Zasada numer jeden: Wszystko jest możliwe (o ile nie narusza praw fizyki).
Zasada numer dwa: Jeśli możesz, nagnij prawa fizyki.

BILL STONE

STOP.

Mamy ofiarę śmiertelną.

Bill Stone, na głębokości prawie kilometra i w odległości prawie pięciu kilometrów od wejścia do Cheve, meksykańskiej superjaskini, zatrzymał się. Biało-czerwona plastikowa taśma¹ zwieszała się w poprzek wąskiego korytarza, którym się wspinał. Wiadomość nabazgrana na wyrwanej z zeszytu kartce była przyczepiona do taśmy na poziomie klatki piersiowej, gdzie trudno byłoby ją przeoczyć. Biała kartka unosząca się w egipskich ciemnościach jaskini tak intensywnie odbijała światło czołówki Stone'a, że musiał zmrużyć oczy. Było tuż przed północą w piątek, 1 marca 1991 roku, ale nie miało to istotnego znaczenia – w jaskini zawsze panuje północ.

Stone, charyzmatyczny mężczyzna z doktoratem z inżynierii budowlanej, miał 193 centymetry wzrostu i umięśnione ciało o masie około 90 kilogramów. Wspólnie z Mattem Oliphantem i Donem Coonsem, dwoma doświadczonymi grotołazami, kierował wyprawą, której celem było dokonanie ostatniego wielkiego odkrycia: zamierzał dowieść, że Cheve jest najgłębszą jaskinią świata. Stone miał kasztanowe włosy, pociągłą twarz, umięśnioną szyję, intensywnie niebieskie oczy i haczykowany nos. Trudno było uznać go za przystojnego, ale miał ten rodzaj niezwyklej, zuchwałej urody, która przyciągała spojrzenia zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Oczywiście, nie w tej chwili. Od prawie tygodnia wędrował podziemnymi korytarzami i teraz z wychudzonej twarzy na świat patrzyły zapadnięte oczy, a policzki pokrywał szpeciniasty zarost; pod pewnymi względami przypominał Jezusa ze świętych obrazków. Tydzień pod ziemią to długo, ale niespecjalnie długo według standardów ekstremalnej eksploracji superjaskiń, gdzie nie należały do rzadkości przeciągające się do ponad trzech tygodni pobyty w rozległych podziemnych labiryntach.

Razem z trzema towarzyszami był w połowie wyczerpującej, zaplanowanej na dwa dni drogi powrotnej z najgłębszego znanego punktu jaskini znajdującego się na głębokości 1200 metrów, w odległości ponad 11 kilometrów od wejścia. Taśma z notatką została rozpięta tuż przed drugim biwakiem wyprawy, gdzie znajdowało się czterech innych grotołazów. Wyjaśnili Stone'owi, co się wydarzyło. Tego dnia około godziny 13.30 do jaskini wszedł Chris Yeager, 25-letni grotołaz z Indiany. Towarzyszył mu starszy, bardziej doświadczony mężczyzna z Nowego Jorku, Peter Haberland. Yeager eksplorował jaskinie dopiero od dwóch lat i przejście Cheve było dla niego takim samym wyzwaniem jak wspięcie się na Everest dla kogoś, kto do tej pory chodził jedynie po niewielkich górach stanu Vermont. W tym porównaniu nie ma ani

odrobiny przesady. Specjaliści potwierdzają, że badanie jaskiń podobnych do Cheve jest równie trudne, jak wspinaczka na Everest – odwrotny jest tylko kierunek.

Wkrótce po tym, jak Yeager dotarł do biwaku, bardziej doświadczeni uczestnicy wyprawy nadali mu ksywkę „Dzieciak”. Poważnie obawiając się o bezpieczeństwo tego młodego człowieka, wybitny grotolaz Jim Smith wygłosił mu trzeźwiącą, półgodzinną tyradę: nie schodź do jaskini bez przewodnika, na początek weź ze sobą tylko lekki worek na jeden dzień, podziel drogę na etapy i ucz się jej stopniowo, zaaklimatyzuj się w podziemnym świecie, zanim zdecydujesz się na dłuższy pobyt pod ziemią. Yeager był głuchy na wszelkie ostrzeżenia: na pierwsze wyjście wybrał się z 25-kilogramowym worem i planem przebywania pod ziemią przez siedem dni.

Szybko pojawiły się pierwsze problemy. Po trzech godzinach od wejścia do jaskini nie przypiął we właściwy sposób do swojej uprząży drabinki zjazdowej (specjalistycznego metalowego przyrządu przypominającego duży spinacz do papieru z poprzecznymi walcami, używanego w jaskiniach do zjazdów po długich, mokrych linach z dużym obciążeniem) i upuścił ją. Drabinka zjazdowa jest głównym elementem wyposażenia podczas ekstremalnych wypraw jaskiniowych; jedynie oświetlenie można uznać za bardziej istotne. Bez drabinki Yeager nie mógł iść dalej.

Pożyczył drabinkę od swojego partnera, by zjechać w miejsce, w którym wylądowała jego. Biorąc pod uwagę, że drabinka ma zaledwie 45 centymetrów długości, a jaskinia Cheve jest niewyobrażalnie rozległa i skomplikowana, jej poszukiwanie równało się szukaniu igły w tysiącu stogów siana. Yeager miał naprawdę sporo szczęścia, że zdołał znaleźć swoją drabinkę, co pozwoliło mu kontynuować wyjście z Haberlandem. Nie trwało to jednak długo, bo szybko się zgubili; nie byli w stanie odnaleźć głównego ciągu przez czterdzieści pięć minut.

Po siedmiu godzinach dotarli nad szczyt urwiska, które zostało nazwane 23-Meter Drop, ponieważ tym dokładnie było: 23-metrowym progiem, z którego należało zjechać na linie. Jak na warunki superjaskiń, w których progi i studnie często przekraczają 100 metrów, był to zaledwie malutki próg. Haberland ruszył jako pierwszy i bez problemów zjechał na dół. Tam wypiął drabinkę z liny i odsunął się, żeby uniknąć spadających kamieni, które Yeager mógłby na niego zrzucić.

Yeager miał na sobie standardowy sprzęt jaskiniowy, który obejmował między innymi uprząż podobną do uprząży wspinaczkowych, podrasowaną tak, by mogła sprostać wymaganiom grotolazów. Zakręcany karabinek (aluminiowe ogniwo wielkości mniej więcej paczki papierosów z uchylnym ramieniem po jednej stronie) łączył uprząż z drabinką zjazdową, która z kolei łączyła go z liną. Lina była przepleciona między walcami drabinki, niczym wąż wijący się nad i pod szczeblami drabiny, stawiając wystarczający opór, by mocno obciążony grotolaz taki jak Yeager był w stanie kontrolować prędkość zjazdu.

Przed rozpoczęciem zjazdu Yeager musiał przepiąć drabinkę z liny, na której zwiślał, na kolejny jej odcinek prowadzący do dna. Przepiął drabinkę, odchylił się do tyłu, by rozpocząć zjazd, i natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Lina nie powstrzymała jego ruchu w tył. Odchyłał się nieprzerwanie, jakby przewracał się do tyłu na krześle. W jakiś sposób uprząż oddzieliła się od drabinki, która nadal była przymocowana do liny.

Instynktownie rzucił się naprzód, by chwycić linę i dyndającą drabinkę. Gdyby nie miał na plecach worka lub choćby miał tylko lekki ekwipunek osobisty, być może zdołałby się uratować, chwytając się liny albo punktu zjazdowego osadzonego w skale lub nawet próbując przełożyć linę wokół ciała i owinąć w sposób umożliwiający zjazd bez przyrzędu. To wymagałoby jednak nadludzkiej wręcz siły i byłoby szalenie trudne nawet bez dodatkowego obciążenia. Jego 25-kilogramowy wór uniemożliwił mu zatrzymanie się; sekundę później spadał jak kamień w dół, tak szybko, że nie miał czasu nawet krzyknąć.

Spadające kamienie mogą ranić niczym odłamki pocisków; Peter Haberland odszedł i schronił się za ogromnym głazem, nie widział więc upadku Yeagera. Zorientował się, że coś jest nie tak, dopiero wtedy, gdy usłyszał świst powietrza i głuchy dźwięk uderzenia o litą skałę. Modląc się o to, by ciężki przedmiot okazał się workiem Yeagera, Haberland zawołał go po imieniu, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Kilka sekund później był już przy Yeagerze, który leżał tuż obok końca liny. Spadł do niewielkiego jeziora o głębokości może 10 centymetrów, leżał na prawym boku, z twarzą zanurzoną częściowo w wodzie i ramionami wyrzuconymi do przodu, jakby po coś sięgał. Miał złamaną prawą nogę i stopę wykręconą o 90 stopni tak groteskowo, że kiedy ciało leżało na boku, stopa sterczała ku górze. Haberland nie wyczuł tętna ani oddechu, ale mimo to przesunął Yeagera tak, by jego usta i nos nie były zanurzone w wodzie.

Haberland pospiesznie ruszył w stronę drugiego biwaku znajdującego się około 20 minut drogi w głąb jaskini, gdzie spotkał dwóch innych grotołazów, Petera Bosteda i Jima Browna. Pozostawili notatkę zwisającą z biało-czerwonej taśmy i pospieszyli z apteczką i śpiworem ku miejscu, w którym został Yeager. Kiedy dotarli tam, zobaczyli, że z nosa Yeagera wypłynęło nieco krwi, ale poza tym nie dostrzegli żadnych zmian. Cała trójka próbowała po kolei reanimować ofiarę – bez powodzenia. Chris Yeager nie żył.

Dokładne zrozumienie przyczyn tego wypadku wymaga szczegółowej znajomości sprzętu jaskiniowego. U źródeł problemu nie leżał jednak błąd maszyny, lecz pilota. Yeager wszedł do jaskini ze zbyt dużym obciążeniem, zmęczył się, w niewłaściwy sposób użył jednego z elementów sprzętu, a w końcu, co najgorsze, niewłaściwie zabezpieczył karabinek łączący uprząż z drabinką zjazdową. Najwyraźniej popełnił ten

sam błąd nie raz, lecz dwa razy, co stało się przyczyną pierwszego upuszczenia drabinki.

Dowiedziawszy się o wypadku, Bill Stone pokręcił jedynie głową z niedowierzaniem. Od początku obecność Yeagera w obozie budziła jego niepokój. Yeager, jego dziewczyna Tina Shirk i jeszcze jeden podróżujący z nimi człowiek nie znajdowali się w pierwotnym składzie wyprawy. Po wspięciu się na kilka wulkanów cała trójka dotarła do obozu bazowego Cheve. Shirk, doświadczony grotolarz, była w Cheve rok wcześniej, ale tym razem ze złamanym obojczykiem nie planowała wejścia do jaskini. Ten drugi mężczyzna powiedział Shirk i Yeagerowi, że załatwił wcześniej dla Chrisa pozwolenie na wejście do jaskini. Zdania na ten temat były podzielone; Stone w każdym razie nic o tym nie wiedział. Według niego cała trójka po prostu wkręciła się na tę wyprawę.

Śmierć Yeagera dotknęła wszystkich. Peter Haberland napisał później w artykule w magazynie jaskiniowym, że był „zdruzgotany”. Tina Shirk była załamana. Spektrum reakcji pozostałych obejmowało wszystkie stany emocjonalne: od wściekłości na pewnego siebie nowicjusza, przez smutek z powodu śmierci tak młodego człowieka, do przerażenia perspektywą rozkładu ciała tam w dole. Billa Stone’a zasmuciła ta śmierć. Był też wściekły, bo postawiła liderów wyprawy i jej członków przed koniecznością podjęcia działań narażających życie pozostałych. Obawiał się również nie tyle akcji wydobywania ciała Yeagera, ile możliwości przerwania z powodu śmierci chłopaka całej wyprawy. Tak niewiele mogło ich dzielić od znalezienia przejścia do najgłębiej położonych partii jaskini i można było wręcz założyć bez narażania się na śmieszność, że byli o włos od przejścia do historii. A teraz wydawało się prawdopodobne, że cała wyprawa zakończy się znacznie przed czasem.

Stone był oddany wyprawie emocjonalnie, fizycznie i finansowo. Jego zaangażowanie w pracę i pragmatyczne podejście nie pozostawiało co do tego wątpliwości. W wieku trzydziestu dziewięciu lat miał jeszcze czas, ale zegar biologiczny nieubłaganie odmierzał kolejne lata jego życia. Trzydzieści dziewięć lat stanowiło niemal górną granicę wiekową w przypadku tak wymagających fizycznie sportów jak ekstremalna wspinaczka wysokogórska czy eksploracja jaskiń.

Jak olimpijczyk, który trenuje przez całe życie dla kilku minut wyścigu po złoto, Stone wierzył, jak unikalna szansa właśnie wymyka mu się z rąk. Najbardziej jednak irytował fakt, że sprawcą całego zamieszania był ktoś, kogo w ogóle nie powinno w tym miejscu być.

Jak olimpijczyk, Stone był świadomy, że jego szansa może się w tej superjaskini zwanej Cheve nigdy nie powtórzyć. Może w ogóle się nie powtórzyć.

¹ Taśma, jaką używa np. policja do odgradzania terenu. Speleolodzy wykorzystują ją do oznaczania punktów pomiarowych (przyp. red.).

Śmierć nie znosi konkurencji, dalsze rozważania musiały więc poczekać. Członkowie wyprawy, czy im się to podobało, czy nie, ponosili odpowiedzialność za Yeagera, a raczej za jego ciało. Od meksykańskich władz nigdy w pełni nieaprobujących wypraw do superjaskiń, które wzbudzały niepokój przesądnej miejscowej ludności, nie można było oczekiwać zrozumienia. Co gorsza, Meksykanie mogli chcieć odzyskać ciało, nie dysponując minimum pozwalających na to umiejętności. To zadanie miało spaść na Billa Stone'a, pozostałych kierowników wyprawy i grotolazów. Problem polegał na tym, że nikt nigdy nie wydobywał ciała z jaskini tak głębokiej jak Cheve.

W superjaskiniach czai się więcej zagrożeń niż w jakimkolwiek innym środowisku, w którym człowiek prowadzi badania. Zjazd do jaskini i wyjście z niej są już ryzykowne. Próba wydobywania z jakiegokolwiek jaskini ciała rannego lub martwego człowieka znacznie pogarsza sprawę, potęgując zagrożenie. W tym samym roku, w którym zginął Chris Yeager, Emily Davis Mobley pokonująca znajdującą się w Nowym Meksyku jaskinię o nazwie Lechuguilla – wielką, ale znacznie mniej niebezpieczną niż Cheve – złamała nogę na głębokości kilkuset metrów, w odległości zaledwie czterech godzin od wejścia. Wyciągnięcie jej na powierzchnię wymagało czterech dni pracy ponad setki ratowników. Jeden z ekspertów oszacował, że każdej godzinie zejścia cieszącego się dobrym zdrowiem grotolaza odpowiada dzień akcji ratunkowej prowadzonej w drugą stronę w jaskini takiej jak Lechuguilla, której korytarze, jak zauważają speleolodzy, biegną „nadmierzają pionowo”.

Określenie „nadmierzają pionowo” znakomicie oddaje charakter tej części jaskini Cheve, przez którą miało zostać przetransportowane ciało Yeagera. Od wejścia korytarz jaskini opada niczym strome schody prawie 900 metrów w dół na długości 3,5 kilometra; dopiero później staje się nieco bardziej poziomy. W żadnym razie nie jest to równia pochyła. Na tych 900 metrów składają się niezliczone przeszkody z rzadka przerywane poziomymi odcinkami, ale istotą jaskini Cheve na tym odcinku jest spadek. Jedną z gigantycznych studni ma głębokość 150 metrów. Są również mniejsze progi – tak naprawdę istnieje mnóstwo małych progów – a także wodospady, przełazy, korytarze, jeziora, zawaliska i wiele innych form, jedynych w swoim rodzaju i niepoddających się słownemu opisowi.

W całej jaskini istnieje dziewięćdziesiąt studni wymagających zjazdu na linie. Ciało Yeagera dzieliły od wyjścia z jaskini trzydzieści trzy studnie, włącznie z tym 150-metrowym potworem. Planując wyciągnięcie ciała na noszach, w każdej z tych trzydziestu trzech studni zespół ratowniczy musiał zainstalować system lin, bloczków i przeciwwag. Im wyższa ściana, tym bardziej skomplikowany system umożliwiający wyciągnięcie ciała.

Instalacja do tego rodzaju systemów, szczególnie na wyższych ścianach, jest bardziej

niebezpieczne niż zjazd w dół i wspinanie się z powrotem. Zmęczony grotolarz musi wiele godzin wisieć w powietrzu w uprząży boleśnie wpinającej się w ciało, w ciemnościach, często w strugach lodowatej wody, by osadzić w skale kotwy, przykręcić plakietki i zamocować bloczki. Wszystko to poprzedza proces wciągania ciała na górę, w którym grotolarze występują w roli przeciwwag, co z kolei jest tylko jednym z wielu nieprzyjemnych i niebezpiecznych zadań. Wyciągnięcie ciała na powierzchnię wymaga znacznie większego wysiłku, ale ten zgrubny szkic pozwala wyobrazić sobie złożoność tego rodzaju zadania.

Ojciec Yeagera, Durbin, dotarł na miejsce kilka dni po wypadku z jeszcze jednym członkiem rodziny i zaprzyjaźnionym grotolarzem z Indiany. Do tego czasu ciało zostało tymczasowo zabezpieczone niedaleko miejsca wypadku. Dyskusje między liderami wyprawy a przedstawicielami rodziny Yeagera trwały tydzień. Stone, co było do przewidzenia, przejął inicjatywę. On i pozostali byli przekonani, że narażanie członków wyprawy na ogromne ryzyko, aby wydobyć ciało na powierzchnię, jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Jako doświadczony grotolarz Stone zwracał uwagę na to, że wspinacze wysokogórscy grzebią często swoich towarzyszy w miejscu, w którym dosięgła ich śmierć. Do tego czasu na Evereście zginęło już około stu trzydziestu wspinaczy, a większość ciał pozostała na zboczach góry. Stone zauważył również – może niedelikatnie, ale słusznie – że znacznie łatwiej będzie wyciągnąć ciało na górę po kilku latach, kiedy już wyschnie w jaskini; wówczas bezpieczne wydobycie kości na górę będzie wymagać wysiłku znacznie mniejszego zespołu.

Po kilku tego rodzaju spostrzeżeniach Stone'a temperatura dyskusji dramatycznie się podniosła, zwłaszcza na linii Stone i pozostali liderzy wyprawy a przyjaciel Yeagera z Indiany. W końcu zapadła decyzja: nikt nie będzie schodził do jaskini Cheve po ciało Yeagera. Durbin Yeager zrozumiał w końcu, że podjęcie próby wydobycia ciała wiąże się z ryzykiem wystąpienia kolejnych wypadków, i niechętnie zgodził się, by ciało jego syna zostało pogrzebane w jaskini Cheve.

Jedenaście dni po wypadku członkowie wyprawy przenieśli ciało Chrisa Yeagera (można sobie tylko wyobrażać, w jakim stanie) do znajdującej się w niewielkiej odległości piaszczystej sali, gdzie przygotowano mu miejsce godnego pochówku. Wykopali grób, pochowali Yeagera wraz z koszulką wyprawy, odprawili chrześcijański rytuał pogrzebowy i postawili na grobie kamień z inskrypcją wypisaną sadzą z lampy karbidowej.

Problem ciała został rozwiązany, ale meksykańskie władze nadal nie czuły się uspokojone. Miejscowi urzędnicy rozumieli, że wyprawa może przynieść znaczące odkrycia, a te z kolei pozytywnie wpłynąć na rozwój turystyki w regionie, jak to się stało między innymi w przypadku Ameryki Środkowej po odkryciu ruin miast Majów i Azteków. Wyprawy oznaczały zarobek dla miejscowych przedsiębiorców, którzy

dostarczali członkom ekipy zaopatrzenie, wynajmowali budynki i miejscowych tragarzy.

Penetracja jaskiń budziła jednak niepokój okolicznych mieszkańców. Większość była przekonana, pomimo licznych wysiłków Stone'a i pozostałych liderów, że gringos kradną złoto i cenne artefakty. Sprzeciwiali się eksploracji jaskiń również z powodów religijnych. Jaskinie były dla nich siedzibami bóstw równie uświęconymi jak katedry i meczety dla chrześcijan i muzułmanów. Pomysł, by jacyś obcy mogą w nich mieszkać, załatwiać się, uprawiać seks i śmiecić, był dla nich równie skandaliczny jak wykonywanie tych czynności w Bazylice Świętego Piotra w Rzymie czy Wielkim Meczezie w Mekce.

Śmierć grotolaza wystarczała aż nadto, by zachwiać podstawami kruchego porozumienia z miejscowymi. Członkowie wyprawy wiedzieli, że światem, w który się zapuścili, rządziły zupełnie inne zasady. W Meksyku ludzi zamykano w więzieniu z błahych powodów, a czasem nawet i bez niego. Z pewnością istniały gorsze miejsca niż meksykańskie więzienia, ale zdecydowanie nie było ich zbyt wiele.

Liderzy wyprawy otrzymali polecenie stawienia się na posterunku policji w pobliskim Cuicatlán. Prokurator generalny stanu Oaxaca ostro i bezwzględnie przesłuchał Stone'a przez telefon. Co zaskakujące, domagał się od Stone'a i pozostałych wydobyć na powierzchnię ciała Yeagera pod groźbą aresztu. Stone ostatecznie zdołał go przekonać, że jeśli będzie się upierał przy wyciągnięciu ciała Yeagera, może za chwilę mieć problem ze znacznie większą liczbą trupów. W porządku, warknął prokurator, ale jeśli od tej chwili zginie ktokolwiek, będziecie zmuszeni wyciągnąć ciało Yeagera na powierzchnię. Nigdy wcześniej nie stawiano tego rodzaju warunków. Stone był przekonany, że żądania prokuratora są absurdalne. Był rozżalony. Miał poczucie, że to jeszcze jedna konsekwencja beztroski Yeagera.

Wbrew oczekiwaniom władze nie zażądały od członków wyprawy opuszczenia rejonu jaskini Cheve ani wyjazdu z Meksyku. Przez chwilę Stone miał nadzieję, że tym razem kula przeszła bokiem. Wyjazdu wyprawy z kraju zażądała jednak – choć z zupełnie innych powodów – policja i temu poleceniu trudno się było przeciwstawić.

Nakaz przyszedł nie z Oaxaca, lecz z Indiany. Rodzice Yeagera mieli poczucie, że nie byłoby właściwe, gdy grotolazi włączyli się w tę i z powrotem nad świeżym grobem ich syna w piaszczystym przesmyku. Cheve była teraz miejscem pochówku; do podjęcia kolejnych prób jej penetracji powinno upłynąć nieco czasu.

Członkowie wyprawy podporządkowali się życzeniom rodziny, choć oznaczało to porzucenie niedawno rozpoczętego projektu, dla którego wielu ludzi poświęciło czas i pieniądze, wielokrotnie ryzykując własne życie. Gdyby zależało to wyłącznie od Billa Stone'a, wyprawa byłaby kontynuowana. Fakt ten bulwersował wiele osób. Jak można myśleć o ciągnięciu projektu – w końcu to tylko jaskinia – mając tam w środku, i na

sumieniu, ciało młodego mężczyzny?

Stone rozumował w odmienny sposób. Lubił podkreślać, że statki dopływające do brzegów Nowego Świata miały zazwyczaj na pokładzie zaledwie 70 procent pierwotnej załogi albo jeszcze mniej. Przypominał, że śmierć członków wyprawy nigdy nie powstrzymała od dalszej eksploracji takich odkrywców, jak Scott, Amundsen czy Lewis i Clark. Publicznie szydził z ostrożnych projektów podboju kosmosu prowadzonych przez NASA. Decyzja o dalszych losach wyprawy do jaskini Cheve nie należała jednak wyłącznie do niego.

Informacja o śmierci Chrisa Yeagera i jej konsekwencjach spowodowała rozłam w środowisku speleologicznym. Poważna, myśląca w kategoriach nauki mniejszość, która dobrze znała podobne przypadki z historii wcześniejszych odkryć lądowych, nie miała problemu z zaakceptowaniem pochówku w jaskini. Znacznie liczniejsza większość uważała to rozwiązanie za odrażające. Do lata sprawa przycichła, a zainteresowanie wyprawą i śmiercią Yeagera znacznie osłabło. Stone skonstatował z ulgą, że ma to już za sobą.

Mylił się. W pierwszych miesiącach 1992 roku przyjaciel rodziny Yeagerów z Indiany z pomocą Tiny Shirk zorganizował wyprawę, której celem było wydobycie ciała na powierzchnię. Szczęśliwie udało im się skorzystać z pomocy zespołu utalentowanych polskich grotolarzy, którzy wyciągnęli ciało Yeagera na powierzchnię w ciągu trzech dni. Polacy byli świetnie przygotowani, ale operacja wydobycia ciała była znacznie łatwiejsza, niż stanowiłaby rok wcześniej – dokładnie z tych powodów, które Stone wyjaśnił Durbinowi Yeagerowi. Rozkład zrobił swoje i ciało, choć nie składało się wyłącznie z kości, pojawiło się na powierzchni w kawałkach.

Informacje o „niesławnym wypadku Chrisa Yeagera”, jak zaczął myśleć o nim Stone, ponownie rozpały zażartą dyskusję. Wielu amerykańskich grotolarzy ze Stone'em na czele było wściekłych, że grupa obcych parweniuszy weszła na teren „ich” jaskini. Inni, zwłaszcza rodzina i przyjaciele Yeagera, z całych sił wspierali projekt wydobycia ciała.

W ferworze dyskusji szybko zapomniano o tym, że dwóch innych kierowników wyprawy i ojciec Chrisa Yeagera mieli swój udział w podjęciu decyzji o pozostawieniu ciała w jaskini. Stone ponownie znalazł się w ogniu krytyki, co można było przypisać częściowo jego bezceremonialnej obcesowości. Kilku dziennikarzy, którzy spędzili ze Stone'em krótki okres, uznało zgodnie, że jednego z pewnością nie można mu zarzucić: łagodności. Ich odczucia znalazły odzwierciedlenie na stronach tak poczytnych i wpływowych magazynów jak „Outside”, „National Geographic Adventure” i „The Washington Post Magazine”. Stone'a opisano krótko: „apodyktyczny, napuszony, opętany ambicją”.

Władczość Stone'a odstręczała również część osób ze środowiska speleologicznego. Dwóch grotolarzy, z którymi rozmawiałem podczas zbierania wstępnych materiałów

do tej książki, określiło Stone'a słowem: „Dupek”. Trzeci do tej oceny dodał: „Na jego wyprawach giną ludzie”. Nie można jednak zapomnieć, że większość ludzi, którzy zeszli w głąb Ziemi razem ze Stone'em, ceniła go za odwagę, inteligencję, siłę i niezmordowaną wytrwałość, z którą dekada po dekadzie dążył do wydawałoby się nieustannie oddalającego się celu.

Stone nie jest z natury sympatyczny, ale ma co najmniej dwie cechy charakteru, które tak często można znaleźć w ludziach zdolnych do wielkich osiągnięć, nie wyłączając odkrywców: jest klasycznym osobnikiem dominującym, a jednocześnie osobowością typu A. Jedną z najbardziej wyrazistych cech osobowości typu A jest skrajna niecierpliwość wynikająca z irytującego poczucia, że czas płynie zbyt szybko. Pozostaje kwestią otwartą, czy tego rodzaju ludzie z mniejszym wdziękiem znoszą głupców i opóźnienia. Z ich punktu widzenia każda czynność, od koszenia trawnika do wysokogórskiej wyprawy, jest przegranym wyścigiem z czasem, który nieodmiennie wydaje się płynąć zbyt szybko.

Abstrahując od kwestii bycia sympatycznym, osobowość dominująca w typie A ma pewną przewagę nad pozostałymi, na przykład chęć – niektórzy powiedzieliby: przymus – podejmowania wyzwań, które w najlepszym razie wydają się przekraczać ludzkie możliwości, w najgorszym zakrawać na szaleństwo, bo jak inaczej nazwać poświęcenie trzydziestu lat życia na próby dotarcia do dna najgłębszej jaskini świata? Wiele lat przed końcem XX wieku gros specjalistów porównywało Billa Stone'a do niezwykle ambitnego, błyskotliwego, nierzadko igrającego ze śmiercią Reinholda Messnera, bez wątpienia najwybitniejszego wspinacza wysokogórskiego wszech czasów.

To porównanie ma uzasadnienie, ale rzadko wspomina się o jednym z jego konsekwencji. Wielkie osiągnięcia miewają zazwyczaj skutki uboczne. Podobnie jak Messner, Stone dążył do osiągnięcia niewyobrażalnych zgoła celów z niezmordowanym uporem i podobnie jak Messner wiele poświęcił: małżeństwo, rodzinę, kochanki, bezpieczeństwo, przyjaźnie, a nawet życie przyjaciół.

Stone bez ceregieli i tłumaczenia się odrzucił moją prośbę o możliwość towarzyszenia jednej z jego meksykańskich wypraw, którą wystosowałem na etapie przygotowań do napisania tej książki. Zorganizowanie naszego pierwszego spotkania trwało kilka miesięcy, po części z powodu jego napiętego kalendarza, po części dlatego, że nie ekscytowała go nadmiernie perspektywa zmarnowania kilku cennych godzin na rozmowę z pisarzem. Kiedy już w końcu znalazł czas na wywiad, złapałem się na tym, że oczekuję od niego niezwyklej kombinacji kapitana Ahaba, Kurtza i Spidermana.

Może nie powinienem być zaskoczony? Czy zwyczajny człowiek poświęciłby wszystko za przywilej zstąpienia do piekieł?

Dla odkrywcy takiego jak Stone jaskinia Cheve może bardziej przypominać niebo niż piekło, niezależnie jednak od przyjętej miary jest to jaskinia bez wątpienia niezwykła, a wyrazy wdzięczności za jej odkrycie w 1986 roku należą się nietuzinkowej kalifornijskiej parze. W grudniu tego roku opadały pyły po katastrofie w Czernobylu i rozkręcała się afera Iran-Contras. W Kalifornii pakowano gwiazdkowe prezenty, a Carol Vesely i Bill Farr włączyli się po bezkresnych lasach porastających góry Sierra Juárez, desperacko szukając superjaskini. Podążali za wskazówkami przekazanymi im przez innego grotolaza, Petera Sprouse'a, który przeprowadził wyczerpujące badania map topograficznych regionu.

Superjaskinie, rozległe geologiczne monstra o długości wielu kilometrów i głębokości do 2000 metrów, są dla grotolazów tym, czym ośmiotysięczniki dla himalaistów: ich penetracja wymaga ogromnych, kosztownych wypraw, założenia szeregu podziemnych biwaków i wielu tygodni pod ziemią. Na Ziemi jest mniej superjaskiń niż ośmiotysięczników, których jest czternaście. W roku 1986 Vesely i Farr mogli policzyć na palcach jednej ręki jaskinie, które mogły konkurować o tytuł najgłębszej jaskini świata.

Podobnie jak wytrawni wspinacze wysokogórscy, Vesely i Farr byli sprawni fizycznie, doświadczeni technicznie, żądni przygód i nieskorzy do akceptowania ograniczeń. Ich życie kręciło się wokół jaskiń. Vesely stała się zawodową „nauczycielką na zastępstwo”, ponieważ pozostawiało jej to swobodę podążania za jej prawdziwą pasją, czyli odkrywaniem i penetracją podziemnych korytarzy. Farr, inżynier oprogramowania, wynegocjował kontrakt pozwalający mu na kilkumiesięczne urlopy. Ich prawdziwym zawodem było badanie grot; reszta umożliwiała opłacanie rachunków.

Vesely, drobna blondynka, wówczas zaledwie 29-letnia, i szczupły, ale silny i energiczny Farr, wówczas 26-latek, wiedzieli, że najgłębsza jaskinia świata dopiero czeka na swoich odkrywców. Wiedzieli również, że te meksykańskie góry były idealnym miejscem na jej poszukiwanie. Geolodzy określali tego rodzaju obszary – zbudowane ze skał wapiennych rozpuszczanych przez wody podziemne i powierzchniowe – mianem krasu. Obfite opady deszczu w tym regionie stwarzały warunki idealnie sprzyjające tworzeniu się gigantycznych jaskiń. Stąd właśnie wzięła się ta bożonarodzeniowa wyprawa w miejsce oddalone od najbliższego miasta o 20 kilometrów, położone dzień drogi samochodem od Zatoki Meksykańskiej, w którym na wysokości 2700 metrów n.p.m. tracili oddech w rozszerzonym powietrzu. Na poziomie morza klimat w stanie Oaxaca jest zgoła tropikalny. Na ten wysokości, na której się znajdowali, panował przyjemny chłód, a powietrze było czyste jak kryształ.

Po kilkugodzinnej wspinaczce po porośniętych lasami zboczach Vesely i Farr dotarli do gigantycznego zapadliska krasowego długiego na kilkaset metrów i trzykrotnie

szerszego. Był to bardzo obiecujący znak. Zapadliska krasowe powstają wówczas, gdy wody podziemne, systematycznie wymywając fragmenty skały wapiennej, powodują z czasem zapadnięcie się powierzchni terenu. Duże zapadliska zapowiadają rozległe jaskinie. Parli naprzód, schodząc starą drogą przeznaczoną do zwożenia zrąbanych pni, a potem podążali wzdłuż strumienia, który wił się w dół z boczka pomiędzy drzewami. Mieli nadzieję, że strumień doprowadzi ich w końcu do jaskini. Oboje mieli przeczucie, że zanoszą się na coś wielkiego, i w końcu zaczęli biec, klucząc między sosnami, które rosły niczym gigantyczne slalomowe tyczki wzdłuż koryta strumienia.

„Czy nie byłoby cudownie, gdyby udało nam się znaleźć naprawdę ogromną jaskinię z wejściem w meksykańskim stylu?” – wydyszała Vesely. Miała na myśli wejście wystarczająco duże, by mógł przez nie przelecieć samolot. Dokładnie w tym momencie gwałtownie wyhamowali na krawędzi urwiska. Strumień spływał z niego wodospadem na cudowną, zieloną łąkę położoną 8 metrów niżej. I, jak można było oczekiwać, 400 metrów dalej, na skraju łąki wznosiło się ogromne wejście do jaskini, w prawdziwie meksykańskim stylu.

Wejście wyglądało jak gigantyczne czarne usta szczerzące szeregi wyszczerbionych zębów, wysokie na kilka pięter i wystarczająco szerokie, by można było w nim zaparkować jeden za drugim dwa wielkie turystyczne autobusy. Vesely i Farra kusiło, by pognać przez łąkę i wskoczyć do środka, ale wiedzieli, że nie należy tego robić. Tu nie chodziło o wytyczenie nowej drogi na szczyt, którą można było opracować wcześniej, posługując się mapami, teleskopami i fotografiami. Zdalnie sterowane pojazdy pozwalały na wcześniejsze zbadanie podwodnych głębin. Nawet Armstrong i Aldrin widzieli na zdjęciach jeszcze przed wylotem w przestrzeń kosmiczną księżycowe Morze Spokoju, na którym mieli wylądować.

Grotolazi, jak Vesely i Farr, nie mogli poznać wcześniej trasy ani przewidzieć czyhających na nich niebezpieczeństw, których częściowa lista obejmowała utonięcie, śmiertelny upadek, pogrzebanie pod zwałami skał, utratę przytomności z braku tlenu, wychłodzenie, wiatr o sile huraganu, porażenie prądem, przesunięcie skał wywołane trzęsieniem ziemi, trujące gazy i ściany ociekające kwasem solnym lub siarkowym. Nie uwzględniono tu wściekłych nietoperzy, węży, jaskiniowych skorpionów i pajaków, radonu i mikrobów wywołujących potworne choroby jak histoplazmoza i leiszmanioza. Jaskinię Kitum w Ugandzie uważa się za miejsce narodzin zarazka wszech czasów: wirusa Eboli powodującego gorączkę krwotoczną.

Ryzyko penetracji jaskiń związane ze sprzętem i technikami obejmuje zaplątanie się we własny sprzęt (liny główne i pomocnicze, drabinki zjazdowe, przyrządy zaciskowe itd.), zerwanie liny, brak światła, zjazd poza koniec liny, obsunięcie się przyrządów zaciskowych na zabłoconych linach, zawiśnięcie na stopie (dokładnie tak nieprzyjemne, jak się wydaje) i mnóstwo innych przypadków, które choć występują

znacznie rzadziej, nie są ani odrobinę mniej przykre. Na wspomnienie zasługuje jeszcze jedno niebezpieczeństwo, tak oczywiste, że łatwo je przeoczyć: ryzyko zgubienia się.

Superjaskinie są źródłem problemów psychicznych: klaustrofobii, niepokoju, bezsenności, halucynacji, zaburzeń osobowości. Istnieje również szczególnie zdrażliwa przypadłość dopadająca wyłącznie grotolazów znana pod nazwą amoku eksploracyjnego – trochę jak atak psychozy na amfetaminie. Może dopaść grotolaza wszędzie i w każdym momencie, ale atakuje zazwyczaj ludzi znajdujących się głęboko pod ziemią.

Istnieje kolejna sprawa, o której podobnie jak o możliwości zgubienia się łatwo zapomnieć, bo jest tak wszechobecna: całkowita, kompletna ciemność. Ciemność tak atramentowa i pozbawiona choćby jednego fotonu światła, że jest świetlnym odpowiednikiem absolutnego zera panującego w kosmosie.

Vesely i Farr znali wszystkie te zagrożenia, ale żadne z nich nie wywarło najmniejszego wpływu na ich decyzje. Truchtem przebiegli łąkę i po dotarciu do otworu jaskini stwierdzili, że jest ogromny, jeszcze większy niż wydawało się im z daleka. Później zmierzli, że wejście miało 30 metrów na 7,5 metra, ale jego rozmiary przestały robić wrażenie, gdy weszli do środka. Sala Wejściowa, jak ją nazwali, miała 70 metrów szerokości, 30 metrów wysokości i 200 metrów długości. Innymi słowy była wystarczająco duża, by zaparkować w niej trzy boeingi 757 jeden za drugim – i jeszcze zostałyby nieco miejsca. Opadała w dół na odcinku około 180 metrów pod kątem mniej więcej 30 stopni; spadek odpowiedni do zorganizowania zawodów w narciarstwie zjazdowym. Dno korytarza usłane było zawaliskiem – wyszczerbionymi głazami, które odrywały się od sufitu przez całą wieczność i nadal co jakiś czas nieoczekiwanie spadały w dół. Schodzenie wśród tego labiryntu przypominało poruszanie się w ciemnościach po złomowisku mokrych, przerdzewiałych samochodów.

Jakieś 45 metrów od wejścia wyrastała pod kątem ze spągu sali gigantyczna, szara skała o wysokości 9 metrów i średnicy 2,5 metra. Wyglądała jak mniejsza, nieco pochylona wersja pomnika Waszyngtona. Minęli ją. Z każdym krokiem robiło się ciemniej, a snopy światła rzucane przez ich latarki z trudem rozpraszały ciemności. Ubrani tylko w dżinsy i T-shirty szybko poczuli chłód w jaskini. Jaskinia utrzymuje stałą „temperaturę ciała”, średnią temperaturę panującą na powierzchni w miejscu, w którym jest zlokalizowana. Gdyby tu, w Meksyku, znajdowali się na mniejszej wysokości, mogliby liczyć na temperaturę na poziomie 21 stopni Celsjusza. Na tej wysokości temperatura nie przekraczała 8 stopni.

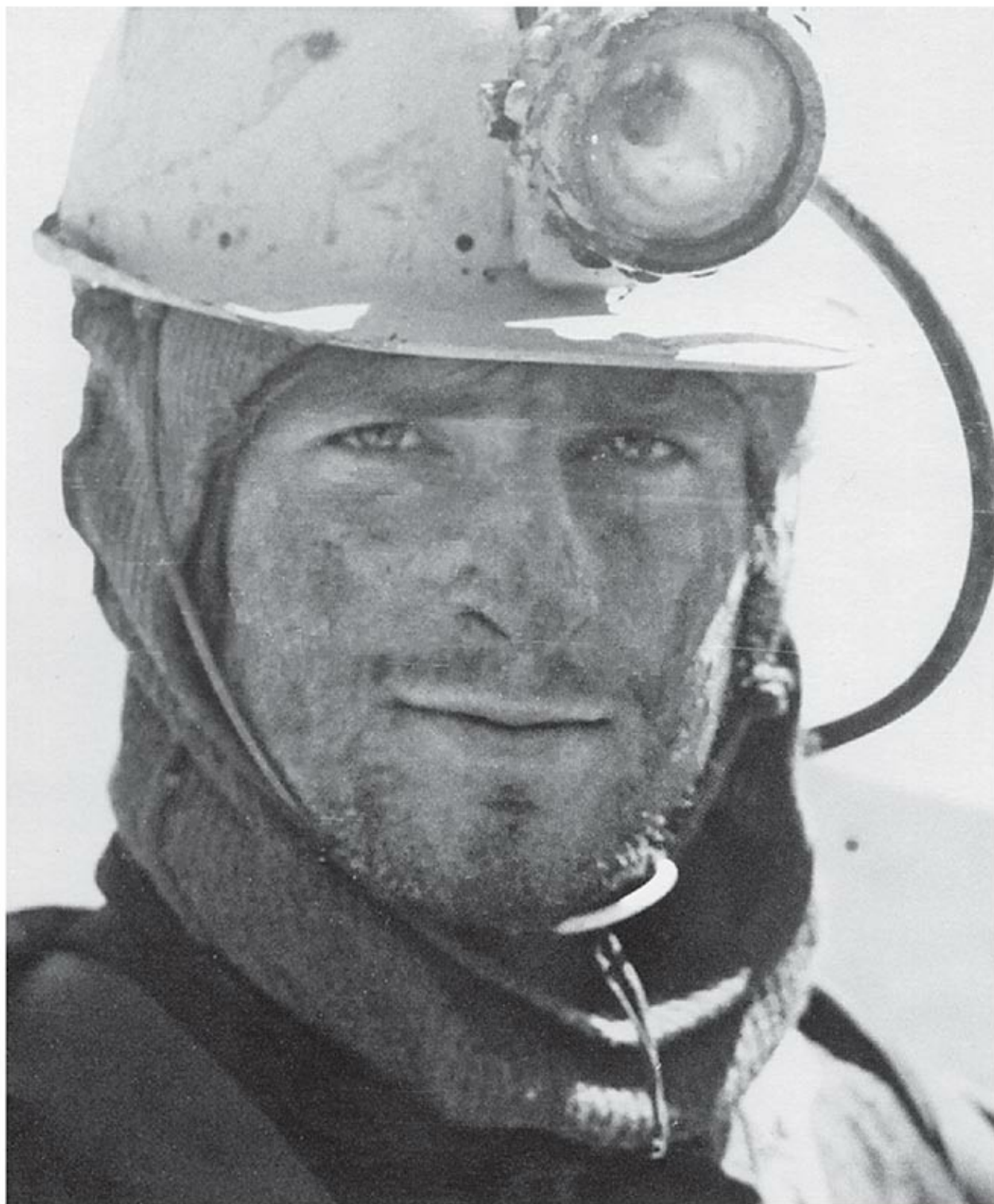
Unosił się w niej zapach błota, wilgotnych skał i gnijącej roślinności. Nie docierała tu jeszcze niezwykła, zdumiewająco żywa woń panująca w głębszych korytarzach dzikich

jaskiń. Określenie „żywa” zostało tu użyte świadomie. Rdzenna ludność jest przekonana, że jaskinie są rozumnymi, żyjącymi stworzeniami. Nie jest to przekonanie całkowicie pozbawione podstaw, biorąc pod uwagę, że jaskinie oddychają, mają system krążenia, trawienia i wydalania, mogą zwalczać choroby, odnosić rany, leczyć wiele schorzeń i, co więcej, nieustannie rosną – jak każdy żywy organizm.

Vesely i Farr mogli być pierwszymi ludźmi, którzy kiedykolwiek postawili stopę w tym miejscu (choć nie mogli mieć pewności); ta myśl sprawiła, że oczekiwali dalszego rozwoju wypadków z rosnącym podnieceniem. Pokonując kolejne metry w głąb jaskini, dostrzegli dwa korytarze odchodzące po prawej stronie. Trzeci korytarz prowadził w dół z najgłębiej położonego punktu sali. W tym miejscu strumień, który doprowadził ich do jaskini, ginął w ciemnościach.

Podążyli za strumieniem w głąb jaskini, pozostawiając „pomnik Waszyngtona” 90 metrów za sobą, i zatrzymali się w końcu pod ogromnym wejściem w kształcie rombu, szerokim na 6 metrów i wysokim na 18. To były prawdziwe drzwi do Cheve, na dnie Entrance Chamber, na granicy tej części jaskini, do której docierały jeszcze promienie słoneczne. Dotychczas nie znaleźli w jaskini przejścia tej wielkości, w którym tak wyraźnie wyczuwalny byłby ciąg powietrza, ale w tym korytarzu wiatr aż hulał.

Wszystkie jaskinie oddychają. W ciągu doby ciśnienie zmienia się ze względu na nasłonecznienie i zmiany ciśnienia atmosferycznego związane z kształtowaniem się większych układów pogodowych, a to powoduje przepływ powietrza w jaskiniach. Niewielkie jaskinie wzdychają. Duże dmą. Supejaskinie ryczą, w niektórych wiatr ma siłę huraganu. Im większa jaskinia, tym mocniej w niej wieje. Porywisty oddech tej jaskini był dla Vesely i Farra najcudowniejszym prezentem gwiazdkowym: pocałunkiem głębi.



Aleksander Klimczuk w 1967 r.
fot. Marcus Taylor

Vesely i Farr byli pierwszymi, którym dane było ujrzeć jedno z najbardziej imponujących miejsc wielkiej jaskini. Następnego dnia natknęli się na jeden z jej najbardziej mrocznych sekretów. Sala Wejściowa, jak się okazało, była w pradawnych czasach wykorzystywana jako miejsce odprawiania ceremonii religijnych i składania ofiar. Ofiar z ludzi, najczęściej – sądząc po niewielkich, szokująco białych kościach – z dzieci. Ich szkielety zalegały pod wystającą kamienną płytą, ołtarzem ofiarnym wynurzającym się z wirującej mgiełki wypełniającej ponurą Entrance Chamber. Później Vesely i Farr dowiedzieli się, że rytuały odprawiane były przez starożytnych Cuicatecos, rdzennych Amerykanów żyjących na tych terenach tysiące lat przed przybyciem konkwistadorów, których potomkowie nadal zamieszkiwali ten region.

Pozostawiając w spokoju to miejsce i spoczywające w nim szczątki, powrócili do gigantycznego, wietrznego otworu. Tuż poniżej wejścia znaleźli próg, którym zjechali prawie 8 metrów w dół. Trzymając się strumienia, przeszli stale opadającym spągiem jaskini jakieś 70 metrów.

W tym miejscu strumień zniknął w skalnym rumowisku. Wycofali się, ale wrócili następnego dnia, ostatniego dnia swojej wyprawy, pokonali ten sam pionowy próg i poszli dalej, zjeżdżając trzy kolejne prożki, których wysokość wahała się od ośmiu do dziewięciu metrów. Strumień pojawił się ponownie i płynął dalej po prawej stronie korytarza, którym schodzili. Spenetrowali kolejnych 800 metrów dziewiczej jaskini, zawrócili i ogłosili koniec wyprawy.

Wracali do jaskini dwukrotnie w 1987 roku, za każdym razem biorąc ze sobą dodatkowy zespół. Chociaż większość ludzi wzdryga się na samo słowo „jaskinia”, spodziewając się koszmarnych, klaustrofobicznych przestrzeni wymagających człogania się i przeciskania, superjaskinie składają się raczej z rozległych, przestronnych odcinków, z których wiele przebiega całkowicie pionowo. Podczas swojego drugiego wypadu w grudniu przeszli ponownie pierwotną trasę, pokonując szereg prożków, podążyli wzdłuż strumienia aż do miejsca, w którym ten zniknął w ścianie, przecisnęli się przez wąskie, pionowe przejście i natknęli na pierwszą z wielu wyjątkowych miejsc Cheve. Była to ogromna sala szerokości mniej więcej 45 metrów i wysokości 75 metrów (kopuła siedziby Kongresu Stanów Zjednoczonych sięga 88 metrów), której dno stromo opadało w dół.

Poniżej pokonali kolejne progi wymagające zjazdu na linie, przewędrowali ciągnące się bez końca zawaliska na leżących pomiędzy nimi odcinkach, a potem, szczęśliwie, znaleźli sympatyczny korytarz wyrzeźbiony w litej skale. Jeszcze dwa prożki i stali na krawędzi pierwszej dużej studni Cheve o głębokości 50 metrów. Nazwali ją Elephant Shaft, Słoniową Studnią, bo była wystarczająco duża, by móc opuścić do niej słonia.

Tych dwoje było doświadczonymi grotolazami, ale nawet dla nich zjazd do studni wielkości Elephant Shaft był poważną sprawą wymagającą równowagi, stalowych nerwów, specjalistycznego sprzętu i doświadczenia pozwalającego na jego wykorzystanie. Wystarczyło, by zabrakło jednego z tych elementów, by sprowokować śmiertelny w skutkach wypadek, czego dowiódł zgon Chrisa Yeagera w 1991 roku.

Technika kontrolowanego zjazdu po linie jest w przypadku eksploracji jaskiń równie kluczowa jak czekany i raki we wspinaczce wysokogórskiej. Do lat dwudziestych ubiegłego wieku grotolazi schodzili na dół po drabinkach sznurowych lub opuszczali się z pomocą zespołu krzepkich pomocników. Opuszczanie się na rękach po linie metr po metrze praktykowano tylko w przypadku niewielkich progów. Drabinki sznurowe były bezpieczniejsze, ale nieporęczne, wymagające dużo wysiłku i zbyt ciężkie, by umożliwić schodzenie z naprawdę wysokich ścian. Muskularni pomocnicy słono kosztują i mogą się gdzieś zagubić z urodziwą dziewczyną albo oszołomić mocnym trunkiem. Co więcej, zejścia na głębokość kilkunastu, kilkuset metrów wymagały wykorzystania mnóstwa sprzętu: wyciągarek, bloczków i rusztowań. Wraz ze wzrostem złożoności tego systemu rosło prawdopodobieństwo porażki.

Opracowana przez wspinaczy francuskich po I wojnie światowej technika zjazdu w kluczu wymagała początkowo przełożenia liny między nogami, następnie owinięcia liny wychodzącej z tyłu wokół lewego biodra, przełożenia na skos ku górze przez pierś i z powrotem na tył przez prawy bark. Lina uciskała pachwinę. Co gorsza, wspinacz z łatwością mógł wysunąć się z liny, którą był owinięty, a rezultat był łatwy do przewidzenia. W latach trzydziestych wspinacze stosowali już metalowe przyrządy, którymi wpinali się bezpiecznie w linę, ale transportowanie w jaskiniach ciężkich ładunków po długich, mokrych, ubłoconych linach wymagało przyrządów „przemysłowych”. Przedsiębiorczy grotolaz z południa o nazwisku John Cole znalazł w 1966 roku sposób na zaspokojenie tej potrzeby, opracowując urządzenie znane dziś pod nazwą drabinki zjazdowej, w którym lina zjazdowa wije się pomiędzy walcami ze stali nierdzewnej².

Drabinki zrewolucjonizowały alpinizm podziemny, ale nie były idealne. Są właściwe i niewłaściwe sposoby przeprowadzenia liny pomiędzy walcami drabinki. Niewłaściwy sposób określano mianem *death rig*, oplotu śmierci. Kiedy grotolaz odchylił się do tyłu na oplocie śmierci, wszystkie walce odskakiwały jednocześnie, posyłając nieszczęsną ofiarę w „lot”, jak określali to grotolazi z typowym dla siebie czarnym humorem. Większość lotów z drabinki kończy się śmiertelnie.

Vesely i Farr odwiązali jeden koniec długiej liny, rzucili drugi w czeluść, wpletli linę w drabinki w prawidłowy sposób i zjechali na dno Elephant Shaft. Światło czołówek padło na pędzącą z szumem rzekę spadającą w obłokach piany serią niewielkich wodospadów. Woda spływała tak gwałtownie, że w powietrzu wisiała gęsta zasłona

drobinek wody. Wiele wodospadów wpadało do marmitów; turkusowa woda burzyła się w brązowych nieckach, a wypływając z nich, tworzyła kolejny wodospad. Schodząc coraz głębiej, grotolazi zjechali w dół wzdłuż skalnej ściany przypominającej wypolerowane złoto, obok pieniącego się 30-metrowego wodospadu, nad którym unosiła się wodna mgiełka.

Po pokonaniu kolejnych 200 metrów stromego korytarza czekała ich niespodzianka. Jaskinia przestała opadać, korytarz zaczął gwałtownie piąć się. Gigantyczna rampa zasłana wielkimi głazami wznosiła się przez około 90 metrów, następnie na krótko przybrała kształt prostej płaszczyzny, a potem ponownie opadła, tym razem znacznie bardziej stromo niczym skocznia narciarska. Ten urwisty odcinek, który nazwali później Giant's Staircase, Schodami Gigantów, był pokryty głazami pozostającymi w tak chwiejnej równowadze, że byle dotknięcie mogło z łatwością posłać je w siejącą spustoszenie podróż w dół stromego zbocza.

U stóp Giant's Staircase natknęli się na jedno z tych miejsc, które są niezwykle już na powierzchni ziemi, a pod nią wydają się przekraczać granice ludzkiej wyobraźni. Była to studnia o średnicy 15 metrów i głębokości 150 metrów. Na ludziach, którzy nigdy nie stali na krawędzi takiej przepaści ani nie opuścili się do jej stóp, te trzy cyfry nie robią wrażenia. Grotolazi je rozumieją. Rozmawiając o studniach, posługują się często miarą czasu, którego potrzebuje rzucony z góry kamień, by dotrzeć na dno. Kamień upuszczony znad krawędzi tej studni leciałby na jej dno 6 sekund; był to czas wystarczający na osiągnięcie przez niego śmiertelnej prędkości 200 kilometrów na godzinę. Odliczanie sekund – sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa – pomaga zmierzyć głębokość takiej studni.

Vesely i Farr znajdowali się teraz na głębokości mniej więcej 600 metrów, prawie 2,5 kilometra od wejścia do Cheve. Łatwo przejść nad takimi liczbami do porządku dziennego, przywołując słynne stwierdzenie Józefa Stalina, że jedna śmierć to tragedia, milion ofiar to już tylko statystyka. Aby właściwie ocenić wyzwania, które przed grotolazami stawiają superjaskinie, należy na chwilę zastanowić się nad tymi liczbami. Pięć kilometrów po płaskiej drodze albo nawet po górskim szlaku w świetle dnia to jedna sprawa. Pięć kilometrów brnięcia przez lodowate jeziora w kompletnych ciemnościach, wspinania się niczym pajak po skalnych progach w ubraniu przemoczonym lodowatą wodą rozbryzgiwaną przez wodospady, przełazenia przez chwiejące się głazy i przeciskania się na brzuchu przez zaciski tak ciasne, że wydobyć się z nich wymaga wypuszczenia powietrza z płuc, to zupełnie co innego. Sześćset metrów to ponad pół kilometra. Wyobraźcie sobie, że w jasnym świetle dnia, w suchym ubraniu i bez obciążenia wspinacie się dwukrotnie na ostatnie piętro Empire State Building. Aby wydostać się z jaskini, Vesely i Farr musieli zrobić to w ciemnościach, ociekając wodą, z ciężkimi workami, posługując się liną o średnicy

palca wskazującego.

Mieli poczucie, że jedyna właściwa nazwa dla tak fantastycznej studni musiała pochodzić ze świata fikcji literackiej. Nazwali ją Saknussemm's Well, Studnią Saknussemma, od nazwiska bohatera klasycznej powieści Juliusza Verne'a „Wyprawa do wnętrza Ziemi”, odkrywcy jaskiń Arne Saknussemma. Mając do dyspozycji linę ograniczonej długości, zjechali zaledwie do połowy, zanim zatrzymali się na „skalnym moście” zbudowanym z polewy naciekowej. Naciek ten, wyglądający niczym zastygła w powietrzu struga mleka, jest zbudowany z kalcytu – białej, krystalicznej formy węglanu wapnia. Jest zawsze mokry, a w związku z tym śliski. Przycupnęli tam ostrożnie i zapatrzyli się w ciemną otchłań, która pochłoneła każdy lumen emitowany przez ich potężne czołówki. Było oczywiste, że pod nimi rozpościera się niezbadana głębia. Nie mając dodatkowej liny, mogli się jedynie wycofać.

W jaki sposób można się wycofać z głębokości 600 metrów pod powierzchnią ziemi? Skalna wspinaczka, powolna i bardzo trudna, biorąc pod uwagę duże obciążenie, z którym się poruszali, nigdy nie była brana pod uwagę. Grotołazi podobni Vesely i Farrowi potrzebowali sposobu na to, by dostać się z powrotem na górę po linie, po której właśnie zjechali, wykorzystując jakąś zaprzeczającą sile grawitacji magię mistrzów jogi. Jak na ironię, magia, która okazała się w tym przypadku użyteczna, pochodziła nie od joginów, lecz od – to całkiem prawdopodobne – jaskiniowców.

Doktor Karl Prusik, austriacki wspinacz wysokogórski, w roku 1931 opracował węzeł nazwany prusikiem, który można było przesunąć w górę liny, ale po obciążeniu go nie zsuwał się on na dół. Ten sam węzeł stosowali żeglarze, nazywając go węzłem zaciskowym. Moment, w którym żeglarze opracowali swój węzeł – jeśli faktycznie był to pierwotnie węzeł żeglarski – ginie w odmętach historii. Znalezione jednak liczące 10 000 lat węzły

płaskie i babskie, nadal ciasno zawiązane na linach sporządzonych z włókien roślinnych. Skoro mieszkańcy jaskiń byli zdolni wiązać takie węzły, dlaczego mieliby nie zawiązać prusika?

Doktorowi Prusikowi przypisuje się pierwsze wykorzystanie węzłów zaciskowych we wspinaczce wysokogórskiej. Francuscy grotołazi szybko przejęli ten wynalazek od alpinistów, wychodząc za pomocą prusika po linach, którymi wcześniej zjechali na dół. Węzeł zasadniczo się sprawdzał, ale miał tendencję do zsuwania się po mokrych, zabłoconych i oblodzonych linach. Sytuację poprawiły niewielkie przyrządy zaciskowe. Pierwsze pojawiły się w 1933 roku i wszystkie wykorzystywane dziś urządzenia zaciskowe działają na tej samej zasadzie: pozwalają swobodnie przesunąć się w górę, ale zaciskają się bezpiecznie pod obciążeniem, kiedy ząbkowana krzywka liny dociśnie.

Grotołazi wykorzystują dwa przyrządy zaciskowe, by wspinać się po długich linach. Jeden z przyrządów mocowany jest do uprząży biodrowej i piersiowej i przez niego

przeprowadzana jest lina. Drugi, również przymocowany do liny, trzymany jest w jednej lub w obu rękach. Z niego zwisa lina z pętlami na obie stopy. Aby wspiąć się po linie, grotolaz zawisa na przyrządzie piersiowym, który utrzymuje jego ciężar. Następnie unosi stopy i przesuwając „zacisk” trzymany w rękę w górę wzdłuż liny. Wtedy staje w pętłach nożnych, a wówczas przyrząd piersiowy przesuwa się wzdłuż liny i blokuje natychmiast, kiedy zostanie ponownie obciążony. Ruch ten powtarzany wielokrotnie przypomina żabie skoki, a technika jest określana mianem małpowania. Porzuciwszy swój podniebny balkon, Vesely i Farr wyszli po linach z Cheve. Byli podekscytowani i wiązali ze swoim odkryciem duże nadzieje, ale nie pozwolili sobie na zrzucenie obronnego pancerza sceptycyzmu. Superjaskinie uczą swoich odkrywców wielu rzeczy i sceptycyzm jest z pewnością jedną z najważniejszych. Matematyka podziemnego alpinizmu jest następująca: z setek obiecujących dziur pozostaje kilkadziesiąt nadających się do przejścia korytarzy, które kończą się zazwyczaj zawaliskiem, zalany tunelem albo po prostu ślepą ścianą. Bardzo rzadko jaskinia nadaje się do dalszej eksploracji, a jeszcze rzadziej ciągnie się dalej i dalej, i dalej. Te cudowne podziemne korytarze, które zdają się nie mieć końca, zdarzają się bardzo rzadko.

Mimo wszystko zarówno Vesely, jak i Farr mieli nadzieję, że odkryta przez nich jaskinia może się okazać jednym z rarytasów. Po pierwsze, nie doszli jeszcze do jej końca. Po drugie, znajdowali się na wielkim obszarze krasowym. Po trzecie, w jaskini tej był naprawdę duży przewiew i dokądś musiała prowadzić. Po czwarte wreszcie, rozmiar pustek skalnych takich jak Saknussem's Well wskazywał, że jaskinia zaczęła powstawać w zamierzchłej przeszłości. Kropla drąży skałę, ale niezbyt szybko; wyrzeźbienie w skale czegoś takiego jak Saknussem's Well trwa całą wieczność.

Nie tylko Vesely i Farr żywili to poczucie. Liczba grotolazów światowego formatu jest i pozostaje bardzo niewielka nawet w zestawieniu z liczbą wybitnych wspinaczy wysokogórskich. W roku 1988 środowisko huczało już od plotek na temat nowego odkrycia – Vesely i Farr poprowadzili pierwszą prawdziwą wyprawę do Cheve, kierując zespołem siedemnastu grotolazów, w którym znalazły się prawdziwe gwiazdy amerykańskiego alpinizmu podziemnego.

Jedną z nich dosłownie i w przenośni wyrastała ponad resztę. Był to Bill Stone. Miał wówczas trzydzieści sześć lat, a za sobą prawie dekadę poświęconą poszukiwaniom najgłębszej jaskini świata.

² Również walce drabinki obecnie wykonuje się z tytanu lub aluminium (przyp. red.).

Można bezpiecznie założyć, że Bill Stone odniósłby spektakularny sukces w dowolnie wybranej przez siebie dziedzinie. Został obdarzony genialnym intelektem, oszałamiającą siłą fizyczną, niespożytą energią i ambicją nadającą rozmach każdemu podjętemu przedsięwzięciu. Należał do rzadkiego gatunku ludzi budzących podziw, zazdrość i strach.

Ojciec Stone'a, Curt, był zawodowym bejsbolistą grającym w drużynie Cincinnati Reds; w szkole średniej i college'u startował w zawodach czwórboju lekkoatletycznego. Gdyby niemiecki psychopata nie doszedł do władzy, Curt Stone zrobiłby karierę w jednej z dwóch najważniejszych amerykańskich lig zawodowych. Wybuch II wojny światowej i komisja poborowa wyeliminowały go z gry. Porzucił marzenia o grze na pozycji łącznika i został sprzedawcą.

W roku 1952 był już żonaty i mieszkał w Ingomar w Pensylwanii, gdzie urodził się jego syn Bill. Początkowo chłopca ciągnęło nie do sportu, lecz do fizyki, chemii i matematyki, i to już w bardzo młodym wieku. Chociaż Curt nie podzielał zamiłowania do nauk ścisłych, rozpoznał w Billu genialne dziecko i w szóstej klasie podarował mu zestaw młodego chemika. Prezent został przyjęty z wdzięcznością, ale Bill szybko wyczerpał jego możliwości i zaczął zamawiać sprzęt oraz odczynniki u największych dostawców. W dziesiątej klasie dysponował już profesjonalną pracownią chemiczną zajmującą całą piwnicę.

W szkole średniej Stone zyskał sobie reputację kujona i ekscentryka: dostawał same szóstki, domowymi sposobami budował rakiety, które później wysyłał w przestrzeń, i spędzał długie godziny na przeprowadzaniu eksperymentów w swoim domowym laboratorium. W wieku dojrzewania stało się jasne, że wysoki i silny Stone odziedziczył po swoim ojcu jeśli nie zamiłowanie do gier zespołowych, to przynajmniej sportowe uzdolnienia. Tak naprawdę rodzina Stone'a patrzyła z podziwem na wysokiego, smukłego dzieciaka, którego możliwości intelektualne i ciekawość świata dorównywały imponującej posturze. Czasem porównywali go do Doca Savage'a, bohatera brukowych magazynów lat trzydziestych i czterdziestych będącego jednocześnie naukowcem, badaczem, wynalazcą, odkrywcą i muzykiem, i do tego emanującego – według swojego twórcy – „chrystusową poświatą”. Może Bill nie był „chrystusowy”, ale swojej młodszej siostrze, Judy, wydawał się idealnym wcieleniem starszego brata: zabawny, ciepły, opiekuńczy i zawsze gotów zabrać ją na kolejną wyprawę.

Odziedziczył po ojcu nie tylko rozmiary, ale też skłonność do współzawodnictwa, choć nigdy nie pociągały go sporty zespołowe, być może dlatego, że rola gracza wydawała mu się znacznie mniej atrakcyjna niż rola lidera. Oczywiście, drużyny miały swoich kapitanów, ale szanse na objęcie tej funkcji były raczej mizerne i w szkole średniej zdeterminowane w dużej mierze tempem osiagania dojrzałości. Nie brał

udziału w rozgrywkach drużynowych, nie mógł więc liczyć na sweter z monogramem za osiągnięcia sportowe i czuł się z tego tytułu przegrany. Była to kiepska sytuacja dla kogoś tak spragnionego zwycięstw, toteż zdecydował się zaangażować w strzelanie – kulami do celu, oczywiście, nie piłką do kosza. Przyłączywszy się do drużyny strzeleckiej, mógł konkurować indywidualnie, za nikogo i przed nikim nie odpowiadając, i już w jedenastej klasie zarobił swój pierwszy monogram.

Brak zainteresowania sportami zespołowymi nie oznaczał, że ten wielki, niecierpliwy nastolatek nie miał apetytu na adrenalinę; w jedenastej klasie wydarzyło się coś, co nieodwracalnie skierowało jego życie na tory mające mu zapewnić adrenalinę w dawkach zaspokajających dowolne apetyty. Wybrał się na pokaz slajdów prowadzony przez dwóch ludzi, których nazwiska na zawsze miały utkwić mu w pamięci: Dicka Schmidta i Ala Haara z mieszczącego się w Pittsburghu oddziału Amerykańskiego Towarzystwa Speleologicznego (National Speleological Society). Nigdy nie zapomniał tego szczególnego momentu, w którym połknął podziemnego bakcyła. W pewnym momencie Schmidt i Haar pokazali zdjęcie grotolaza wiszącego na linie w pionowej jaskini w kształcie wielkiego cylindra, głębokiej na kilkaset metrów. Krawędź olbrzymiej studni wieńczyły kępki jaskrawozielonego mchu, przez który przeświecały promienie słońca oświetlającego grotolaza wiszącego niczym maleńki, lśniący pająk na złotej nici. Poniżej ziała ciemna, bezdenne otchłań. Jakiś element tego obrazu poruszył wrażliwą strunę w duszy Stone'a, a wewnętrzny głos krzyknął donośnie: Chcę to robić! Miał spędzić resztę życia, podążając za swoim pragnieniem.

Ciekawe, że jeden obraz może stać się objawieniem zmieniającym koleje ludzkiego losu. Nietrudno zrozumieć, że kogoś może urzec wizerunek, powiedzmy, profesjonalnego sportowca biorącego udział w zawodach, biologa morskiego albo pilota odrzutowca. Znacznie trudniej zrozumieć takie momentalne poddanie się powabowi miejsc nieodmiennie ciemnych, zimnych, mokrych, podziurawionych klaustrofobicznymi korytarzami i gigantycznymi bezdennymi otchłaniami. Oczarowanie Stone'a można częściowo przypisać temu, że na zdjęciu przedstawiającym opuszczającego się po linie grotolaza nie znalazł się żaden element sygnalizujący istnienie ciemnej strony podziemnego alpinizmu. Stone patrzył na eksplorację jaskiń w jej najczystszej, najjaśniejszej i najbardziej ekscytującej postaci grotolaza unoszącego się w złotym świetle dnia. A jednak pozostałe slajdy prezentujące drugą stronę medalu nie zdołały ostudzić zapału Stone'a.

W niedługim czasie przyłączył się do nowo powstałej w jego szkole średniej młodzieżowej grupy turystyki jaskiniowej noszącej nazwę klubu NASTY (North Allegheny Spelunking and Travelling Youth)³. W pobliskich kamieniołomach grotolazi z Pittsburgha wprowadzali Stone'a i jego kolegów w najbardziej podstawową

technikę: zjazd. Jako początkujący musieli najpierw opanować technikę zjazdu w kluczu wykorzystującą tarcie uzyskiwane przez owinięcie liny wokół ciała. Doświadczeni grotolazi używali już wówczas drabinek zjazdowych, ale początkujący walczyli w kluczu, zmagając się z problemem tarcia w kroczu. Prezentując już wówczas błyskotliwość w rozwiązywaniu tego rodzaju problemów, Stone kupił kombinezon i poprosił matkę o naszywanie skórzanych łat w odpowiednich miejscach. A potem spenetrował techniką zjazdu wszystkie kamieniołomy, które udało mu się znaleźć w promieniu 80 kilometrów od domu.

Stone wkrótce awansował do poziomu ogromnych studni i sal, dzięki którym Wirginia Zachodnia cieszy się opinią mekki grotolazów. Tam, jeszcze jako uczeń jedenastej klasy, przeszedł inicjację, zjeżdżając na dno 48-metrowej jaskini Hell Hole w Germany Valley, we wschodniej części stanu Wirginia Zachodnia. Doświadczenie to wprowadziło go w zupełnie nowe środowisko grotolazów, których życie kręciło się wokół pionowych jaskiń – i czasem w nich kończyło.

Określano ich mianem „maniaków studni” i Stone szybko zapalał entuzjazmem zarówno do nich, jak i do ich luzackiego stylu. Zjechał na dno Hell Hole prawie sześćdziesiąt razy. Oczywiście to, co zjechało, musiało się jakoś wydostać na górę. W celu wyjścia po linie on i wielu innych grotolazów używało wówczas nieefektywnego prusika. I właśnie wtedy, pewnego dnia 1969 roku, Stone spotkał w Hell Hole grupę grotolazów z południa dysponującą sprzętem, z którym nigdy wcześniej się nie zetknął: drabinkami zjazdowymi ze stali nierdzewnej, uprężkami biodrowymi i piersiowymi, ławkami i przyrządami zaciskowymi. Grotolazi przyjechali z TAG⁴, najbardziej urodzajnego w jaskinie rejonu Stanów Zjednoczonych. Ich techniki linowe i sprzęt zrewolucjonizowały eksplorację jaskiń. Nieoczekiwanie odkrywcy zyskali możliwości dotarcia na dno jaskiń uznawanych wcześniej za niedostępne. Ze względu na skuteczność nowego sprzętu grotolazi mogli zabrać ze sobą ładunki o wadze, która wcześniej byłaby nie do pomyślenia, a to z kolei umożliwiło przeprowadzenie późniejszych wielodniowych wypraw do superjaskiń. Dla Stone’a nowy sprzęt i techniki były objawieniem, które można prawdopodobnie porównać do olśnienia, którego musieliby doznać bracia Wright, gdyby ktoś im pokazał Piper Cub⁵. W mgnieniu oka zrozumiał potencjał tego nowego sprzętu i zmiany, które zwiastował w rozwoju eksploracji jaskiń.

Po ukończeniu szkoły średniej Stone rozpoczął studia inżynierskie w Rensselaer Polytechnic Institute w Troy w stanie Nowy Jork. Jeśli nie przeprowadzał akurat badań w laboratorium, urzeczony możliwościami nowego sprzętu penetrował kolejne jaskinie u boku takich gwiazd speleologii, jak Buddy Lane, Richard Schreiber i będący już wówczas legendą Marion O. Smith, który – informacja aktualna w chwili pisania tej

książki – spenetrował więcej jaskiń niż ktokolwiek na świecie: ponad pięć tysięcy. Smith pokazał Stone'owi tak ekscytujące miejsca jak 179-metrowa studnia zwana Fantastyczną w znajdującej się w stanie Georgia Jaskini Ellisona, najdłuższy swobodny zjazd wewnątrz jaskini w kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych z wyłączeniem Alaski. Fantastic Pit jest wystarczająco głęboka, by pochłonąć w całości pomnik Waszyngtona. Rzucony znad krawędzi kamień dno jaskini osiąga po upływie 8 sekund.

Zjazdy w takich miejscach były tak długie, że grotolazi polewali zarówno linę, jak i drabinkę zjazdową wodą, by zapobiec przegrzaniu powstającemu wskutek tarcia skrajnie napiętej liny o walce drabinki. Podczas swojego pierwszego zjazdu w Fantastic Pit Stone zatrzymał się na głębokości 60 metrów właśnie po to, by połączyć linę wodą. Popołniając jednak najbardziej karygodny błąd nowicjusza, upuścił manierkę. Pozostali grotolazi, łącznie ze Smithem pełniącym rolę przewodnika i mentora, znajdowali się już w ciemnościach na dnie studni, 120 metrów niżej.

„Kamień!” – wrzasnął Stone standardowe ostrzeżenie przed wszystkimi spadającymi przedmiotami. Patrząc w dół, był w stanie dostrzec maleńkie światełka rozpierzchające się we wszystkich kierunkach. Z wyjątkiem jednego, które – zdumiewające – nie poruszyło się. Przerażony, że roztrzaskał koledze czaszkę, udręczony Stone dokończył zjazd. Kiedy dotarł na dno, stanął twarzą w twarz z Marionem, który trzymał koniec liny, napinając ją. Tego rodzaju pomoc ułatwiała nowicjuszom po raz pierwszy schodzącym na dno Fantastycznej kontrolowanie prędkości zjazdu. Manierka roztrzaskała się o skałę może metr od jego stóp, ale Smith nie ruszył się z miejsca. Upokorzony Stone zaczął wyrzucać z siebie chaotyczne przeprosiny. Smith zbył je wzruszeniem ramion, kwitując śmiertelne zagrożenie krótkim: „Zdarza się”.

Zimna krew starszego grotolaza zwała Stone'a z nóg. Życie zademonstrowało mu właśnie archetypiczny ideał, hemingwayowską godność w chwili próby, której już zawsze od tej chwili będzie starał się dorównać i która ukształtuje jego styl przywództwa. Ten pościg za klasycznym ideałem miał mu oddać wielkie usługi w próbach i dramatach, które zgotował mu los.

Powrotu Stone'a i pozostałych nowicjuszy na powierzchnię nie dało się nie usłyszeć – spalali adrenalinę w Fantastic Pit. Smith pozwolił im chwilę pokrzyczeć, a potem zwrócił się szeptem do Stone'a: „Synu, to jeszcze nie jest to”.

Właśnie opuścili się do najgłębszej studni w kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych. Jakie miejsce może, do licha, konkurować z tym? Jeśli to nie to, zapytał Stone, to gdzie znajduje się ta superjaskinia? Smith pozwolił, by pytanie zawisło na chwilę w powietrzu, a potem udzielił lapidarnej, wstrząsającej odpowiedzi: „Meksyk”.

³ Słowo „nasty” ma w języku angielskim wiele znaczeń, od „złośliwy” i „niemiły” (o osobie), przez „wstrętny” i „paskudny” (o smaku, pogodzie, usposobieniu) oraz „podstępny” i „podchwytliwy” (o

pytaniu), do „nieprzyzwoity” i „sprośny” (o języku) (przyp. tłum.).

⁴ Akronim utworzony od pierwszych liter stanów Tennessee, Alabama, Georgia (przyp. tłum.).

⁵ Lekki, jednosilnikowy, dwumiejscowy amerykański samolot szkolno-turystyczny z końca lat trzydziestych (przyp. tłum.).

Widok południowców z ich sprzętem był dla Stone'a objawieniem. Marion „Meksyk” Smith był kolejnym. Wkrótce Stone dowiedział się, że w Meksyku nie brakowało gargantuicznych jaskiń, przy których Fantastyczna mogła uchodzić za karzełka. Meksyk dzieliła od Troy w stanie Nowy Jork odległość 4000 kilometrów. W tych czasach dla większości studentów college'ów – włącznie ze Stone'em i jego kolegami – pięć dolarów nie zaliczało się do kategorii „drobnych”. Zmontowanie meksykańskiej wyprawy jaskiniowej, podobnie jak zorganizowanie wyprawy wysokogórskiej, było niewyobrażalnie kosztowne i czasochłonne. Wydawało się, że ani finanse, ani napięty grafik zajęć w RPI nie pozwolą na wyprawę do Meksyku. Mimo to Stone obmyślił plan, demonstrując zarówno ogromną pomysłowość, jak i niezłomną determinację, które staną się znakiem rozpoznawczym jego późniejszych wyczynów. Zaproponował Wydziałowi Geologii RPI sfotografowanie i skartowanie meksykańskich form geologicznych, jeśli wydział uzna jego pracę za projekt pozwalający mu uzyskać na uczelni formalne punkty kredytowe. Dziekan wydziału zgodził się. Stone i jego zespół musieli jeszcze wyłudzić od rodziców pieniądze i samochody, co im się ostatecznie udało. Przez następne trzy lata spędzali w Meksyku dwanaście tygodni w roku – sześć latem, sześć zimą – zamieniając wielkie meksykańskie jaskinie w szkolne klasy.

Bill Stone ukończył RPI w 1974 roku z licencjatem z inżynierii lądowej. Kolejny rok poświęcił na zdobycie tytułu magistra inżyniera w zakresie inżynierii budowlanej. Mógł podjąć próbę dostania się na MIT, Stanford lub Caltech, ale poważni grotolazi szukają zwykle z nadzwyczajną energią sposobów na zorganizowanie swojego życia wokół jaskiń. Stone nie próbował więc przenieść się do Cambridge czy Palo Alto, lecz wyładował w Austin, na Uniwersytecie Tekszańskim, który prowadził renomowane studia doktoranckie. Nie była to jedyna ani nawet najważniejsza przyczyna, dla której Stone wybrał właśnie tę uczelnię. Boulder w stanie Kolorado z formacją Flatirons na zapleczu było poligonem szkoleniowym dla najlepszych wspinaczy; Austin położone w niewielkiej odległości od wielkich amerykańskich i meksykańskich jaskiń odgrywało podobno rolę dla grotolazów.

Stone wziął ze sobą z RPI i północnego Nowego Jorku coś więcej niż stopień magistra. Podczas studiów poznał piękną, wrażliwą młodą kobietę o lśniących, ciemnych włosach. Urodzona w Syrakuzach Patricia Ann Wiedeman robiła licencjat z fizykoterapii w pobliskim Russell Sage, Albany Medical College. Podobnie jak Stone koncentrowała się na naukach ścisłych. Jednocześnie – co prawdopodobnie miało większe znaczenie – prowadziła aktywny tryb życia i lubiła sporty uprawiane pod gołym niebem. Szczególną przyjemność sprawiały jej turystyka górską, wspinaczka i – kiedy już postawiła pierwsze kroki pod okiem Stone'a – grotolazenie. Zostali parą,

kiedy Stone studiował na RPI, a ich związek przetrwał okres rozłąki, kiedy on ruszył na Uniwersytet Teksasński w Austin, a ona została w stanie Nowy Jork, żeby skończyć studia.

Grotolazi mieszkający w Austin skupili się w dzielnicy nieco zapuszczonych domów, wielkich przestrzeni magazynowych i niskich czynszów wzdłuż Kirkwood Road. To tutaj mieszkali najlepsi amerykańscy eksploratorzy jaskiń i Stone natychmiast do nich dołączył. Określali się mianem kowbojów z Kirkwood i wielu z nich rzeczywiście żyło jak legendarni poganiacze bydła, chwytając się dorywczych prac, by zaoszczędzić na kolejną jaskiniową wyprawę. Kiedy kończyły im się zapasy, ogłaszali koniec wyprawy i wracali do harówki w Austin, znajdując wytchnienie od pracy w ciągnących się do rana imprezach.

Wbrew pozorom grotolazi z Austin reprezentowali bardzo wysoki poziom umiejętności i traktowali swoją pasję ze śmiertelną powagą. Ich celem było powtórzenie historycznego wejścia Hillary'ego i Norgaya na szczyt świata, tylko odwrotnie – odkrywcy z Austin postanowili znaleźć jego dno. Mieli techniki i narzędzia pozwalające sprostać tak postawionemu wyzwaniu i wierzyli, że zdołają osiągnąć cel w jednej z meksykańskich jaskiń.

Zjazd do Hell Hole otworzył pierwszy etap jaskiniowej kariery Stone'a. Meksykańska wyprawa z 1976 roku zapoczątkowała drugi. Stone towarzyszył innej wschodzącej gwiazdzie, Georgianowi Jimowi Smithowi (niespokrewniony z Marionem), prawdopodobnie najwybitniejszemu wówczas grotolazowi Ameryki Północnej. Rok wcześniej zaledwie 20-letni wówczas Smith był jednym z kierowników wyprawy, która pogłębiła znajdującą się we Francji najgłębszą wówczas jaskinię świata o nazwie Gouffre de la Pierre Saint-Martin do –1300 metrów. Teraz Smith i Stone pojechali na trzytygodniową wyprawę, której celem była penetracja jaskini Huautla w położonym na południu meksykańskim stanie Oaxaca.

Huautla, dwa długie dni drogi od Austin, była pierwszą gigantyczną meksykańską jaskinią, do której wyprawił się Stone, i jednocześnie wstępem do świata, którego wcześniej nie był sobie nawet w stanie wyobrazić. Największe wrażenie zrobiła na nim woda, główny wróg każdego grotolaza. Grudzień tamtego roku był bardzo deszczowy. Wezbrane rzeki spływały z szumem korytarzami Huautli, tworząc tak ogromne wodospady, że Stone'owi wydawało się, iż ściany jaskini rezonują niczym membrany gigantycznych bębnow.

Taki opis może zaskoczyć czytelników, których znajomość jaskiń nie wykracza poza ich suche, turystyczne wersje z wybetonowanymi ścieżkami i fantastycznymi pokazami światła. Woda jest jednak równie immanentnym składnikiem jaskiń jak ciemność. Wielka jaskinia podobna do Huautli wygląda w przekroju jak drzewo: rozległa sieć niewielkich gałęzi znajdujących się przy powierzchni łączy się z kilkoma większymi

konarami, a te z kolei prowadzą do położonych głębiej studni i korytarzy.

Upraszczając, większość jaskiń, łącznie z tymi największymi, jest efektem rozpuszczania skał wapiennych przez wody o lekko kwaśnym odczynie⁶. Wyrzeźbienie w skale dużej jaskini wymaga więcej wody niż ukształtowanie małej, a superjaskinie takie jak Huautla wymagają ogromnych ilości wody. Głęboko w tego rodzaju jaskiniach odkrywcy natykają się na ciekły wodny wystarczająco rwący, by zaspokoić żądze największych miłośników kajakarstwa górskiego. Jednak to, co na powierzchni jest źródłem frajdy, pod ziemią może stać się przyczyną śmiertelnego wypadku. Kiedy podziemne strumienie wzbierają po intensywnych opadach w porze deszczowej, niektóre odcinki korytarzy mogą zostać odcięte od świata i uwięzić grotolarzy głęboko pod ziemią lub po prostu unieść ich z prądem.

Począwszy od 1965 roku, kolejne zespoły penetrowały Huautlę do głębokości sięgającej 300 metrów. W roku 1976 pierwsza duża wyprawa, która powróciła do Huautli, została poprowadzona przez Richarda Schreibera i Billa Stone'a. Grotolarzy należący do wyprawy spędzili łącznie trzy tygodnie na eksploracji Huautli, w pewnym momencie biwakując pod ziemią pięć pełnych dni i nocy, co samo w sobie było przełomem. (Patrząc na to w szerszym kontekście, wspinacze wysokogórscy już od pół wieku rozbijali obozy na zboczach najwyższych gór świata. Ze względu na ogromne trudności do przewyciężenia wysunięte podziemne biwaki były w tamtych czasach rzadkością). Znalazłszy obejście jeziora uznawanego wcześniej za nie do przebycia, zeszli na głębokość prawie 800 metrów. Biorąc pod uwagę głębokość, którą osiągnęli, i rozmiary cieków wodnych, na które się natknęli, oraz rozmiar pustek skalnych, zaczęli wierzyć, że Huautla może się ciągnąć jeszcze bardzo daleko, wyznaczając być może dno świata.

Odpowiadając na wezwanie głębi, od tego czasu aż do 1988 roku Stone wziął udział jako kierownik lub uczestnik w kilkunastu wyprawach do Huautli. Pochłonięty pracą doktorską nie uczestniczył jednak w dużej wyprawie z 1977 roku, której sześciu uczestników przesunęło granice dotychczasowych osiągnięć, spędzając dwanaście dni na głębokości prawie 550 metrów, wykorzystując prawie tonę sprzętu jaskiniowego i ponad kilometr lin. Na głębokości 880 metrów grotolarzy musieli pokonać ogromny wodospad, w którym przepływ wody można by porównać do ilości wypływającej z 60 miejskich hydrantów przeciwpożarowych. Czteryście metrów dalej dotarli do syfonu San Agustín, podziemnego jeziora, które powstrzymywało wszystkie wyprawy, docierające tu od czasu odkrycia go przez Jima Smitha i Billa Steele'a na początku tego roku.

W potocznym rozumieniu syfon jest miejscem położonym niżej od otaczającego go terenu, w którym gromadzą się spływające wody. Wystarczy pomyśleć o typowym syfonie w piwnicy, z którego wypompowuje się wodę specjalną pompą, albo o syfonie

pod zlewem. Syfony są odpowiednikami tych miejsc w jaskiniach, choć oczywiście skala jest znacznie większa; to długie, pokręcone, zalane tunele. W niektórych miejscach jest tak ciasno, że nurkowie muszą odpiąć butle, przecisnąć je przed sobą, następnie przecisnąć się samemu i przypiąć sprzęt dopiero wtedy gdy korytarz wystarczająco się poszerzy.

Ten opis nie oddaje klimatu tej procedury. Z butlą z powietrzem łączy cię tylko wąż i automat nurkowy, który podaje powietrze do ust. Nie trzeba dużej siły, by wyrwać ustnik spomiędzy zębów. Jeśli tak się stanie, szanse na odnalezienie go przy zerowej widoczności, zanim skończy się powietrze, są mizerne. Na innych odcinkach rozmiary syfonów mogą przekraczać rozmiary największych tuneli na autostradzie o długości kilkuset metrów i szerokości kilkudziesięciu, co stwarza problemy innej natury.

Biorąc pod uwagę śmiertelność wśród nurków, którzy próbowali je badać, określenie „syfony końcowe” cechuje się trafną dwuznacznością. Wówczas uznawano je za nie do pokonania. Jeden z najśłynniejszych grotolazów tamtych czasów podsumował to zwięźle: „Syfon jest metodą przekazania przez Boga informacji, że jaskinia tu właśnie się kończy”. Ten syfon wziął nazwę od położonego wyżej regionu: syfon San Agustín.

Stone w 1979 roku był jednym z kierowników wyprawy, której celem było „pokonanie” syfonu, czyli znalezienie sposobu na przedostanie się za niego. Grotolazi zawsze próbują najpierw znaleźć suche obejście. Jeśli okaże się to niemożliwe, ostatnią deską ratunku jest przenurowanie syfonu. W latach siedemdziesiątych zaledwie kilka dziesięcioleci dzieliło nurkowanie z akwalungiem od jego prapoczątków, ale nie zahamowało to gwałtownego rozwoju nurkowania jaskiniowego. Kombinacja zawodnego sprzętu, zgrai napalonych żółtodziobów i braku formalnych programów szkoleniowych zaowocowała w latach siedemdziesiątych XX wieku najwyższą liczbą wypadków śmiertelnych wśród amatorów tej niezwykle niebezpiecznej dyscypliny. Chociaż dziś nurkowie jaskiniowi wykorzystują zaawansowane technologie komputerowe, nurkowanie jaskiniowe pozostało najbardziej ryzykowną dziedziną nurkowania.

Dysponując techniką i sprzętem lat siedemdziesiątych, Stone wspólnie z dwoma innymi grotolazami, Tommym Shiflettem i Steve'em Zemanem, zszedł do syfonu. Zamiast pełnowymiarowych butli z powietrzem wykorzystał butle typu pony, niewielkie butle mocowane po bokach ciała, których nurkowie używają normalnie jako butli ewakuacyjnych. Na piankę neoprenową założył uprząż biodrową przymocowaną do mocnej liny. Chociaż w miejscu, w którym schodził do wody, prąd nie był zbyt silny, obawiał się, że syfon może kończyć się wodospadem, który go porwie, co skończy się utonięciem w głębinach jaskini. Aby ograniczyć ciężar, nie wziął do jaskini ani płetw, ani kamizelki wypornościowej⁷, ani ołowianego balastu, który nurkowie zakładają, by zrównoważyć dodatnią pływalność swoich ciał, pianek i gazu w butlach.

Rozwój wypadków doskonale ilustruje stwierdzenie, że lata siedemdziesiąte były śmiertelną dekadą dla nurków jaskiniowych. Stone zanurzył się w mętnej wodzie syfonu San Agustín, której temperatura nie przekraczała 17 stopni Celsjusza (warto zauważyć, że to 20 stopni poniżej temperatury ludzkiego ciała) i popłynął opadającym tunelem. Nie miał balastu, dodatnia pływalność przyparła go więc do stropu tunelu, a bez płetw nie był w stanie popłynąć naprzód. Aby pokonać syfon, zmuszony był odwrócić się brzuchem do góry i niczym jedno z tych potwornych, pełzających po suficie stworzeń z horrorów popęłznąć naprzód.

W chwili, w której zanurzał się w wodzie, ciśnienie w jego podstawowej małej butli wynosiło 200 barów. Po 15 minutach zszedł do 130 barów, zużywając z każdym oddechem 7 barów. Na głębokości 12 metrów, widząc pod sobą bezdenną otchłań, zdecydował się zawrócić. Pociągnął trzykrotnie za linę, co było umówionym sygnałem dla zespołu, który pozostał w suchej części jaskini, by wydobył go na powierzchnię. Bez efektu.

Na tej głębokości Stone nie zmagał się już z dodatnią pływalnością przypierającą go do stropu. Przeciwnie, w tym momencie miał już pływalność ujemną. Ciśnienie wody sprasowało jego piankę do tego stopnia, że zaczął tonąć. Ciężka, nasiąknięta wodą lina zaczęła ściągać go w otchłań bezdennego syfonu. Bez kamizelki wypornościowej nie miał żadnej możliwości, by powstrzymać opadanie. Odpychając się nagimi stopami bez płetw, nie był w stanie wypłynąć do góry. Im szybciej tonął, tym głębiej się zanurzał, a im głębiej się zanurzał, tym szybciej tonął. Spełniał się najkoszmarniejszy sen nurka jaskiniowego, a Stone nie mógł się obudzić, by go przerwać.

⁶ Istnieją również jaskinie będące efektem działania kwasu siarkowego lub tworzone przez płynącą lawę (przyp. autora).

⁷ Nadmuchiwana kamizelka, którą nurkowie wykorzystują do unoszenia się na powierzchni i utrzymywania neutralnej pływalności pod powierzchnią wody (przyp. tłum.).



Aleksander Klimczuk, Gienadij Samochin, Nikołaaj Sołowiew
fot. Call of the Abyss Project

Na krawędzi paniki, na skraju śmierci Stone zrelaksował się, powtarzając sobie w myślach jeden z najczarniejszych dowcipów Jima Smitha na temat nurkowania jaskiniowego: „Trudno zostać pogrzebanym głębiej za mniejsze pieniądze”.

Prawdopodobnie większość ludzi nie znalazłaby w tych słowach pociechy, ale fakt, że znalazł ją Stone, mówi co nieco o jego zimnej krwi i poczuciu humoru. Chwytał się ściany i zaczął wdrapywać się na górę. W tym momencie ciśnienie w butli spadło już do poziomu 50 barów i z każdym oddechem Stone’a zmniejszało się o kolejnych siedem. Przy drugim boku miał drugą butlę pony, ale automat od niej znajdował się w miejscu, do którego trudno było sięgnąć, i Stone obawiał się, że szukając go, mógłby zużyć resztkę powietrza w podstawowej butli. Na domiar złego poruszył chmury osadu, dotykając skał o konsystencji talku, tworzących dno wielu zalanych fragmentów jaskiń. Tego rodzaju osad jest tak drobny, że raz wzbity, unosi się w wodzie przez dłuższy czas. Jeśli w wodzie nie występuje silny prąd, który mógłby zabrać drobiniki ze sobą, pozostaną zawieszane w niej przez wiele godzin. Osad stwarza zagrożenie dwójakiego rodzaju: ogranicza widoczność i zatyka delikatne mechanizmy automatów oddechowych. Współczesne automaty są udoskonalone – co nie oznacza, że niezawodne – ale automaty w tamtych czasach były kapryśne i notorycznie szwankowały. Ten drobny osad wystarczył, by wyeliminować z gry zapasowy automat Stone’a.

Nieoczekiwanie dylemat Stone’a przestał mieć znaczenie. Ktoś szarpnął linę i zaczął wyciągać go niczym spanikowany wędkarz holujący gigantycznego okonia, obijając kask, ciało i butle Stone’a o wyszczerbione skalne ściany. Wcześniej dwóch pomocników nie poczuło szarpnięcia Billa, bo lina zahaczyła o występ skalny. Po przewyciężeniu własnego niewielkiego napadu paniki i kilkuminutowej dyskusji zdecydowali się natychmiast wyciągnąć Stone’a na powierzchnię. Szybka podróż na powierzchnię ocaliła mu życie, ale równie dobrze mogła mu je odebrać, gdyby jedna z kolizji z nierównymi ścianami Huautli zakończyła się wyrwaniem mu automatu z ust. Wynurzył się na powierzchnię, mając w butli zaledwie 20 barów – ilość powietrza wystarczającą na trzy wdechy.

Skoro jego plany pokonania syfonu od góry zostały storpedowane przez Huautlę, postanowił spróbować od dołu. Otwór Huautli znajduje się w masywie górującym ponad kanionem rzeki Santo Domingo. Wywierzyisko Huautli – źródło krasowe, w którym woda przepływająca przez jaskinię ponownie wypływa na powierzchnię, zasilając rzekę – mogło być jaskinią prowadzącą w górę do głównego systemu Huautli. Niezła teoria, ale najpierw należało znaleźć to źródło.

Przeprowadził rekonesans w terenie i znalazł je 3 maja 1981 roku. Miał u swego boku towarzyszkę, z którą mógł świętować to wydarzenie: Pat Wiedeman, która wspólnie

z nim pojechała na tę wyprawę. Odkąd Stone przeprowadził się do Teksasu, para bardzo zbliżyła się do siebie. Niecałe trzy miesiące później mieli wziąć ślub; był to jeden z tych związków, które zapisane są w gwiazdach. Byli w sobie szalenie zakochani, a Pat nie tylko podzielała zamiłowanie Billa do sportów ekstremalnych, ale też była w stanie dotrzymać mu kroku zarówno we wspinaczce, jak i w eksploracji jaskiń. Wiosną 1982 roku weszli na położony w górach Alaski Mount McKinley o wysokości 6194 metrów n.p.m., najwyższy szczyt Ameryki Północnej i jedną z najtrudniejszych gór świata. Niewiele kobiet miało wówczas McKinley na koncie, ale Pat się udało, i to trudną trasą przez lodowiec Muldrow. Biegłe opanowała również nurkowanie jaskiniowe.

W roku 1981 znaleźli jaskinię Peña Colorada. Jej otwór znajdował się u stóp masywu, w którym – powyżej – znajdował się otwór Huautli. Wyobraźcie sobie gigantyczny kran (jaskinia Peña Colorada) przy dnie ogromnego zbiornika (górze) z gigantycznym lejkiem na szczycie (jaskinia Huautla). W porze deszczowej woda wytryskująca z wywierzska Peña Colorada zasilą rwącą rzekę o szerokości prawie 20 metrów. Jednak w porze suchej, kiedy odwiedzili ten rejon, można było tam dotrzeć suchą stopą. Głęboka na 30 metrów, stroma, piaszczysta pochylnia opadała w dół korytarza jaskini, który można było przejść w pozycji wyprostowanej, a który wkrótce przybrał formę zalanego tunelu. Dla Stone'a było to wystarczające potwierdzenie jego teorii i zachęta do wprowadzenia w życie planu połączenia Peña Colorada z najgłębszym znanym punktem Huautli, znajdującym się prawie 10 kilometrów dalej i prawie 600 metrów wyżej.

Angażując się w eksplorację głębokich jaskiń na równi z pracą zawodową, w 1980 roku Stone powołał USDCT (United States Deep Caving Team), organizację non profit zaangażowaną, według informacji z jej strony internetowej, w „eksplorację, badanie i upowszechnianie wiedzy na temat ostatnich, niedokonanych jeszcze odkryć geograficznych oraz rozwój technik umożliwiających przesunięcie granic ludzkiego poznania”. USDCT, oferując swojemu założycielowi i sponsorom ulgi podatkowe, miała się stać trampoliną dla większości późniejszych znaczących wypraw Stone'a, włącznie z następną, zorganizowaną w 1984 roku wyprawą do Peña Colorada. Skoordynowanie wszystkich kwestii związanych z wyprawą zajęło dwa lata, ale w 1984 roku Stone'owi i kierującemu wspólnie z nim wyprawą Bobowi Jefferysowi, jednemu z najwybitniejszych grotolazów tamtych czasów, udało się zgromadzić zespół doskonałych nurków, który przez dwa lata szkolił się z wykorzystania najbardziej zaawansowanych technik nurkowych. Spodziewali się, że 30 procent korytarzy jaskini – mniej więcej trzy z 9,5 kilometra – będzie zalane, a to wymagało rozbijania za zalanymi syfonami biwaków, w których mieli spędzać po kilka dni, a nawet tygodni.

Pod koniec lutego 1984 roku wyprawa do Peña Colorada najechała kanion Santo

Domingo. Kluczowy zespół dwunastu nurków zamierzał spędzić tu cztery miesiące. Był to potężny projekt nawet w zestawieniu z logistyką wypraw w Himalaje. Na liście sponsorów znalazło się – włącznie z Rolexem, General Electric i Explorers' Club – ponad czterdzieści firm, które za duże pieniądze chciały poprawić swój wizerunek. Z tego nieoczekiwanie hojnego wsparcia nie należy wywodzić tezy, że ekstremalny alpinizm jaskiniowy nagle zyskał popularność. Tak się nie stało, ale podobnie jak wspinaczka wysokogórska, przyciągnął uwagę niewielkiej grupy ludzi będącej idealną klientelą korporacji, której charakterystyka demograficzna odzwierciedlała cechy członków Explorers' Club: wykształconych, zamożnych i odnoszących sukcesy.

Firmy takie jak Rolex czy General Electric nie dobijają się do niczych drzwi, by przekazać szczęśliwcowi worki pieniędzy, a płaszczenie się przed sponsorami nie przychodzi łatwo dominującym mężczyznom o osobowości typu A. Idąc jednak w ślady Krzysztofa Kolumba i Edmunda Hillary'ego, w ciągu tych dwóch lat Stone zajmował się głównie zapewnieniem wyprawie finansowania. Przygotowując poważne wyprawy, więcej czasu spędza się na posiedzeniach zarządów niż na łonie natury, czego dowodzi choćby zgrubny zarys całego procesu.

Najpierw należało przygotować ofertę. Bill Stone musiał opracować nie jedną, lecz wiele wersji, biorąc pod uwagę ostateczną liczbę sponsorów. To, co sprawdziło się w przypadku Rolexa, nie musiało znaleźć uznania w oczach decydentów firm GM czy GE. Wniosek o znaczące dofinansowanie złożony w siedzibie National Geographic Society dobrze oddaje charakter wszystkich pozostałych: trzydzieści stron gęsto zapisanych tekstem i obszerna dokumentacja uwzględniająca życiorysy Billa Stone'a i innych uczestników wyprawy, lista wydawnictw i sponsorów, z którymi został nawiązany kontakt, szczegółowy budżet uwzględniający każdego wnioskowanego dolara i uzasadnienie projektu o objętości prawie dwóch tysięcy słów, równej objętości porządnego reportażu. A był to tylko jeden wniosek.

Jak większość kierowników wypraw, Stone był solistą. Chociaż pisanie wniosków musiało być uciążliwe, była to prawdopodobnie najmniej bolesna część całego procesu. Najtrudniejsza była ta część, w której należało sprawiać dobre wrażenie.

Zapewne było to mniej poniżające i frustrujące niż, powiedzmy, redagowanie scenariusza, ale dla człowieka tak dumnego jak Stone musiało być nie do zniesienia. Kiedy już dostał się do gabinetów członków zarządu, musiał odstawić występ na poziomie, ponieważ przed nim ten program wykonywali ludzie równie poważni, inteligentni i zmotywowani, i podobni mieli nadejść po nim. Stone twierdził, że dla sponsoringu jest w stanie zrobić wszystko z wyjątkiem palenia papierosów, a to pozostawiało spore pole do popisu.

Pytany wielokrotnie o to, których wielkich odkrywców podziwia najbardziej, Stone

odpowiadał nieodmiennie: „Krzysztofa Kolumba”. Jakie cechy wielkiego nawigatora zrobiły na nim tak wielkie wrażenie? Odwaga? Zdolności przywódcze? Umiejętność żeglowania? Cóż, z pewnością, ale chodzi przede wszystkim o to – stwierdzał Stone – z jaką wprawą chytry genuśńczyk pozyskiwał sponsorów.

Aby doprowadzić do skutku wyprawę do Peña Colorada, Stone musiał zapewnić sobie nie tylko wsparcie dużych korporacji, ale też pomoc logistyczną i transportową. Zwrócił się o nią do meksykańskiego rządu, który skierował wojsko do pomocy w organizacji wyprawy. Wynajął również miejscowych Indian, którzy maczetami wyrabali wśród dzikiej dżungli miejsce na biwak na końcu rzadko uczęszczanej ścieżki będącej jedynym połączeniem ze światem. Na plecach dwustu tragarzy i grzbietach sześćdziesięciu pięciu osłów dostarczono w to miejsce osiem ton zapasów i wyposażenia, włączając w to siedemdziesiąt dwie butle nurkowe i masę sprzętu nurkowego. Butle zostały zaprojektowane przez Stone'a i ważyły tylko jedną trzecią tego, co tradycyjne butle nurkowe, ale nadal stanowiły ciężar prawie 700 kilogramów.

„To była góra sprzętu” – powiedział wówczas Stone. Co więcej, każdy kilogram dzielił od faktycznego wejścia do jaskini prawie kilometr. Wszystko, co miało się w niej znaleźć, musiało najpierw pokonać ten kilometr w górę na plecach grotolarzy.

W składzie wyprawy znalazła się również Pat Stone. Mieszkali wówczas z Billem na przedmieściach Maryland. Bill dostał pracę jak inżynier budownictwa w administracji federalnej i zdołał wynegocjować umowę, która pozwalała mu na coroczny, minimum trzymiesięczny bezpłatny urlop pozwalający na realizowanie pasji będącej de facto jego drugim zawodem: eksploracji. Pat zaczęła nurkować w jaskiniach, a dzięki wykształceniu fizyoterapeutki mogła podczas tej i kolejnych wypraw grać rolę lekarza wyprawowego. Uwielbiając aktywny kontakt z naturą, cieszyła się, że może brać w nich udział i świetnie radziła sobie w męskim gronie, a Stone cieszył się, że może ją mieć u swego boku. Związek zapisany w gwiazdach wydawał się w szczególny sposób błogosławiony.

Początek wyprawy wyglądał obiecująco. Woda była przejrzysta, widoczność sięgała 30 metrów. Nurkowie parli naprzód, pokonując jeden syfon po drugim. Szereg penetracji kolejnych syfonów poprowadził Clark Pitcairn, wysoki, muskularny Amerykanin o blond włosach, wówczas zaledwie 23-letni, ale bardzo doświadczony nurek i grotolarz. Do syfonu 7 dotarli 16 marca, pokonując około trzech kilometrów, czyli 30 procent dystansu dzielącego ich od systemu Huautli. Jednak ze względu na swoją długość i głębokość, syfon 7 miał się okazać trudniejszy do nurkowania niż syfony, na które natknęli się do tej pory.

Samo dostanie się do syfonu 7 było miniwyprawą wymagającą dwudniowego podejścia z obozu bazowego: jeden dzień, by dotrzeć do biwaku 1 mieszczącego się około 1,5 kilometra od wejścia, drugi, co najmniej 19-godzinny dzień, by dotrzeć stamtąd do syfonu 7. Do 16 marca członkowie zespołu wyprawowego pokonali tę trasę dziesiątki razy, dostarczając nurkom idącym na czele butle nurkowe, żywność i karbid do lamp – dziesiątki różnych rzeczy, dzień po dniu. Niektórzy więcej czasu spędzali na

noszeniu niż na nurkowaniu i powoli zaczęli się burzyć.

Stone i Jefferys 18 marca opuścili biwak 1 i udali się w kierunku syfonu 7 na 19-godzinną szachtę. Następnego dnia Stone zanurkował dwukrotnie na głębokość ponad 36 metrów. Tak daleko, jak sięgał wzrokiem, ciągnął się ogromny tunel, wysoki na 9 metrów i szeroki na 18 metrów. Przez dziesięć kolejnych dni Stone i trzech innych nurków wpływało coraz głębiej w syfon 7. Ostatnia próba skończyła się w chwili, w której Clarka Pitcaina na głębokości 54 metrów, w odległości 150 metrów od wejścia do syfonu, dopadła narkoza azotowa. Ta niebezpieczna przypadłość, określana czasem poetycko mianem „ekstazy głębin”, pojawia się zazwyczaj podczas nurkowania na głębokość przekraczającą 30 metrów, a jej przyczyną jest narkotyczny wpływ azotu ujawniający się przy wzroście ciśnienia parcjalnego tego gazu. Objawy narkozy azotowej podobne są do objawów upojenia alkoholowego. Podobnie jak lekki rausz narkoza azotowa powoduje euforię, nadmierną pewność siebie i zaburzenia koordynacji ruchowej. Według relacji świadków „znarkotyzowani” nurkowie podawali swoje automaty rybom albo zdejmowali całość nurkowego sprzętu i odpływali przekonani, że sprzęt nie będzie im już potrzebny.

Pitcain, zmagając się z problemami z koncentracją i koordynacją, upuścił kołowrotek jaskiniowy z linką i musiał przerwać nurkowanie. Narkoza azotowa jest śmiertelnie niebezpieczna, ale ma dwa pozytywne aspekty. Po pierwsze, doświadczeni nurkowie są w stanie rozpoznać jej pierwsze objawy, zanim stracą kontrolę nad sytuacją. Po drugie, wystarczy się nieco wynurzyć, by objawy ustąpiły. Biorąc jednak pod uwagę, że Pitcain zanurkował bardzo głęboko (40 metrów jest granicą nurkowania rekreacyjnego) i wpłynął tak głęboko do zalanego tunelu, miał sporo szczęścia, że zdołał ujść bez szwanku. Ten incydent na jakiś czas przerwał dalsze nurkowania, pozostawiając jeszcze znaczną część jaskini do spenetrowania. Podczas tego ostatniego nurkowania Stone patrzył przez kryształowo czystą wodę na kuszący tunel wystarczająco duży, by mogła nim przejechać lokomotywa. Tunel wiodący w głąb góry, którego koniec leżał poza zasięgiem jego wzroku.

W obozie bazowym trzeba było dokonać przegrupowania. Do końca wyprawy pozostało sześć tygodni, a Stone chciał w jakiś sposób wykorzystać zgromadzony zespół. Zainwestował sporo własnych środków, jak w przypadku wszystkich wcześniejszych wypraw, i pokonał wiele przeszkód, poświęcając dwa lata i czas należny rodzinie na uwodzenie sponsorów. Zaangażował się w tę wyprawę bez reszty, podobnie jak w całą ideę eksploracji jaskiń. W głębi jaskini sześć tygodni wydaje się równać wieczności. Aby jednak wykorzystać ten czas, członkowie wyprawy musieliby przez kolejne tygodnie pełnić funkcje tragarzy przenoszących butle i zapasy do biwaku 2. Gdyby Stone i reszta czołowych nurków zdołali w końcu przenuerkować syfon, mogliby badać korytarze po jego drugiej stronie przez wiele dni, jeśli nie tygodni.

W tym czasie pozostali uczestnicy wyprawy siedzieliby beczynnie w obozie i zbijali baki.

Stone był gotów nosić najcięższe bagaże i wykonywać najtrudniejsze nurkowania, byle tylko wyprawa nie straciła impetu. Zwołał spotkanie zespołu, by ogłosić, że nadszedł czas, by wziąć sprzęt na plecy i ruszyć do kolejnego ataku. I wtedy, ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu, odkrył, że reszta zespołu zdecydowanie nie jest na to gotowa. Jeden z członków wyprawy, który objął dowodzenie podczas jego nieobecności, powiedział bez ogródek: „No cóż, rozmawiałem z pozostałymi, i to raczej nie wchodzi w grę”.

To był bunt.

Przyczyną rebelii była zarówno przywódcza klęska Stone'a, jak i niepokój zespołu; Stone i Jefferys zdali sobie z tego sprawę dużo później i obaj użyli do opisanego tego, co zaszło, słowa „bunt”. Wypowiedziawszy posłuszeństwo Stone'owi, większość zespołu zwinęła manatki i opuściła obóz. Ich dezercja oznaczała zmarnowanie wielu tygodni wyprawy i pozostawiła Stone'a w stanie rozgoryczenia i dezorientacji. Czy to możliwe, że stał się przyczyną buntu, zatrzymując piłkę po swojej stronie i świetnie się bawiąc pod wodą, kiedy reszcie pozostała do wykonania czarna robota? Nie mógł się pogodzić z taką oceną. Przykładał wagę do tego, by spędzać czas na tyłach, interesował się logistyką, organizował wsparcie i tragarzy. Zgodnie z własnymi rachunkami Jefferys spędził pod ziemią więcej czasu niż on.

Mimo wszystko Stone czuł, że popełnił poważny błąd. Jako jeden z kierowników wyprawy powinien koncentrować się nie tylko na osiągnięciu własnych celów, ale również na osiągnięciu celów całej grupy. Skoro nie brał w tym udziału, inni nakreślili własne plany, w których znalazło się miejsce na tequillę i kobiety.

Czy biorąc pod uwagę ogromną ilość zaangażowanego czasu i zasobów oraz rozmiar podjętego ryzyka, wyprawa z 1984 roku do Peña Colorada powinna zostać uznana za sukces ze względu na to, że pod wodzą silnego i skutecznego kierownika udało się jej spenetrować prawie 3 kilometry jaskini, pokonując jedną trzecią dystansu do systemu jaskiń Huautla? A może należy ją uznać za porażkę, ponieważ zakończyła się buntem w chwili, w której do dyspozycji były jeszcze czas i zasoby?

Wyprawa była zarówno sukcesem, jak i porażką, ale też ważną, choć bolesną lekcją dla Stone'a jako odkrywcy i przywódcy. Wyzwaniem na przyszłość miało się stać dla niego powtórzenie pierwszej części i uniknięcie drugiej. Był jeszcze jeden problem. W środowisku grotolarzy plotki rozchodzą się błyskawicznie, zwłaszcza plotki na temat wypraw nieudanych z powodu wypadków i rozdzwieńców w zespole. Przynajmniej część uczestników wyprawy do Peña Colorada wróciła do domu, narzekając na przedwczesny, nieprzyjemny koniec wyprawy. Być może nie twierdzili

otwarciu, że winę za bunt ponosił Bill Stone. Ale Bill Stone był jej kierownikiem, zdążył już wyrobić sobie coś na kształt reputacji, a ludzie mieli wyciągnąć własne wnioski. Kapitan nie zawsze jest wyłączną przyczyną buntu, ale zawsze jest jego ostatecznym celem.

Być może wyprawa do Peña Colorada sprawiła, że Stone stał się smutniejszym, lecz mądrzejszym przywódcą; przyniosła jednak również naukowy przełom, który miał diametralnie zmienić nie tylko metody eksploracji jaskiń, ale też sposób, w jaki ludzie pod wodą bawią się, pracują i prowadzą badania naukowe.

W gruncie rzeczy wyprawy nie zakończył ostatecznie bunt, lecz tradycyjna technologia nurkowania z wykorzystaniem butli z powietrzem. Dotarcie do końca poznanych obszarów ogromnych jaskiń wymagało tak dużo nurkowania, że kiedy grotolazi rozpoczynali eksplorację dziewiczych korytarzy, kończyło im się powietrze. Wyprawa do Peña Colorada, najambitniejsza z ówczesnych eksploracji zalanych jaskiń, była dobrym przykładem tego zjawiska. Zespół Stone'a zaczął od 72 butli. Wiele z nich wykorzystano tylko po to, by przedostać się do syfonu 7 i z powrotem, pozostawiając zaledwie kilka na eksplorację nieodkrytych korytarzy będących celem i sensem tej wyprawy. Stone wiedział, że nie dysponując radykalnie odmienną technologią nurkowania, nie będzie w stanie kontynuować badania superjaskiń. Problem polegał na tym, że taka technologia nie istniała.

Tak naprawdę istniała, ale mieli do niej dostęp wyłącznie komandosi sił specjalnych amerykańskiej marynarki wojennej i im podobni, jak wyjaśnił Stone'owi jeden z członków wyprawy do Peña Colorada pod jej koniec. Był to kapitan U.S. Navy, nurek i lekarz o nazwisku John Zumrick. Stacjonował w jednostce nurkowań eksperymentalnych NEDU na Florydzie i podzielał zapał Stone'a do nurkowania jaskiniowego. Podzielał również jego frustrację wynikającą z tego, że tak niewielki, a jednocześnie tak ogromny dystans dzielił ich od połączenia Peña Colorada z Huautlą znajdującą się powyżej. Z tego względu pod koniec wyprawy Zumrick zasugerował, by Stone porzucił tradycyjny sprzęt do nurkowania i zainteresował się urządzeniem o nazwie rebreather.

W dużym uproszczeniu rebreather wykorzystuje pochłaniacz chemiczny, by oczyścić wydychane przez nurka powietrze z dwutlenku węgla; wielokrotnie stosuje się tę samą mieszankę oddechową, a to pozwala radykalnie wydłużyć czas nurkowania. Upraszczając raz jeszcze, pojedyncza standardowa butla nurkowa pozwala na nurkowanie przez 20 minut na głębokości 30 metrów. Z rebreatherem można nurkować przez wiele godzin.

Rebreathery w tej czy innej formie były wykorzystywane już w XVII wieku, kiedy Holender, Corbelius Drebbel, zbudował pierwszy okręt podwodny, a potem był zmuszony stworzyć prosty system odzyskiwania powietrza, który zapobiegłby uduszeniu się załogi na pokładzie napędzanej wiosłami, obleczonej w skórę podwodnej jednostki. Podgrzewał w metalowym pojemniku azotan potasu, z niego zaś powstawał tlen i tlenek potasu, który absorbował dwutlenek węgla. W ciągu trzech stuleci

wynalazek nie doczekał się dalszych usprawnień. Prymitywne rebreathery umożliwiały przynajmniej niektórym członkom załogi ucieczkę z tonących łodzi podwodnych podczas I i II wojny światowej. Ponieważ nie było rynkowego popytu na lepsze rebreathery – dramatyczne ucieczki załóg z tonących łodzi podwodnych zdarzały się rzadko – nikt nie pracował specjalnie nad ich udoskonaleniem.

Podczas rozmowy z Zumrickiem Stone natychmiast zorientował się, że rebreathery są przyszłością eksploracji superjaskiń. Ale w 1984 roku nie istniały rebreathery do zastosowań cywilnych. Maszyny wojskowe były bardzo drogie i stosowane tylko podczas krótkich, szybkich nurkowań, ponieważ w wojsku nie było potrzeby wykonywania długotrwałych nurkowań na duże głębokości. Nurkowie jaskiniowi schodzili czasem bardzo głęboko (w Peña Colorada Clark Pitcairn zszedł na głębokość 54 metrów) i wyprawy wymagały zabezpieczenia dziesiątek godzin nurkowania. W dodatku, ponieważ przeznaczone były do wykorzystania w wodach otwartych, a nie w jaskiniach, jednostki używane przez wojsko nie miały systemów zapasowych, które Stone uważał za niezbędne w nurkowaniu jaskiniowym. I wreszcie rebreathery marynarki wojennej, Stone był tego pewien, nie były wystarczająco wytrzymałe, by znieść wielotygodniową eksploatację podczas wypraw jaskiniowych.

Do rozwiązania tego problemu Stone był idealnie przygotowany ze względu na predyspozycje osobowościowe, wykształcenie techniczne, doktorat z inżynierii budowlanej i doświadczenie nurkowe. Następnego dnia po przyjeździe z wyprawy do Peña Colorada zaczął rozpracowywać temat rebreatherów. W ten sposób rozpoczął dziesięcioletni projekt, który miał toczyć się równolegle z kolejnymi wyprawami nurkowymi. Jeśli nie był akurat w jaskini, eksperymentował w swojej pracowni w piwnicy domu z prototypami kolejnych rebreatherów. Wstawał codziennie o piątej rano, przez trzy godziny pracował nad rebreatherami, szedł do pracy, wracał do domu, całował Pat i dzieci i ponownie znikał w piwnicy.

Musiał przezwyciężyć przeszkody, które storpedowały wcześniejsze próby. Po pierwsze, nowe urządzenie musiało znosić bez problemów obijanie się o ściany jaskini. Po drugie, musiało być małe i lekkie. Po trzecie, musiało być absolutnie niezawodne, ponieważ środowisko jaskiń było znacznie bardziej wymagające niż otwarte wody oceaniczne czy wręcz przestrzeń kosmiczna. Nurkowie schodzący w głębiny wód otwartych mieli do dyspozycji komory dekompresyjne i służby ratownicze. Astronauci wybierający się na spacer w przestrzeni kosmicznej mogli wycofać się do swoich statków kosmicznych. Nurkowie jaskiniowi, którzy zapędzili się kilka kilometrów w głąb jaskiń, nie mogli liczyć na bezpieczny odwrót. No i oczywiście rebreathery dla nurków jaskiniowych musiały pozwalać na nurkowania, których czas trwania przekraczał granice ówczesnej wyobraźni.

Stone nazwał swoje urządzenie FRED (Failsafe Rebreather for Exploration Diving),

czyli niezawodny rebreather na wyprawy nurkowe. FRED rodził się w bólach. Czasem całymi tygodniami Stone nie był w stanie posunąć swojego projektu naprzód, aż w końcu wyłączał telefon i zrywał kontakt ze światem. Mijały kolejne dni, a on siedział samotnie w piwnicy, rysował szkice, gryzmolił bezmyślnie, wyęczał szare komórki i chodził po ścianach. W końcu nadchodził moment olśnienia.

Piwniczny problem powoli, ale systematycznie zmierzał do szczęśliwego rozwiązania, ale ponad powierzchnią ziemi sprawy miały się zdecydowanie gorzej. Po pierwsze, inwestował we FRED-a setki tysięcy dolarów; część z tych pieniędzy pożyczył, część wyłożył z własnej kieszeni. Po drugie, podczas tych wszystkich lat izolował się nie tylko od zewnętrznego świata. Pat i dzieci, które przyszły na świat, coraz rzadziej mogły liczyć na zainteresowanie z jego strony. Mimo wszystko kontynuował swój projekt przez trzy lata i 3 grudnia 1987 roku zaprezentował prototyp; z pomocą przyjaciela wytoczył z ciężarówki na platformie zaopatrzonej w kółka ważące ponad 90 kilogramów FRED-a nad czyste wody znajdujących się na Florydzie Wakulla Springs.

FRED-a wyróżniały nie tylko rozmiary. Nie przypominał żadnego istniejącego wcześniej urządzenia tego typu. Składał się z dwóch identycznych, całkowicie niezależnych skomputeryzowanych systemów. Co więcej, był pierwszym rebreatherem, w którym jako pochłaniacz wykorzystano bardzo wydajny wodorotlenek litu.

Po założeniu FRED-a w wodzie Stone nie zatonął jak kamień, ponieważ zaprojektował swoje urządzenie tak, by miało neutralną pływalność. Jeden z nurków testujących prototyp zauważył później, że pływanie z FRED-em przypominało nurkowanie z volkswagenem na plecach. Była to z pewnością przesada, ale FRED rzeczywiście był większy niż silnik volkswagena i ważył mniej więcej tyle samo. Na Florydzie Stone w kontrolowany sposób zszedł na głębokość 10 metrów, otworzył książkę i przygotował się do dłuższego pobytu.

Chociaż korzystał z jednego z najlepszych dostępnych wówczas suchych skafandrów, po dwunastu godzinach pod wodą wstrząsały nim dreszcze. Poprosił towarzyszących mu nurków o dostarczenie ołowianego balastu, który nałożył na siebie, zanim zaczął biegać pod wodą w tę i z powrotem po stromym, podwodnym piaszczystym zboczu. Powtarzał tę procedurę od czasu do czasu, by się rozgrzać. Skończył pierwszą książkę i rozpoczął czytanie kolejnej.

Po dwudziestu czterech godzinach wynurzył się wreszcie na powierzchnię, z dużym zapasem bijąc dotychczasowy rekord czasu spędzonego pod wodą z wykorzystaniem sprzętu nurkowego. Jego urządzenie, dwieście razy bardziej wydajne niż tradycyjny sprzęt, odniosło historyczne zwycięstwo. Zdumiewające, ale do przeprowadzenia swojego eksperymentu wykorzystał tylko połowę zasobów FRED-a. Dysponując drugą połową, był w stanie dwukrotnie zwiększyć czas spędzony pod wodą. Jedynym

wyzwaniem było teraz utrzymanie odpowiedniej temperatury ciała i przytomności umysłu. Pod koniec testu egzemplarza prototypowego przyjaciel Stone'a, nurek i lekarz Noel Sloan (który odegra później kluczową rolę podczas tragicznej wyprawy Stone'a do Huautli w 1994 roku), pomagał mu w zachowaniu przytomności umysłu, kopiąc go za każdym razem, gdy Stone zaczynał przysypiać. Cóż, był jeszcze jeden problem: w pewnym momencie zbiornik na mocz w suchym skafandrze pękł i Stone spędził ostatnie godziny pod wodą, taplając się we własnych sikach.

Ważący 90 kilogramów FRED był kompletnie nieprzydatny do nurkowania jaskiniowego, Stone zaczął go więc odchudzać, dopracowując i miniaturyzując kolejne systemy. MK-II ważący 48 kilogramów pojawił się w 1989 roku. Nadal należało go wносить do jaskini w kawałkach i składać przed nurkowaniem. Kiedy już jednak znalazł się w wodzie, można było uznać go za spełnienie marzeń.

Warto jednocześnie zauważyć, że przez cały czas amerykańska marynarka wojenna pracowała nad własnym rebreatherem EX-19, który miał pozwolić na nurkowanie na głębokość sięgającą 140 metrów. Dysponując nieograniczonym budżetem i ogromnym zespołem, góra urodziła mysz. Podczas testu w 1984 roku urządzenie zaczęło przeciekać i elementy elektroniczne zostały zalane. Krążyły plotki, że nurkowie korzystający z EX-19 tracili pod wodą przytomność. Po dziesięciu latach projekt, który pochłonął ponad 10 milionów dolarów, został wstrzymany.

Stone dokonał tego, czego nie była w stanie zrobić amerykańska marynarka wojenna, dysponując bardzo skromnym budżetem i pracując w samotności w swojej pracowni. Jak mu się to udało? Jak dowiódł Albert Einstein, wszystko zależy od punktu widzenia. Większość ludzi powiedziałyby, że sukces był kwestią połączenia niewiarygodnej motywacji, pomysłowości, niezachwianej pewności siebie i umiejętności podjęcia wielkiego ryzyka finansowego – i mieliby zapewne rację. Stone uważał, że kluczowa była motywacja, której motorem było ogromne zainteresowanie tematem wspierane wiedzą techniczną i, co może nawet bardziej istotne, niezachwiana koncentracja na projekcie zakreślonym na całe życie. I on również miał rację.

W roku 1989 Pat Stone wybrała się na swoją ostatnią wyprawę z Billem. W 1985 roku rozpoczęła własną karierę zawodową jako licencjonowana fizykoterapeutka w Centrum Medycyny Sportowej Shaddy Grove niedaleko ich domu na przedmieściach Maryland, gdzie miała pracować przez następnych siedemnaście lat, specjalizując się w rehabilitacji ortopedycznej. W roku 1989 odpowiedź Pat na pytanie o to, jak Stone dokonał tak zdumiewającego przełomu technologicznego, byłaby całkowicie odmienna, ponieważ jeśli nie spędzał akurat czasu w piwnicy z FRED-em, nie był w pracy ani nie wykonywał nurkowań testowych na Florydzie, jeździł na wyprawy nurkowe. Jej odpowiedź, choć mniej entuzjastyczna, byłaby równie trafna jak dwie poprzednie.



Andi Hunter, Sumidero Aguacate
fot. Bill Stone

Piętnaście miesięcy po tym, jak Vesely i Farr po raz pierwszy dostrzegli sielankowe Llano Cheve, czerwone, niebieskie i żółte namioty upstrzyły żółtozieloną łąkę. Zapach parującego jedzenia, opiekanego na ruszcie mięsa i wrzącej kawy mieszał się z dźwiękami gitary i harmonijek ustnych. Ludzie chodzili od namiotu do namiotu, szukali dawno niewidzianych znajomych, wymieniali uściski dłoni i serdecznie obejmowali się ramionami. Grotołazi wyprawowi, społeczność mała i zamknięta, są serdeczni podczas spotkań swojego plemienia. Miejsce to przypominało obóz bazowy wyprawy wysokogórskiej z zamierzchłych czasów, legendarne zgromadzenie amerykańskich wspinaczy, jakich dziś już się nie spotyka.

Choć panowała tu atmosfera licealnego zjazdu, było to śmiertelnie poważne przedsięwzięcie. Doświadczeni naukowcy i grotołazi połączyli siły, by wyprawić się w skrajnie ryzykownych warunkach tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek. Nadzwyczaj niski poziom wody zwiastował łatwiejsze pokonanie syfonów i członkowie wyprawy nie mogli się doczekać rozpoczęcia eksploracji. Zanim ktokolwiek mógł przystąpić do penetracji jaskini, zespół poręczujący musiał zainstalować liny na wszystkich pionowych odcinkach, od 15-metrowych prożków do 150-metrowej Saknussemm's Well. Dla czytelnika termin „poręczowanie” może brzmieć znajomo, kojarząc się ze światem wspinaczki wysokogórskiej, gdzie poręczówki są sporym ułatwieniem. Ale wspinacze są w stanie dokonać spektakularnych wejść na szczyty bez nich. Grotołazom z oczywistych powodów oporęczowanie jest niezbędne. Schodzenie bez asekuracji z czegoś podobnego do Saknussemm's Well (która nie była nietypową formacją jak na superjaskinie) nie wchodziło w grę.

Poręczowanie w Cheve nie było kwestią rozciągnięcia jednej długiej liny na całej długości w głąb jaskini. Żeby zaporęczować Saknussemm's Well, poręczujący musieli podzielić zjazd na czternaście odcinków. Było to konieczne, by uchronić linę przed przetarciem, a grotołazów przed poruszaniem się w wodospadach. Każdy odcinek rozdzielony został „przepinką” lub „odciągami”.

Aby założyć przepinkę⁸, grotołaz musiał zawisnąć w uprzęży dziesiątki metrów ponad dnem studni, podczas gdy lodowata woda lała mu się za kołnierz i rozpryskiwała wokół. Posługując się dwukilogramowym młotem i ręcznym wiertłem, a czasem pięciokilogramową wiertarką akumulatorową, wiercił w skale otwór o średnicy około centymetra i głębokości prawie 8 centymetrów. Następnie plastikową rurką wydmuchiwał pył z otworu, wbijał młotkiem stalową kotwę, nasuwał na nią nierdzewną plakietkę⁹ i przykręcał ją do ściany nakrętką. Musiał powtórzyć całą operację, ponieważ założenie każdej przepinki wymagało osadzenia w ścianie dwóch punktów. Po czym wraz z pozostałymi grotołazami skierowanymi do wykonania tego

zadania musiał powtórzyć tę podwójną operację trzynastie razy, ponieważ Studnia Saknussemma wymagała czternastu przepinek.

Kiedy już „nylonowa autostrada”, jak grotolazi nazywają wielokilometrowe, skomplikowane ciągi lin, była gotowa na przyjęcie ruchu, członkowie wyprawy zjechali na dno Saknussemm's Well. Na górze, według standardów eksploracji superjaskiń, było dość przyjemnie, sucho i chłodno. Podczas większej części zjazdu grotolazi mogli obserwować rozdzierająco piękne kalcytowe ściany studni, od których w świetle czołówek biła złocista poświata, a jej źródło zdawało się znajdować pod powierzchnią skały.

Jednak na dole natychmiast poczuli się tak, jakby stali wewnątrz myjni samochodowej. Osiemdziesiąt metrów wyżej ze ściany Saknussemm's Well tryskał wodospad. Kiedy woda sięgała dna, jej prędkość przekraczała już 160 kilometrów na godzinę. Woda nie podlega kompresji (z tego powodu samobójczy skok z mostu pozostawia równie duży bałagan, jak skok z wieżowca), więc kiedy z tą prędkością lądowała na kasku grotolaza, nieszczęśnik czuł się tak, jakby ktoś zrzucił mu na głowę z dużej wysokości wiadra żwiru. Sytuację pogarszał silny wiatr, który z niespodziewaną siłą ciskał wokół wodną mgiełką. Gdy jaskinia była już zaporęczowana, grotolaz z niewielkim obciążeniem docierał na dno Studni po pięciu godzinach od wejścia do jaskini. Członkowie zespołu obciążeni typowymi dla tego rodzaju wyprawy ładunkami o ciężarze od 20 do 40 kilogramów docierali na dno po siedmiu lub nawet dziesięciu godzinach, zależnie od stopnia swoich umiejętności i sprawności fizycznej.

Poniżej Saknussemm's Well jaskinia była znacznie bardziej mokra. Rwący strumień, który podczas swojej drogi przez jaskinię zdążył już nieźle urosnąć, odpływał z dna studni i płynął w dół serią progów przypominających przepławki dla łososi, i takim mianem ochrzczony został przez grotolazów. Kolejne progi i wodospady doprowadziły ich ostatecznie do korytarza przypominającego tunel metra o długości 800 metrów, który miał prawie płaskie dno. Po pokonaniu kilku kolejnych prożków w dół i kilku w górę grotolazi dotarli do miejsca, które uznali za idealną lokalizację biwaku 2: płaskiej, piaszczystej łachy znajdującej się na głębokości 805 metrów, w odległości 5 kilometrów i 33 odcinków linowych od wejścia do jaskini. Poprzedni biwak założony na głębokości 400 metrów został porzucony jako znajdujący się zbyt blisko powierzchni.

Kolejne zespoły kontynuowały eksplorację jaskini, aż wreszcie dalsze odkrycia powstrzymał sporych rozmiarów syfon znajdujący się na głębokości 857 metrów. Jak zawsze, początkowa strategia pokonania syfonu polegała na próbie przepłynięcia go, obejścia górą, bokiem lub dołem. Nurkowanie uznawano za wyjście ostateczne. Kolejne eksperymenty wspinaczkowe pozwoliły znaleźć eksponowane obejście wysoko nad syfonem, nazwane później Skyline Travers, Podniebnym Trawerssem. Pokonawszy

go, zespół działający na przodku w składzie Jim Smith i Ed Holladay wkroczył do robiącego duże wrażenie, szerokiego na 15 i długiego na prawie 300 metrów korytarza ze stopniowo opadającym stropem – i na dłuższy czas słuch o nim zaginął.

Bill Stone zatrzymał się na szybkie śniadanie w miejscu, w którym kiedyś znajdował się biwak 1. Jadł jeszcze, kiedy usłyszał zbliżających się i pobrzękujących sprzętem Smitha i Holladaya, wspinających się w końcu z powrotem w jego kierunku. Zanim jeszcze dotarli do miejsca, w którym siedział, Smith zaczął się wydzierać: „Przynosimy łuuupy... łuuupy!”.

„Co się stało?” – zapytał Stone, kiedy dwójka stanęła przed nim.

Smith uśmiechnął się z wyższością do swojego partnera, który z trudem powstrzymywał rozbawienie. W końcu Smith wypalił: „Rozwaliliśmy sukinsyna na cacy. Podczas następnej akcji pęknie co najmniej kilometr nowych korytarzy”. To było śmiałe przypuszczenie, ale – jak się okazało – słuszne.

Na końcu Skyline Traverse Smith i Holladay pokonali 15-metrowy pionowy próg, a potem przeszli ponad gigantycznym, chwiejnym głazem, który z szacunkiem ochrzcili mianem Widowmaker. Po obejściu wielkiego syfonu i zejściu z kilku kolejnych progów zlokalizowali ponownie główną rzekę, której przepływ był w tym momencie znacznie większy niż początkowo. Następny odcinek ujawnił dwuznaczną naturę jaskiń, które po wielu godzinach czołgania się w fatalnych warunkach i pokonywania przerażających studni mogą zaskoczyć swoich odkrywców uderzającym pięknem. Prąc w dół, pokonali serię gigantycznych rur wyrzeźbionych kunsztownie w czarno-pomarańczowej skale, które doprowadziły ich do rejonu głębokich jezior, schodzących w dół niczym stopnie gigantycznych schodów. Jeziora były wypełnione wodą tak szmaragdową i przejrzystą, że z łatwością dostrzegali drobne kamyczki leżące kilka metrów pod powierzchnią. Nazwali ten fragment jaskini Swim Gym.

Pod koniec wyprawy Smith i Holladay podążyli wzdłuż wielkiej rzeki płynącej poniżej Swim Gym. Ściana głazów, której nie udało się im pokonać, wyznaczyła metę ich ostatniego, 33-godzinnego maratonu. Na razie to by było na tyle. Podczas wyprawy spenetrowano Cheve do głębokości 1038 metrów i skartowano ponad 11 kilometrów korytarzy. Oczywiście, 11 kilometrów w jedną stronę. Droga w tę i z powrotem wynosiła łącznie 22 kilometry i to drugie 11 było zdecydowanie trudniejsze, bo prowadziło wciąż pod górę. Większość trasy była koszmarnie pionowa, ale nie całość. Tu i ówdzie nachylenie stawało się bardziej łagodne, a strop podnosił się na tyle, że nie trzeba było pełzać ani nawet się schylać. Takie odcinki występowały na tyle rzadko, że doczekały się własnej nazwy: „walking passage” (ciąg pieszy). Nawet jednak one nie były specjalnie łatwe, bo grotolazi, zmęczeni już po wielu godzinach i zjazdu i schodzenia w dół, nieśli na plecach wory ważące co najmniej 15 kilogramów, ubrani

w kombinezony mokre i umazane błotem, często brodząc w wodzie sięgającej czasem do kostek, a czasem do brody, walcząc z wiatrem wiejącym w twarz albo w plecy.

Nawet więc piesza wędrówka w kierunku wyjścia nastroczała sporych trudności, a przecież większość drogi ku górze wyglądała zupełnie inaczej. Na drodze do wyjścia znajdowało się dziewięćdziesiąt pionowych progów tak stromych i wysokich, że grotolazi musieli zjeżdżać z nich, kiedy podążali w dół jaskini. Każdy z nich należało pokonać, wychodząc po linie. Niektóre, jak Saknussem's Well, wymagały ustawicznego przepinania się z jednego odcinka liny na drugi, co było procedurą męczącą i niebezpieczną, będącą oprócz nurkowania jednym z niosących największe zagrożenie aspektów eksploracji superjaskiń.

Pionowe ściany obmywały często kaskady lodowato zimnej wody i, nawet zakładając przepinki i odciążki, nie można było uniknąć ich całkowicie. Bill Stone wspinał się po gigantycznych ścianach Yosemite i często porównywał drogę powrotną w Cheve ze wspinaczką na El Capitan nocą w wodospadzie. Różnica polegała na tym, że kiedy już wdrapałeś się na El Capitan, wiedziałeś, że już po wszystkim. Kiedy docierałeś na dno jaskini takiej jak Cheve, wiedziałeś, że najgorsze jest dopiero przed tobą.

⁸ Mocowanie liny umożliwiające zmianę kierunku jej prowadzenia (przyp. red.).

⁹ Zakrzywiona blaszka z otworem do zapięcia karabinka (przyp. red.).

Minął rok. Stone kontynuował prace nad swoim rebreatherem, wprowadzając stopniowo kolejne niewielkie udoskonalenia. Vesely, Farr i inni zainteresowani jaskinią Cheve przeczekiwali porę deszczową w Oaxaca, podczas której poziom wody w jaskiniach czynił ich penetrację zajęciem śmiertelnie niebezpiecznym. W marcu 1989 roku Vesely i Farr przeprowadzili kolejną wyprawę do jaskini Cheve wspólnie ze swoim przyjacielem i wybitnym grotolazem Donem Coonsem. Bill Stone po raz kolejny pojawił się jako członek wyprawy w towarzystwie Pat, dla której miała to być ostatnia znacząca wyprawa. Wyprawa miała trwać sześć tygodni i pierwotnie w grupie uczestników znalazły się dwadzieścia trzy osoby. Zanim jeszcze zaporęczowano pierwszą linę, pojawiły się pierwsze problemy: mieszkańcy okolicznych miejscowości nabrali podejrzeń, że grotolazi wynoszą z jaskiń złoto.

W przeszłości miejscowi wstawili się demolowaniem pojazdów należących do grotolazów, grożeniem maczetami, kradzieżą sprzętu i innymi ekscesami. Wściekli Indianie Mazatecy w 1968 roku niemal zabili grotolazkę Meri Fish. Wisiała ponad 50 metrów nad dnem studni wlotowej w pobliskiej jaskini La Grieta, ale od powierzchni dzieliła ją jeszcze znaczna odległość, kiedy wymachujący maczetami miejscowi przecięli jej linę, a pozostali osaczyli na powierzchni jej przerażonego męża. Meri właśnie minęła niewielką półkę, która cudem po metrze czy dwóch powstrzymała jej dalszy upadek. Kilka sekund wcześniej lub później, a jej upadek zakończyłby się śmiercią na głazach poniżej.

Przez wiele lat nie dochodziło do kolejnych tego rodzaju incydentów, początkowo grotolazi zamierzali więc zlekceważyć niepokoje wśród miejscowej ludności. Chociaż Bill Stone nie był formalnie kierownikiem wyprawy, przejął inicjatywę i rozładował napięcie, instalując na rynku w pobliskiej wiosce ekran, na którym zrobił pokaz slajdów na temat Cheve. Rozdał napisane po hiszpańsku ulotki, które wyjaśniały cel wyprawy. Tłumaczył, że są naukowcami i odkrywcami i interesuje ich jedynie zbadanie, jak głęboko sięga jaskinia Cheve. Ich ostatecznym celem, kontynuował, jest znalezienie najgłębszej jaskini na świecie i są przekonani, że Cheve może być jaskinią zasługującą na ten zaszczytny tytuł. Wielokrotnie powtórzył, że ich praca z pewnością w żaden sposób nie wiąże się z potajemnym wynoszeniem z jaskini jakiegokolwiek złota.

Umowę z miejscowymi przypieczętowała prawdopodobnie wycieczka po Cheve zorganizowana przez Stone'a dla miejscowej starszyny, która niechętnie – biorąc pod uwagę poglądy miejscowych na temat jaskiń wywodzące się ze starożytnych wierzeń – pogodziła się z istnieniem wyprawy, choć prawdopodobnie nigdy do końca nie zrozumiała intencji grotolazów. Stone nie musiał zabierać ich zbyt daleko w głąb jaskini, zanim onieśmieleni i przejęci podziwem podziękowali mu wylewnie i wyrazili

chęć powrotu. Dyplomatyczne zabiegi Stone'a na pewien czas rozproszyły obawy tubylców.

Po kilku wstępnych wypadach jednodniowe wycieczki w tę i z powrotem stały się niemożliwe, zespół więc szybko przeniósł się do biwaku 2 położonego w głębi jaskini. Po kilku dniach biwakowanie pod ziemią przestało się różnić od biwakowania na jej powierzchni. Ale biwak podziemny i naziemny dzieliło więcej różnic, niż łączyło podobieństw. Najważniejsza różnica polegała na tym, że pod ziemią panowała zawsze absolutna ciemność. Grotołazi nie mieli szans przystosować się do panujących ciemności, ponieważ w głębi nie było ani jednego lumenu światła, który mógłby podrażnić czopki i pręciki na siatkówce oka. Zrobienie choćby jednego kroku, zawiązanie węzła, nalanie zupy, skorzystanie z latryny czy zerknięcie na plan wymagało zapalenia latarki.

Przedłużająca się kompletna ciemność w ogromnym stopniu wpływa na kondycję ludzkiego ciała i ducha. Po pierwsze, zaburza naturalny rytm dobowy. Grotołazi, którzy podczas wielodniowych pobytów pod ziemią nie korzystają z budzików, szybko odkrywają, że fazy snu i czuwania wydłużają się. Można nieprzerwanie pracować przez dwadzieścia cztery godziny, a potem spać niemal równie długo. Osoby przebywające dłuższy czas w kompletnych ciemnościach zaczynają doświadczać omamów słuchowych i optycznych, a sprawność ich systemu immunologicznego znacznie spada.

Naukowcy zmierzili nasilenie wszystkich tych objawów. Inne zjawiska wywierają równie znaczący wpływ, ale są trudniejsze do zmierzenia. Ciemność jest dla grotołaza tym, czym woda dla nurka i powietrze dla lotnika. Jest, innymi słowy, medium, które w większym stopniu niż jakikolwiek inny element środowiska kształtuje jego doświadczenia. Ciemność panująca w jaskini budzi te same odczucia co woda otaczająca nurka czy powietrze otaczające pilota śmigłowca, dla którego jest punktem podparcia – niewidocznym, ale kluczowym. Ma swoją wagę, potrafi zaznaczyć swoją obecność, jest pewną formą życia, posiadającą unikatowe cechy osobowości. Woda i powietrze szybko pozbawią cię życia, jeśli złamiesz zasady regulujące łączącą was więź. Ciemność może zabić cię równie szybko lub, co jest prawdopodobnie gorsze, znacznie wolniej.

Czym innym jest doświadczenie kompletnej ciemności przez godzinę czy nawet kilka dni, a czym innym jest żyć w niej tygodniami. Wielki angielski odkrywca polarny Apsley Cherry-Garrard zimą 1911–1912 znosił wiele miesięcy antarktycznej nocy polarnej. W takich ciemnościach, napisał później w klasycznej dziś pozycji literatury podróżniczej *The Worst Journey in the World* (Najgorsza wyprawa świata), natura „której nie można dostrzec, lecz jedynie poczuć, traci zdolność wywierania kojącego wpływu na ludzkie ciało i duszę”.

Ze światłem łączy nas szczególny związek. Wzrok jest bez wątpienia najważniejszym z naszych zmysłów. Szczególny, choć zupełnie odmienny związek łączy nas również z ciemnością. Obawiamy się jej i czujemy do niej wstręt. Strach przed ciemnością rósł przez miliony lat. Być może ciemność jest obiektem naszego lęku pierwotnego, który w naszych pierwotnych mózgach został zaszczerpiony jako instynkt gwarantujący przetrwanie. Wszyscy czuliśmy chociaż raz w życiu ukłucie paniki w ciemnej, pustej piwnicy albo w domu, w którym wysiadł prąd, lub późną nocą na kompletnie nieoświetlonym parkingu.

Dotarłszy do biwaku 2, wszyscy po kolei rozłożyli karimaty i śpiwory. Grotołazi wyprawiali się stąd na kolejne wypadki, ale karimaty i śpiwory zostawały na miejscu, czekając na innych potrzebujących i ponowne wykorzystanie w ciągu całej wyprawy. Marynarka wojenna organizuje to podobnie na okrętach dla zaoszczędzenia miejsca; taki system nazywany jest „ciepłą koją”. Grotołazi określają to mianem „ciepłych śpiworów”. Niektóre śpiwory są cieplejsze niż inne. Najlepsze miejscówki znajdowały na poziomym terenie, na miękkim piasku, w pobliżu szmerzącego niezbyt głośno cieku wodnego.

Ze względu na bezustanny przepływ wody i powietrza w superjaskiniach jest zawsze głośno. W niektórych miejscach panuje hałas jak na lotnisku przy starcie boeinga 737. Jedną z tortur zabronionych konwencją genewską jest ogłuszanie więźniów nieprzerwanymi głośnymi dźwiękami, a to właśnie musieli znosić dzień i noc grotołazi zamieszkujący biwaki ulokowane w najgłośniejszych fragmentach jaskini. Najgorsze miejsca na biwak znajdowały się tam, gdzie huk wody był koszmarny, jakość snu jeszcze gorsza, a jedynymi zdatnymi do spania miejscami były pochyłe występy skalne lub pionowe ściany. Tam niczym wspinacze zmagający się z Half Dome albo El Captain, grotołazi musieli związać się w hamakach zawieszonych na kotwach wbitych w skalną ścianę. Gdzieś pomiędzy tymi dwoma ekstremami mieściły się biwaki, w których nie dawało się znaleźć płaskiej powierzchni, a jedyne miejsca zdatne do spania mieściły się pomiędzy głazami albo na nich. Spanie w tych miejscach było równie komfortowe jak zwinięcie się wokół koła zapasowego w bagażniku.

Kiedy już rozstrzygnięto wszystkie rozszczenia do miejsc do spania, zespół rozstawiał kuchnię. Gotowano na zasilanych butanem, superlekkich palnikach stosowanych podczas wypraw wysokogórskich, a nie na bardziej popularnych palnikach Colemana zasilanych benzyną bezołowiową lub specjalnym paliwem, które było tylko odrobinę mniej wybuchowe niż nitrogliceryna. Eksplozje paliwa do kuchenek Colemana zawsze kończyły się fatalnie; gdyby doszło do wybuchu 10 kilometrów od wejścia pod ziemię, gdzie nie istnieją żadne możliwości ratunku, efekty byłyby katastrofalne.

Zmniejszanie obciążenia jest dla grotołazów czymś w rodzaju magii. Wielu odrywa

papierki znajdujące się na końcu nitki przyczepionych do torebek herbaty, odłamuje rączki szczoteczek do zębów i wyjmując z wnętrza rolek papieru toaletowego kartonowe tulejki. Nie było niczym nadzwyczajnym, że zespół podczas wyprawy zdecydował się korzystać z jednego garnka, jednej miski i jednej dużej łyżki. Kiedy posiłek był już gotowy (płatki na gorąco na śniadanie, liofilizowana breja na obiad), spożywali go niczym starożytni Wikingowie: miska i łyżka przechodziły od jednej osoby do drugiej, aż obie zostały wylizane do czysta.

Na biwakach znajdowały się latryny. Protokół wymagał, by grotolazi załatwiali potrzeby fizjologiczne tylko do specjalnych dołków, które pod koniec wyprawy były zasypywane (ewentualnie podczas jej trwania, jeśli zostały wypełnione po brzegi, co wymagało przygotowania następnej latryny). Jeśli jednak grotolaz obudził się właśnie z głębokiego snu i stwierdzał, że od latryny dzieli go znacząca odległość lub dojście do niej wymaga pokonania niebezpiecznego odcinka, mógł sobie ulżyć do plastikowej butelki (niezamierzone efekty jej wykorzystania mogły być bardzo nieprzyjemne, jak odkrył to później Stone w jaskini Cheve) lub najbliższej szczeliny. Ludzkiej naturze należy przypisać to, że w kolejnych tygodniach wyprawy dyscyplina wypróżniania się wyraźnie się rozluźniała, a pod koniec każdej dłuższej wyprawy grotolazi chodzili po biwaku na palcach, jakby przemykali się wśród pełzających po podłodze węży. Dodatkowej ostrożności wymagał również grzyb porastający rozrzucone resztki jedzenia.

Biwaki naziemne i podziemne dzieliła jeszcze jedna istotna różnica. Biwakujący na ziemi mieli do dyspozycji światło słoneczne w ciągu dnia oraz blask ogniska i urządzeń elektrycznych nocą. W czasach poprzedzających upowszechnienie się diod LED żarówki zużywały znacznie więcej energii zgromadzonej w bateriach. Aby oszczędzić baterie, grotolazi często włączali latarki tylko wtedy, gdy pracowali lub przemieszczali się. Na biwakach kolejne godziny upływały w kompletnych ciemnościach. Grotolazi kierowali się dźwiękiem swoich głosów i nie starali się podczas rozmowy odnaleźć wzrokiem twarzy rozmówcy. Wiedzieli poświaty, zarysy i przebłyski – takie same, jakie dostrzeżemy, gdy zamkniemy oczy – ale nie byli w stanie przerwać tego procesu poprzez otwarcie oczu. Po kilku godzinach spędzonych w ciemnościach pojawiały się halucynacje i towarzyszący im niepokój.

Biorąc pod uwagę wszystkie te elementy, nie było to najbardziej romantyczne ze wszystkich miejsc, ale w legendach alpinizmu jaskiniowego pojawiają się pary uprawiające seks podczas podziemnych wypraw. Fizyczną miłość trudno było utrzymać w sekrecie, bo z wyjątkiem miejsc, w których szum wody lub huk wiatru zagłuszały wszystkie inne dźwięki, plastikowe płachty, które grotolazi umieszczali pod swoimi śpiworami, zdradzały każde poruszenie.

Niezależnie od ogromu pracy, której wymagało założenie biwaku 2, był on tylko przystankiem na drodze do ostatecznego celu: mającego w oddali zawaliska, które zatrzymało ich rok wcześniej. Bill Farr, umięśniony i nieustępliwy, poprowadził zespół, który odkrył szlak prowadzący przez stertę głazów, otwierając drogę do pozostałej części Cheve. Było to znacznie cięższe zadanie, niż mogłoby się wydawać po streszczeniu go tym zdaniem.

Czołganie się wewnątrz tak ogromnego zawaliska przypominało, jak zauważył doświadczony grotolarz Dave Phillips, pełzanie mrówki w słoiku pełnym szklanych kulek. Nawet to porównanie nie oddaje charakteru tego doświadczenia, ponieważ szklane kulki upakowane są w słoiku ciasno i stabilnie. Głazy w zawalisku nie zawsze leżą pewnie na swoim miejscu. Czasem wystarczy szturchnąć jeden głaz łokciem, by tysiiąc ton rumoszu runęło w dół. Rozpracowywanie zawaliska tej wielkości przypominało wspinaczkę skałkową bez asekuracji. Cena omyłki była bardzo wysoka i nieodwracalna. Odpadniesz od ściany albo poruszysz niewłaściwy kamień i umieras. We wspinaczkę przynajmniej szczeliny, płyty i gładkie ściany nieoferujące żadnych uchwytów można było wcześniej ocenić wzrokiem. W skalnym rumowisku każdy kamień mógł być tym, który uwalnia lawinę.

Farr znalazł szczelinę, przez którą płynęło powietrze, i usunął wystarczająco dużo kamieni, by precyzyjnie się przez nią. Następnie, wijąc się i skręcając, przepychał się naprzód, wwiercając się w miejsca wystarczająco duże, by się przez nie precyzyjnie, i przenosząc kamienie w celu powiększenia zbyt wąskich zacisków. W końcu wyszedł po drugiej stronie.

Pod koniec wyprawy Carol Vesely, Bill Stone i australijski grotolarz Rolf Adams zrobili 30-godzinny wypad i dotarli głębiej niż ktokolwiek inny tylko po to, by natknąć się na przeszkodę w postaci kolejnego zawaliska, którego przejścia nie sposób było sobie wyobrazić.

„No cóż, na tym chyba skończymy tę wyprawę” – powiedział Bill Stone, gorzko rozczarowany. Nie widząc żadnej możliwości pójścia naprzód, zawrócił. Przenurkowanie syfonów było czymś zupełnie innym niż przekopywanie skalnych ścian bez odpowiednich maszyn. Cheve, jak się okazało, zafundowała im kolejną pokąźną stratę czasu.

„Nie tak szybko” – zaproponowała Carol Vesely. Zdecydowanie nie była gotowa się poddać. Stone i Adams patrzyli w zdumieniu, jak cudownym sposobem prześlizguje się przez szczelinę, którą uważali chwilę wcześniej za zbyt wąską, by jakkolwiek człowiek mógł się przez nią przecisnąć. Czuli się jak podczas projekcji filmu o superbohaterach, na którym Człowiek-Guma prześlizguje się pod zamkniętymi drzwiami i otwiera je z drugiej strony. Bazując na wskazówkach Vesely, Stone i Adams usunęli kilka kluczowych głazów, przeszli na drugą stronę i podjęli przerwany marsz. To musiał być nie lada wyczyn, skoro zrobił wrażenie na Stonie, porównywalny tylko z odkryciem przez Vesely połączenia Cheve z inną bardzo ważną okoliczną jaskinią o nazwie Puente. Nigdy nie przechwalała się swoim wyczynem, nigdy nie traktowała Stone'a ani innych grotolazów z góry. Stone szanował ją za to w równym stopniu, w jakim podziwiał ją za pokonanie skalnej bariery.

Podczas następnego wypadu czteroosobowa grupa, w której znalazł się również Bill Stone, pokonała kolejnych 800 metrów korytarza o szerokości 10 metrów i wysokości prawie 20. Po tych 800 metrach natknęli się jednak na kolejne, jeszcze większe zawalisko, rozciągające się od ściany do ściany i od spągu do stropu. Zniechęcony zespół wycofał się i założył biwak 3 na głębokości 1243 metrów, w odległości dziewięćdziesięciu zjazdów i 6,5 kilometra w linii prostej od wejścia.

Tylko Billa Farra zawalisko nie zniechęciło do dalszej eksploracji. Nie przeszedł całej tej drogi tylko po to, by powstrzymała go sterta kamieni, wszystko jedno jakich rozmiarów. Jak miało się okazać, ta mierzyła prawie 50 metrów długości, ale Farr tego nie wiedział, kiedy zaczął się przez nią przeciskać. Dla niego mogła mieć nawet kilometr długości. Wiedział jednak, że musi istnieć jakaś droga prowadząca na drugą stronę. Zawsze była jakaś droga.

Farr przeczołgał się w końcu na drugą stronę, wyglądając jak gąsienica, która z trudem wydobyła się z nieustępliwego kokonu. Miał pozdzieraną skórę na twarzy i rękach, posiniaczone ręce i nogi, rozdarty kombinezon. To, co zobaczył po drugiej stronie, przeszło jego najśmielsze oczekiwania i przyćmiło ból i zmęczenie. Tylko jedna nazwa wydawała się odpowiednia: Through the Looking Glass, Po Drugiej Stronie Lustra. Sala, u progu której stanął, miała 53 metry szerokości, prawie 300 metrów długości, zwężała się nieco na ostatnich 180 metrach, a w najwyższym punkcie mierzyła ponad 50 metrów.

Trudno sobie wyobrazić tak rozległą pustkę na tak dużej głębokości. W otchłaniach jaskiń można natknąć się na wiele odwrotności świata nadziemnego. Najbardziej oczywista polega na tym, że światło zostaje wyparte przez ciemność. Z drugiej strony, jaskinie stawiają na głowie związek łączący masę i przestrzeń. Na powierzchni masa rozrywa przestrzeń – Mount Everest, Wielka Piramida, samoloty. Pod ziemią dzieje się

na odwrót – masy skał rozdzierane są przestrzenią, a w szczególności ogromnymi pustymi przestrzeniami podobnymi do tej.

Wiele znaków – rosnąca objętość wód podziemnych, gigantyczne korytarze, silne przewiewy – wskazywało na to, że Cheve może zabrać ich dalej w kierunku wnętrza Ziemi niż jakakolwiek inna jaskinia w historii ludzkości. A jednak jaskinie, niczym pozory, często mylą. Zaledwie kilkaset metrów dalej drogę zamknęło im kolejne zawalisko. Tym razem nawet uparty Bill Farr nie był w stanie znaleźć przejścia. Wyprawa była skończona. Cheve miała teraz 16 kilometrów długości (była to całkowita długość skartowanych korytarzy), 1243 głębokości i była drugą najgłębszą jaskinią w Meksyku. Nadal sporo brakowało jej do tytułu najgłębszej jaskini świata, który należał wówczas do austriackiej jaskini Lamprechtsofen o deniwelacji 1632 metrów.

Kolejna wyprawa, w której składzie znaleźli się Stone, Farr, Vesely i inni grotolazi światowego formatu, dotarła do Cheve w 1990 roku. Zespół zdołał pokonać ogromne zawalisko, obejść kolejny syfon i zbadać 800 metrów koryta rzeki spływającej szeregiem progów i basenów.

W końcu rosnąca w siłę rzeka przybrała postać 30-metrowego wodospadu, którego nazwa – Nightmare Falls, Koszmarne Wodospad – trafnie odzwierciedla jego charakter. Dalej jaskinia schodziła w dół mniej stromo, a rzeka płynęła przez progi wodospadu i niewielkie jeziora tak urocze, że grotolazi nazwali tę partię jaskini Wet Dreams, Mokre Sny. Pod jej koniec rzeka wpływała do turkusowego jeziora i pomimo rozlicznych prób nikt nie był w stanie znaleźć obejścia. Ktoś musiał w nim zanurkować, ale nurkowanie trzeba było odłożyć na kolejny rok, co samo w sobie nie było takie złe. Rebreather Stone'a, który nie doczekał się jeszcze ostatecznej wersji, miał szansę być gotów za dwanaście miesięcy. Gdyby tak się stało, zapoczątkowałby nową epokę w dziejach podziemnej eksploracji. Na obecnym etapie stała ona pod wielkim znakiem zapytania.

Tego samego roku dokonano przełomowego odkrycia. Członek wyprawy Jim Smith (ten od dowcipu o tanim pogrzebie na nieporównanej głębokości) wlał około siedmiu litrów nietoksycznego, zielonego barwnika do strumienia przepływającego przez gigantyczne wejście do jaskini Cheve. Dwa dni później grotolazi stacjonujący w biwaku 3 ujrzeli zabarwioną wodę. Sześć dni później zielony barwnik wpłynął do rzeki Santo Domingo, odległej o prawie 18 kilometrów od wejścia do jaskini i położonej ponad 2,4 kilometra niżej. Kiedy barwnik wpłynął do rzeki, momentalnie zmieniając jej kolor na żółtawozielony, w pobliżu znajdował się Don Coons. Gdy jakiś czas później Coons wspiał się z powrotem do biwaku bazowego na Llano Cheve, Jim Smith zawołał: „Widziałeś jakieś ślady barwnika?”.

Coons wyciągnął szczoteczkę do zębów zabawioną na jaskrawozielony kolor. „Wygląda tak od trzech dni! – odkrzyknął z entuzjazmem. – Zadowolony?”.

Stone nie mógł ukryć podniecenia, które opanowało go po usłyszeniu tej wiadomości. Skoro woda była w stanie pokonać dystans dzielący wejście do jaskini Cheve od rzeki Santo Domingo, musiało istnieć przejście. Co więcej, barwnik pokonał odcinek dzielący wejście do jaskini od wywierzyska w ciągu ośmiu dni; było to niewiarygodne tempo jak na jaskinię do tego stopnia rozciągniętą w poziomie. Powodem mógł być duży przekrój otworów, którymi płynęła woda – wystarczająco duży, by zmieścić się w nich również człowiek. Oczywiście, woda mogła również płynąć tysiącem niewielkich, równoległych otworów, ale tylko ktoś niezwykle pesymistycznie nastawiony do świata zinterpretowałby to w ten sposób.

Wielu ludzi przyjęło w tym momencie do wiadomości, że Cheve może pretendować do tytułu najgłębszej jaskini świata. Bill Stone nigdy nie miał co do tego znaczących wątpliwości, ale ślad barwnika potwierdził jego podejrzenia. Teraz śladem barwnika musieli podążać ludzie, ale miało się to wydarzyć dopiero rok później.



Bill Stone w jaskini J2
fot. Kasia Biernacka

W lutym 1991 roku Stone poprowadził swoją pierwszą wyprawę do Cheve. Tak naprawdę kierował nią wspólnie z dwoma innymi wybitnymi grotolazami, Donem Coonsem i Mattem Oliphantem, ale jak ujął to jeden z uczestników wyprawy, było trzech kierowników, ale tylko jeden Kierownik. Niestety, rebreather wciąż nie nadawał się do nurkowania jaskiniowego, więc po to, by spenetrować syfon, który powstrzymał odkrywców poprzednim razem, zmuszeni byli po raz kolejny taszczyć na miejsce butle i sprzęt nurkowy, ołowiany balast i 600 metrów poręczówki aż do biwaku 3.

Stamtąd przenieśli wszystko kolejnych 500 metrów dalej i 143 metry niżej nad syfon. John Schweyen, wówczas jeden z najlepszych amerykańskich nurków jaskiniowych, 1 marca ubrał się, nałożył sprzęt i zanurzył w turkusowej wodzie o temperaturze 12 stopni Celsjusza, która w świetle latarki wydawała się idealnie przejrzysta. Przepłynął minimalny, a niewielkie drobinki osadu w niewielkim tylko stopniu ograniczały widoczność, która jak na syfon była niemal idealna: od 6 do 9 metrów. Dno syfonu zaścierał gruby, jasnobrązowy żwir. Schweyen zaczął płynąć, rozkładając poręczówkę i podążając wzdłuż syfonu schodzącego pod kątem 45 stopni i przechodzącego w poziomy korytarz na głębokości 23 metrów. Pozostając na tej głębokości, przepłynął 90 metrów i dotarł do otworu wielkości iluminatora, przez który mógł spojrzeć na drugą stronę, ale nie mógł się przez niego przecisnąć. Z tego wypadu nurkowego, który okazał się łatwy i przyjemny, powrócił bez problemów nad brzeg syfonu.

Pozostały dwie butle nurkowe, ale zawór jednej z nich został przypadkowo odkręcony podczas zejścia, co spowodowało utratę połowy powietrza. Był to jeszcze jeden dowód, jak nieprzydatny jest standardowy sprzęt nurkowy w nurkowaniu jaskiniowym. Nie byli w stanie podjąć bezpiecznego nurkowania, dysponując jedną pełną i jedną opróżnioną do połowy butlą. Szybko stało się jasne, że ani Schweyen, ani nikt inny nie zanurkuje ponownie; podczas wyjścia znaleźli notatkę dotyczącą śmierci Chrisa Yeagera, która zakończyła wszelkie działania w 1991 roku.

W roku 1993 dwie wyprawy – żadna z nich nie była prowadzona przez Stone'a – próbowały przesunąć granice poznania Cheve, korzystając ze wszystkich możliwych technik i sposobów, by pokonać syfon końcowy, kopiąc i wspinając się, pełzając i pływając. Każdego sposobu z wyjątkiem nurkowania, ponieważ były prowadzone przez Matta Oliphanta i wybitną grotolazkę Nancy Pistle, którzy nie nurkowali w jaskiniach. Zamiast tego próbowali znaleźć suche obejście. Odkryli ponad kilometr nowych korytarzy, które nie pozwoliły im jednak obejść powstrzymującego ich od dalszej eksploracji syfonu.

Skoncentrowany na udoskonalaniu swojego rebreathera i przekonany, że jest on kluczem do zrewolucjonizowania technik eksploracji jaskiń, Stone obserwował te wysiłki z daleka i niespecjalnie się nimi przejmował. Miał silne poczucie, że końcowego

syfonu nie da się pokonać przy użyciu tradycyjnego sprzętu nurkowego. Staranne zbadanie rozległego syfonu w celu znalezienia korytarza odpowiednich rozmiarów wymagało rebreathera. A nikt inny nie pracował nad rebreatherem przeznaczonym dla nurków jaskiniowych. Innymi słowy, do niego należał jedyny klucz, którym można było otworzyć syfon – wystarczyło kilka ostatnich poprawek.

Mimo wszystko nigdy nie stracił z pola widzenia jaskini Huautla. To prawda, Cheve pochłonęła go od 1988 do 1991 roku, ale częściowo dlatego, że jego rebreather nie był jeszcze gotów, by poradzić sobie z wyzwaniami stawianymi przez syfon San Agustín. Gdyby Stone mógł poświęcić pracom nad rebreatherem cały swój czas i miał nieograniczone możliwości finansowe, być może w ciągu dwóch, trzech lat opracowałby urządzenie nadające się do przeprowadzania podwodnych eksploracji. Nie mógł sobie jednak pozwolić na luksus nieograniczonego dysponowania swoim czasem i środkami finansowymi, projekt więc ciągnął się w nieskończoność.

Cierpliwość Pat była na wyczerpaniu. Cheve pochłonęła jej męża na cztery lata, od 1988 do 1991 roku; konstrukcja rebreathera wypełniła szczelnie cztery lata poprzedzające 1988 rok i dwa lata po 1991 roku. Łącznie dawało to dekadę. W roku 1991 Stone miał już trzech synów, a życie Pat w naturalny sposób przestało się obracać wokół jaskiń i skoncentrowało na dzieciach. Oczekiwanie podobnej zmiany w życiu jej męża nie było przejawem nierozsądku. Z biegiem czasu stało się jednak jasne, że nic nie zapowiada oczekiwanej zmiany. Z każdym rokiem Pat traciła nadzieję na normalne rodzinne życie.

Nadzieje Stone'a na opracowanie idealnego rebreathera systematycznie przybierały na sile. Do tego stopnia, że w 1992 roku zaczął planować najbardziej ambitną dotychczas wyprawę, atak na Huautlę w 1994 roku z budżetem na poziomie miliona dolarów, dziesiątkami sponsorów i członków ekipy; największą atrakcją ten wyprawy miał być jego nowy rebreather. W roku 1992 nie był jeszcze w pełni gotów do sprawdzenia się podczas wyprawy, choć w tym czasie Stone rozpoczął pracę nad trzecią generacją swojego produktu, noszącą nazwę MK-III. Stone był głęboko przekonany, że kolejne dwa lata testów i intensywne szkolenie nurkowe otworzą mu nowe możliwości. Tak czy inaczej potrzebował tego czasu, by pozyskać sponsorów, załatwić pozwolenie meksykańskich władz na eksplorację, zwerbować członków ekipy i dopilnować tysięcy drobiazgów, których wymagała organizacja tego rodzaju wyprawy. Bill Stone dostrzegł wreszcie światło w 10-letnim tunelu.

Podczas prac nad rebreatherem zdarzały się nieprzewidziane i przerażające komplikacje. Pod koniec 1989 roku nurek Brad Pecel kilkakrotnie testował na Florydzie rebreather drugiej generacji, MK-II. Podczas jednego z nurkowań Stone zszedł razem w Pecelem jako jego partner nurkowy. Po niecałych dwudziestu minutach od zejścia do wody oniemiały Stone patrzył, jak Pecelem zaczynają wstrząsać

niekontrolowane drgawki. Na powierzchni gwałtowne spazmy wyglądają przerażająco. Pod wodą, gdzie prawie zawsze kończą się wypluciem automatu, przerażenie osiąga całkowicie nowy wymiar. Stone wykonał standardową procedurę ratowniczą, wkładając do ust Pecela zapasowy automat i zabierając go na powierzchnię tak szybko, jak to było możliwe z zachowaniem zasad bezpieczeństwa.

Pecel przeżył, mając znacznie więcej szczęścia niż większość nurków, których pod wodą dopadł atak konwulsji. Incydent ten ujawnił jednak coś niepokojącego. Dublowanie elementów systemu okazało się mieczem obosiecznym. Podobnie jak FRED, MK-II składał się z dwóch niezależnych systemów. Ekipa wspierająca Pecela niewłaściwie przygotowała jego rebreather, podłączając monitor tlenu do niewłaściwego systemu – tego, z którego Pecel nie korzystał. W konsekwencji rebreather podawał Pecelowi pod wodą niewłaściwą mieszankę gazów oddechowych, czego skutkiem był nadmiar tlenu w organizmie. Toksyczny w nadmiarze tlen powoduje drgawki, o czym nurkowie wiedzą doskonale.

Kiedy Pecel zrozumiał, że przyczyną wypadku była złożoność MK-II – tak to w każdym razie traktował – nie chciał mieć nic wspólnego z tym urządzeniem i ostatecznie wycofał się z testów. Pozostali nurkowie nie zrezygnowali, ale wypadek napełnił ich obawami. Zaczęły rozchodzić się pogłoski o zaawansowanych technicznie, skomplikowanych jednostkach, których nieprawidłowe działanie doprowadziło niemal do śmierci nurka. Była to tylko część prawdy, ale najwyraźniej ta, która padła na podatny grunt.

Upływający czas rozwiał wiele obaw, ale następna dekada miała przynieść wypadki śmiertelne w zespołach Stone'a.

Wiosną 1992 roku Stone zamierzał zabrać kluczowych nurków z zespołu, który miał poprowadzić wyprawę do Huautli w 1993 roku, na intensywne szkolenie rebreatherowe do Jackson Blue Springs na Florydę. Pamiętając o tym, co przydarzyło się Bradowi Pecelowi, w lutym cała grupa spędziła dwa tygodnie, testując i wypróbowując rebreathery na symulowanych głębokościach w komorach hiperbarycznych¹⁰ na Long Island. Wszystko poszło dobrze i w kwietniu grupa pojechała na Florydę na intensywne szkolenie pod wodą.

Testowanie rebreatherów nie było jedynym elementem badań, które należało przeprowadzić w Jackson Blue. NASA próbowała w tamtym czasie lepiej poznać dynamikę procesów grupowych podczas długich misji kosmicznych. Częścią badań było określenie, czy istnieją cechy charakteru, które w tych warunkach idealnie się sprawdzają. NASA mogła oczywiście zasymulować odpowiednie warunki, zamykając ludzi na kilka miesięcy w imitacji statku kosmicznego, ale nieodzowny element „udawania” podważał wartość wszystkich uzyskanych rezultatów. Wyprawy jaskiniowe były prawdziwe i – pomijając fakt, że zmierzały do zbadania świata podziemnego, a nie przestrzeni kosmicznej – uderzająco podobne. Podobnie jak astronauta, grotolazi badający superjaskinie musieli żyć i pracować w ogromnym stresie w niebezpiecznych zamkniętych przestrzeniach, zawierając swoje życie zaawansowanym technologicznie systemom podobnym do rebreathera Stone’a, nie mogąc liczyć na jakąkolwiek akcję ratunkową w razie potrzeby. Aby zgromadzić możliwie wiele informacji, Dean Faulk, psychiatra z Uniwersytetu Teksasńskiego, spędził kilka dni, przeprowadzając badania i wywiady z ekipą grotolazów. Dwa lata później kolejny zespół z Uniwersytetu Teksasńskiego przeprowadzi bardziej szczegółowe badanie jednego z zespołów Stone’a.

Faulk nie był jedynym człowiekiem z zewnątrz, który przeprowadzał wywiady z członkami wyprawy i analizował jej szczegóły. Magazyn „Outside” oddelegował Craiga Vettera do napisania artykułu na temat Billa Stone’a. Stone zaprosił Vettera do przyłączenia się do zespołu, a nawet wzięcia udziału w nurkowaniach z rebreatherem. Vetter przyjął propozycję i spędził na miejscu wyprawy mniej więcej tydzień z dwóch miesięcy pobytu zespołu na Florydzie.

Podobnie jak w suchej komorze, zarówno nurkowie, jak i rebreathery przeszli wszystkie testy w niewiarygodnie przejrzystej, przefiltrowanej przez warstwy wodonośne wodzie słynnego źródła. Stone’a uspokoiła bezawaryjna praca jego urządzeń, a nurkowie czuli się z nimi znacznie lepiej niż z MK-II w 1989 roku. Ludzie pakowali się i przygotowywali do wyjazdu w Niedzielę Wielkanocną 19 kwietnia. Bliski przyjaciel Stone’a, Australijczyk Rolf Adams, ten który wraz ze Stone’em uczestniczył

w maratońskiej eksploracji Cheve, był jednym z najlepszych grotołazów świata i jednocześnie członkiem zespołu nurkowego. Ukończył obie sesje szkoleniowe bez najmniejszych problemów. Chociaż nie był doświadczonym nurkiem jaskiniowym, zaliczył również podczas swojego pobytu nad Jackson Blue podstawowe szkolenie z nurkowania jaskiniowego.

Przed długim powrotem do Australii Adams chciał zwiedzić kilka legendarnych podwodnych jaskiń Florydy. Rebreathery były już zapakowane do transportu, ale znalazł wylegującego się na słońcu Noela Sloana, nurka i lekarza wyprawowego, partnera, który nie pozwalał Billowi Stone'owi zasnąć podczas testu FRED-a. Sloan nie zapakował jeszcze swojego tradycyjnego sprzętu nurkowego. Adams poprosił o możliwość pożyczania go w celu zanurkowania w Hole in the Wall, popularnej jaskini znajdującej się w pobliżu.

Noel Sloan był osobą o zdumiewającej jak na lekarza duchowości. W tym momencie doświadczył przerażającego, jasnego i wyraźnego jak silny sygnał radiowy przeczucia: Ten człowiek zginie. Przeczucie było tak dojmujące, że ten otwarty, uczciwy i lubiany przez wszystkich mężczyzna uraczył Adama wierutnym kłamstwem. Nie chcąc przyznać się do złych przeczuć, odmówił pożyczania sprzętu, tłumacząc, że chciał sam wykorzystać go jakiś czas później. Była to kompletna bzdura wymyślona na poczekaniu.

Niezrażony Adams pożyczył sprzęt od kogoś innego. On i inny członek zespołu, Jim Smith, przepłynęli 800 metrów łodzią, założyli sprzęt, zanurzyli się i wpłynęli do jaskini przez otwór w znajdującej się pod wodą ścianie. Popłynęli w dół studni na głębokość 24 metrów, a następnie łagodnym spadkiem w dół. Widoczność była jak zwykle znakomita, przekraczała 12 metrów, chociaż mętny czerwony osad pokrywał ściany i strop w miejscach, do których sięgały światła ich latarek.

Płynęli dalej, podążając za białą poręczówką zamocowaną na dnie jaskini, mijając niekończące się sale o ścianach zbudowanych z jaśniejącego na biało kalcytu i kolorowych sklepieniach, przeciskając się przez kilka wąskich zacisków i nijakich korytarzy. Po pokonaniu 600 metrów i zużyciu jednej trzeciej gazu w butlach zawrócili i zaczęli płynąć z powrotem. Była to procedura standardowa w nurkowaniu jaskiniowym określana mianem Zasady Jednej Trzeciej. Zużywałeś jedną trzecią powietrza na drogę w tę, jedną trzecią na drogę z powrotem, a jedną trzecią trzymałeś w zapasie. Rozpoczynając drogę powrotną, obaj nurkowie mieli jeszcze dwie trzecie powietrza w butlach, znacznie więcej niż było konieczne, by dopłynąć do otworu wejściowego jaskini.

Pokonali dystans 300 metrów i znajdowali się na głębokości 15 metrów, kiedy Jim Smith szóstym zmysłem doświadczonego nurka wyczuł, że jego partner zniknął. Obejrzał się do tyłu i zobaczył Adama przypartego do sklepienia jaskini i najwyraźniej

niekontrolującego własnej pływalności, próbującego włożyć do ust zapasowy automat. Udało mu się, uspokoił się, zasygnalizował, że wszystko w porządku, i popłynęli dalej, Smith nadal na prowadzeniu. Kilka sekund później Adams złapał Smitha od tyłu i pokazał znak, którego wszyscy nurkowie obawiają się najbardziej, przeciągając płasko dłonią po gardle, jakby podcinał je sobie nożem: Nie mam powietrza! Wyjawszy awarię sprzętu, nie wydawało się to możliwe, ale to właśnie sygnalizował gorączkowo Adams.

Postępując zgodnie z precyzyjną procedurą nurkową, Smith wyjął z ust swój podstawowy automat, podał go Adamsowi i zaczął oddychać za pomocą własnego automatu zapasowego. Jest to dość skomplikowane już w czystych, ciepłych wodach otwartych. W ciasnej jaskini, gdy jeden z nurków jest na krawędzi paniki, jest to piekielnie trudne. W chwili, gdy Adams wkładał automat do ust, obaj utracili kontrolę nad pływalnością i opadli na dno, momentalnie wzbijając chmury osadu i redukując widoczność do zera. Próbując naprawić ten błąd, podpłynęli do góry zbyt szybko, wzbijając jeszcze więcej osadu.

Przez cały czas Adams gorączkowo trzymał się upręży piersiowej Smitha obiema rękami w uścisku, który z łatwością mógł stać się dla nich obu uściskiem śmierci. Najwyraźniej miał problem z pobieraniem powietrza również za pomocą automatu Smitha, co było bardzo dziwne, bo podstawowy automat Smitha pracował bez zarzutu – przed chwilą sam go przecież używał. Adams otworzył usta, wypuścił z nich automat, rozluźnił chwyt i zniknął w chmurze osadu.

Zrozpaczony Smith, zużywając resztkę powietrza, zdołał wypłynąć z jaskini i wynurzyć się w chwili, w której wskazówka jego manometru niebezpiecznie zbliżała się do zera. Wsiadł do małej łódki i skierował się z powrotem do biwaku. Noel Sloan usłyszał dźwięk zbliżającego się motoru i wiedział. Był tak pewien, że stało się to, co przeczuwał, że nie czekając na potwierdzenie, poszedł do Billa Stone'a i bez wstępów powiedział mu, że Rolf Adams nie żyje. W ciągu kilku minut pojawił się roztrzęsiony Smith, który potwierdził przeczucia Sloana.

Legendarny Amerykanin Sheck Exley, ojciec nurkowania jaskiniowego, a jednocześnie dobry przyjaciel Billa Stone'a, dotarł na miejsce, by wydobyć ciało Adamsa. Szczegółowa analiza sprzętu Adamsa dowiodła, że w obu jego butlach znajdowało się jeszcze mnóstwo powietrza, a jego automat pracował normalnie, podobnie jak oba automaty Smitha.

Jim Smith, odważny i zrównoważony, był wstrząśnięty tym doświadczeniem i po pewnym czasie całkowicie porzucił nurkowanie jaskiniowe. Do dziś śmierć Adamsa pozostaje zagadką. Wysuwano rozmaite przypuszczenia, łącznie z narkozą azotową, zatorem powietrznym i zwyczajną paniką. Żadna z tych teorii nie daje się obronić. Narkoza azotowa pojawia się zazwyczaj na głębokościach przekraczających 30 metrów; może do niej dojść na głębokości 23 metrów, czyli głębokości, na której znajdowali się

Adams i Smith w chwili wypadku, ale zdarza się to bardzo rzadko. Tętnicza embolia gazowa, medyczny termin określający pęcherzyki powietrza w krwiobiegu, może zniszczyć serce, płuca i mózg, ale zazwyczaj jest efektem rozszerzania się gazów oddechowych podczas zbyt szybkiego wynurzenia; Smith i Adams płynęli wspólnie prawie poziomym korytarzem. Zator może powstać również w wyniku wstrzymywania powietrza podczas wynurzenia, ale Adams był zbyt dobrze wyszkolony, by wstrzymać oddech podczas nurkowania. Co więcej, ofiary zatoru nie mają zazwyczaj poczucia, że „brakuje im powietrza”. Znacznie częściej wśród objawów występują drgawki i prawie natychmiastowa utrata przytomności. Panika wydaje się najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem. Jedno, co można stwierdzić z absolutną pewnością, to to, że rebreather Stone’a nie miał nic wspólnego ze śmiercią Adamsa.

Ostatecznie stwierdzono oficjalnie „śmierć przez utonięcie” z niewyjaśnionych przyczyn. Równie niejasne okoliczności towarzyszyły kolejnemu zgonowi, jeszcze bliżej związanemu z pracą Billa Stone’a. Rolf Adams był jednym z najbliższych przyjaciół Stone’a, a jego śmierć zrobiła na Stonie ogromne wrażenie. Wstrzymał wszystkie plany związane z wyprawą i poleciał do Australii, gdzie wygłosił mowę pożegnalną na pogrzebie Adamsa. Ojciec młodego człowieka namawiał Stone’a, by nie porzucił planów związanych z wyprawą w 1993 roku – była to ostatnia rzecz, której życzyłby sobie Rolf – ale Stone zrobił to mimo wszystko.

Po powrocie do domu przez wiele dni kręcił się bez celu w roztargnieniu, tracąc z pola widzenia swoją misję. Biorąc pod uwagę jego zachowanie, rozsądne byłoby oczekiwanie odmiennej reakcji od grotolazów, którzy oskarżali go wcześniej o brak wrażliwości na śmierć Chrisa Yeagera i snuli domysły po wypadku Pecela w 1989 roku. Niestety, sprawy potoczyły się w odwrotnym kierunku, a negatywne emocje ponownie skupiły na Stonie, który stał się obiektem zmasowanego ataku społeczności grotolazów. Niektórzy publicznie, i niesłusznie, insynuowali, że poświęcił życie swojego przyjaciela na ołtarzu projektu rozwoju rebreathera.

Stwierdzenie to nie padło dosłownie w artykule opublikowanym przez magazyn „Outside”, który ukazał się w listopadzie 1992 roku pod tytułem „Mroczne marzenia Billa Stone’a”¹¹; Bill Stone nie został w nim jawnie oczerniony. W tekście rzeczywiście uchwycono cechy osobowości Stone’a przynależne osobowości typu A: „Stone chodzi zawsze szybko i energicznie, czasem nawet podbiega, jakby ten, który zaprojektował dobowy rytm wszechświata, nie uwzględnił w nim odpowiedniej liczby godzin”. Napomknięto, że nie sprawdzał się idealnie w roli ojca rodziny: „Po dniu wypełnionym projektowaniem mostów poświęcał kilka minut na przywitanie się z rodziną, a następnie schodził ponownie do swojej pracowni”. Określono go mianem „obsesyjnego”.

Vetter, szanowany dziennikarz, opisał jednak wkład Stone’a w odkrywanie

superjaskiń, jego upór, wytrwałość i pomysłowość, dalekosiężne spojrzenie, „upartą wolę dania z siebie wszystkiego”. Zapytał Stone’a, czy kiedykolwiek czuł się zniechęcony, i usłyszał okraszoną śmiechem odpowiedź: „Czuję się tak mniej więcej raz w tygodniu”, co daje pewne wyobrażenie o ludzkim wymiarze Stone’a i jego poczuciu humoru. Był to, ogólnie rzecz biorąc, wyważony i sprawiedliwy wizerunek tego człowieka.

Vettera nie było wówczas, gdy zginął Adams, ale wypadek, opisany w najdrobniejszych szczegółach, był robiącą największe wrażenie częścią tekstu. Jasno stwierdzono, że Adams nurkował na pożyczonym konwencjonalnym sprzęcie, że nie był doświadczonym nurkiem jaskiniowym, a przyczyną jego śmierci była prawdopodobnie panika. Ostatni akapit dotyczył jednak nie Rolfa Adamsa, lecz Billa Stone’a, który dotarł do „punktu znajdującego się na drodze do wszystkich nieodkrytych miejsc i wymaga od odkrywcy braku czułości, która wyżej ceni nagrodę niż koszt sięgnięcia po nią – nieważne, jak wysoki”.

„Brak czułości, która wyżej ceni nagrodę niż koszt sięgnięcia po nią – nieważne, jak wysoki”. Co to właściwie miało znaczyć? Że Stone jest godny podziwu ze względu na nieugiętość, która zdolna jest przezwyciężyć wszystkie przeszkody? Czy też to, że dąży do celu po trupach swoich przyjaciół? Ten ostatni akapit, najistotniejsza zbitka słów w całym tekście, był jak jeden z tych dwuznacznych rysunków, które początkowo wydają się wazonem, by po chwili stać się profilami dwóch kobiet. Im dłużej patrzyłeś, tym trudniej było ocenić, co właściwie widzisz. Chyba że byłeś tym, którego najbliższy przyjaciel właśnie zginął. Wówczas obraz był ostry niczym ostrze włóczni.

Stone nie był jednak człowiekiem, którego mogły powalić tragedia i fala krytyki, choćby obie stały się źródłem ogromnego bólu. Plany dotyczące wyprawy do Huautli zaczęły się ponownie krystalizować i przygotowania do wyprawy wskoczyły ponownie na właściwe tory. W przeciwieństwie, niestety, do małżeństwa Stone’a. Pat Stone obserwowała tragedię na Florydzie z daleka, lecz z ogromnym niepokojem. Była w dużych jaskiniach i знаła wiele sposobów, które mogły zabić; wiedziała również, że nurkowanie jaskiniowe nieproporcjonalnie zwiększa ryzyko śmierci. Kiedy przestała towarzyszyć Billowi podczas wypraw – a nie towarzyszyła mu już od kilku lat – jego nieobecność i przygody zaczęły wydawać się jej nie tyle ekscytujące, ile wyczerpujące. Koszmarna śmierć Adamsa tylko pogłębiła jej niepokój.

Przez ponad dziesięć lat Pat Stone stała u boku swojego mężczyzny, troszcząc się o ich dom, dzieci, własną pracę i obserwując, jak kurczy się czas, który spędza z Billem, i jak rosną długi. Miała świadomość, że czas ich małżeństwa dobiega końca. Śmierć Rolfa Adamsa była kroplą, która przelała czarę. Wkrótce po powrocie Billa z Australii Pat postawiła sprawę otwarcie. Spokojnym, stanowczym głosem – Pat nie była skłonna do awantur – wyjaśniła mu, że marnuje życie i zaniedbuje ją i dzieci, a wszystko to dla

jakiejś zapadłej meksykańskiej dziury w ziemi. Następnie zażądała rozwodu.

¹⁰ Komora hiperbaryczna jest stalowym pomieszczeniem, w którym można stworzyć na sucho warunki wysokiego ciśnienia oddziałującego na nurków pod wodą (przyp. autora).

¹¹ *The Deep, Dark Dreams of Bill Stone.*

Dwa lata później, mniej więcej o północy w sobotę, 27 marca 1994 roku, Bill Stone był ponownie pod ziemią, śpiąc najgłębszym snem – zupełnie dosłownie – w biwaku 3 jaskini Huautla. Jego długo oczekiwana wyprawa do Huautli doszła w końcu do skutku, a zespół pracował w jaskini już od sześciu tygodni. Biwak 3 mieścił się 800 metrów pod ziemią, w odległości ponad 3 kilometrów od wejścia. Dobremu, silnemu grotolazowi dotarcie tam zajmowało dwa dni. Sala, w której został rozbity biwak 3, nosiła nazwę Sala Grande de la Sierra Mazateca albo SGSM. Komnata miała 60 metrów szerokości, 50 metrów wysokości i 200 metrów długości i powierzchnię całkowitą około 12 tysięcy metrów kwadratowych. Można byłoby zmieścić w niej siedem typowych domów z ogrodem.

Biwak nie spełniał może standardów domu z ogródkiem, ale w kategoriach jaskiniowych należałoby przyznać mu cztery gwiazdki. Miejsca do spania były gładkie i poziome, a siedzieć można było na czterech „tronach olimpijskich” skonstruowanych przez członków wyprawy z 1981 roku, którzy przytaszczyli wapienne płyty z całej komory i skonstruowali z nich coś na kształt prymitywnych krzeseł. Biwak był zarzucony niebieskimi i czerwonymi śpiworami, kuchenkami turystycznymi, wypolerowanymi garnkami i plastikowymi butelkami wypełnionymi jedzeniem w proszku; wszędzie piętrzyły się stosy sprzętu jaskiniowego i nurkowego.

Krótko po północy Stone’a obudził dźwięk przypominający brzęczenie łańcuchów. To był pobrzękujący sprzętem Kenny Broad wracający z biwaku 5 znajdującego się 170 metrów poniżej biwaku 3. Broad, mający wtedy 27 lat, był jednym z czołowych nurków jaskiniowych tej wyprawy. Normalnie Stone ucieszyłby się na jego widok, ale wyprawa nie szła tak dobrze, jakby tego oczekiwał. Rozdrażniło go wiele dni nieustannej pracy pod ziemią i próby podejmowane – jego zdaniem – bez entuzjazmu, choć sam starał się świecić przykładem, pracując w gorączkowym tempie. Jego irytację potęgowały świadomość zbliżania się pory deszczowej i obawa, że nie będzie w stanie w żadnej dającej się przewidzieć przyszłości zorganizować kolejnej wyprawy. Wszystko to nadwerężyło jego cierpliwość, więc nie był szczęśliwy, że ktoś znów wyrwał go ze snu, którego tak potrzebował. A jednak mimo wszystko pierwszą myślą, która pojawiła się w jego głowie, było: Nie jest dobrze.

Nie było. „Ian zaginął. Musimy natychmiast zorganizować wyprawę ratunkową” – powiedział Broad.

Ian Rolland, 29-letni sierżant Królewskich Sił Lotniczych, był partnerem nurkowym Broada. Rolland był drobnej budowy ciała, mierzył mniej więcej 167 centymetrów i ważył zaledwie 65 kilogramów, ale był niewiarygodnie silny. Był żonaty, miał trójkę dzieci i łagodny, zrównoważony charakter. Dysponował rzadką umiejętnością

prezentowania przeciwnego zdania bez stawania się, nawet w chwilach zdenerwowania. Zdecydowanie nie był zniewieściały – jego ostry sarkazm potrafił głęboko ranić, ale też pobudzać do śmiechu – ale bardzo często sam stawiał się w roli obiektu kpin. Wszystkie te cechy charakteru były nieocenione podczas długotrwałej wyprawy zmuszającej zarówno tych, którzy się lubili, jak i tych, którzy się nie trawili, do znoszenia swojej obecności na niewielkiej przestrzeni całymi tygodniami w warunkach stresu i zagrożenia.

Rolland był dla zespołu istotnym zasobem z punktu widzenia i psychologii, i umiejętności technicznych. Jego praca w RAF polegała na serwisowaniu myśliwców, co sprawiało, że doskonale czuł nafaszerowany techniką sprzęt w rodzaju zdublowanych, skomputeryzowanych, eksperymentalnych rebreatherów. Ian Rolland obciążył tę wyprawę tylko jedną pozycją po stronie zobowiązań: rok wcześniej zdiagnozowano u niego cukrzycę insulinozależną¹². Większość ludzi skłoniłoby to do całkowitego zaprzestania nurkowania, nie wspominając już o nurkowaniu jaskiniowym, ale nie tego nieustraszonego młodego Szkota, który nauczył się opanowywać swoją cukrzycę zastrzykami z insuliny i odpowiednią dietą.

Urodzony w Miami Broad miał większe doświadczenie nurkowe niż jakikolwiek inny członek wyprawy, wynikające między innymi z pracy jako kaskader nurkowy w przemyśle filmowym. Był szczupły, a jego ogorzałe, opalone policzki porastał zawsze niechlujny rudy zarost. Miał ogromną potrzebę osiągnięć. Był licencjonowanym kapitanem amerykańskiej straży przybrzeżnej, ratownikiem medycznym i operatorem komory hiperbarycznej. Robił doktorat z antropologii na Uniwersytecie Columbia. Mimo wszystkich swoich osiągnięć Broad nie puszył się i nie wynosił. Z natury nonszalancki, uwielbiał opowiadać dowcipy i serwować wyrafinowane riposty. Stone uważał go za głównego mądralę w zespole.

Rolland i Broad nie mieli okazji spotkać się przed rozpoczęciem wyprawy, ale szybko zawiązali przyjaźń. Byli najmłodsi w zespole, dzielali upodobanie do ciętego humoru i umiejętność posługiwania się nim dla rozładowania napięcia. Każdy uznawał drugiego za mistrza w tej niebezpiecznej grze, co zaowocowało obopólnym szacunkiem. Ze względu na ryzyko i ograniczoną przestrzeń eksploracja jaskiń była jednym z tych wymagających sportów, które potrafiły – podobnie jak walka, praca w policji czy wspinaczka wysokogórska – zantagonizować ludzi w ciągu kilku godzin lub ułatwić zacieśnienie więzów przyjaźni, która w innych okolicznościach dojrzewałaby latami.

Ta dwójka wspólnie z trzema innymi członkami wyprawy 23 marca rozpoczęła nurkowanie z biwaku 5. Ich celem – celem całej ogromnej wyprawy – było znalezienie drogi prowadzącej przez syfon San Agustín, zalany tunel, który powstrzymywał wszelkie próby dalszej eksploracji od 1979 roku. To było nurkowanie jaskiniowe

w najbardziej wymagającej postaci. Po pierwsze, warunki bytowania na głęboko położonym biwaku były koszmarne. W tym miejscu ściany jaskini opadały prosto w wody syfonu. Nie dysponując żadną poziomą powierzchnią, którą mogliby zająć, grotolazi zawiesili na kotwach wwierconych w ściany Huautli kilka czerwonych, nylonowych, obramowanych aluminium platform o nazwie portaledge. Te sztywne wiszące platformy podobne do tych, które stosowali wspinacze wysokogórscy, nie były większe niż drzwi wejściowe przeciętnego domu. Nurkowie całe dni spędzali na tych sztucznych półkach. Funkcję łazienki pełniła plastikowa torba na śmieci. Niektórzy, jak Broad, zawieszali na skalnych ścianach hamaki, ale przypominało to spanie w worku na zwłoki.

W powietrzu unosiła się wodna mgiełka, przez co platformy stawały się śliskie i łatwo było z nich spaść. Obudziwszy się pewnej nocy za potrzebą, Broad podpełznął do krawędzi platformy i wysikał się do płynącego poniżej strumienia. Nie włączył latarki, żeby nie zużywać karbidu i baterii. W ciemnościach przesunął się ostrożnie z powrotem w kierunku swojego hamaka. Przekonany, że dotarł na miejsce, usiadł, ale nawigacja go zawiodła. Hamak przekręcił się i wysłał go w przestrzeń. Uderzył głową w nierówną ścianę jaskini. Zaskoczony i ogłuszony zaczął spadać z platformy. Niczym Indiana Jones zdołał chwycić jedną z lin, na których portaledge zwieszał się ze ściany jaskini. Wisząc w ciemnościach na jednej ręce 3 metry nad lustrem wody, Broad zaczął krzyczeć, ale jego wołanie o pomoc utonęło w huku wodospadu. Czując, że nie jest w stanie utrzymać się dłużej, zdał sobie sprawę, że musi coś wymyślić, i to szybko, inaczej spadnie i zniknie w żarłocznej paszczy jaskini. Rozkołysał ciało, machając w ciemnościach wolną ręką, i szczęśliwie zdołał chwycić jedną z pozostałych lin, na których wisiała platforma. Resztką sił wciągnął się z powrotem na platformę i padł na brzuch, dysząc i trzęsąc się z emocji, oszołomiony bólem, kompletnie zaskoczony faktem, że prawie zginął w superjaskini, ale nie podczas nurkowania, lecz wypadając z łóżka.

W biwaku 5 nikt tak naprawdę nie spał. Piętnaście metrów w górę strumienia huczał gigantyczny wodospad, a skalna komnata zwielokrotniała jego łoskot. Równie dobrze w pobliżu mógłby pracować silnik rakietowy – i nie było żadnego sposobu, by go wyłączyć. Mieszkańcy biwaku 5 musieli wrzeszczeć ile sił, żeby w ogóle się usłyszeć, co szybko prowadziło do bólu gardła i zapalenia krtani. Ze względu na wodospad w powietrzu o temperaturze 17 stopni unosiła się wodna mgiełka, przez co biwak przypominał kabinę z zimnym prysznicem, w którym woda nigdy nie przestaje się lać. Biorąc wszystkie te okoliczności pod uwagę, nawet krótki pobyt w tym miejscu był wyczerpujący i ogłupiający.

Wszystko to poprzedzało wejście nurków do wody. Pod powierzchnią widoczność była słaba, półtora, najwyżej dwa i pół metra, a temperatura wody nie przekraczała 18

stopni. Syfon skręcał się i zawracał niczym obłąkany robal – to było potworne, jak ocenił jeden z nurków. Wszyscy byli świadomi, że jeśli któregokolwiek nurka dotknie jedna z wielu możliwych dolegliwości nurkowych – choroba dekompresyjna, zatrucie tlenem, zator powietrzny, barotrauma płuc – lub jeśli dozna obrażeń w wyniku upadku z platformy, odległość dzieląca ich od wejścia do jaskini i jakiegokolwiek wsparcia jest tak duża, że równie dobrze mogliby znajdować się po niewidocznej stronie Księżyca. Do poranka 26 marca wspomniane czynniki wyeliminowały z gry trzech doświadczonych nurków, którzy ruszyli na powierzchnię, pozostawiając nad syfonem Broada i Rollanda.

Tego popołudnia około czwartej Broad pomógł Rollandowi wślizgnąć się do szarozielonej chłodnej wody. Nurkowanie z systemem obiegu zamkniętego, noszącym w tym momencie nazwę MK-IV, nie było kwestią wskoczenia do wody i szybkiego zanurzenia się, jak w przypadku tradycyjnego sprzętu. Rebreathery były bardzo skomplikowane, więc po to, by uniknąć powtórnego wypadku podobnego do tego Brada Pecela, nurkowie musieli przejść długą procedurę sprawdzania wszystkich systemów analogiczną do procedury, którą przechodzą piloci, zanim wzbiją się w powietrze. Sprawdzenie wszystkich systemów angażowało dwie osoby i trwało co najmniej piętnaście minut.

W końcu Rolland przekręcił zawór czarnego ustnika o 90 stopni, uruchamiając system odzyskiwania gazu urządzenia. Powietrze popłynęło do jego ust, a on zanurzył się i popłynął na południe w kierunku sali określanej mianem dzwonu powietrznego, którą Broad odkrył poprzedniego dnia. Dotarcie do komory powinno zająć mu około 30 minut. Broad usadowił się w biwaku 5, by czekać na powrót partnera.

W syfonie Rolland popłynął wzdłuż białej linki spadochronowej, którą Broad rozpiął dzień wcześniej podczas swojego nurkowania. Płynąc w kierunku dzwonu powietrznego, zdecydowany odkryć to, co leżało za nim, Rolland z pewnością odbywał właśnie jedno z najciekawszych nurkowań swojego życia. Było cicho. Rebreather nie wypuszczał bąbelków, wydawał jedynie ledwo słyszalny syk podczas wdechu i wydechu. W piance było mu całkiem ciepło. Widoczność była dość kiepska, maksymalnie dwa i pół metra, ale zdarzała się już gorsza.

O czwartej trzydzieści skalny strop ponad głową Rollanda zaczął łagodnie unosić się ku górze. Popłynął w tamtą stronę i wkrótce zobaczył srebrzyste refleksy na powierzchni wody. Wynurzył się i wypełził na czworakach na błotnistą mierzęję. Od biwaku 5 dzieliło go 430 metrów. Powietrze wydawało się ciepłe i duszne. W świetle latarki zobaczył łagodnie zakręcający korytarz mający 12 do 15 metrów szerokości, 12 metrów wysokości i 90 metrów długości. Na całej długości sali ciągnęły się wąskie mielizny niczym kapki musztardy. Woda i powietrze nie poruszały się, a w komnacie nie było słycać nic z wyjątkiem jego oddechu. Aby zaoszczędzić cenny gaz podczas

pobytu na powierzchni, Rolland wyłączył automatyczny zawór dodawczy tlenu swojego rebreathera. Zaoszczędził w ten sposób najwyżej kilkadziesiąt oddechów. Tam w dole tych kilkadziesiąt oddechów mogło wyznaczyć granicę między życiem a śmiercią, a Rolland, człowiek zapobiegliwy z natury i pedantyczny z zawodu, wyłączył dopływ tlenu automatycznie.

Rebreather MK-IV Rollanda był najlżejszą z dotychczasowych wersji, ale przy wadze 43 kilogramów nadal ważył zdecydowanie więcej niż piórko. Reszta sprzętu miała dobrych 20 kilogramów, całość sprzętu ważyła więc mniej więcej tyle, ile jego użytkownik. Było to ogromne obciążenie, biorąc pod uwagę to, że sprawni turyści wędrujący z plecakami posługują się złotą zasadą, zgodnie z którą plecak może ważyć najwyżej jedną trzecią wagi ciała swojego właściciela. Przebrnięcie całej komory z płetwami w rękę wymagało ogromnego wysiłku. Rolland odpoczywał po drugiej stronie, ale niezbyt długo. Jego komputer zarejestrował zaledwie 12-minutową przerwę pomiędzy nurkowaniami. O godzinie 16.46 ponownie wsunął się do wody. Z jakiegoś powodu nie otworzył jednak ponownie zaworu umożliwiającego dopływ tlenu do obiegu rebreathera. W przypadku tradycyjnego sprzętu nurkowego popełnienie takiego błędu nie byłoby możliwe. Ten znacznie prostszy sprzęt pozostawia jedynie dwie opcje: powietrze albo brak powietrza. Tradycyjnie wyposażeni nurkowie upewniają się, że mają powietrze, biorąc kilka próbnych wdechów przed zanurzeniem. Bardziej skomplikowany rebreather miał kilka możliwości, a jedną z nich było oddychanie przez pomyłkę gazem bez domieszki tlenu.

Dlaczego Ian Rolland, światowego formatu gracz w tę śmiertelną grę, nie dopilnował tej kluczowej kwestii, zanurzając się ponownie pod wodę? Trudno wyrokować. Był podniecony i zmęczony, być może w wyniku wysiłku fizycznego poziom cukru w jego krwi spadł znacznie poniżej normy. Niezależnie od powodów – prawdopodobnie wystąpiły wszystkie trzy czynniki jednocześnie – od tego momentu każdy oddech obniżał poziom tlenu w jego krwi i zwiększał jej wysycenie dwutlenkiem węgla.

Zanurzwszy się w wodzie, Rolland skręcił w lewo i przepłynął około 9 metrów w kierunku wschodniej ściany syfonu. W tym miejscu tunel nie był całkowicie zalany, więc unosząc się na brzuchu, przymocował poręczówkę do występu skalnego znajdującego się zaledwie 60 cm pod powierzchnią wody. Następnie skręcił w prawo i pokonał wzdłuż ściany kolejnych 15 metrów, gdzie ponownie zamocował linkę.

Odepchnął się i zaczął ponownie płynąć na południe, ale wówczas coś się wydarzyło. Uderzenie było szybkie i natychmiastowe – to wiadomo na pewno. Być może był to brak tlenu. Bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest jednak, biorąc pod uwagę jego cukrzycę, ostra hipoglikemia, gwałtowny spadek poziomu cukru we krwi, który mógł doprowadzić do szoku insulinowego.

Istnieje wiele opisów napadów hipoglikemii, których źródłem są ofiary mające tyle

szczęścia, by przeżyć. Jeśli – a jest to wielki znak zapytania z powodów, które za moment staną się jasne – Rollanda dopadło właśnie to, mógł doświadczyć zwiotczenia mięśni i zaburzenia widzenia. Poczuł gwałtowny niepokój, którego rzadko doświadczał podczas nurkowania. Puls i częstość oddechów gwałtownie wzrosły, kiedy z wysiłkiem zawrócił w stronę mielizny, płynąc wąskim, mrocznym tunelem oświetlanym jedynie jego latarką. Od piaszczystej plaży dzieliło go zaledwie 15 metrów. Z pewnością był w stanie tam dotrzeć. Z pewnością.

¹² Cukrzyca typu 1 (cukrzyca insulinozależna, wynikająca z bezwzględnego braku insuliny) nazywana jest cukrzycą młodzieńczą, ponieważ zapadają na nią ludzie młodzi oraz małe dzieci. W 10% przypadków wykrywa się ją przed 14. rokiem życia. Wymaga podawania insuliny w postaci zastrzyków w przeciwieństwie do cukrzycy insulinozależnej, leczonej środkami doustnymi.



Denis Prowałow
fot. Kota 1000

Do godziny 22.00 Rolland nie powrócił do biwaku 5. O tej godzinie, jak wcześniej uzgodnili, Broad miał wspiąć się do biwaku 3 po pomoc, co uczynił. Teraz, wczesnym rankiem 27 marca, Stone i Broad zgromadzili pozostałych w biwaku 3 Dona Broussarda, Roba Parkera i Jima Browna. W grupie znalazła się również dziewczyna Stone'a, 34-letnia Barbara am Ende. Była szczupłą, wysoką i bardzo atrakcyjną blondynką, a krótka fryzura (krótkie włosy nie zaplątywały się w drabinki zjazdowe i przyrządy zaciskowe) nie ukrywała jej urody, lecz ją podkreślała.

Stone, wówczas czterdziestolatek, i am Ende poznali się podczas wyprawy ratunkowej w jaskini w Wirginii Zachodniej w 1992 roku. Nie od razu przypadli sobie do gustu. Stone cieszył się już reputacją wybitnego odkrywcy jaskiń, a kiedy dowiedział się, że członkiem wyprawy ratunkowej będzie kobieta, nie krył sceptycyzmu, otwarcie okazując go am Ende. Nie posunął się jednak do wyrzucenia jej ze składu ekipy, co okazało się słuszną decyzją, ponieważ am Ende i Stone byli pierwszymi grotolazami, którzy dotarli do uszkodzonego nurka.

Na Stonie zrobiło to duże wrażenie. Następnego ranka został dłużej w obozie, by ją poderwać. No, tak jakby. Stone zdecydowanie nie był typem gaduły. Podryw w jego wykonaniu polegał na serii krótkich, ostrych pytań o jej doświadczenie jaskiniowe, które sprawiały wrażenie przesłuchania przed werbunkiem do składu wyprawy. W jakimś sensie to rzeczywiście było przesłuchanie. Am Ende czuła się nie tyle zainteresowana, ile wściekła, ale mimo wszystko energia Stone'a, jego siła i umiejętności zrobiły na niej wrażenie. Wydawało się, że Stone generował rodzaj pola elektromagnetycznego, które było odczuwane zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety, mających okazję przebywać w jego towarzystwie. Było to, choć to może nie najszcześliwsze słowo, podniecające.

Prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że nie nadaje się do odgrywania roli podrywacza, Stone chyłkiem wsunął swoją wizytówkę do jednego z plecaków am Ende. Znalazła ją po powrocie do domu i zrozumiała, że przeszła przynajmniej przez pierwsze sito.

Były oczywiście kolejne. Stone opłakiwał utratę rodziny – on i Pat byli w separacji, sprawa rozwodowa w toku – i nie chciał ponownie przez to przechodzić. Każda kobieta, z którą się od tej pory związał, musiała nadażać za nim zarówno na powierzchni, jak i pod nią. Oznaczało to konieczność bycia kompetentnym grotolazem i bycia sprawną fizycznie – bardzo sprawną. Stone wiedział, że wyprawy jaskiniowe, a zwłaszcza nurkowanie jaskiniowe, wymagały nadzwyczajnej sprawności fizycznej i ciężko pracował nad swoją kondycją, biegając, jeżdżąc na rowerze i podnosząc ciężary. Am Ende przeszła również ten test. Była szczupła i wysportowana, każdego dnia na rowerze pokonywała drogę z mieszkania na zajęcia i regularnie biegała.

Wkrótce zaczęli do siebie dojeżdżać. Stone pojechał na Uniwersytet Karoliny Północnej na Chapel Hill, gdzie am Ende robiła doktorat z geochemii morskiej. Am Ende zrobiła pięciogodzinną trasę na północ do nowego domu Stone'a – on sam nie mieszkał już w rodzinnej rezydencji – w Gaithersburgu w stanie Maryland, na przedmieściu Waszyngtonu, gdzie Stone nadal pracował dla amerykańskiego rządu. Ich relacja pogłębiała się z upływem miesięcy. Barbara am Ende była pasjonatką jaskiń, prawie dotrzymywała kroku Stone'owi i w dodatku była urocza. Uważała, że wysoki, silny, niesłychanie pewny siebie Stone był fascynujący i podziwiała jego osiągnięcia. Do tego jej spokojna, zrównoważona osobowość świetnie uzupełniała jego zaangażowanie.

Pod koniec stycznia 1994 roku am Ende spakowała swoje rzeczy i wyprowadziła się z Chapel Hill, by zamieszkać ze Stone'em. Niecałe trzy tygodnie później wyjechali wspólnie do Huautli. Dla Stone'a miała to być największa i najbardziej ambitna wyprawa, dla am Ende – pierwsza superjaskinia w jej życiu.

Jak się okazało, am Ende była jedyną kobietą w zespole, co od początku powodowało problemy. Jej obecność przeszkadzała niektórym mężczyznom, zwłaszcza Steve'owi Porterowi, który mówił otwarcie, że am Ende jest nowicjuską. Podczas jednego ze spotkań zespołu, na którym nie znalazła się am Ende, Porter powiedział: „Bądźmy szczerzy. Nie byłoby jej tutaj, gdyby nie była dziewczyną Stone'a”.

Nie była to do końca prawda i am Ende miała swoich obrońców. Jednym z nich był doświadczony grotolaz Tom Morris, biolog z Florydy.

„Ona jest wymarzoną partnerką dla niego – powiedział. – Wysoka blondynka będąca geologiem i grotolazem, która jest w stanie nurkować na jego rebreatherach. Szczęściarz z pieprzonego Billa”.

Am Ende była nurkiem jaskiniowym, choć dość świeżo upieczonym; zaledwie rok wcześniej otrzymała podstawowe uprawnienia nurkowe. Była również pierwszą w szeregu młodych, bardzo atrakcyjnych kobiet, które Bill Stone zabierał ze sobą do jaskiń. Ten zwyczaj nasuwał porównanie z Reinholdem Messnerem, który zabierał piękne, młode kobiety na niektóre ze swoich najsłynniejszych wejść. Podczas solowego wejścia na Everest bez tlenu w sierpniu 1980 roku jego kochanka Nena Holguin czekała na niego w namiocie, służąc pomocą, kiedy powrócił kompletnie wyczerpany ze szczytu.

Brudna i wyczerpana obsada biwaku 3 wysłuchała wyjaśnień Broada. Wokół stało siedmiu ludzi – mokrych, ubłoconych, otępiałych ze zmęczenia, bladych, śmierzących pleśnią i odchodami, rzucając w ciemność białe kręgi światła pochodzącego z karbidowych lamp zamontowanych na kaskach z włókna szklanego. Była to jedna z tych sytuacji, do których nie mogło ich w pełni przygotować nawet wieloletnie wyszkolenie czy doświadczenie. Tutaj w dole, podobnie jak w życiu, linia dzieląca

szczęście i grozę była bardzo cienka. Jednak na powierzchni nieszczęśliwy obrót zdarzeń można było złagodzić, zwracając się o pomoc do przyjaciół, rodziny, księży, policji czy lekarzy. Tutaj to oni byli jedyną deską ratunku. Nikt nie był w stanie udzielić im pomocy.

Istniały ku temu dwa powody. Po pierwsze, od powierzchni ziemi dzielił ich co najmniej dzień wspinaczki. Wiadomość o nieobecności Rollanda dotarła do nich wraz z Broadem, a prośba o pomoc nie mogła dotrzeć na powierzchnię ziemi szybciej niż niosący ją posłaniec. Wspinacze wysokogórscy korzystali z łączności radiowej już w latach sześćdziesiątych, a nurkowie posługiwali się komunikacją głosową na długo przedtem. Radionadajniki są jednak bezużyteczne pod powierzchnią ziemi, ponieważ fale radiowe nie są w stanie przeniknąć przez litą skałę. Jeszcze w 2002 roku informacja w jaskiniach była przekazywana jak w zamierzchłych czasach, kiedy to ludzie nie potrafili jeszcze przemieszczać się konno – innymi słowy, w tempie marszu. Nawet nie biegu, ponieważ jaskinie nie nadają się do szybkiego chodu. Stone zauważył kiedyś, że gdy z głębokich biwaków wysyłałeś listę rzeczy do zrobienia, goście na wyższych biwakach zaczynali się zastanawiać, o co właściwie chodzi. Zanim z głębszego biwaku nadeszła potwierdzająca odpowiedź, ci na wyższych zapominali już, o co pierwotnie chodziło; a tymczasem minął tydzień.

W tej kryzysowej sytuacji Stone nie miał wyboru. Mógł albo opóźnić rozpoczęcie wyprawy ratunkowej, narażając życie Rollanda, albo zaryzykować życie innych, natychmiast ruszając z pomocą. Podczas rozmowy z zespołem posłużył się zimną logiką inżyniera, by przedstawić im dostępne opcje. Jeśli Ian nie żyje, sprawa jest zamknięta i nie ma powodów do pośpiechu. Brzmi koszmarnie, ale taka jest prawda. Jeśli żyje, a jednak nie wrócił, najwyraźniej potrzebuje pomocy. Jeśli żyje – innymi słowy, nie utonął – znajduje się na suchym lądzie, pozostawiony na razie samemu sobie, ale bezpieczny. Jeśli tak jest rzeczywiście, muszą go uratować. Aby to jednak zrobić, co najmniej jeden z nich będzie musiał zanurkować w 400-metrowym syfonie, a żeby to zrobić, będą musieli złożyć drugi z rebreatherów wyprawy, a to jest piekielnie wymagającym, obliczonym na wiele godzin zadaniem, trudnym do wykonania nawet na powierzchni, w jasnym świetle dnia, w sterylnych warunkach. Tutaj na dole, jeśli spieprzą chociaż jedną rzecz na tysiąc, kolejny człowiek może zginąć. Ludzie ogłupiali w wyczerpania nie mogli składać w pośpiechu całej tej aparatury. Potrzebowali kilku godzin odpoczynku.

Zbulwersowany Broad natychmiast stanowczo zaoponował. On i Ian stali się bliskimi przyjaciółmi i, znając objawy typowych nurkowych dolegliwości, mógł sobie doskonale wyobrazić, jak może czuć się samotny Ian w zimnych ciemnościach, zmagając się z bólem choroby dekompresyjnej, unieruchomiony jakąś powierzchowną raną albo

osłabiony i umierający z powodu cukrzycy. Broad nie był w stanie pogodzić się z odkładaniem wyprawy ratunkowej, lekceważył ryzyko i powiedział zdecydowane „nie”. Decyzja nie należała jednak do niego.

Stone zdecydował, że wszyscy prześpią się kilka godzin, a potem zejdą do biwaku 5, by zorganizować akcję ratunkową. Tak jak powiedział, jeśli Ian utonął, nic nie mogli już zrobić, choć nie była to ewentualność, którą ktokolwiek chciałby dłużej rozważać. Śmierć przez utonięcie jest okrutna. Do walki o życie wkracza jeden z dwóch najpotężniejszych odruchów samozachowawczych organizmu. Uwięziony pod wodą, wstrzymujesz oddech tak długo, jak jest to możliwe, a chęć odetchnięcia, która jest początkowo tylko szeptem w twojej klatce piersiowej, po chwili staje się krzykiem rozsadzającym czaszkę. W miarę, jak krew w coraz większym stopniu wysyca się dwutlenkiem węgla, zaczynają się skurcze i spazmy. Szara mgła ogranicza pole widzenia. Wszystko jest ostatecznie kwestią chemicznych przemian. Kiedy wszystko, co widzisz, staje się tylko plamką światła w tunelu, a pięści i stopy są zaciśnięte jak podczas orgazmu, otwierasz usta, lecz nie po to, by krzyknąć, lecz po to, by bezwolnie zaczerpnąć powietrza. Większość ofiar utonięć osiąga ten punkt po mniej więcej 90 sekundach, co w sytuacjach skrajnych wydaje się ciągnąć w nieskończoność. W końcu płuca napełniają się wodą, a ciało osiąga ujemną pływalność i powoli zaczyna tonąć, zapadając się w wieczność. Być może nie ma dobrego sposobu umierania, ale niektóre są niewątpliwie gorsze od innych.

Dwudziestego ósmego marca o piątej rano, po kilku godzinach wątpliwego wypoczynku, Bill Stone, Kenny Broad i trzech innych grotolarzy zeszło do biwaku 5, gdzie złożyli drugi rebreather będący do dyspozycji członków wyprawy. Tuż po dwunastej w południe Broad założył sprzęt i zniknął w syfonie. Dotarł do dzwonu powietrznego o godzinie 12.45. Oświetlił korytarz i znalazł ślady stóp prowadzące na mieliznę. Podążył za nimi do miejsca, w którym piaszczysta łacha schodziła w czystą wodę o głębokości mniej więcej 3 metrów. Zanurzył się i popłynął, śledząc dno na dystansie mniej więcej 15 metrów. A potem krąg światła objął Iana Rollanda leżącego bez ruchu na piaszczystym dnie. Jego maska i reszta sprzętu były na swoim miejscu, nieruszone. Na konsoli rebreathera błyskała czerwona lampka. Nie było śladów walki.

Broad miał zamiar przeprowadzić nurkowanie rekonesansowe, a nie śledcze, więc nie wziął tabliczki, na której mógłby zanotować pod wodą jakiegokolwiek szczegóły; nie dotykając niczego, skierował się z powrotem do biwaku 5. Czekający na jego powrót Bill Stone zauważył zbliżające się światło. Broad wynurzył się, wypłuł ustnik rebreathera i zdjął maskę.

„Ian utonął” – powiedział.

Mówiąc przede wszystkim za siebie, Stone zauważył kiedyś, że jeśli jacyś ludzie zginą,

próbując dotrzeć na Marsa czy na Księżyc szybciej niż pozwala na to natura badań kosmicznych, cóż, nie ma problemu, ich miejsce zostanie zajęte przez kolejnych ochotników. Ci, którzy znają Stone'a, niezależnie od tego, czy go lubią, czy nie, powiedzą, że jest to człowiek o niewyobrażalnej sile woli. Determinacja właściwa ludziom pokroju Shackletona przysłużyła się w tej sytuacji i jemu, i całej reszcie. Przekuwając żal po stracie Rollanda na energię do działania, zajął się organizacją wydobywania ciała. Zatrzymał przy sobie Kenny'ego Broada, a pozostałą trójkę wysłał na górę po pomoc. Wydobywanie ciała Rollanda z jaskini wymagało zaangażowania licznego zespołu, ale Ian musiał zostać wydobyty. Stone dobrze pamiętał kontrowersje wokół śmierci Chrisa Yeagera. Zanim można było zacząć zastanawiać się nad sposobem przetransportowania ciała Rollanda na powierzchnię, trzeba było wyciągnąć je z syfonu. Stone wiedział, że będzie to najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze zadanie, przed którym stanął kiedykolwiek którykolwiek z nich. Ponieważ był kierownikiem wyprawy i jednym z najbardziej doświadczonych nurków, zadanie to spadło na niego.

Nurkowanie jaskiniowe ze swej natury jest sportem niezwykle niebezpiecznym; wydobywanie z jaskiń ciał jest jeszcze gorsze. Po pierwsze, nurkowie umierają zazwyczaj w najbardziej problematycznych fragmentach jaskini. Po drugie, miotający się w śmiertelnych spazmach nurek zaplątuje się często we własną linkę, która łącznie ze wszystkimi innymi poręczówkami rozpiętymi w jaskini tworzy śmiertelną pajęczynę, czekająca tylko na to, by schwytać w pułapkę ratowników. Żywy nurek może przecisnąć się przez niebezpiecznie ciasne korytarze; niektóre spośród nich wymagają odpięcia butli, przeciśnięcia jej przodem, przeciśnięcia się za nią i przypięcia jej z powrotem. Przepchnięcie ciała martwego nurka przez tego rodzaju miejsca (ze względu na dochodzenie policyjne na powierzchni musi znaleźć się zarówno ciało, jak i sprzęt nurka) jest niezwykle trudne, wyczerpujące i grozi uszkodzeniem sprzętu ratownika. Podczas tego rodzaju wygibasów nieuchronnie podnosi się ogromna ilość osadu, przez co prawie każda akcja wydobywania ciała przebiega w warunkach zerowej widoczności, co potęguje wszystkie pozostałe czynniki ryzyka.

Około ósmej trzydzieści następnego ranka Stone założył swój typowy sprzęt nurkowy i kilka dodatkowych elementów potrzebnych do wykonania zadania: kilka karabinków niezbędnych do przymocowania ciała Iana do jego własnego i kilka pasków do związania nóg i rąk zmarłego, gdyby w wyniku stężenia pośmiertnego wygięły się w dziwny sposób. Przenurkował syfon, pokonał mieliznę i znalazł ciało swojego przyjaciela. Rolland leżał na prawym boku, twarzą w kierunku korytarza, 15 metrów w głąb drugiego syfonu. Jego czerwony plastikowy kołowrotek jaskiniowy spoczywał na dnie, w odległości dwóch i pół metra od ciała. Jak zauważył Kenny Broad, ułożenie ciała po śmierci nie sprawiało wrażenia, że Rolland utonął; w takim przypadku można dostrzec ślady szaleńczej walki: zerwana maska, sprzęt w nieładzie, poranione ręce, zaplątanie nurka w jego własną poręczówkę, wzburzony osad, który po jakimś czasie osadza się na ciele ofiary. Stone nie zauważył niczego takiego. Maska Rollanda była na swoim miejscu, ręce nie nosiły śladów zadrapań, ustnik rebreathera zwisał swobodnie, wypuszczając powoli strumień bąbelków. Oba automaty zapasowe były na swoim miejscu i oba działały. Cztery z pięciu butli, które miał na sobie, były pełne albo prawie pełne.

Co zatem zabiło Rollanda? Hiperkapnia, nadmiar dwutlenku węgla w organizmie, była jedną z możliwych, lecz mało prawdopodobnych przyczyn. Na potrzeby tego nurkowania Rolland metodycznie wymienił absorbent, który odpowiadał za oczyszczanie wykorzystywanego ponownie gazu z dwutlenku węgla. Innym możliwym winowajcą był szok insulinowy wywołany hipoglikemią. Przemierzanie piaszczystej łąchy po nerwowym nurkowaniu przez syfon, z ładunkiem o ciężarze 64 kilogramów, mogło skończyć się szokiem insulinowym.

Była wreszcie hipoksja, czyli niedobór tlenu w tkankach. Hipoksja powoduje śmierć poprzez zatrzymanie wszystkich normalnych procesów metabolicznych, ale komórki mózgu narażone są na większe ryzyko niż wszystkie pozostałe. Ponieważ mózg staje się pierwszym organem dotkniętym hipoksją, nurek może stracić przytomność, zanim dostrzeże jakiegokolwiek inne objawy. Podobnie jak w przypadku hiperkapni, hipoksja może zabić, zanim ofiara zorientuje się, że coś jest nie tak. Dane odczytane później z konsoli obiegu zamkniętego zdecydowanie sugerują, że to nie hipoksja zabiła Rollanda. Ale wówczas członkowie wyprawy nie dysponowali tą informacją.

Stone odnotował informacje na wodoodpornych tabliczkach, a potem wciągnął Rollanda, jego sprzęt i siebie samego – wszystko łącznie ważyło niemal 300 kilogramów – na mieliznę i z powrotem na jej dalszy koniec. Aby wydobyć ciało, musiał przypiąć je do swojej uprząży piersiowej, zbliżając twarz Rollanda do swojej na odległość kilkunastu centymetrów na czas trwania nurkowania; jasne światła na kasku Rollanda oświetlały im drogę. Noel Sloan, który wydobył z jaskiń wiele ciał, powiedział kiedyś Stone'owi: „Jeśli musisz to zrobić, odwróć kaptur pianki”. Stone zastosował się do rady Sloana.

Kiedy już ciało zostało do niego bezpiecznie przypięte, Stone wczuł się do wody i wyruszył w drogę powrotną. Opanowanie pływalności w wodach otwartych jest najtrudniejszą dziedziną nurkowania. Opanowanie pływalności dwóch ciał, z których jedno jest martwe, w syfonie jaskini jest w zasadzie niemożliwe. Stone nieprzewidywalnie unosił się w kierunku stropu jaskini i odbijał od dna, za każdym razem wzniesając chmury osadu. Dwukrotnie stracił kontakt z poręczówką. W zalanym, wypełnionym zawiesziną tunelu o szerokości prawie 30 metrów i długości 400 metrów mogło to oznaczać wyrok śmierci. Dwukrotnie Stone'owi udało się odnaleźć zbawienną poręczówkę. Czasem rzeczywiście odważnym szczęście sprzyja.

O wpół do dwunastej Stone wynurzył się w biwaku 5. Natychmiastowe badanie rebreathera, podobnie jak późniejsza, znacznie bardziej szczegółowa analiza laboratoryjna, wykluczyło w zasadzie nieprawidłowe funkcjonowanie MK-IV jako przyczynę śmierci Rollanda.

Bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem była cukrzyca Rollanda. Znajdował się pod wodą przez dłuższy czas i być może cierpiał na lekką hipoglikemię już wówczas, gdy wchodził do syfonu 2. Jeśli jednak to właśnie było przyczyną, niedobór cukru zabił go zdumiewająco szybko, tak szybko, że nie miał nawet czasu na zjedzenie batonika energetycznego – kiedy Stone go znalazł, dwa batoniki, które nosił ze sobą Rolland, znajdowały się nadal w kieszeni udowej jego pianki. Niestety, nawet ten wniosek nie doczekał się potwierdzenia, ponieważ zaawansowanie procesu rozkładu ciała uniemożliwiło testy pod kątem szoku insulinowego. Ocena wydana przez zakład medycyny sądowej pogłębiła jedynie wątpliwości dotyczące śmierci, która i bez tego

owiana była tajemnicą: sekcja zwłok nie wykazała śladu wody w płucach Rollanda. Oficjalna przyczyna śmierci została zdefiniowana jako „utrata przytomności w wyniku zanurzenia w wodzie”. Orzeczenie to nie było ani odrobinę bardziej satysfakcjonujące niż to, które zostało opublikowane po wypadku Rolfa Adamsa.

Wyciągnięcie ciała Rollanda z jaskini zajęło pięć dni. Owinęte w plastikową plandekę zalewało swoich wydobywców płynnymi produktami rozkładu; potworna głowa została osłonięta kapturem z pianki. Pogłoski o śmierci szybko rozeszły się wśród pozostałych członków wyprawy, a potem w całej okolicy. Zanim drużyna ratowników wyszła na powierzchnię, ludzie snuli już domysły, że to eksperymentalny skomplikowany rebreather zabił Iana Rollanda, jednego z najlepszych na świecie nurków jaskiniowych i jednego z najbardziej lubianych członków wyprawy.

Śmierć była kiepską informacją dla zespołu, który już wcześniej miał problemy. Od wielu tygodni Stone nie pozwalał na odpoczynek ani sobie, ani nikomu innemu. Uznawano go za „superniewrażliwego” lub, przeciwnie, w podziwie godny sposób zaangażowanego w wyprawę, przy czym więcej ludzi skłaniało się ku tej pierwszej ocenie. Członkowie zespołu nadali mu przydomek „Buldożera” oraz wiele innych, zdecydowanie mniej pochlebnych i stawiali opór jego próbom nadania całej wyprawie szybszego tempa. No i była jeszcze Barbara am Ende, dla wielu osób sól w oku i nieustanne źródło irytacji, którego nie można było się pozbyć.

Stone z kolei był przekonany, że ludzie czerpiący korzyści z ogromnej pracy, którą wykonał razem ze swoim kluczowym zespołem, od dłuższego czasu obijają się, a to doprowadzało go do wściekłości. Śmierć Rollanda przepełniła czarę goryczy. Część zespołu, łącznie z tymi, których umowy zobowiązywały do pozostania na miejscu do końca wyprawy, zaczęła przebąkiwać o wycofaniu się ze względu na śmierć Rollanda. Stone uważał wykorzystywanie śmierci kolegi do uzasadnienia własnej chęci wycofania się za karygodne nadużycie, ale wielu członków zespołu odbierało to inaczej. Wyglądało na to, że szykuje się powtórka buntu z 1984 roku w Peña Colorada.

Między Stone'em a resztą zespołu doszło do eskalacji konfliktu; kilka pojedynczych dezercji zmieniło się w próbę storpedowania całej wyprawy. Rob Parker, szanowany brytyjski nurek jaskiniowy i przyjaciel zarówno Rollanda, jak i Stone'a, bardzo przeżył śmierć Rollanda. W ocenie Stone'a i pozostałych był prawdziwą supergwiazdą, a teraz zaczął chodzić po obozie, powtarzając każdemu, kto gotów był nadstawić uszu: „Sam Ian powiedział: Ktoś zginie w tej maszynie”. Parker żądał natychmiastowego zawieszenia wyprawy. Stone był w stanie zrozumieć ból Parkera, uważał jednak, że pomysł zakończenia wyprawy ze względu na śmierć Rollanda jest „kompletną bzdurą”, i stanowczo odmówił.

Decyzja o kontynuowaniu wyprawy została bardzo źle przyjęta przez zespół, który – zanim jeszcze Rob Parker i inni zasiali ziarna niezadowolenia – balansował na krawędzi wytrzymałości nerwowej. Nie tylko Parker twierdził otwarcie, że Rollanda zabił rebreather. Bill Farr, współodkrywca wraz z Carol Vesely jaskini Cheve, rzucał podobne oskarżenia. Farr towarzyszył początkowo wyprawie, ale dość szybko wycofał się z zespołu nurkowego. Spędził większość wyprawy przy wywierzysku Cheve i wrócił do Huautli dokładnie w chwili, w której grotolazi i miejscowi w posępnej procesji przenosili ciało Rollanda z jaskini do pobliskiej wioski. Niektórzy członkowie wyprawy, łącznie z Barbarą am Ende, mieli poczucie, że Farr włożył za mały wkład w sukces wyprawy, by teraz wygłaszać kazania.

Jednak Farr, który był 20 centymetrów niższy i ponad 20 kilogramów lżejszy niż Stone, drobniejszy nawet od am Ende, sam był upartym osobnikiem alfa. Miał za sobą uczestnictwo w wielu wyprawach i był zbulwersowany powolnym rozkładem – wyczerpaniem, wściekłością i nadszarpniętym morale zespołu, śmiercią jednego z uczestników – tej wyprawy. Miał poczucie, że kontynuowanie tego projektu może doprowadzić do kolejnej tragedii. Punktem przełomowym było zebranie członków wyprawy w kuchni obozu bazowego, jednoizbowej, opuszczonej chacie, która została wynajęta na potrzeby wyprawy. Nagie drewniane ściany chaty udekorowano blednącymi obrazkami Jezusa, a przeżarty rdzą metalowy dach był tak nisko, że Stone walił w niego głową, ilekroć przez nieuwagę wyprostował się na całą wysokość. Środek kuchni zajmowały dwie ławki i długi stół ze sklejki zbudowany przez Iana Rollanda. Kuchnia pełniła funkcję centrum dowodzenia wyprawy; była miejscem, w którym się gotowało, jadło, urządzało imprezy, seanse nienawiści i spotkania organizacyjne.

W niedzielę 2 kwietnia wyczerpany Stone spał do późna. Następnego dnia planował zwołanie narady wszystkich członków wyprawy, żeby przedyskutować jej przyszłość. Am Ende zostawiła śpiącego Stone'a i poszła do kuchni. Kiedy weszła, zorientowała się, że trwa w niej już jakieś spotkanie. Do zgromadzonych wokół stołu osób przemawiał Bill Farr, nie proponując, lecz po prostu oświadczając, że wyprawa jest

zakończona.

Wściekła am Ende naskoczyła na Kalifornijczyka: „Przepraszam bardzo, ale o czym, do cholery, mówisz? Nie ma żadnych dowodów na to, że przyczyną śmierci Iana był sprzęt. Nie ma kompletnie żadnych dowodów”.

„No cóż, już na Florydzie mieliśmy problemy – odparował Farr tonem, który am Ende uznała za pogardliwy i protekcyjny. – I Noel powiedział mi, że podczas ostatniego nurkowania był o krok od hipoksji”.

„Kim jesteśmy my?” – warknęła am Ende. – Nie przypominam sobie twojej uśmiechniętej buźki w Ginnie Springs¹³. Sprzęt działał prawidłowo. Ale nie możesz tego wiedzieć, bo cię tam nie było, nieprawdaż? Jeśli chodzi o Noela, nie zabrakło mu tlenu. Miał hiperkapnię, bo zapomniał wymienić pieprzony wodorotlenek litu w swoim kanistrze, bo Noel... no cóż, bo jest Noelem. To był błąd operatora, a nie sprzętu”.

Nie robiąc nawet przerwy na zaczerpnięcie oddechu, kontynuowała atak: „Noel ukończył to nurkowanie bez problemów, nieprawdaż? Dlatego, że musiał jedynie przełączyć się na system awaryjny. Gdyby ten zawiódł – a nie zawiódł – mógłby wziąć jeszcze jedną z zapasowych butli, które zostały rozstawione w syfonie. Miał mnóstwo wyjść awaryjnych. Ian znał je wszystkie. Ale ty nie, nieprawdaż? Bo ty nie nurkowałeś, czy tak?”

Wszyscy siedzieli oniemiały. Nawet am Ende była nieco zaskoczona własnym wybuchem. Jeszcze nie skończyła. „Prawda jest taka – ciągnęła – że nie wiemy, co się zdarzyło. Przejrzemy informacje, które zgromadzili Bill i Kenny, i odpowiednio dostosujemy nasze procedury, jeśli będzie to konieczne, tak aby każde nurkowanie było bezpieczne”.

„Nie będzie więcej żadnych nurkowań. Ta wyprawa jest zakończona” – zarządził Farr. Am Ende była zdumiona tym, co uznała za ordynarny i niewczesny zamach na autorytet Stone’a.

„Nie wiesz tego – odpaliła. – Ta decyzja nie należy do ciebie. Spotkanie zespołu odbędzie się jutro albo pojutrze. A zespół – co oznacza ludzi, którzy naprawdę coś tutaj robią – zdecyduje, czy wyprawa będzie kontynuowana, czy nie”.

Farra nie zbiło to z tropu.

„Wyprawa do Cheve została zakończona po śmierci Chrisa Yeagera – odparował. – Ten projekt również musi zostać zakończony”.

Am Ende odebrało głos. Kim on, do cholery, sądzi, że jest? – zaczęła się zastanawiać. Zniesmaczona, odwróciła się na pięcie i dumnym krokiem wyszła z kantyny. Po chwili wyszedł za nią młody, brytyjski grotolaz Mark Madden.

„Trudno polubić tego gościa od pierwszego wejrzenia” – zachichotał, uśmiechając się współczująco.

Am Ende przytaknęła bez wahania, a dowcipna uwaga Maddena pomogła jej powściągnąć gniew. Zaśmiała się, a Madden poszedł w swoją stronę. Wkrótce potem z kuchni wyszedł kolejny świadek tej gwałtownej wymiany zdań, nurek Rob Parker, i podszedł do niej.

„Jadę do miasta, żeby porozmawiać z miejscowymi władzami” – powiedział.

„Proszę, nie mów im, że wyprawa jest zakończona” – poprosiła go am Ende.

„Tak naprawdę, być może już jest” – odpowiedział Parker.

A zatem nie tylko Farr, pomyślała.

„Los tej wyprawy nie zależy ani od decyzji Billa Farra, ani Roba Parkera, ani mojej. Decyzja musi zostać podjęta przez cały zespół” – oświadczyła am Ende.

Parker zdecydowanie tak nie uważał. Bez słowa ruszył w swoją stronę.

Po wypadku emocje grały po obu stronach. Następnego dnia, 3 kwietnia, który przypadkowo wypadł w Niedzielę Wielkanocną, Stone zwołał planowane zebranie. Swoją przemową podjął próbę zjednoczenia zespołu. Myślą przewodnią uczynił głębokie wewnętrzne przekonanie, że ich projekt jest czymś więcej niż „przygodą”.

„Trzysta czy czterysta lat temu statki traciły często nawet trzydzieści procent załogi w trakcie rejsu – przypomniawszy grotolazom. – Różnica między nami a nimi polega na tym, że nasze społeczeństwo przywiązuje dziś znacznie większą wagę do ludzkiego życia”.

Jego słowa nie padły na podatny grunt. Dla wielu członków zespołu odkrywanie głębokich jaskiń było przygodą, a cele naukowe miały w najlepszym razie drugorzędne znaczenie. Nie byli w stanie spojrzeć na to tak, jak widział to Stone. Podobnie zresztą miejscowi. Kilka dni później Stone spotkał się z administracją trzech pobliskich wiosek, by przekazać im informacje na temat stanu projektu. Dwóch z nich było wykształconymi nauczycielami i przedsiębiorcami. Trzeci był starym, konserwatywnym Mazatekiem. Po wysłuchaniu Stone’a stwierdził: „Powiem ci, dlaczego ten dobry człowiek zginął. Nie poprosiłeś o pozwolenie Chi Con Gui-Jao. Byłeś arogancki. I będziesz musiał za to zapłacić”. Chi Con Gui-Jao był duchem zamieszkującym Huautlę. Mazatekowie byli o tym przekonani i wierzyli w to równie mocno, jak chrześcijanie wierzą w Zmartwychwstanie.

Wielu, prawdopodobnie większość, członków wyprawy zgodziło się z takim ujęciem sprawy. Przpracowani, wyczerpani, przytłoczeni tragedią i nieufni w stosunku do rebreatherów, członkowie zespołu jeden po drugim zaczęli się pakować i wyjeżdżać. W połowie kwietnia zostało tylko pięciu uczestników: Bill Stone, Barbara am Ende, Noel Sloan, Jim Brown i Steve Porter. Stone obwiniał się o rozpad zespołu, podobnie jak o bunt w 1984 roku. Jeśli czegokolwiek się nauczył, to być może tego, że kierownik wyprawy nie może tracić z pola widzenia jej celu. A to oznaczało konieczność

inspirowania członków wyprawy swoim działaniem. Był przekonany, że jeśli sam będzie świecił przykładem, reszta pójdzie w jego ślady. A może, bardziej precyzyjnie: reszta powinna pójść w jego ślady. W ten sposób przywódcy powinni pociągać za sobą swoich ludzi i w ten sposób kierował swoimi ludźmi.

Podczas wcześniejszej wyprawy do pobliskiej jaskini Puente Stone miał bardzo odkrywczą wymianę zdań z młodszym od niego grotołazem. Z zamiarem zainspirowania młodszego kolegi Stone powiedział mu, że zejście, które mają właśnie rozpocząć – wspólnie – będzie najtrudniejszym i najbardziej bezwzględny, jakie kiedykolwiek zrobi. Kiedykolwiek.

„Staniesz się w ten sposób prawdziwym grotołazem” – powiedział Stone, przynajmniej częściowo żartem. Przekonany, że rozbudził w koledze szalone oczekiwania, był kompletnie zaskoczony, kiedy nowicjusz zapytał: „Ale fajnie tam jest?”.

Fajnie? Fajnie? „Oczywiście, że nie” – odpowiedział Stone. W 1994 roku już od dawna nie myślał o tych sprawach w kategoriach fajne albo niefajne. Nie, samo zejście będzie obrzydliwe, wyjaśnił młodemu człowiekowi. To nie są wczasy. To jest eksploracja na froncie wielkich odkryć, dokonywana w imię nauki.

„Ale dlaczego miałoby mnie to interesować?” – młody grotołaz wydawał się tak dogłębnie zdumiony, jakby Stone zaczął przemawiać w innym języku. W jakimś sensie tak było. Bill Stone był równie zdezorientowany. Wywiązywał się, do licha, ze swojej części umowy. Co z tym kolesiem było nie tak?

Ta wymiana zdań pozwoliło mu dostrzec kilka spraw w innym świetle. Stone byłby doskonałym generałem podczas wojny secesyjnej, na której dowódcy dowodzili z frontu, nie uchylając się od pierwszych kul. Dla nich była to kwestia wiary, że jeśli poprowadzą swoje oddziały bez wahania i bez słowa skargi, żołnierze pójdą za nimi.

Naukowcy od dawna są świadomi fascynującego zjawiska istnienia plamki ślepej w ludzkim polu widzenia, dokładnie w tym miejscu na siatkówce, z którego odchodzi nerw prowadzący do mózgu. Psychologowie są przekonani, że mamy również emocjonalną plamkę ślepa. Świadomość nie równa się zrozumieniu; trwa dyskusja na temat tego, dlaczego mamy takie emocjonalne ślepe plamki, ale nikt nie podważa ich istnienia. Żadna ślepota nie jest zbawienna. Emocjonalne plamki ślepe wykrzywiają ogląd sytuacji, skłaniają do podejmowania błędnych decyzji i niszczą relacje międzyludzkie.

Stone przewodził ludziom poprzez stawianie im wyzwań, ponieważ w ten właśnie sposób motywował siebie. Aby zrealizować cel misji, skłonny był nagiąć wszystko i wszystkich, łącznie z prawami fizyki. Cytat otwierający pierwszą część tej książki stanowi esencję filozofii Stone'a: jeśli prawa fizyki stają ci na drodze, to, do cholery, zmusz je do posłuszeństwa. Wyzwanie jest jednym z możliwych sposobów, być może

wielkich sposobów przewodzenia innym, ale nie jest jedynym. Jeśli Bill Stone miał jakąś ślepa płamkę, prawdopodobnie była to nieumiejętność zrozumienia, że każdy zamek wymaga nieco innego klucza.

Dwie cechy odróżniają większość ludzi od Billów Stone'ów tego świata. Pierwsza polega na tym, że większość ludzi jest szczęśliwa, jeśli może się nie wychylać. Bill Stone i nieliczni jemu podobni spędzają większą część życia w świetle reflektorów. Jasne światło pozwala zyskać uznanie, ale też ujawnia bezlitośnie wszystkie niedociągnięcia.

Druga różnica polega na tym, że nasze działania bardzo rzadko powodują groźne obrażenia i wypadki śmiertelne, podczas gdy ich poczynania nierzadko kończą się i tym, i tym.

[13](#) Miejsce szkolenia (przyp. autora).



Katia Medwiediewa
fot. Call of the Abyss Project

Jim Brown i Steve Porter nieustannie myśleli wówczas o śmierci. Żaden z nich nie zamierzał nurkować po raz kolejny z rebreatherem. Sloan dopuszczał taką myśl, ale jego zaangażowanie w projekt można było określić w najlepszym razie jako mizerne. Tylko jedna osoba była zdolna i chętna do podjęcia tego wyzwania wspólnie ze Stone'em. „Zdolna” jest zdecydowanie tylko jedną częścią układanki, „chętna” jest oczywiście niezbędnym uzupełnieniem. Barbara am Ende, chociaż była doświadczonym grotolazem i nurkiem w wodach otwartych, miała za sobą zaledwie 30 nurkowań jaskiniowych, i to w środowisku znacznie mniej groźnym niż Huautla. Nurków schodzących pod wodę w wodach otwartych nie uznaje się za doświadczonych, dopóki nie zaliczą kilkuset nurkowań, a ten rodzaj nurkowania ma się tak do nurkowania jaskiniowego jak taniec klasyczny do walk byków. Co więcej, ponieważ nad syfonem znajdowały się tylko dwa rebreathery, a jeden z nich został skonfigurowany pod kątem Billa, Barbara musiałaby skorzystać ze „śmiertelnego zestawu” Iana, którą to opcję odrzuciło już trzech bardzo dobrych, bardzo odważnych nurków jaskiniowych.

Gdyby Barbara am Ende kochała tylko jaskinie lub tylko Billa Stone'a, cała ta sprawa zakończyłaby się na etapie „zdolna” i nigdy nie doszłaby do fazy „chętna”. Ale kochała i jaskinie, i Billa. Dlatego ta niezwykła kobieta, której nazwisko w języku niemieckim oznacza „do końca”, zgodziła się podjąć próbę przenurkowania śmiertelnie groźnych syfonów Huautla wspólnie z Billem Stone'em, nie mogąc liczyć na jakąkolwiek pomoc w razie wypadku i korzystając z podejrzanego rebreathera, który Ian Rolland miał na sobie w chwili śmierci.

Wszystko przysięgło się przeciwko am Ende i Stone'owi. Po pierwsze, byli wyczerpani, jak bokserzy, którzy przez dwanaście rund walczyli na ringu, a teraz zostali zmuszeni do ponownego podjęcia walki bez opuszczania go nawet na chwilę. I chociaż postanowili nie tracić z pola widzenia celu swojej wyprawy i zachować stoicki spokój dla dobra innych, nimi również wstrząsnęła śmierć Iana Rollanda, podobnie jak ataki na Stone'a przypuszczane przez członków jego wyprawy, niektóre z otwartą przyłbicą, niektóre za jego plecami. Am Ende dotknęły one w takim samym stopniu jak Stone'a, a może bardziej.

Następnie była kwestia nurkowania. Barbara am Ende ćwiczyła na eksperymentalnych skomplikowanych rebreatherach w źródłach Florydy, ale w porównaniu z Huautlą florydzkie źródła przypominają wannę z gorącą kąpielą. Przez wiele tygodni rebreathery były intensywnie wykorzystywane („Zdrowo im wpieprzyliśmy” – jak ujął to jeden z nurków) i być może jeden z nich właśnie zabił nurka jaskiniowego światowego formatu. Ta wciąż brana pod uwagę ewentualność

miała wystarczający wpływ na członków wyprawy, by doprowadzić do jej zakończenia. Druga strona syfonu San Agustín pozostawała terra incognita.

W razie wypadku – który, biorąc pod uwagę plany am Ende i Stone'a, wydawał się więcej niż prawdopodobny – nie mogli liczyć na jakąkolwiek pomoc. Poza wszystkimi niewielkimi rutynowymi obrażeniami i dolegliwościami będącymi konsekwencją eksploracji jaskiń nurkowanie jaskiniowe pociągało ryzyko zapadnięcia na wiele chorób równie nieprzyjemnych jak ich nazwy: choroba dekompresyjna, embolia powietrzna, narkoza azotowa, niedotlenienie mózgu, odma opłucnowa, zatrucie tlenowe, atak padaczki i inne.

Gdyby którekolwiek z odkrywców został unieruchomiony, choćby z tak błahego powodu jak skręcona kostka, potencjalna wyprawa ratunkowa musiałaby najpierw dotrzeć do biwaku 5, następnie przenurkować syfon San Agustín, syfon 2 i wszystkie pozostałe przenurkowane przez Stone'a i am Ende. Ratownicy musieliby odnaleźć jedną lub dwie ofiary, wspólnie z nimi przenurkować z powrotem syfony, a następnie przetransportować ich prawie 10 kilometrów i 1250 metrów różnicy poziomów na powierzchnię, pokonując po drodze ponad 90 pionowych ścian, których wysokość przekraczała nierzadko kilkadziesiąt metrów.

Biorąc pod uwagę to, dokąd wybierała się ta dwójka w jaskini Huautla, wyprawa ratunkowa była po prostu niemożliwa. Pod tym względem ich wypad miał być jedyny w swoim rodzaju. Żadne inne miejsce na Ziemi nie było równie odległe. Śmigłowce są w stanie przeprowadzić ewakuację z dżungli, na pustyni, ze środka oceanu, a nawet ze szczytu bardzo wysokiej góry. Podwodne jednostki pływające umożliwiają przeprowadzenie akcji ratowniczej w głębi oceanu. Badacze superjaskiń nie mogą liczyć na którąkolwiek z tych technologii. Wielki amerykański grotolaz Mike Frazier powiedział o obrażeniach doznanych w głębiach superjaskiń: „Jeśli naprawdę zrobisz sobie tam krzywdę, jest spore prawdopodobieństwo, że zostaniesz na dole”.

Trudno o trafniejsze ujęcie. A zatem wyprawiali się na podziemny odpowiednik ekstremalnego, solowego wejścia na skalną ścianę, której nikt wcześniej nie przeszedł, coś na poziomie El Capitan, bez asekuracji.

Chcieli wyruszyć natychmiast, ale wcześniej należało poczynić pewne przygotowania. Ciało Iana Rollanda zostało w końcu wydobyte z jaskini 29 marca w obecności dwóch meksykańskich policjantów, którzy przybyli specjalnie po to, by obserwować przebieg akcji. Inspektorzy policji byli jeszcze na miejscu 1 kwietnia, kiedy w miejscowym kościele odbyła się poruszająca ceremonia żałobna. Ciało Rollanda w zaawansowanym rozkładzie zostało następnie przeniesione do pomieszczenia, gdzie zespół przechowywał swój sprzęt, i tam miało pozostać do czasu zorganizowania transportu do Szkocji. Jednak tuż po ceremonii żałobnej policjanci wystąpili z nieoczekiwanym

roszczeniem:

„Chcemy zobaczyć ciało! Proszę je nam natychmiast pokazać”.

Noel Sloan, Stone i pozostali towarzyszyli im do budynku, w których przechowywali sprzęt. Ciało Rollanda, nadal w piance, owinięte w dwie warstwy plandeki, leżało na stole ze sklejki. W środku, ku zdumieniu wszystkich zebranych, jeden z policjantów wyciągnął niewielkie pudełko, z którego wyjął strzykawkę, bawełniane gaziki, czerwone gumowe rękawiczki i skalpel. Podał wszystkie te przedmioty Noelowi Sloanowi.

„Teraz wykona pan autopsję” – powiedział.

Jako doświadczony lekarz pracujący w pogotowiu ratunkowym Sloan nie obawiał się krwi i zgnilizny, ale wiedział, że zrobienie tu krwawej jatki nie rozwiąże zagadki śmierci Rollanda, może za to unieważnić polisę na życie Rollanda i pozbawić jego rodzinę środków utrzymania. Sloan wyjaśnił przez tłumacza, że nie może w tym miejscu przeprowadzić sekcji zwłok.

Dwaj policjanci po krótkiej naradzie wyrazili zgodę, ale nadal domagali się okazania ciała. Takie są wymogi. Kiedy ciało Iana zostało wyniesione z jaskini, było owinięte w pomarańczową plandekę, policja miała więc świadomość jego istnienia, ale nie widziała ciała.

„Muszą panowie zrozumieć – tłumaczył Sloan. – Ten człowiek zmarł tydzień temu i od tego czasu rozkłada się w cieple, owinięty w ten plastikowy kokon”.

Policjant patrzył na niego ze zrozumieniem, ale nie ustępował.

„To będzie naprawdę nieprzyjemne” – spróbował jeszcze raz Sloan.

Ich decyzja była jednak niezachwiana. Proszę kontynuować, rozkazał jeden z nich.

Sloan jedną po drugiej przeciął warstwy brezentu, a następnie mokry skafander. Kiedy odciągnął plastikowe płachty, obrzydliwa maź rozlała się po stole i podłodze, obryzgując meksykańskich policjantów płynną śmiercią. Było to zdecydowanie więcej, niż byli w stanie znieść. Odskoczyli, obrzucili ciało szybkim spojrzeniem i uciekli.

Należało poczynić odpowiednie ustalenia, by ciało mogło powrócić do Szkocji. Tuż po tym Stone i am Ende musieli spędzić tydzień, przygotowując biwaki w jaskiniach dla zespołu fotografów „National Geographic”, głównego sponsora wyprawy. W końcu 8 kwietnia Stone i am Ende mogli zejść do biwaku 5, by Stone wykonał samotne nurkowanie rekonesansowe przez dwa syfony i nieco dalej. Tuż po tym musieli ponownie wyjść z jaskini, żeby Stone mógł uspokoić lokalne niepokoje wywołane śmiercią Rollanda, organizując w pobliskiej wiosce pokaz slajdów. Kolejne dwa tygodnie pochłonęła praca nad dokumentacją fotograficzną jaskini, aż w końcu zespół „National Geographic” 23 kwietnia ruszył w drogę powrotną do Stanów.

Stone i am Ende byli zdecydowani przeciw naprzód za wszelką cenę. Ich oddany przyjaciel Noel Sloan, wytracony z równowagi tym, co zaszło, podjął decyzję o towarzyszeniu im, ale chyba nigdy nie był równie mało entuzjastycznie nastawiony

do nurkowania. Steve Porter, kręcący się jeszcze po obozie, był wściekły i nie zamierzał nurkować. Pogrążony w depresji Jim Brown nie wychodził w zasadzie ze swojej półciężarówki; trudno było ocenić, co zamierza zrobić.

Am Ende chciała przenurkować syfon San Agustín i popłynąć dalej, ale bez wahania ustąpiłaby miejsca Noelowi Sloanowi, gdyby taki był jego wybór. Był starszy, miał znacznie większe doświadczenie nurkowe i rozpoczął eksplorację Huautli znacznie wcześniej niż ona. Sloan wydawał się jednak wymizerowany i wyczerpany. Widać było, że śmierć Rollanda nim wstrząsnęła, i Am Ende podejrzewała, że w głębi serca Sloan nie chce już nurkować.

Noel Sloan był niezwykłym człowiekiem, nawet jak na standardy ekstremalnej eksploracji jaskiń. Chociaż był bardzo odważny i jako grotolarz bardzo doświadczony i sprawny technicznie, cechowała go zmienność, ze względu na którą Stone określał go czasem mianem „emocjonalnego wzmacniacza”. Kiedy wszystko szło dobrze, Sloan kipiał optymizmem i upajał się sukcesami. Gdy sprawy przebiegały fatalny obrót, jego morale natychmiast drastycznie spadało – bardziej niż usprawiedliwiałaby to sytuacja.

Było coś jeszcze. Mimo całego swojego przygotowania naukowego i medycznego Sloan był przesądny. Być może rzeczywiście należał do tych ludzi, którzy wyczuwają rzeczy nieodczuwalne dla innych. To przecież on miał to makabryczne przeczucie przed śmiercią Rolfa Adamsa w Jackson Blue Springs w 1992 roku. Wierzył w znaki i przeczucia i nie drwił z wierzeń rdzennych Amerykanów w bogów jaskiń i złe duchy. Nie ograniczał swojej wiary do pustych deklaracji – wprowadzał ją w czyn. Z powodu „złych przeczuć” po wstępnych nurkowaniach rekonesansowych w syfonie San Agustín dość wcześnie ewakuował się z biwaku 5. Później, wstrząśnięty śmiercią Iana Rollanda, w tajemnicy odwiedził miejscowego curandero, jak Mazatekowie nazywają swoich szamanów.

Curandero zgodził się spotkać ze Sloanem w noc pełni księżyca. Sloan znalazł go w pobliskiej wiosce, w mrocznej chatce z klepiskiem zamiast podłogi. Pomarszczony siwowłosy staruszek zapalił wonne kadzidło z żywicy, odczytał przyszłość w magicznych ziarnach kukurydzy i zaintonował pieśń. Sloan przyłączył się do modlitwy o przebaczenie bogów jaskini i bezpieczeństwo wyprawy. Curandero dał Sloanowi dwie gałązki świętej rośliny nazywanej Zielem San Pedro. Zasadź jedną z nich przy otworze, powiedział, a drugą weź ze sobą do jaskini. Ponadto, zarządził, każda osoba, która wchodzi do jaskini, musi mieć przy sobie czosnek. Powiedział wreszcie Sloanowi, że zjedzenie piasku wewnątrz jaskini da mu odwagę. Sloan rzeczywiście posadził później gałązkę ziela w słonecznym miejscu przy wejściu do Huautli i upewnił się, że każdy z pięciu członków wyprawy zapakował do kieszeni ząbek czosnku przed zejściem w głąb 26 kwietnia.

Spędzili następne trzy dni, uzupełniając zaopatrzenie na biwaku 5 i 28 kwietnia cały

zespół w obecnym składzie zszedł do biwaku 3. Wkrótce Sloan odciągnął na bok Stone'a, by przeprowadzić z nim nerwową rozmowę.

„Przed wejściem do jaskini – powiedział Sloan – zadzwoniłem do moich rodziców, teściów i mojej żony. Ze wszystkimi się pożegnałem”. Biorąc pod uwagę to, co Stone wiedział o przeczuciach Sloana przed śmiercią Rolfa Adamsa, nie mógł usłyszeć od niego niczego bardziej wytrącającego z równowagi.

Wypowiedź Sloana zabrzmiała w uszach Stone'a tak, jakby Sloan pogodził się ze swoją śmiercią i chciał uporządkować wcześniej swoje sprawy. To nie jest Noel Sloan, jakiego znam, pomyślał.

„Słuchaj, Noel, nie musisz podejmować decyzji w tym momencie – powiedział. – Prześpij się z tym i porozmawiamy rano”.

Sloan zgodził się, ale na odchodne rzucił coś, co wcale nie uspokoiło Stone'a: „Mam wrażenie, że coś wisi w powietrzu”.

Następnego ranka am Ende, Sloan i Stone rozpoczęli przygotowania do ostatniego zejścia do biwaku 5. Zanim wyruszyli, Sloan odbył ostatnią rozmowę ze Stone'em.

„Nie mogę tego zrobić. Nie mam siły – oznajmił Sloan, który wydawał się prawie tak roztrzęsiony własną decyzją, jak śmiercią Rollanda i czającym się zewsząd zagrożeniem. – Widzisz sam, że wszystko rozłazi mi się w rękach. Nie jestem przygotowany na to nurkowanie”.

Jakiś czas później nawiązał rozmowę z am Ende. „Ty i Bill pracowaliście jako zespół podczas całej tej wyprawy – powiedział. – Sądzę, że powinnaś popłynąć razem z nim”.

Decyzja Sloana rozwiązała jeden z problemów, ale stworzyła kilka innych. Ta trójka wiedziała, że Porter i Brown byli przekonani, że am Ende nie powinna nurkować. Porter stwierdził jednoznacznie, że zrezygnowałby od razu, gdyby się zorientował, że am Ende zamierza nurkować, a Brown prawie na pewno poszedłby w jego ślady. Ich pomoc była jednak niezbędna, by można było dokończyć uzupełnianie zapasów w biwaku 5. Wydawało się, że nie ma innego wyboru, więc Stone, am Ende i Sloan zawiązali spisek. Udawali, że Sloan zamierza nurkować. Cała piątka miała dokończyć transporty do biwaku 5, po czym Porter i Brown mieli wrócić do przestronnego biwaku 3, pozostawiając konspiratorów samych na dole.

Po uzgodnieniu całej akcji Stone chciał odbyć ostatnią poufną rozmowę z am Ende w umówionym wcześniej miejscu. W połowie drogi między biwakiem 3 a 5 skulili się w ściennej niszy, która niczym budka telefoniczna pozwoliła im na odrobinę prywatności, choć nie zapewniała bezpieczeństwa. Na tej głębokości Huautla była niebezpiecznym miejscem. Silny wiatr podrywał krople wody z powierzchni strumienia i rzucał je na czarne ściany ozdobione białymi prążkami kalcytu.

„Czy jesteś absolutnie pewna, że chcesz zrobić to nurkowanie?” – zapytał Stone.

„Czuję się tak, jakbym szkoliła się do tego przez całe życie – odpowiedziała. – Jestem

pewna, że dam radę. Poręczówka jest rozpięta. Jestem w stanie kontrolować swoją pływalność”. Była wcześniej w wielu ogromnych jaskiniach. Jak doświadczony maratończyk, dla którego przebiegnięcie 30 kilometrów nie jest żadną nowością, znała zasadnicze fizyczne i psychiczne wyzwania stawiane nurkom i grotolazom przez jaskinie, jak również te, które miała postawić przed nią ta jaskinia. Była zmarznięta, mokra, zmęczona, roztrzęsiona śmiercią Rollanda i niepokoiła ją perspektywa nurkowania w nieznanym syfonie, ale stawiała już wcześniej czoła różnym trudnościom i mogła opanować emocje, skoncentrować się na celu i pójść naprzód. Am Ende była pewna, że kiedy już wyruszy, jej ciało i umysł sprzężą się, by wykonać postawione przed nimi zadanie. Nie zamierzała jednak nurkować samotnie. Długa wyprawa poza syfon będzie wymagać mnóstwa sprzętu i zapasów, które będzie musiał przenieść Stone. Odwróciła pytanie i skierowała je w jego stronę:

„Dasz radę przenieść cały ten szpej?”

Stone sam o tym myślał. „No tak – powiedział. – To będzie niezły tobół. Jeśli tylko zdołam nadać mu neutralną pływalność, będę w stanie go przetransportować”. Przedmiot, który posiada neutralną pływalność, nie tonie ani nie unosi się na powierzchnię.

Zawarli ostateczną umowę i od tego punktu mogli pójść dalej. Stone czuł ulgę, ale miał jednocześnie świadomość, że spoczęła na nim ogromna odpowiedzialność. Musiał nie tylko poradzić sobie ze wszystkimi wyzwaniami własnego nurkowania, ale też czujnie monitorować nurkowanie am Ende, cały czas wybiegając myślą dwa albo trzy ruchy do przodu, stale sprawdzając, jak sobie radzi, przewidując możliwe problemy i odpowiednio dostosowując plany awaryjne. Pocieszał go fakt, że am Ende miała cechy, które cenił wysoko: odporność na stres, zdolność odcięcia się od czynników rozpraszać uwagę, opanowania dezorientacji i skoncentrowania się.

Am Ende była pewna, że da sobie radę z fizycznymi wyzwaniami stojącego przed nią zadania. Znacznie trudniejsze, o tym była przekonana, będzie opanowanie strachu. Nie można jednak tak długo zajmować się jaskiniami i nurkowaniem, nie stając się w tych dziedzinach ekspertem. Zdawała sobie sprawę z tego, że nurkowanie w tej superjaskini było igraniem ze śmiercią; albo się decydujesz, albo po prostu się w to nie bawisz. Śmierć Iana była niepokojąca, ale na poziomie racjonalnym am Ende zdawała sobie sprawę z tego, że winy za jego śmierć nie ponosiła żadna nieprzewidziana anomalia w syfonie. Był to śmiertelnie groźny syfon, jak większość z nich, ale nie bardziej niż inne. Woda była zimna, ale nie lodowata, prąd nie był zbyt silny, widoczność była kiepska, ale akceptowalna, a sam syfon nie był tak znowu niesłychanie długi czy głęboki. Wiedziała, że Stone przenurkował go w tę i z powrotem dwukrotnie, raz na dodatek ciągnąc za sobą ciało martwego kolegi.

Tego wieczoru Porter i Brown wspięli się do biwaku 3. Dwa dni później wyszli

z jaskini na dobre, pozostawiając am Ende, Sloana i Stone'a samym sobie w biwaku 5. Wyglądało na to, że wszystko jest przygotowane na wielką wyprawę Stone'a i am Ende.

Następne dwa dni przyniosły serię przerażających awarii sprzętu, które zniechęciłyby każdego – z wyjątkiem Billa Stone’a i Barbary am Ende. Rankiem 30 kwietnia Stone przygotowywał się do nurkowania, kiedy usłyszał dźwięk przypominający pęknięcie napompowanej papierowej torebki. Pękła jedna z membran automatu rebreathera, która teraz przepuszczała powietrze. Była to usterka nie do naprawienia w tych warunkach.

Stone wyskoczył 300 metrów wyżej, wziął zapasowy automat i w ciągu kilku godzin był już z powrotem w biwaku 5. Sloan zastąpił zepsuty element nowym. Tego samego popołudnia am Ende sprawdzała w wodzie własny rebreather, ten, którego używał Ian Rolland w czasie fatalnego nurkowania. Podczas pośmiertnych oględzin Stone wyjął z rebreathera komputer, który zawierał wszystkie dane dotyczące ostatniego nurkowania Rollanda, i zastąpił go innym. Nowy komputer nie podawał jednak właściwie głębokości, co czyniło go w zasadzie bezużytecznym.

Am Ende wygramoliła się z wody i Stone zabrał się do pracy. Niestety źle podłączył komputer, zamiast węża niskiego ciśnienia używając węża wysokiego ciśnienia i w ten sposób niszcząc całkowicie kluczowy czujnik głębokości. To przekroczyło wytrzymałość nerwową balansującego na krawędzi załamania Noela Sloana.

Zażądał natychmiastowego zakończenia wyprawy.

Stone i am Ende bez namysłu odrzucili jego sugestię. Po przeszukaniu sprzętu zgromadzonego w biwaku 5 znaleźli – jak na ironię w stosie sprzętu należącego do Iana Rollanda – zapasowy czujnik. Stone zamontował zapasowy element, ale kiedy skończył, zrobiło się późno i wszyscy byli już wyczerpani. Postanowili spędzić kolejną koszmarną noc w biwaku 5. W ciągu dnia śpiwór am Ende nasiąknął wodą, a kiedy wczłogała się do środka, natychmiast wysłał ciepło z jej ciała niczym mokry sweter na zimnym silnym wietrze. Stone oddał jej swój suchy śpiwór, a potem siedział przez dłuższy czas, próbując wysuszyć jej śpiwór nad wątlym płomieniem butanowej kuchenki turystycznej. Po jakimś czasie wczłogał się do nadal wilgotnego śpiwora, ale nie mając się czym zająć, słyszał z bolesną wyrazistością ryk wodospadu wydającego łoskot lokomotywy spalinowej przejeżdżającej z maksymalną prędkością w odległości kilkunastu metrów. Ten huk zaczynał nadszarpywać nawet jego nadludzką wytrzymałość. Nie pomagały zatyczki do uszu. Idąc za radą Kenny’ego Broada, zdesperowany Stone naciągnął na uszy kominiarkę, co niespecjalnie zmieniło sytuację. Z szeroko otwartymi oczami leżał w hamaku i czekał na sen, który nie miał nadejść.

To miejsce powinno nosić nazwę: Biwak Strachu, pomyślał.

Następnego ranka zarówno Stone, jak i am Ende obudzili się oszołomieni, zziębnięci

i wyczerpani. Huk wodospadu pędzącego z niespożytą siłą nie zelżał nawet na chwilę. Wilgoć wdarła się wszędzie, włącznie z zapasami papieru toaletowego, z którego korzystali, udając się za potrzebą do latryny wyposażonej w plastikowy worek. Te wycieczki, podobnie jak każdy ruch na śliskich platformach, wymagały ogromnej ostrożności, inaczej łatwo się było ześlizgnąć jak Kenny Broad pamiętnej nocy. Grzmiący wodospad wypełniał powietrze wodną mgłą, która rozpraszała i rozmywała światło rzucane przez czołówki jak światła jadącego we mgle samochodu, dodając temu miejscu koszarnej niesamowitości, potęgowanej niedającymi się odpędzić myślami o śmierci Iana Rollanda.

Stone i am Ende usiedli obok siebie, nie odzywając się. Stone czuł, że coś nie gra.

„Jak się czujesz?” – zapytał.

„Nie pałam do tego nurkowania takim entuzjazmem jak wczoraj” – przyznała.

Stone czuł, że nie wszystko jest w porządku, ale jej odpowiedź mimo to go zaskoczyła, biorąc pod uwagę miejsce i czas. Była to, ostatecznie, jedna z tych chwil, które nielicznym gotowym podjąć ryzyko szczęściarzom zdarzają się może raz w życiu, a ogromnej większości wykonującej niewolniczą pracę w cieniu wydarzeń – nigdy. Nie sposób było policzyć wszystkich godzin, dni i miesięcy, których wymagało doprowadzenie wyprawy do tego punktu, ale Stone czuł, że kładą się ogromnym ciężarem na jego barkach wszystkie te niekończące się spotkania na kolanach w gabinetach rządów, niezliczone awantury i przeszkody poprzedzające każdą wyprawę, ugłaskiwanie miejscowych urzędników, spory z mniej zaangażowanymi uczestnikami wyprawy i ich dezercja, porzucenie przez zawiedzioną żonę i zaniedbane dzieci, śmierć bliskich przyjaciół. Wszystko i znacznie więcej znosił i przewycięzał tylko po to, by zyskać tę jedną, niepowtarzalną szansę dokonania czegoś, co już zawsze będzie zmuszać ludzi mówiących o Billu Stonie do poprzedzenia jego nazwiska słowami „wielki odkrywca”.

Było jednak coś jeszcze, coś znacznie bardziej bezpośredniego i problematycznego: przetrwanie. Nie chcę robić tego nurkowania z kimś, kto może mnie pociągnąć za sobą ku śmierci, pomyślał.

Stone doskonale wiedział – może znacznie lepiej niż każdy inny z żyjących nurków – jak śmiertelną igraszką z losem może się stać nurkowanie jaskiniowe. Oczywiście, możesz uczestniczyć w wyczerpujących szkoleniach i korzystać z najlepszego, najbardziej technicznie zaawansowanego sprzętu, ortodoksyjnie trzymać się ustalonych procedur – i zginąć potworną śmiercią. Sam Stone nieomal pożegnał się z życiem w jaskini Huautla w 1979 roku. Zginęli Rolf Adams i Ian Rolland. Co gorsza, zaledwie miesiąc wcześniej stracił życie największy nurek jaskiniowy wszech czasów, Sheck Exley, który dla Stone’a i innych był mentorem i niedoścignionym wzorem. A jednak Stone miał całkowitą pewność, że posiada wystarczające umiejętności

i doświadczenie. Był prawdopodobnie jedynym z pozostałych członków wyprawy, który nadal miał całkowite zaufanie do swojego rebreathera. Wiedział zatem, że zgodnie z metodą eliminacji elementem w tym momencie najgroźniejszym była obecność niedoświadczonego, niezdecydowanego partnera – innymi słowy am Ende.

W tym momencie było bardzo ważne, by nie dać się ponieść emocjom. Stone próbował podejść do sprawy racjonalnie, rozkładając ją na czynniki pierwsze, ale każdy kolejny scenariusz doprowadzał go do tego samego wniosku: Dotarliśmy za daleko, by teraz się poddać i wrócić do domu; nie jestem w stanie tego zaakceptować. Był całkowicie zaangażowany w tę wyprawę. Jeśli do tej pory tego nie rozumiał, dotarło to do niego w tej chwili z porażającą jasnością: z jego punktu widzenia wycofanie się w tym momencie byłoby gorsze niż śmierć.

Był zdecydowany pójść naprzód z am Ende lub bez niej. Dla bezpieczeństwa ich obojga i dla spokoju jego sumienia am Ende nie mogła się wahać. Istniała tylko jedna metoda wyjaśnienia tej kwestii. Musiał jej stworzyć niedwuznaczną możliwość natychmiastowego wycofania się.

„Posłuchaj – powiedział – jeśli masz jakieś wątpliwości, dajmy sobie spokój”.

Postawienie sprawy w ten sposób zamiast uspokoić am Ende rozwścieczyło ją. Miała poczucie, że Stone w nią nie wierzy, po tym wszystkim co zrobiła dla wsparcia wyprawy i samego Stone’a. Została przy nim, gdy opuścili go wszyscy pozostali towarzysze wyprawy, na dodatek mężczyźni. Podczas tej ciężkiej próby wspierała go fizycznie i emocjonalnie, nie poddając się rozpacz. Przez wiele miesięcy znosiła te same wyrzeczenia i podejmowała to samo ryzyko. Jak mógł jej to teraz robić? Jak śmiał?

Stone nie miał zamiaru rozwścieczyć am Ende. Przeciwnie, chciał jej dać szansę, bez żadnych dodatkowych warunków i obostrzeń, ostatnią szansę wycofania się, powiedzenia: mam poczucie, że coś jest nie w porządku, a w końcu uczy się nas, że jeśli mamy przeczucie, że coś jest nie w porządku, powinniśmy zrezygnować z nurkowania, więc nie mogę zejść tym razem. Ze swoimi dobrymi intencjami trafił jak kulą w płot. Ale wściekłość am Ende okazała się zbawienna, bo wyparła jej wahanie.

„Nie gadaj bzdur – parsknęła. – Zróbmy to. Z uśmiechem na twarzach i pieśnią na ustach”.

Był 1 maja 1994 roku. Tego ranka am Ende zsunęła się z niższej platformy do zimnej, mętnej wody i założyła sprzęt z pomocą Sloana, który przełknął swoje wątpliwości, kiedy zorientował się, że powstrzymywanie tej dwójki nie ma sensu. Niewątpliwie cała ta sytuacja go nie uszczęśliwiała, ale był zbyt oddanym przyjacielem, zbyt silnie przywiązanym do etosu badacza, by zostawić ich na dole własnym losom.

Am Ende powoli opłynęła syfon wkoło, sprawdzając po raz ostatni działanie rebreathera i bailoutu¹⁴, uspokajając się i czekając na Stone’a. Po chwili on również

znalazł się w wodzie, obciążony nie tylko 70 kilogramami własnego sprzętu nurkowego, ale też pomarańczową 70-kilogramową torbą jedzenia, karbidu i sprzętu biwakowego, który miał im zapewnić przetrwanie po drugiej stronie, gdyby odkryli nadające się do dalszej eksploracji partie jaskini.

Stone sprawdzał działanie własnego rebreathera, a Sloan obserwował go z niższej platformy. W końcu gotów Stone wyciągnął rękę do Sloana.

„Do zobaczenia za kilka dni, bracie” – powiedział.

„Uważaj na siebie” – powiedział Sloan, mocno i długo ściskając rękę Sloana; nawet stoicki Stone był poruszony miłością i troską, które wyczytał w oczach Sloana. Odwrócił się do am Ende i wziął ją za rękę. Potem ona uściśnęła rękę Sloana.

„Wrócimy” – obiecał Stone.

Am Ende skinęła głową, wsunęła ustnik rebreathera do ust i zanurzyła się pod powierzchnię wody.

Am Ende popłynęła pierwsza, aby jej bardziej doświadczony partner mógł popłynąć za nią, wypatrując problemów i odpowiednio reagując, gdyby się pojawiły. Poruszała się wzdłuż białej poręczówki, którą Broad i Rolland rozpięli podczas swoich nurkowań. Widoczność nie przekraczała półtora metra i chociaż Stone starał się nie tracić am Ende z pola widzenia w błękitnomlecznej mgłę, am Ende pojawiała się i znikwała niczym duch. Kiedy tylko materializowała się przed nim, skupiał wzrok na diodach z tyłu jej rebreathera.

Na zielono, proszę, modlił się bezgłośnie, a diody posłusznie świeciły zielonym światłem, sygnalizując, że rebreather am Ende funkcjonuje prawidłowo.

Przez mniej więcej 140 metrów płynęli wąskim, gwałtownie schodzącym w dół tunelem, aż w końcu dotarli do labiryntu zwalonych głazów, który zniweczył pierwsze wypady zaledwie pięć tygodni wcześniej. Oboje byli w stanie precyzyjnie przejść przez niewielki otwór w zawalisku; poniżej podwodny kanał zamienił się w obszerny kanion o żwirowanym dnie, dzięki któremu nurkowie nie wzbijali osadu z taką łatwością. Wykorzystywanie mniejszych mięśni ramion wymagało zużycia mniejszej ilości gazów oddechowych niż posługiwanie się większymi mięśniami nóg i dolnej części ciała, przestali więc poruszać nogami i posuwali się naprzód, chwytając się skalnych występów. Mniej więcej 40 minut po opuszczeniu biwaku 5 wynurzyli się w czymś, co zostało nazwane Rolland Airbell.

Kilka deszczowych dni w połowie kwietnia spowodowało podniesienie się poziomu wody w całej jaskini. Tutaj w Rolland Airbell woda sięgała 30 cm wyżej niż podczas wcześniejszych wypadów Stone'a. Szczyt mielizny nadal był odsłonięty i kiedy Stone i am Ende wygramolili się na nią, światło ich czołówek wyłowiło z ciemności niesamowitą scenę. Ślady stóp Iana Rollanda były nadal widoczne na piasku aż do

samego skraju mielizny, gdzie unosiły się wyrzucone przez wodę puste buty.

Czując jego obecność, pomyślał Stone.

Zabawili tu tylko chwilę, by sprawdzić prawidłowość działania sprzętu, a potem wpłynęli do drugiego zalanego tunelu, syfonu 2, gdzie ukształtowanie terenu było zdecydowanie mniej łagodne. Tunel opadał pod kątem niemal 45 stopni, a skalne ostrza wystawały ze stropu. W końcu strop wygładził się, a syfon zwiększył rozmiary do tego stopnia, że snop światła padającego z ich latarek nie sięgał już dna. Odpływając powoli od dzwonu, wkrótce natknęli się na kołowrotek jaskiniowy, który Ian Rolland upuścił ponad miesiąc wcześniej. Stone rozważał przez chwilę wyłowienie go, ale postanowił zostawić go na miejscu dla upamiętnienia odkryć Iana. Popłynęli dalej.

Żaden dźwięk z wyjątkiem cichego syku gazu przepływającego przez ich rebreathery nie zakłócał ciszy. W piankach nie było im zimno. Najbardziej dynamicznym elementem tego otoczenia były ich umysły, a największym wyzwaniem – trzymanie nerwów na wodzy. Niektórzy nurkowie jaskiniowi przed każdym poważnym zejściem medytują przez pół godziny lub dłużej, wchodząc w stan spokojnego skupienia, który ma uodpornić ich na ewentualny atak paniki. Am Ende i Stone nie medytowali przed nurkowaniem, ale wiedzieli, że skupienie oznacza przetrwanie, a dekoncentracja poprzedza tragedię. Jak na ironię, to nie Am Ende, lecz Stone pierwszy wpadł w tarapaty.

¹⁴ Zestaw butli z automatami umożliwiającą wypłynięcie na powierzchnię w razie awarii obiegu zamkniętego (przyp. red.).

W połowie tunelu dno zaczęło się wznosić i am Ende niechcący wzbiła chmurę osadu. Stone stracił z pola widzenia poręczówkę. Próbował się wynurzyć, by odzyskać orientację, ale nad głową nie znalazł ani odrobiny pustej przestrzeni, woda sięgała kamiennego stropu. Wokół niego unosił się gęsty osad.

Stone znał standardową procedurę odnajdywania zagubionej poręczówki. Nurkowie jaskiniowi noszą ze sobą zapasowy kołowrotek z linką. Jeśli tracą kontakt z główną poręczówką, przyczepiają zapasową linkę do jakiegokolwiek punktu zaczepienia i pływają w tę i z powrotem po łuku o coraz większym promieniu, aż w końcu znajdą zagubioną poręczówkę. Przywiązują się do niej, płyną z powrotem, by odwiązać linkę zapasową, i wracają do głównej poręczówki, zwijając po drodze zapasową.

Stone nie mógł jednak znaleźć zapasowej linki; zostawił ją w biwaku 5. Tego rodzaju sytuacja wielu nurków doprowadziłaby do ataku paniki. A jednak rebreather, który być może zabrał jedno życie, teraz ocalił inne. Duże ciało Stone'a potrzebowało wiele powietrza. Gdyby korzystał z konwencjonalnego sprzętu nurkowego, przy przyspieszonym oddechu i rytmie serca powietrze skończyłoby mu się znacznie szybciej, niż zakładałby plan nurkowania. Jego rebreather pozwalał mu jednak na wiele godzin nurkowania, a to zupełnie zmieniało postać rzeczy. Uspokój się, rozkazał sam sobie. Masz mnóstwo czasu, żeby to dobrze przemyśleć.

Metodycznie opracował plan, w którym główną rolę miał odegrać prezent otrzymany przez niego od Boga: 193 centymetry wzrostu. Jeśli maksymalnie wyciągnie ręce i nogi, dodatkowych 60 centymetrów płetw pozwoli mu uzyskać łączną rozpiętość 3 metrów, licząc od czubków palców do czubków płetw. Spuścił powietrze z kamizelki wypornościowej i opadł w dół z rozłożonymi kończynami jak powietrzny akrobata, już przy pierwszej próbie potracając płetwą poręczówkę. Chwycił ją i popłynął wzdłuż niej do końca syfonu. Am Ende już tam była, czekając na niego na żwirowej plaży.

Pomyślał, że to nie jest dobry moment na straszenie jej. Wziął ją za rękę i powiedział: „Świetna robota”. Nie wspomniał ani słowem, że o włos uniknął poważnych kłopotów.

Założyli biwak 6 i spędzili w nim noc, rozkładając się na żwirowym wzgórzu 90 metrów poniżej syfonu. „Biwak” składał się z legowisk zrobionych z mokrych skafandrów włożonych do plastikowych worków na śmieci. Stanęli w obliczu bolesnej decyzji: co zrobić z rebreatherami, które były ich jedyną nadzieją na wydostanie się z jaskini? Po przenurkowaniu dwóch syfonów zdawali sobie sprawę, że nie ma możliwości na przepłynięcie ich na wstrzymanym oddechu. Ich szanse na powrót na powierzchnię zależały od prawidłowego funkcjonowania rebreatherów.

Rebreather am Ende wykazał nieprawidłowe działanie podczas nurkowania Rollanda 25 marca, dzień przed jego śmiercią, kiedy to zbyt szybko wyczerpał się absorbent pochłaniający dwutlenek węgla. Ta awaria, łącznie z pęknięciem membrany

w urzędzeniu Billa i dwoma problemami z urządzeniem am Ende w biwaku 5, w pełni dowiodły, że chociaż rebreathery są cudownym wynalazkiem, to jednak ze względu na liczne, delikatne elementy i ultranowoczesną elektronikę zdecydowanie nie są odporne na uszkodzenia.

Za każdym razem, kiedy przenosili rebreathery, uruchamiali je i wyłączali, zanurzali się i wynurzali, zwiększali prawdopodobieństwo uszkodzeń i awarii. Za biwakiem dostrzegli szereg suchych korytarzy, więc – przynajmniej na razie – posuwanie się naprzód nie wymagało kolejnego nurkowania. Postanowili w końcu, że nie będą już nurkować z rebreatherami do momentu odwrotu przez dwa syfony, zarówno po to, by chronić je przed uszkodzeniem, jak i po to, by zachować maksymalną rezerwę czynnika oddechowego. Wyłączyli je, ułożyli na skalnej wychodni tak wysoko, jak byli w stanie, mając nadzieję na to, że jeśli – nie, kiedy – zaczną się letnie deszcze, woda nie podejdzie na tyle wysoko, by zabrać je ze sobą. Oczywiście, przybór porwałby oba rebreathery jak korki w kanale ściekowym.

Letnie deszcze. W tej jaskini grali teraz w meksykańską wersję rosyjskiej ruletki z deszczami, które znane były ze swej nieprzewidywalności. Pora deszczowa mogła rozpocząć się w ciągu kilku tygodni, dni lub nawet godzin. Nikt nie mógł przewidzieć tego z całą pewnością. Kiedy rozpoczną się deszcze, jaskinia zostanie zalana. Łatwo było im wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać ich śmierć, ponieważ coś podobnego już się kiedyś wydarzyło.

Dwa tygodnie wcześniej, 16 kwietnia, rozpętała się burza. Trwała trzy dni, ale dała im wyobrażenie o tym, jak może wyglądać przybór. Poziom wody w rzece podniósł się o prawie 2 metry, a korytarzami Huautli potoczyły się grzmiące potoki. Jaskiniowe strumienie przeistoczyły się w rwące rzeki, a suche pionowe progi skalne zamieniły się w śmiercionośne wodospady.

Przybór uwięził zespół fotografów „National Geographic” i kilku innych grotolazów w biwaku 3. Większość z nich była doświadczonymi badaczami, przyzwyczajonymi do niedogodności jaskiń. A jednak po dwóch dniach i dwóch nocach spędzonych w pułapce wyobraźnia coraz natrętniej zaczęła podsuwać wizję ściany wody przetaczającej się przez główną salę i porywającej ich ze sobą niczym bezbronne robaczki w toalecie. Po trzech dobach wytrzymałość uwięzionych wyczerpała się i ruszyli na górę. To nie była dobra decyzja. Podczas tej próby Steve Porter dwukrotnie nieomal utonął; pokonawszy 800 metrów, zawrócili do biwaku 3 – kompletnie przemoczeni, ale mądrzejsi o to doświadczenie. W końcu wszyscy bezpiecznie wrócili na powierzchnię, ale jaskinia przekazała im ważną informację na swój temat. Szanse am Ende i Stone’a na bezpieczny powrót po większych opadach były jeszcze mniejsze, bo znajdowali się znacznie głębiej i nieprzerwane opady deszczu dałyby im się odczuć ze znacznie większą siłą.

Am Ende i Stone wiedzieli, co przydarzyło się zespołowi w biwaku 3. Wiedzieli również, że rozpoczęcie pory deszczowej każdego roku przypadało w nieco innym terminie. Zdawali sobie również sprawę, że znajdują się na dnie prawie 10-kilometrowego kolektora gromadzącego wodę z całego regionu. Gdyby pora deszczowa rozpoczęła się przed ich wyjściem na powierzchnię, nie uszliby z tej wyprawy z życiem.

Jak się okazało, źródłem pierwszej katastrofy nie była woda, lecz światło. A raczej jego brak. Stojąc na szczycie głazu w ogromnym zawałisku tuż poniżej biwaku 6, am Ende zdjęła kask, by zaciągnąć mocniej pasek po brodą. Lampa karbidowa odczepiła się od kasku i spadła między głazy u jej stóp. Światło było w tym miejscu zasobem bardzo ograniczonym i jednocześnie ważniejszym niż pożywienie czy woda.

Stone był w tym momencie w innym miejscu, szkicując jaskinię w swoim notatniku.

„Mamy problem” – krzyknęła. Stone podszedł do niej, a am Ende wyjaśniła, co się stało.

Początkowo Stone nie uwierzył: „Wkręcasz mnie”.

Am Ende zapewniła go, że nie. Stone popatrzył na stertę skał u jej stóp. „Tam? A widzisz ją?”.

Pokręciła przecząco głową. „Może będziesz w stanie jej dosięgnąć...”.

Stone dał jej swój kask z zamontowaną karbidówką i zanurkował między skały. Pomiedzy nimi nie było zbyt wiele miejsca, żeby się prześlizgnąć, ale pomogło jego wieloletnie doświadczenie w przeciskaniu własnego pokaźnego ciała przez zaciski. Wcisnął głowę i ramiona w jedną ze szczelin, a prawą rękę z latarką w drugą. Mosiężna lampa błysnęła trzy metry niżej w snopie światła rzucanego przez latarkę. Chwiała się na krawędzi niewielkiej półki skalnej. Jeden nieuważny ruch posłałby ją z brzękiem w otchłań. Wyciągnął się, jak tylko był w stanie, ale od lampy dzieliło go nadal co najmniej półtora metra.

„Widzę ją, ale nie mogę jej dosięgnąć” – zameldował.

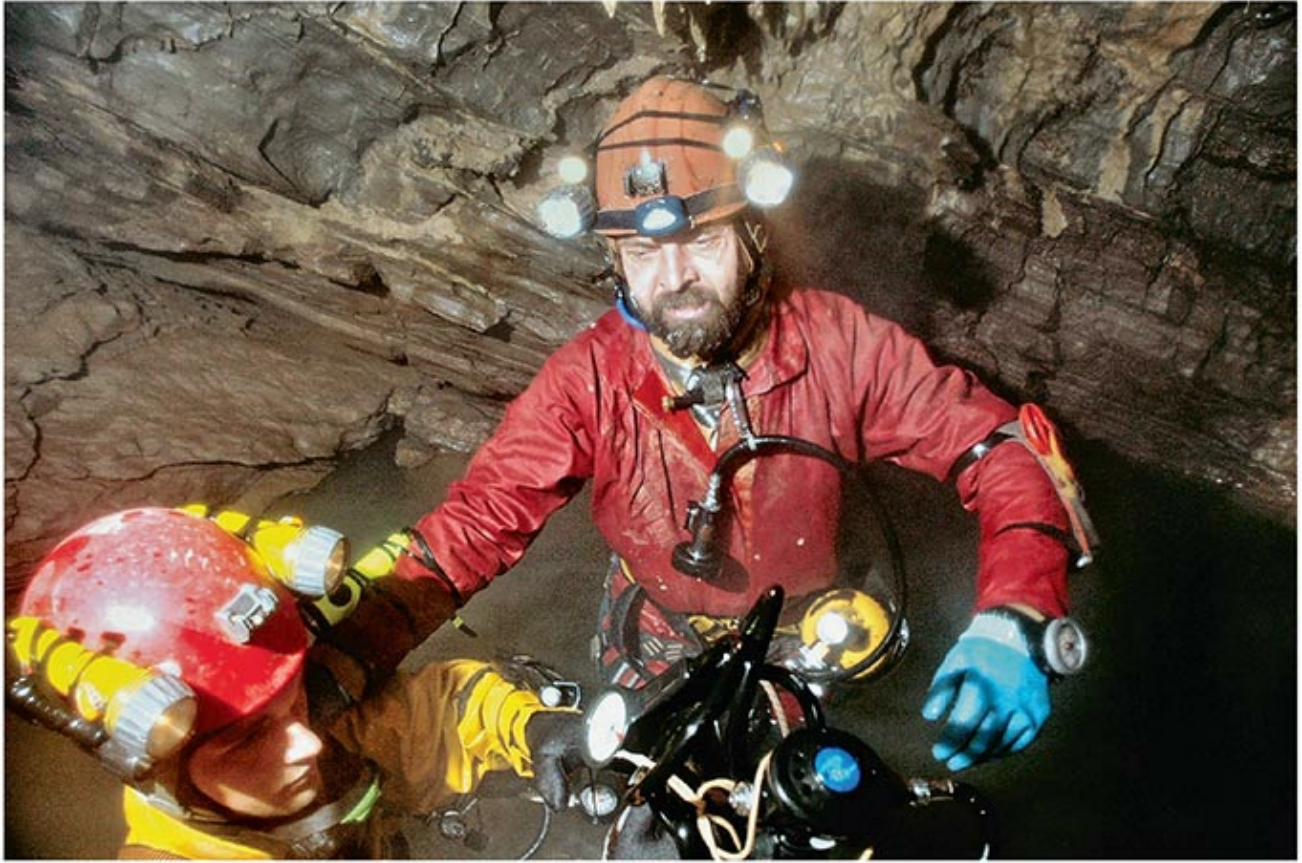
Wydobył się ze szczeliny. W chwili, w której się prostował, am Ende krzyknęła: „Jasna cholera, no nie!”.

„Co się stało? Co robisz?”.

Stała w ciemnościach z wyłączoną latarką, by zaoszczędzić baterie.

„Chciałam osuszyć filtr w twojej lampie” – powiedziała żałośnie. Nie znosząc bezczynności, am Ende rozebrała karbidówkę Stone’a, żeby wysuszyć zalany wodą filtr wytwornicy. Kiedy pracowała po omacku w ciemnościach, nie chcąc zużywać cennych baterii, stało się coś, co trudno sobie wyobrazić. Upuściła zapalarkę, czyli zespół maleńkich części – kamień, kółko, iglicę, sprężynkę – który w tej sytuacji był nie do odnalezienia. Utrata pierwszej lampy zmniejszyła ich zasoby podstawowych źródeł światła o jedną trzecią. Teraz spadły o kolejną jedną trzecią. Na dnie jaskini światło –

pomijając powietrze – było najcenniejszym czynnikiem umożliwiającym utrzymanie się przy życiu. Utrata sprawności dwóch lamp stanowiła zagrożenie życia.



Gienadij Samochin po swobodnym przepłynięciu syfonu na głębokości 1840 m
fot. Call of the Abyss Project

Oboje dysponowali dwiema elektrycznymi latarkami zapasowymi. Gdyby baterie były całkowicie nowe, każda z nich świeciłaby przez trzy godziny. Ale baterie nie były całkowicie nowe i Stone nie miał pojęcia, na ile światła mogli jeszcze liczyć. Każde z nich miało ponadto trzy inne latarki elektryczne, ale były to latarki nurkowe i nie do pomyslenia było wykorzystywanie ich do czegokolwiek innego niż oświetlenie drogi powrotnej przez syfony. Mieli wreszcie jedną zapasową karbidówkę, karbid na tydzień i nietkniętą zapalarkę.

Gdyby przez kilka kolejnych dni schodzili dalej w głąb jaskini i cokolwiek stałoby się z ostatnią lampą karbidową, nie mieliby wystarczająco dużo światła, by dotrzeć do biwaku 6 i przenurować oba syfony. Zostaliby pozostawieni samym sobie w kompletnych ciemnościach, bez szans na jakąkolwiek pomoc, i umarliby na jeden z trzech sposobów. Mogliby umierać powoli i boleśnie z głodu. Być może jedno z nich lub oboje doznaliby jakichś urazów uniemożliwiających dalsze przemieszczanie się i wówczas zmarliby równie powoli, tylko bardziej boleśnie. Mogli wreszcie, nie mając żadnej nadziei na ucieczkę, dobrowolnie odebrać sobie życie, pod warunkiem że zdołaliby opracować w ciemnościach jakąś metodę szybkiego uśmiercenia się.

„Przepraszam, nawaliłam na całej linii – powiedziała am Ende żałośnie. – Nie chciałam”.

Czuła się fatalnie. Upuszczenie pierwszej lampy było nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, ale miała świadomość, że za drugim razem padła ofiarą własnej błędnej decyzji. Gdyby przez chwilę zastanowiła się, czy opłaca się ryzykować utratę drugiej karbidowej lampy dla kilku minut pracy baterii, włączyłaby latarkę i lepiej pilnowała lampy.

Stone był teraz naprawdę wściekły. Usiadł obok niej w lodowatej ciszy. Z trudem powstrzymywał się od naskoczenia na nią, ale potem usłyszał w głowie głos Mariona Smitha, lakonicznie zbywającego śmiertelnie niebezpieczne upuszczenie manierki w Fantastic Pit.

„Zdarza się” – powiedział do am Ende, rozładowując napięcie.

Nie rozwiązywało to jednak problemu. Gdyby cokolwiek stało się z tą ostatnią karbidową lampą, cały ich dotychczasowy wysiłek i wszystkie poświęcenia poszłyby na marne. Stone rozumował następująco: Lampa Barbary zginęła, mojej nie da się uratować. Nie możemy iść dalej z jedną lampą. Nie mamy wyboru. Albo wydobydziemy jej lampę, albo się wycofujemy.

Ale jak po nią sięgnąć? Nie mieli wiertarki udarowej ani materiałów wybuchowych, które pozwoliłyby usunąć przeszkadzające głązy. Nie mogli podkopać się pod zawaliskiem, ponieważ w tym miejscu było już zdecydowanie zbyt głęboko. Nie mieli wystarczająco długich narzędzi, by móc nimi wyciągnąć balansującą na krawędzi

karbidówkę. Nie mogli nawet sklecić jakiejś lampy zastępczej, bo nie mieli odpowiednich części.

„Musimy odsunąć część skał” – zdecydował Stone.

Była to jedyna możliwość, choć początkowo wydawała się dość kiepskim wyborem. Cała ta góra kamieni – tak naprawdę cała jaskinia – była zbudowana z wapienia, którego metr sześcienny waży ponad 2,5 tony. Blok nie większy od tradycyjnego peceta miał wagę prawie 90 kilogramów. Głaz wielkości pralki oznaczał wagę ponad 450 kilogramów. Większość głazów w tym zawałisku była równie duża lub większa.

Jeśli Stone potrzebował kiedykolwiek rozwiązań na miarę Doca Savage’a, to właśnie wtedy. Studia inżynierskie oddały mu w tym momencie nieocenione usługi, pozwalając skoncentrować się na dostępnych rozwiązaniach i myśleć w kategoriach systemów. Stanął przed wyzwaniem opracowania systemu, który pozwoliłby jemu i Am Ende przyłożyć jednocześnie maksymalną dostępną siłę i osiągnąć maksymalną efektywność.

Wystarczyło zdać się na instynkt. Szybko uznał, że najbardziej skuteczną będzie kombinacja pchania i ciągnięcia. On będzie ciągnął za pomocą opracowanego przez siebie systemu, który pozwoli zaprząć do pracy jego 90-kilogramowe ciało w najbardziej dynamiczny sposób. Zawiązał pętlę na mocnej, pomarańczowej nylonowej taśmie i zarzucił ją jak lasso na najwyższy głaz.

Am Ende miała pchać. Oparła się plecami o najbliższy głaz i odepchnęła stopami ten, który Bill oplótł liną. W tej pozycji mogła wykorzystać najsilniejsze mięśnie ciała: brzucha, pośladków i czworogłowe ud. Na sygnał on zaczął ciągnąć, a ona pchać swoimi mocnymi, długimi nogami. Głaz zachwiał się, zastygł na chwilę, stracił równowagę i potoczył z łoskotem w dół. Pracowali dość długo, przesuując głazy, które można było przesunąć, wykorzystując połączony system nóg i lassa. Stone’owi nadal brakowało około metra, by dosięgnąć lampy.

Podjął próbę zastosowania kolejnego pomysłu. Związał resztki linki spadochronowej i zrobił coś na kształt żyłki wędkarskiej. Nie miał haczyka, a lampa leżała w takiej pozycji, że nie sposób było chwycić jej w pętlę, zawiązał więc niewielki supeł na końcu swojej linki.

Może będę w stanie go zaklinować w jakimś miejscu albo zahaczyć jakąś wystającą część, pomyślał. Ponownie położył się na skale, przycisnął twarz do szczeliny, wziął latarkę w lewą dłoń i „żyłkę wędkarską” w prawą. Utrzymując snop światła na lampie, palcami drugiej dłoni rozwinął linkę. Lampa miała kilka miejsc, o które mógłby zaczepić supełek, gdyby tylko zdołał go odpowiednio umiejscowić. Musiał być jednak bardzo ostrożny, by nie stracić lampy z niestabilnej półki i nie stracić jej na dobre.

W tej niewygodnej pozycji pracował przed 45 minut, zwijając i rozwijając linkę,

kołysząc nią delikatnie w tył i w przód, próbując znaleźć punkt zaczepienia. Czuł, że palą go mięśnie i oblewa się potem mimo panującego w jaskini chłodu. Am Ende mogła jedynie bezradnie siedzieć w pobliżu w ciemnościach, dręczona wyrzutami sumienia. Płynęły kolejne minuty. Sytuacja stawała się rozpaczliwa.

Stone wiedział, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko ponawiać próby. Skoncentrował się w końcu na elemencie, który uznał za najlepszy punkt zaczepienia, niewielkiej szczeliny pomiędzy dolną częścią okrągłego, chromowanego reflektora a szczytem mosiężnej obudowy w kształcie walca. Szczelina była nieco mniejsza niż supełek. Gdyby zdołał wsunąć supełek za szczelinę, mógłby pociągnąć całość delikatnie w górę i unieść lampę. Gdyby lina była sztywna, mógłby z łatwością wepchnąć supełek za szczelinę. Ale liny nie da się nigdzie wepchnąć jak patyka. Mógł umieścić supełek w odpowiednim miejscu, jedynie łagodnie i z idealną precyzją kołysząc linką z zawiązanym supełkiem.

W końcu, po setkach nieudanych prób, zdołał wsunąć supełek za szczelinę. Napiął delikatnie linkę, jak gdyby była pajęczą nitką, wiedząc, że jeśli ją upuści, wszystko będzie stracone. Powoli lampa zbliżała się ku jego palcom, aż wreszcie zdołał ją złapać.

Podskoczył w górę, trzymając lampę wysoko nad głową. Am Ende wydała okrzyk radosnej ulgi. Próbowała go uściskać, ale wściekłość jeszcze z niego nie wyparowała i zdecydowanie nie był w nastroju na serdeczne uściski i przybijanie piątek. Odpędził ją od siebie machnięciem ręki.

„Coś ci powiem – rzekł z kamienną twarzą, doskonale imitując głos Mariona Smitha. – Lepiej przyczepmy sobie te lampy jakimś sznurkiem do kasków”.

Tego wieczoru uczcili szczęśliwe wydarzenie liofilizowanym gulaszem. Do tego momentu złość Stone'a nieco opadła i wrócił mu zapał. Zakończyli posiłek w sposób gwarantujący, że nawet jeśli Huautla nie pobije rekordu głębokości, oni ustanowią w biwaku 6 jeden z własnych, prywatnych rekordów.

Następnego ranka, 2 maja, po owsiance na śniadanie o siódmej rano, załadowali na plecy liny i sprzęt wspinaczkowy i ruszyli w głąb jaskini. Po krótkim czasie korytarz skończył się kolejnym ogromnym syfonem wypełnionym ciemną wodą. Nurkowania w nim w ogóle nie brali pod uwagę. Szukając sposobu na obejście syfonu, Stone omiatał otaczające ich ściany światłem jednej z latarek. Na dalszym końcu syfonu, jakieś siedem metrów powyżej lustro wody, w ścianie widniał otwór wielkości drzwi. Jak ktoś ostrożnie przesuwany się po parapecie drugiego piętra, Stone zaczął przesuwać się centymetr po centymetrze wzdłuż długiej, wąskiej półki, która biegła wzdłuż ściany jaskini, aż wreszcie znalazł się poniżej otworu. Następnie wspiał się bez asekuracji po ścianie, podciągnął się do otworu i usiadł w nim na chwilę, żeby odpocząć. Zobaczył tam opakowanie po snickersie zaklinowane w szczelinie znajdującej się w ścianie powyżej. Musiało tu zostać przyniesione przez przybór w połowie kwietnia. Myśl o tym, że wystarczą trzy dni opadów, by poziom wody wzrósł o ponad 7 metrów, mroziła krew w żyłach. Przybór w porze deszczowej będzie znacznie gorszy. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Zajął się na powrót tym, czym należało się zająć. Osadził kotwę, by am Ende łatwiej było przejść z workiem wypełnionym ich linami, sprzętem, wodą i jedzeniem.

Pokonali szereg tuneli i korytarzy i znaleźli się powyżej kolejnego rozległego jeziora. Tym razem jednak prawie dokładnie pod nimi 12 metrów ponad lustro wody wynosiła się skała w kształcie piramidy. Zeszli na skałę, która ze wszystkich stron była otoczona wodą największego syfonu, na jaki dane im było się natknąć. Tak jakby im głębiej schodzili, tym większe kłody jaskinia rzucała im pod nogi, aż wreszcie doszli do tego momentu, który w filmach jest przełomową chwilą spotkania bohatera z Ostateczną Przeszkodą, czymś tak ogromnym i niebezpiecznym, że zgoła nie do pokonania, choć zazwyczaj jakimś cudem się udaje.

Co sprawiło, że z takim uporem parli do przodu, w pełni świadomi, że każda chwila spędzona na dole, poza zasięgiem jakiegokolwiek akcji ratowniczej, spycha ich do roli żołnierzy biorących udział w przedłużających się starciach zbrojnych, którzy nie mają żadnych wątpliwości, że celny strzał jest tylko kwestią czasu?

Stone i am Ende byli przyzwyczajeni do stawiania czoła zagrożeniom. Znali jaskinie; Stone eksplorował wcześniej superjaskinie, a am Ende miała okazję wyprawiać się do bardzo dużych podziemnych systemów. Zaangażowali się w wyprawę z pełną świadomością konsekwencji, po rozważeniu ryzyka, porównaniu go z sumą ewentualnych korzyści i uznaniu, że gra warta jest świeczki. Innymi słowy, pogodzili się z możliwością własnej śmierci. Celem żadnego z powyższych stwierdzeń nie jest wywołanie wrażenia, że nie czuli strachu. Czuli. Nieodczuwanie strachu byłoby oznaką zaburzeń psychicznych. Jak jednak zostało wielokrotnie zauważone, prawdziwa

odwaga nie jest równoznaczna z nieodczuwaniem strachu; prawdziwa odwaga polega na wytrwałym podążaniu raz obraną drogą pomimo strachu. Stone'owi i am Ende nie można odmówić wytrwałości. Tak często czuli na karku oddech lwa, że zaczął wydawać się im pieszczotą.

Istniał tylko jeden sposób, by zorientować się, co znajduje się dalej, więc Stone zaczął płynąć. Miał na sobie tylko polarowy kombinezon, nie miał pianki, a woda była bardzo zimna: 18 stopni Celsjusza, prawie 19 stopni mniej niż naturalna temperatura ciała. W wodzie ciało wychładza się siedem razy szybciej niż na powietrzu. Zbadał trzy ściany syfonu, w żadnej nie znajdując otworu umożliwiającego dalszą eksplorację.

W chwili, w której podejmował czwartą, ostatnią próbę na południowo-zachodniej ścianie, wstrząsały nim już dreszcze z wychłodzenia. Dostrzegł piaszczystą łachę znajdującą się około 30 metrów dalej. Kiedy pokonał połowę dystansu, zorientował się, że za moment utonie. Nasiąknięte wodą ubranie, ciężar sprzętu wspinaczkowego i pełne wody kalosze ciągnęły go na dno, którego nie sięgał stopami.

Próbował dotknąć dna choć czubkami palców, ale nie mógł. Zamachał rękoma, czując przyływ paniki. Łapczywie chwytając powietrze, poczuł, jak woda zalewa mu nos i usta i zamyka się nad jego głową.

W tym momencie poczuł dno palcami stóp. Dysząc i plując wodą, zaczął gramolić się po wznoszącym się brzegu. Po kilku minutach był w stanie krzyknąć do am Ende, że wszystko z nim w porządku. Popłynęła w jego stronę, obciążona nieco mniejszą liczbą sprzętu. Stone wspiał się po zboczu w kierunku korytarza o średnicy 15 metrów i tak gładkim dnem, że mógłby nim pobiec. Po przebyciu około 100 metrów zatrzymał się. Już wcześniej obszerny tunel gwałtownie się rozszerzył, prowadząc dalej naprzód. Poczuł się tak, jakby stanął po niewidocznej stronie Plutona, w miejscu znacznie bardzo odległym, onieśmielającym i jednocześnie ekscytującym niż jakiegokolwiek, w którym dane mu było wcześniej postawić stopę.

Był prawie pewien, że stoi w przedsionku magicznego przejścia, które doprowadzi go na sam dół, w stronę poszukiwanego od dawna wywierzyška rzeki Santo Domingo, z którego wypłynął barwnik znaczący wody rzeki jaskrawozielonym kolorem. Jeśli korytarz prowadzi dalej – a był tego pewien – Huautla stanie się najgłębszą jaskinią na Ziemi, o wiele długości odsadzając konkurentów, a on otrzyma w końcu dowód, że przez ostatnich osiemnaście lat nie walczył z wiatrakami. Podskoczył i wydał z siebie okrzyk niczym pradawny czciciel pogańskich bożków, a jego radosny ryk odbił się echem od ścian jaskini.

Poniżej przejścia odkryli jedno z tych fantastycznych miejsc, którymi superjaskinie od czasu do czasu nagradzają swoich odkrywców. W odległości 11 kilometrów od wejścia do jaskini, prawie półtora kilometra pod powierzchnią ziemi, wkroczyli do rozległej sali w kształcie łzy, długiej na 150 metrów, szerokiej na 140 metrów

w najszerszym miejscu, wysokiej na 30 metrów w najwyższym punkcie łukowego sklepienia. Suche liczby nie oddają w pełni imponującej natury tego miejsca. Na dnie Perseverance Hall, Sali Wytrwałości, jak ją nazwał Stone, mogłoby stanąć ponad pięćdziesiąt gigantycznych lokomotyw spalinowych, których odgłos Stone wyobrażał sobie w biwaku 5. Gdyby zostały ustawione jedna na drugiej – a wysokość sklepienia nie stawiała ku temu żadnych przeszkód – zmieściłoby się ich w tej sali dwa razy tyle.

Stone i Am Ende byli w euforii. Tylko rwące ciekły wodne kształtujące jaskinię przez wieki mogły wyrzeźbić tak gigantyczną salę, a woda ta musiała płynąć dalej, zwiastując jeszcze bardziej niewiarygodne odkrycia. Dno Sali Wytrwałości pokrywały głazy, schodzące w dół mniej więcej pod kątem schodów. Ekscytacja wzięła górę i oboje przyspieszyli kroku. Am Ende zeszła na dół jako pierwsza, a Stone poszedł w jej ślady. Ich pośpiech był zrozumiały, ale w jaskiniach pośpiech zdecydowanie nie jest dobrym doradcą. Stone stanął na skale wielkości tapczanu, która wyglądała stabilnie, ale nieoczekiwanie zaczęła się osuwać, a po chwili staczać w dół. Ocenili później, że ważyła jakieś 4,5 tony. Stone próbował utrzymać się na jej szczycie niczym flisak balansujący na spławianej rzeką kłodzie. Am Ende usłyszała łoskot i krzyknęła, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Tam na dole wypadek mógł zdarzyć się w odległości pozwalającej na kontakt głosowy, a jednocześnie całkowicie poza zasięgiem wzroku.

Stone zeskoczył z turlającego się głazu i walnął plecami o inne skały, twarzą w górę zbocza, patrząc, jak wapienny gigant turla się w jego stronę. Wszystko trwało ułamki sekund, więc był jak ktoś, kto staje na drodze pędzącego autobusu, dostrzega go, orientuje się, że zostanie uderzony, ale już nie ma już czasu, by się wycofać. I wtedy, jakimś cudem, głaz... się zatrzymał. Jego dalszy bieg powstrzymało ukształtowanie pozostałych skał; gigantyczna kula wpadła do odpowiedniego dołka.

Am Ende znalazła go siedzącego pod skałą, wpatrującego się z niedowierzaniem w gigantyczny kawał skały, który dzieliły tylko ułamki sekund od śmiertelnego dla Stone'a spotkania z ludzkim ciałem. A potem wstał i pośpiesznie zszedł mu z drogi.

Oboje rozumieli, że gdyby Stone został ranny, Am Ende musiałaby go zostawić, zdjęć swój rebreather z wysokiej półki, przenurować samodzielnie dwa syfony i mieć nadzieję, że Noel Sloan jest jeszcze w biwaku 5.

Z Noelem albo bez niego musiałaby poświęcić dwa dni na wydostanie się na powierzchnię i w jakiś sposób ściągnąć pomoc. Ale skąd pomoc? Meksykański rząd nie byłby w stanie zorganizować tego rodzaju wyprawy ratunkowej. Innym grotołazom, zakładając, że chcieliby wziąć udział w akcji ratunkowej lub akcji wydobywania ciała, dotarcie do Stone'a zabrałoby wiele tygodni.

Tymczasem Stone byłby równie samotny jak człowiek porzucony na Księżycu. Otwarte rany szybko uległyby zakażeniu w wilgotnym, bogatym w mikroorganizmy środowisku jaskini. Złamania doprowadziłyby do śmierci w inny sposób, na przykład

powodując zator tłuszczowy. Po złamaniu kości do krwioobiegu mogą uwalniać się ze szpiku kostnego mikroskopijne drobinki tłuszczu, które mogą spowodować zator na przykład tętnicy płucnej lub naczyń w mózgu, a w konsekwencji kłopoty z oddychaniem i komplikacje neurologiczne.

Jak na jeden dzień mieli dość. Spokojny sen w biwaku 6 ukoił skołatane nerwy i następnego ranka, 3 maja, byli gotowi zaatakować ponownie. Uzgodnili prosty plan: będą szli tak długo, dopóki z jakiegoś powodu nie będą w stanie już iść dalej. Tym razem włożyli neoprenowe pianki. Zapakowali prawie 5 kilogramów karbidu, całość posiadanej liny i sprzętu wspinaczkowego oraz wszystkie pozostałe zapasy wysokoenergetycznej mieszanki rodzynek, słodyczy i orzechów.

Poruszając się szybko, w ciągu trzech godzin pokonali Perseverance Hall i na jej dalszym końcu odkryli kolejny wielki syfon. Tym razem to am Ende miała się zamoczyć pierwsza. Z liną przywiązaną do uprząży popłynęła w kierunku dalszego końca syfonu i zniknęła w szczelinie. Powierzchnię wody od stropu korytarza dzieliło zaledwie 30 centymetrów wolnej przestrzeni wypełnionej powietrzem. Im dalej płynęła, tym bardziej strop się obniżał.

Gdyby poziom wody się podniósł, musiałyby oddychać z ustami lub nosem przyklejonym do stropu. Grotołazi tak czasem postępują, próbując łapać oddech w niewypełnionych wodą przestrzeniach o szerokości ołówka. Ale ciężki kask i karbidówka szybko nadwerężają mięśnie karku, utrudniając coraz bardziej utrzymanie głowy w pozycji umożliwiającej oddychanie. Zmęczone mięśnie mogą nieoczekiwanie skurczyć się albo całkowicie rozluźnić w dużej odległości od początku lub końca tego rodzaju szczeliny. Nałykanie się wody jest doskonałą metodą na wpadnięcie w panikę. A panika w głębi Ziemi kończy się zazwyczaj tylko w jeden, określony sposób.

Stone obserwował, jak am Ende znika w szczelinie, ciągnąc za sobą linę. Przez chwilę słyszał, jak jej kask szoruje o ścianki szczeliny, ale po chwili dźwięk ucichł, a światło jej lampy zniknęło. Został sam w ciemnościach, powoli wydając jej kolejne zwoje liny. Przypominając sobie własne doświadczenie z pozycji kogoś, kto znajduje się na końcu liny, zaczął zastanawiać się nad tym, jak długo powinien poczekać, zanim podejmie próbę przyholowania jej z powrotem. Minęło dziesięć minut, lina cały czas powoli wysuwała się z jego palców, 15 minut, w końcu lina przestała się poruszać. Czy am Ende miała kłopoty? A może zatrzymała się, żeby odpocząć, poprawić jakiś element sprzętu albo przyjrzeć się czemuś? Nie miał żadnego sposobu, by się tego dowiedzieć, i nagle zrozumiał, jak wykańczające musiało to być dla dwóch ludzi czekających na jego powrót na drugim końcu liny podczas jego wcześniejszego nurkowania.

Płynęły minuty. Holować ją z powrotem? A jeśli była w jakiejś dziwnej pozycji i nagle szarpnięcie liny zrani ją lub wepchnie pod wodę? Nie, będzie musiał czekać na jakiś

sygnał.

Spojrzał na zegarek – 20 minut. Nie chciał ciągnąć za linę, nie znając jej położenia w szczelinie, jedynym wyjściem było więc pójście za nią. Próbując powstrzymać się od myślenia o tym, że być może właśnie ma do czynienia z kolejnym wypadkiem śmiertelnym – którego ofiarą miała być kobieta, którą kochał – Stone ześlizgnął się do wody.

Zanurzony po piersi w lodowatej wodzie poczuł trzy gwałtowne szarpnięcia. Chociaż kolejne lata w jaskiniach miały przynieść wiele podbramkowych sytuacji, nigdy później nie poczuł już tak ogromnej ulgi. Zamiast w panice ciągnąć ją w swoją stronę, jak zrobili to jego wybawcy, co nieomal skończyło się tragedią, po prostu utrzymywał linę w stanie napięcia, by Barbara mogła wyciągnąć się sama. Am Ende w końcu pojawiła się w polu widzenia, zmarznięta i ociekająca wodą, ale podekscytowana.

„Korytarz ciągnie się dalej – zameldowała. – Wykorzystałam całą długość liny. Co najmniej 60 metrów trzeba pokonać w wodzie. Dalej, po drugiej stronie, jest duży korytarz z rzeką”.

Wiadomość ta poruszyła Stone’a, ale 60-metrowy ciasny korytarz, który pokonała właśnie am Ende, budził jego niepokój. Nie sposób było przewidzieć pogody ani nawet ocenić obecnie panujących na powierzchni warunków. Wiedział, że nawet lekkie opady wielokrotnie wcześniej usidlały grotolazów w pułapkach podobnych do tej. Ocalenie przynosiła im przerwa w opadach i obniżenie się poziomu wody lub przybywający po nich nurkowie. W niektórych przypadkach nurkowie nie byli już w stanie uratować żywych, mogli jedynie wydobyć ciała na powierzchnię. Gdyby taka sytuacja zdarzyła się tutaj, w Huautli, nie mieliby szans na ratunek. Zaczynała się właśnie pora deszczowa, więc woda nie opadłaby – w kolejnych tygodniach i miesiącach jej poziom systematycznie by się podnosił.

Nie byli w stanie powstrzymać deszczu, ale Stone postanowił przynajmniej zamocować linę wzdłuż przejścia. Jeśli korytarz zostanie zalany, będą mogli przeciągnąć się pod wodą. Bezpieczeństwo, które sobie w ten sposób zapewnili, miało wymiar przede wszystkim psychologiczny; gdyby przybór pory deszczowej zastał ich po drugiej stronie, prawdopodobnie zginęliby. Przede wszystkim, nie dysponując sprzętem nurkowym, musieliby pokonać zalane przejście na wstrzymanym oddechu. Wstrzymanie oddechu w zimnej wodzie na czas wystarczający na pokonanie 60 metrów, przy obładowaniu zapasami i sprzętem, należałoby samo w sobie uznać za cud, nawet w wodach otwartych. Co więcej, gdyby am Ende w połowie drogi postanowiła się wycofać, czy zdołałaby dojść na drugi koniec, zanim bezwarunkowy odruch wywołany kumulacją dwutlenku węgla w organizmie zmusiłby ją do zaczerpnięcia oddechu, powodując w konsekwencji utonięcie? Jako drugi, Stone nie zorientowałby się, czy udało jej się dojść na drugi koniec, czy nie. Ciągnięcie za przywiązaną do niej linę, jak zrobił Stone w 1979 roku, spotęgowałoby tylko jej panikę i prawdopodobieństwo zaklinowania się; w tej sytuacji margines możliwych błędów był zbyt wąski, by móc sobie na to pozwolić. Po odczekaniu rozsądnej chwili ruszyłby w głąb przejścia, być może tylko po to, by znaleźć jej martwe ciało blokujące drogę naprzód.

Opisane wyżej scenariusze nie wyczerpywały wszystkich możliwych zagrożeń. Zgodnie z doskonale znanym zjawiskiem fizycznym określanym nazwą efektu 2 prędkość cieczy przepływającej z większego naczynia do mniejszego zwiększa się. Pistolety mocowane na węzłach ogrodowych dobrze spełniają swoje zadanie, ponieważ zmuszają powoli płynącą w węźle wodę do przeciśnięcia się przez wąską dyszę. Gdyby jaskinią Huautla spłynęło wystarczająco dużo wody, by wypełnić wcześniejszy syfon i przepłynąć mniejszym korytarzem poniżej, nie płynęłaby powoli jak woda w ogrodowym węźle; przeciwnie, tryskałaby z dalszego krańca przejścia jak z otwartego hydrantu przeciwpożarowego. Mimo wszystko am Ende kontynuowała eksplorację, gdy Stone wykonywał swoją pracę, i wróciła w chwili, gdy osadzał właśnie drugą kotwę.

„Chcesz usłyszeć najpierw dobrą czy złą wiadomość?” – zapytała.

„Najpierw złą”.

„Popłynęłam w dół aż do następnego jeziorka. To syfon. Opłynęłam go wokół i nie ma żadnego korytarza, który prowadziłyby dalej”.

„Jak brzmi zatem dobra wiadomość?”.

Wyjaśniła podekscytowana, że mniej więcej po 90 metrach natknęła się na ogromną rzekę wlewającą się do jaskini z lewej strony; przepływ w nowo odkrytym cieku był ponad cztery razy większy niż w tym, którym właśnie podążali.

„Cztery razy? Niewiarygodne”.

„Tak, ale prowadzi w górę. To nie jest nasz kierunek”.

Nie będąc w stanie ukryć rozczarowania, powiedziała: „Myślę, że doszliśmy do ściany”.

„Zobaczmy” – skwitował Stone.

Po zaledwie kwadransie brodzenia w płytkiej wodzie dotarli do opisywanego przez nią wodospadu. Stone był zdumiony. Był to największy podziemny wodospad, jaki kiedykolwiek widział. Woda wytryskiwała z ogromną siłą z otworu w ścianie, który miał co najmniej 6 metrów średnicy. Stone był przekonany, że trafił wreszcie na legendarne połączenie z ciekim jaskini Rio Iglesia, którego szukało ponad dwadzieścia wypraw od 1967 roku.

Parli naprzód, pokonując szereg wąskich, wiodących ku górze skalnych korytarzy, by w końcu znaleźć się w ogromnej sali. W miejscu, w którym weszli, miała co najmniej 100 metrów średnicy, zwężała się niczym lejek, a piaszczyste zbocze schodziło pod kątem 45 stopni, do kolejnego syfonu, który mierzył 50 metrów szerokości i 25 metrów długości. Przecinał dalszy kraniec sali jak daszek litery T. Dotarli do syfonu prostopadle do jego dłuższej osi, mniej więcej w połowie szerokości. Ściana poza taflą wody biegła pionowo ku górze ku miejscu, gdzie nie sięgało już światło rzucane przez ich lampy. Do leżącego przed nimi syfonu spływały wody wszystkich wodospadów,

rzek, strumieni i kanałów znajdujących się powyżej. Tylko jedna nazwa wydawała się odpowiednia: Mother of All Sumps, Syfon nad Syfony.

Wielkie poprzeczne wydmy przecinały piaszczyste zbocze jak ogromne stopnie i widzieli, że tylko woda spadająca z wielką siłą (wyobraźcie sobie bystrze IV klasy) mogła wyrzeźbić w piasku, żwirze i skale krawędzie w tym kształcie. W każdej porze deszczowej po burzach i gwałtownych opadach woda spływała z hukiem w dół, kipiąc w łóżysku rzeki, rzeźbiąc jego dno i rzucając się z łoskotem do Mother of All Sumps. Am Ende i Stone stali u wylotu lufy niezwykle długiej strzelby, którą pora deszczowa mogła załadować i z której mogła wypalić w każdej chwili.

Syfonu nie można było obejść ani przenurować.

„Szach-mat!” – rzucił Stone donośnie.

Stone i am Ende bez problemów wrócili do biwaku 5, następnie wspięli się do biwaku 3 i wyszli na powierzchnię. Ich osiągnięcie nie miało sobie równych w annałach speleologii – i niewiele w historii odkryć geograficznych. Wiele lat później Stone został poproszony przez dziennikarza portalu NationalGeographic.com o przypomnienie sobie najszcześniejszej chwili w życiu. Jego szybka odpowiedź pozwala wyobrazić sobie, jak ogromnym przeżyciem musiało być dla niego tych sześć wyjątkowych dni spędzonych z am Ende za syfonem:

„Wieczór 6 maja 1994 roku, pod koniec trwającej 4,5 miesiąca wyprawy do San Agustín. Po 11 dniach spędzonych pod ziemią w systemie Huautla w Meksyku moja koleżanka Barbara am Ende i ja zdołaliśmy dotrzeć w końcu do biwaku 3”. Ich sześciodniowa próba poszerzenia granic poznania systemu Huautla była nadzwyczajnym osiągnięciem, a jednak najszcześniejszą chwilą w życiu Stone nie był moment odkrycia kolejnej partii wielkiej jaskini, lecz moment, w którym udało im się opuścić jej mroczne trzewia.

Stone od osiemnastu lat prowadził przełomową eksplorację w meksykańskich jaskiniach, od czasu pierwszej poważnej wyprawy z Jimem Smithem w 1976 roku. Spędził na tej wyprawie prawie trzy miesiące, a ostatni podziemny wypad trwał jedenaście nieprzerwanych dni i nocy. Opierając się na pomiarach dokonanych podczas sześciodniowej wyprawy z biwaku 5, on i am Ende osiągnęli głębokość 1475 metrów. Tym samym Huautla stała się najgłębszą jaskinią w Ameryce Północnej. Zbadali ponad 3,6 kilometra nowych korytarzy, wystawiając się nieustannie na niezliczone niebezpieczeństwa, bez nadziei na ratunek w razie wypadku.

Ich odkrycia dały im z pewnością powody do radości. Ostateczny cel nadal jednak nie został osiągnięty. Tytuł najgłębszej jaskini świata nosiła wówczas francuska jaskinia Réseau Jean Bernard, głęboka na 1602 metry i głębsza o 127 metrów od Huautli. Tak zakończył się 1994 rok.

No cóż, nie do końca. Wkrótce po tym, jak Stone i am Ende wyszli z jaskini, Craig Vetter, dziennikarz magazynu „Outside”, wkroczył do obozu bazowego.



Julia Timoszevska na głębokości 1500 m, Krubera
fot. Call of the Abyss Project

„Jest tylko jedna osoba, której obecnością w obozie byłbym bardziej zaskoczony, i obawiam się, że musiałbym ją zabić” – powiedział Stone, kiedy Vetter pojawił się na początku maja. Słowa dotyczące zabójstwa odnosiły się do nieobecnego filmowca. Stone był podenerwowany. Najwyraźniej nie zapomniał jeszcze tekstu, który ukazał się w „Outside” w 1992 roku – zwłaszcza jego końcówki. Wyglądało na to, że „Outside” wysłał dziennikarza do obozu wyprawy tuż po tym, jak do jego redaktorów dotarły smakowite plotki o „waśniach i śmierci”, jak można było później przeczytać. Najwyraźniej magazyn nie był szczególnie zainteresowany wyprawą zakończoną sukcesem, ale ostrzył zęby na ekspedycję nękaną katastrofami, rozpadem zespołu i śmiercią jednego z uczestników.

W chwili, w której Vetter dotarł do biwaku, wyprawa była już w zasadzie zakończona. Wszyscy pozostali na miejscu członkowie byli wycieńczeni, wyczerpani fizycznie i wypaleni emocjonalnie. W atmosferze z łatwością dawała się wyczuć wściekłość, rozczarowanie i rozżalenie. Członkowie wyprawy mieli za sobą śmierć uczestnika, bunt, niezliczoną ilość sytuacji, w których otarli się o śmierć, i wiele kłótni, w których padło mnóstwo bolesnych słów. Kobieta przywódcy była czymś więcej niż drobnym problemem. Podsumowując, była to wyprawa z najczarniejszych koszmarów.

Z punktu widzenia prasy był to doskonały materiał na tekst.

„Outside” trafił na prawdziwą żyłę złota: skandal, śmierć, intryga, coś, co zdarza się może raz na dziesięć lat. Powstały ostatecznie artykuł zatytułowany „Bill Stone w otchłani”¹⁵ w pełni wykorzystał tę sytuację. Redakcja poświęciła na tekst ponad dwa razy większą objętość niż na jeden z typowych dłuższych tekstów ukazujących się zazwyczaj w numerze. Oto akapit otwierający artykuł:

Obsesją jego życia jest dotarcie na dno najgłębszej jaskini świata. Dwóch członków jego zespołu już zginęło. Ilu jeszcze zdolny jest poświęcić?

W tekście Stone został opisany jako ogarnięty obsesją obłąkaniec o skłonnościach samobójczych, ponury, opryskliwy, nadęty i bezduszny desperat. Autor wyraził zdecydowany pogląd, że Stone w swoim zapale nie cofnąłby się przed śmiercią, gdyby alternatywą miała być bezapelacyjna porażka.

W podsumowaniu napisano: „Być może nagrody takie jak Huautla dostają się tym, którzy przyzwyczajeni są nie pytać nikogo o pozwolenie i którzy rzadko zatrzymują się, by podliczyć koszty”.

A zatem kolejny amorficzny tekst balansujący na krawędzi zniesławienia, najwyraźniej stawiający dwie tezy jednocześnie, a może niestawiający żadnej. Autorowi

artykułu należy oddać sprawiedliwość, że zawarł w tekście również kilka informacji przedstawiających Billa Stone'a w pozytywnym świetle, ale w powodzi siedmiu tysięcy głównie krytycznych słów trudno je było odnaleźć.

Kiedy tekst został opublikowany kilka miesięcy później, Stone wpadł we wściekłość. Uznał go za całkowicie nieuzasadnioną krytykę wydawnictwa, które zdolne jest zniżyć się do najniższego możliwego poziomu, by sprzedać dodatkowe egzemplarze. Do dzisiaj nie nazywa magazynu, który opublikował tekst, inaczej niż „Outhouse”¹⁶. Craig Vetter nawet teraz broni artykułu, który jego zdaniem jest rzetelny i wyważony, twierdząc, że odmalował uczciwy obraz tego, co zastał na miejscu. Można dać wiarę jego twierdzeniu, ponieważ z powodu późnego zlecenia ze strony „Outside” dotarł na miejsce w chwili, w której mógł już tylko grzebać w zgłiszczach wyprawy. Jak jednak usprawiedliwić ogromną liczbę zawartych w tekście uwag krytycznych, skoro w tak niewielu miejscach pozwolono Stone'owi odeprzeć krytykę? „Trudno było przeprowadzić z nim wywiad, tym bardziej że Barbara am Ende strzegła go i ograniczała do niego dostęp” – powiedział mi Vetter. Powściągliwość Stone'a była po części wynikiem jego niezadowolenia z powodu nieoczekiwanego pojawienia się Vettera w obozie. Zdecydowanie większe znaczenie miał jednak kontrakt sponsorski zawarty z magazynem „National Geographic”, który zabraniał mu oraz pozostałym członkom wyprawy kontaktów z innymi mediami. Fakt ten nie znalazł odzwierciedlenia w artykule magazynu „Outside”.

Tak czy owak, można bezpiecznie założyć, że większość z ponad miliona czytelników „Outside” nie zapamiętała z tekstu ani samodzielnego wydobycia przez Stone'a ciała Rollanda, czemu poświęcono jedno zdanie, ani niesamowitej sześciodniowej eksploracji jaskini w wykonaniu Stone'a i am Ende (kilka akapitów), ani bezawaryjnego działania rebreatherów. Większość czytelników nie zapamiętała Stone'a jako tego, który podobnie jak Livingstone, Shackleton, Lewis i Clark przewyciężył przeszkody, które wydawały się nie do pokonania. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że większość czytelników zapamiętała go jako postać z zupełnie innej bajki – głównodowodzącego ludojada.

Odlóżmy to na razie na bok. Czasopisma publikują to, co się sprzedaje, a my kupujemy to, co jest publikowane. Znacznie bardziej naglące wydaje się narzucające się z perspektywy czasu pytanie dotyczące tego epizodu w Huautli: Dlaczego? Dlaczego Bill Stone był skłonny przekraczać granice i skłaniać do tego innych? Dlaczego właśnie wtedy? Podczas wcześniejszych wypraw, jak tej do Peña Colorada, zachowywał dyscyplinę w zespole, ale nie był aż tak apodyktyczny. Być może, sądząc z buntu w Peña Colorada, był wręcz zbyt mało władczy. W Huautla w 1994 roku słowo „apodyktyczny” było prawdopodobnie zbyt łagodnym określeniem zachowania

Stone'a. Najwyraźniej coś wydarzyło się w jego życiu pomiędzy wyprawami do Peña Colorada i Huautli. Co?

Nasuwa się oczywiste skojarzenie: był coraz starszy i coraz wyraźniej czuł, że czas działa na jego niekorzyść. W artykule Vettera cytowany jest jeden z członków wyprawy: „Przez cały czas Stone spieszył się tak, jakby był dokądś spóźniony”. Posiadacze osobowości typu A zawsze mają poczucie, że są spóźnieni; to jedna z cech konstytuujących ten typ osobowości. Co więcej, Stone naprawdę był spóźniony. W 1994 roku miał czterdzieści dwa lata. Dla prawnika, nauczyciela czy kierowcy autobusu ten wiek nie miał żadnego znaczenia. Jednak dla tych, którzy uczynili ciało narzędziem swej pracy – zawodowych sportowców, modeli, prostytutek i odkrywców – granica czterdziestu dwóch lat jest wstępem do starości.

Jaskinie to nie jest kraj dla starych ludzi. Podczas trwających wiele tygodni wypraw grotolazi wielokrotnie poddają swoje ciało okrutnym próbom. Przez wiele tygodni zjeżdżają i wspinają się w pionowych studniach z ciężkimi worami, obijają się o skalne ściany, przeciskają się przez łamiące żebra zaciski, obijają kolana na stromych zawaliskach i wyginają kręgosłup we wszystkie strony, prześlizgując się przez skalne rumowiska. Ociekający wodą, wstrząsani dreszczami, pogrzebani w krainie wiecznych ciemności, niedożywieni, niewyspani i dręczeni problemami żołądkowymi. Nie wspominając już o nurkowaniu jaskiniowym, od którego Stone nigdy się nie uchylał, często sięgając granic możliwości. Miał czterdzieści dwa lata i od dwudziestu dwóch lat dręczył swoje ciało każdego roku; jako 42-latek był już w tym momencie starszy niż wielu innych uczestników wypraw jaskiniowych, nie mówiąc już o ich organizatorach.

Być może czuł presję sukcesów młodszych grotolazów badających jaskinie w innych rejonach świata. Europejscy grotolazi odnotowywali robiące wrażenie osiągnięcia na swoim kontynencie, zwłaszcza we Francji i w Austrii, gdzie cały czas poddawane dalszym badaniom superjaskinie przerzucały się tytułem „najgłębszej jaskini świata”. Z południowo-wschodnich rubieży Europy, konkretnie z Gruzji, napływały doniesienia o kilku superjaskiniach eksplorowanych przez doskonale wyszkolone i wyposażone, świetnie zorganizowane międzynarodowe wyprawy.

Być może chodziło również o pieniądze. Stone zazwyczaj bez ograniczeń inwestował własne środki w organizowane przez siebie wyprawy. Aby przygotować tę do jaskini Huautla, zmuszony był zaciągnąć spore długi. Na powierzchni prowadził życie może nie tyle ubogie, ile spartańskie. Mieszkał samotnie w jakimś, skąpo wyposażonym domu na przedmieściach Waszyngtonu, gdzie idealnie odnalazłby się Harry „Rabbit” Angstrom, bohater powieści Johna Updike'a. Tak naprawdę jego mieszkanie trudno było uznać za dom w tradycyjnym tego słowa znaczeniu; była to raczej stacja przesiadkowa między kolejnymi jaskiniami. To jaskinie i – do pewnego stopnia – laboratorium były jego domem.

Życie bez wystarczających środków finansowych oznaczało konieczność znalezienia sponsorów. Korporacje tego świata obserwowały go uważnie: nie tylko te, które zainwestowały już w jego przedsięwzięcia, ale również te, które mogły poprzeć jego wysiłki w przyszłości. Przez większość wyprawy do Huautli w 1994 roku czuł coś, czego nie czuł nikt inny: gorący oddech sponsorów na karku, co kilka chwil zagląających mu przez ramię, zainteresowanych tylko jedną rzeczą: zwrotem z inwestycji. Daliśmy ci nasze pieniądze. Czym się nam odpłacisz?

Czy jednak wszystko to rzeczywiście tłumaczy nieugięty upór Stone'a, zdecydowanego ryzykować życie swoje i innych, w tym życie swojej kochanki, i ponosić bolesne konsekwencje, w tym śmierć Iana Rollanda? Narzuca się łatwa odpowiedź: obsesja. Niektórzy członkowie wyprawy z 1994 roku użyli tego słowa.

Ludzie ogarnięci obsesją fascynują nas od czasów biblijnych. Prawdopodobnie najdoskonalszym przykładem triumfu obsesji – i zebranego przez nią żniwa – jest Jezus. Słowo to przywołuje na myśl obrazy ukazywanych zazwyczaj w negatywnym świetle postaci takich jak Kurtz, obłąkany handlarz kości słoniowej z opowiadania Josepha Conrada „Jądro ciemności”. W artykule opublikowanym przez „Outside” sugerowano nie wprost, że Stone mógł stać się prawdziwym Kurtzem. W umysłach wielu ludzi słowo „obsesja” bardzo szybko kojarzy się ze słowem „szaleństwo”.

Obsesji nie uznaje się za chorobę psychiczną. Słownik definiuje obsesję jako „niemożność uwolnienia się od uporczywych myśli, obrazów lub narzucających się czynności”. Nie trzeba być szaleńcem, by stać się osobą dręczoną obsesją. Podobnie jednak jak bogacze, ludzie ogarnięci obsesją są z pewnością inni niż pozostali zwykli śmiertelnicy. Edward Bulwer-Lytton zauważył wymownie, że „talent robi, co może – geniusz robi, co musi”. Nie wszyscy geniusze ogarnięci są obsesją, podobnie jak nie wszystkie osoby dręczone obsesją są geniuszami, ale oba te stany łączy pewien wspólny mianownik braku zdolności samostanowienia. Można by nawet sparafrazować Bulwera-Lyttona, stwierdzając, że zainteresowania można rozwijać, lecz przed obsesją nie da się uciec.

Bill Stone nie lubił słowa obsesja, podobnie jak inny wielki odkrywca George Leigh Mallory. Jeden z pionierów wspinaczki na najwyższą górę świata (ten od sławnej odpowiedzi: „Ponieważ tam jest”) był, podobnie jak Stone, mężem i ojcem trójki dzieci. W centrum krótkiego, dorosłego życia Mallory'ego znajdował się jednak z całą pewnością Mount Everest. Trzykrotnie podejmował próbę wejścia na szczyt. Zginął podczas ostatniej wyprawy zorganizowanej w czerwcu 1924 roku, być może dotarłszy na szczyt. Pozostawił żonę z trójką dzieci.

Robert Macfarlane, uzdolniony pisarz i alpinista, doszedł w swojej książce *Mountains of the Mind* do niepokojącego wniosku na temat Mallory'ego. W swojej wcześniejszej książce zacytowałem ten sam fragment i zacytuję go tutaj ponownie, ponieważ rzuca

bardzo interesujące światło na przedmiot naszej analizy:

Czytając listy i dzienniki Mallory'ego z trzech wypraw na Everest (...) ma się wrażenie podpatrywania rozwijającego się romansu – romansu z górą. Był to toksyczny związek, który Mallory mógł i powinien był zerwać; związek, który zniszczył życie jego żony i dzieci, i jego własne.

A zatem nie obsesja, lecz – któż mógłby podejrzewać? – miłość. Hm. W pierwszym momencie wydaje się to średniej jakości wymówką dla megalomanii. Ale nie tak szybko. Inny wielki badacz kwestii miłości napisał:

Kiedy mężczyzna kocha kobietę (...)

Sprzedza świat

Za cud, który odnalazł

Sprzedza świat...

Obsesja może być częścią miłości, a miłość częścią obsesji. Czym są perfumy, jeśli nie miłością, i czy jedna z najbardziej popularnych esencji miłości nie nosi nazwy Obsesja? Jeśli potrzeba więcej dowodów na związek miłości z obsesją, oto one: elegancki flakon perfum Obsesja przywodzi na myśl męski organ gotów na miłość. Najinteligentniejsi specjaliści od marketingu dobrze wiedzą, że te dwa stany są ze sobą tak splecione jak kochankowie w łóżku.

Być może nie są potrzebne kolejne dowody, ale one istnieją, a dostarczył ich nie kto inny, jak sam Bill Stone w artykule, który ukazał się w 1994 roku w czasopiśmie „Washington Post Magazine” *Wyprawa do wnętrza Ziemi* autorstwa Hamptona i Anne Sides. Stone powiedział o swojej ekstremalnej eksploracji jaskiń: „To bardzo trudny, zdradliwy związek (...), jedna z tych rzeczy, które po prostu muszą robić”.

Był z pewnością jeszcze jeden czynnik związany z osobowością skorego do konkurowania ojca Stone'a, Curta. Przy każdej okazji Bill Stone stara się umniejszyć znaczenie konkurencji w tym, co robi, ale nie jest to do końca szczerze. Jest jednym z tych ludzi, którym konkurowanie z innymi przychodzi całkowicie naturalnie, to po pierwsze, a po drugie, rywalizacja zawsze była siłą napędową wielkich odkrywców. Jest zbyt wielu ludzi i zbyt mało miejsc czekających na swoich odkrywców, by te nieliczne miejsca na Ziemi nie stały się przedmiotem zażartej rywalizacji.

W każdej dziedzinie można znaleźć wiele doskonałych przykładów. Scott i Amundsen, aby przywołać ich po raz ostatni, ścigali się na biegun południowy dwiema różnymi drogami. Crickowi i Watsonowi, którzy odkryli strukturę DNA czy też, jak sami to ujęli: „sekret życia”, deptali po piętach inni naukowcy. Gdyby Charles Lindbergh nie

wykonał we właściwym czasie swojego lotu transatlantyckiego, inni czekali już w kolejce do startu.

Eksploracja dla dobra nauki lub z chęci przeżycia przygody szła zawsze ramię w ramię z rywalizacją. W roku 2006 Stone powiedział dziennikarzowi międzynarodowego magazynu nurkowego „X-Ray Mag”: „W tej grze próbowaliśmy pokonać Francuzów (...). Teraz próbujemy pokonać Rosjan, ale to cały czas ta sama gra”. Zupełnie tak, jakby mówił o olimpiadzie.

Pod tym wszystkim mogło kryć się coś znacznie bardziej ludzkiego i pierwotnego: rozpacz. Do roku 1994 Bill Stone stracił żonę, dzieci, dom, dwóch bliskich przyjaciół i wszystkie pieniądze. Pożyczył ogromne kwoty i obiecał niezliczonym sponsorom gwiazdkę z nieba. Los odebrał mu niepowtarzalną okazję w Cheve w 1991 roku. Stone wiedział, że życie nieczęsto daje drugą szansę, a on dostał ją w Huautli w 1994 roku.

„Wyczerpałem wszystkie możliwości – wyznał żałośnie Noelowi Sloanowi po obiedzie 29 kwietnia w biwaku 3. – To moja szansa, być może jedyna. Zamierzam iść tak daleko, jak tylko się da. Bez względu na wszystko, co się wydarzy”.

Bez względu na wszystko, co się wydarzy.

Bill Stone może gardzić „Outside”, ale te słowa otacza niesamowita aura. Artykuł z 1992 roku kończył się właśnie tymi słowami.

¹⁵ „Bill Stone in the Abyss” (przyp. red.).

¹⁶ Ang. „Wychodek” (przyp. tłum.).

Podczas prowadzonych przez Stone'a wypraw w 1995 i 1997 roku nie udało się odnaleźć innych dróg wiodących do dna Huautli. Rok 1998 Stone poświęcił w dużej mierze ogromnemu projektowi skartowania rozległego systemu podwodnych jaskiń na Florydzie o nazwie Wakulla Springs. Projekt stworzył mu niezrównaną możliwość przetestowania i dopracowania rebreathera, media dostały zaś kolejną szansę dobrania mu się do skóry. Tym razem psem gończym okazał się dziennikarz „National Geographic Adventure”, pisma będącego dzieckiem magazynu „National Geographic” publikowanego przez National Geographic Society, które było jednym z głównych sponsorów Stone'a. Choć biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenia, Stone mógł nie życzyć sobie obecności dziennikarza „NGA”, Geoffreya Normana, nie było sposobu na utrzymanie go z dala od florydzkich źródeł.

Projekt skartowania Wakulla Springs trwał trzy miesiące, brały w nim udział sto pięćdziesiąt dwie osoby korzystające ze wsparcia dwudziestu ośmiu sponsorów; całość kosztowała ponad milion dolarów. Nawet według standardów Stone'a było to przedsięwzięcie bardzo ambitne, które miało nie jeden, lecz cztery cele. Pierwszym było przetestowanie i udoskonalenie rebreatherów. Drugim – zademonstrowanie wartości innego wynalazku Stone'a, komputerowego sonarowego urządzenia generującego trójwymiarowe, kolorowe podwodne mapy. Trzecim celem było udowodnienie przydatności „habitatu dekompresyjnego działającego na zróżnicowanych głębokościach”, jak nazwał je Stone: zatapialnej komory w kształcie dzwonu, która pozwalała nurkom na odbywanie długich przystanków dekompresyjnych w ciepłym, suchym środowisku, a nie spędzanie niezliczonych godzin pod wodą przy poręczówkach. I był oczywiście cel nadrzędny: skartowanie jaskiń Wakulla.

Już na początku wyprawy jeden z nurków Stone'a zapadł na chorobę dekompresyjną, z której zdołał jednak wyjść bez szwanku. Jakiś czas później inny nurek dostał konwulsji na głębokości 30 metrów (ponownie toksyczność tlenu) i prawie utonął. Ten nurek rzeczywiście miał bardzo dużo szczęścia, że przeżył. Piętnastego lutego utonął Henry Kendall, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki i doświadczony nurek, który pracował w zespole wsparcia. Wszyscy trzej używali rebreatherów Stone'a; pierwsze dwa wypadki miały miejsce z powodu niewłaściwego wyregulowania rebreatherów przez ich użytkowników przed nurkowaniem. Sekcja włók wykazała ostatecznie, że Kendalla zabił krwotok do jamy brzusznej. „Mógłby umrzeć w Wal-Marcie” – powiedział koroner ze stanu Floryda, zacytowany w artykule Normana.

Te nieszczęśliwe zbiegi okoliczności już same w sobie stwarzały fatalną atmosferę, ale dodatkowo Stone i jego zespół popadli w konflikt z miejscowymi nurkami, którzy od dziesięciu lat we własnym zakresie tworzyli plany źródeł. Grupa stu sześćdziesięciu

nurków przyjęła nazwę WKPP (Woodville Karst Plain Project). Biorąc pod uwagę ich deklarowane zaangażowanie w badania naukowe, nurkowie WKPP mogli powitać nowo przybyłych z szeroko otwartymi ramionami i włączyć się w ich pracę, służąc swoją głęboką znajomością źródeł. Być może nie należało pokładać tak śmiałych oczekiwań w naturze ludzkiej, zwłaszcza w przypadku lidera WKPP, George'a Irvine'a. Umieśniony, wojowniczy, z obsesją na punkcie sprawności fizycznej Irvine był kolejnym klasycznym osobnikiem alfa, który z jawną niechęcią odniósł się do najazdu hałaśliwej ekipy Stone'a na swoje terytorium.

„Mnóstwo ludzi mnie nie lubi i naprawdę mało mnie to obchodzi” – powiedział Irvine Normanowi; szczególnie mało obchodziła go opinia Billa Stone'a na jego temat. W jednym z postów, które zamieścił na popularnym internetowym forum nurkowym, napisał: „Sedno sprawy polega na tym, że moim zdaniem ten gość [Stone] nie szanuje ludzkiego życia, jest kompletnym dyletantem [sic!], uzurpatorem i dowiódł przez dziewięć lat, że kiedy ja tam nurkowałem, on tylko ujadął jak cocker spaniel”. Stone odmówił prowadzenia dyskusji na tym poziomie.

Po przybyciu na miejsce zespół Stone'a znalazł przed swoimi przyczepami stertę worków na śmieci opatrzoną notatką: „Możecie ich potrzebować na zwłoki”. Nieco później nurkowie znaleźli martwego sumę z wsuniętą do pyska notatką: „Potrój to”, co było nawiązaniem do prognozy Stone'a, który przewidywał, że jego zespół, wyposażony w technologicznie zaawansowane rebreathery, technologię 3D i szybkie skutery elektryczne, może doprowadzić do potrojenia aktualnie opisanego obszaru; opracowanie dotychczasowych map zajęło miejscowym nurkom dziesięć lat.

A potem nurkowie Stone'a zaczęli odkrywać, że poręczówki zostały w wielu miejscach poprzecinane.

Podejrzewali nurków WKPP, ale Irvine uznał stawiane mu zarzuty za „bzdurne” i odparował, że Stone i jego ludzie to „banda mazgajów”.

Intruzi mimo wszystko kontynuowali rozpoczętą pracę. Do 1 marca, kiedy wygasło pozwolenie Stone'a, zespół opracował trójwymiarowe mapy każdego korytarza w granicach parku stanowego, który pełnił funkcję bazy całego projektu. Oznaczało to, że chociaż duża część zajmującego 1166 kilometrów kwadratowych systemu jaskiń pozostała nieopisana, to jednak ilość została zrekompensowana jakością; urządzenie 3D dowiodło, że niektóre z ręcznie tworzonych planów George'a Irvine'a i jego zespoły odbiegało od rzeczywistości o 100 metrów na odcinku pierwszych 1600 metrów.

Stone niewątpliwie pełen obaw czekał na artykuł w „NGA”. Artykuł zawierał kilka odniesień (jakżeby inaczej?) do nieugiętej determinacji i szorstkiego obejścia Stone'a, ale jednocześnie podkreślał wagę jego wynalazków, jego badań – „nadmierzalne osiągnięcia” – i jego wizji. Jeśli chodzi o WKPP, Norman pozwolił liderowi grupy Irvine'owi zabrać głos we własnej sprawie, po czym trudno było jemu czy jego

organizacji przypisać jakieś nadzwyczajne zasługi. Stone powstrzymał się od pochopnych wypowiedzi, co pozwoliło ukazać jego i jego zespół w korzystnym świetle.

Wraz z nadejściem 2000 roku Stone ponownie zaczął przyglądać się jaskini Cheve. Nikt nie zdołał podjąć skutecznej próby przejścia ostatniego syfonu Cheve, ale w pewnym momencie wybór obiecujących jaskiń okazał się bardzo ograniczony. Która jaskinia, która droga prowadząca na szczyt, który rów oceaniczny, cokolwiek, dają szansę o 2, 5 czy 10 procent większą na sukces? Przez kilka lat wydawało się, że wszystko przemawia na korzyść Huautli. Teraz wydawało się, że więcej przemawia za Cheve, i Stone zwrócił swoje zainteresowanie w jej stronę. Wiedział, że „Rosjanie”, jak ich nazywał, schodzili bardzo głęboko do własnych jaskiń i był zdecydowany ich pokonać.

W gruncie rzeczy nie rywalizował z Rosjanami – było to przejęzyczenie będące konsekwencją zimnowojennego nawyku określania wszystkiego, co leżało w granicach Związku Radzieckiego, mianem „rosyjskie”. Tak naprawdę jego przeciwnicy byli Ukraińcami pracującymi na małym nieziemskim płaskowyżu nazywanym masywem Arabiki, położonym w niewielkim, odległym regionie na południowo-wschodniej granicy Europy o nazwie Abchazja. Ukraińscy grotolazi wstrząsnęli ówczesnym światem, schodząc na głębokość 1710 metrów do superjaskini o nazwie Krubera w ponurych górach Kaukazu położonych nad Morzem Czarnym. Organizowali co najmniej jedną wyprawę rocznie, czasem więcej, i z pewnością byli gotowi sięgnąć granic możliwości swoich i swojej jaskini.

A zatem wybór został dokonany. Stone miał wrócić nie do Huautli i Syfonu nad Syfony, lecz do Cheve. I tym razem miał nie tylko szukać wnętrza Ziemi. Miał się ścigać, by dotrzeć tam pierwszy.

Według legendy wielki brytyjski odkrywca sir Ernest Shackleton przed wyruszeniem na wyprawę 1914–1916 na biegun południowy zamieścił w londyńskiej prasie ogłoszenie następującej treści:

Poszukiwani mężczyźni do udziału w niebezpiecznej wyprawie. Niskie płace, dojmujące zimno, długie miesiące całkowitych ciemności. Bezpieczny powrót wątpliwy. Uznanie i zaszczyty w przypadku powodzenia.

Historia jest prawdopodobnie apokryficzna; historycy przez dziesięciolecia próbowali bez sukcesu znaleźć oryginalne ogłoszenie. Mimo wszystko na dwadzieścia osiem wolnych miejsc członków załogi statku „Endurance” zgłosiło się ponad pięć tysięcy mężczyzn. To mówi coś istotnego o naturze ludzkiej, a może o poziomie bezrobocia w Wielkiej Brytanii u progu I wojny światowej. A może i o tym, i o tym.

Można by wyobrazić sobie Billa Stone’a przygotowującego się do własnej wyprawy w 2003 roku i tworzącego własną wersję ogłoszenia Shackletona:

Poszukani uczestnicy wyprawy do wnętrza Ziemi.

Zerowe wynagrodzenie, ustawiczne zimno, wilgoć i ciemność.

Tygodnie pod ziemią.

Bezpieczny powrót wątpliwy.

(Podobnie jak zaszczyty i uznanie).

W rzeczywistości ogłoszenie Stone’a przed wyprawą w 2003 roku było bardziej wyrafinowane i optymistyczne.

Wyprawa 2003 do systemu Cheve.

Idziemy na całego na -2000 metrów.

Broszura została tak zredagowana, by zachęcić zarówno odkrywców, jak i sponsorów, wabiąc ich tą dramatyczną przynętą: „Gra idzie o wysoką stawkę (...). Dzięki tej wyprawie możemy na zawsze potwierdzić status Cheve jako najgłębszej jaskini na Ziemi”. Jak zamierzano to osiągnąć? Dzięki „wykorzystaniu zaawansowanego sprzętu podtrzymującego życie, przełomowych technik wspinaczkowych i lekkiego sprzętu biwakowego zespół będzie mógł spędzić nawet miesiąc na głębokości przekraczającej -1000 metrów, w rejonach nietkniętych wcześniej ludzką stopą”.

Była to bardzo odważna prognoza, biorąc pod uwagę fakt, że w 2002 roku osiem jaskiń położonych w różnych rejonach świata było głębszych niż Cheve. Cheve nie była

nawet najgłębszą jaskinią w Ameryce Północnej – tytuł ten nadal należał do Huautli, głębszej o kilkadziesiąt metrów. Mimo wszystko oczekiwania Stone'a uzasadniały przekonujące dowody.

Eksperyment Jima Smitha z 1990 roku określił jednoznacznie, że woda płynie bez przeszkód od wejścia do Cheve aż do rzeki Santo Domingo, pokonując różnicę poziomów wynoszącą ponad 2500 metrów na odcinku 18 kilometrów. Co więcej, barwnik pokonał tę trasę w ciągu zaledwie ośmiu dni, a więc w kategoriach speleologicznych bardzo szybko. Taka prędkość przepływu sugerowała, że woda nie płynęła powoli ciasnymi szczelinami, lecz szybko wielkimi otwartymi kanałami. (Chociaż wystarczająca liczba niewielkich kanalików mogła również umożliwić osiągnięcie takiego wyniku). Następnie była kwestia połączenia. Po pierwszym dużym pionowym odcinku jaskinia na dystansie kilku kilometrów zwiększała stopniowo głębokość, obniżając się o metr na odcinku każdych dziesięciu metrów. Gdyby wyobrazić sobie linię opadającą pod tym kątem, łączyłaby się ona z wywierzyskiem w kanionie tam, gdzie pojawiał się zielony barwnik. Wreszcie kilka niepołączonych jeszcze jaskiń pomiędzy Cheve a jej wywierzyskiem układało się w przybliżeniu na tej linii. Na mapie wyglądały jak szwy układające się w niekompletny ścieg. Stone był przekonany, że wszystkie były elementem jednego rozległego podziemnego megasystemu, a ich połączenie raz na zawsze wyniosłoby Cheve do rangi najgłębszej jaskini świata.

Pierwsza część zespołu wyruszyła z Austin w stanie Teksas 10 lutego 2003 roku. Ich celem było najpierw założenie obozu bazowego. Upłynęło sześć lat od czasu, gdy na Llano Cheve stacjonowała większa wyprawa. Świeża roślinność porośla brązowe blizny pozostawione przez wcześniejszych mieszkańców, przybyszy powitała więc zielona łąka. Członkowie wyprawy i miejscowi wjechali załadowanymi po dach ciężarówkami tak daleko, jak pozwalały im na to warunki, ale rozmyty grunt powstrzymał ich ponad 1600 metrów od wejścia do jaskini. Zaparkowali pojazdy i przez kilka dni jak mrówki nosili ładunki z samochodów do bazy wyprawy.

Trzon wyprawy Cheve 2003 – ludzie, których Stone ochrzcił mianem gwiazd rocka¹⁷ – dotarł na miejsce w połowie lutego. W jego składzie znalazło się trzech Amerykanów: Bart Hogan z Maryland, John Kerr z Ohio i Mike Frazier z Kolorado. Z Anglii przyjechał Robbie Warke, z Niemiec Marcus Preissner. W Europie alpinizm jaskiniowy jest znacznie bardziej popularny i kontyngent prawdziwych gwiazd o niedających się wymówić nazwiskach wysłała również Polska. Uczestnikami wyprawy byli Kasia Okuszko, Tomek Fiedorowicz, Kasia Biernacka, Paweł Skoworodko i Marcin Gala.

Wiek członków zespołu mówił coś ciekawego o całej wyprawie. W roku 2003 Stone

miał pięćdziesiąt jeden lat. Większość grotolazów biorących udział w wyprawie do Huautli w 1994 roku była wówczas w wieku Stone'a. Wszyscy – Noel Sloan, Steve Porter, Kenny Broad, Jim Brown, Barbara am Ende i inni – nadal byli aktywnymi grotolazami. Nikt z nich jednak nie podejmował już największych wyzwań, które w 1994 roku postawiła przed nimi Huautla i które miała postawić przed nimi Cheve w 2003 roku. Stone nie tylko nie obniżył poprzeczki, ale zawiesił ją jeszcze wyżej, organizując i prowadząc wyprawę z ambicjami ostatecznego przesunięcia granic. Jednak wszyscy członkowie jego ekipy byli znacznie młodsi. Hogan miał czterdzieści trzy lata, Kerr – czterdzieści, Warke – trzydzieści dziewięć, Preissner – trzydzieści cztery.

Nurkowie tworzyli oddzielną elitarną grupę, rodzaj Oddziałów Specjalnych Cheve. „Szpica” – jak nazywał ich Stone. Liderami byli dwaj Brytyjczycy, 42-letni Rick Stanton i 40-letni Jason Mallinson, dwóch spośród najlepszych nurków jaskiniowych świata. Zespół rezerwowowy tworzyli Rich Hudson, kolejny światowego formatu brytyjski nurek jaskiniowy, i sam Stone.

W roku 2003 istotną rolę miała odegrać jeszcze jedna osoba, Andrea Hunter pochodząca z Alaski. Zaledwie 25-letnia (jakiś dowcipniś zauważył, że Stone w miarę upływu lat podrywa coraz młodsze dziewczyny) wybierała się na swoją pierwszą wyprawę do superjaskini, by poznać arkana tego sportu i służyć jako szerp. Ukończyła studia magisterskie na wydziale geologii i była doświadczonym wspinaczem, nurkiem, narciarzem i rowerzystką; czuła się znakomicie we wszelkich sportach ekstremalnych i rozkwitała w brutalnym klimacie Alaski. Była wysoka i opalona, miała złotobrązowe włosy, błyszczące zielone oczy i olśniewający uśmiech, który rzadko schodził z jej ust. Andi Hunter przyciągała spojrzenia, gdziekolwiek się znalazła, i baza superjaskiniowej wyprawy Billa Stone'a nie była tu wyjątkiem.

Kiedy Hunter pokonała po raz pierwszy całą drogę do biwaku 3 – wyprawa obliczona na dwa dni – zastała przygotowane dla niej przez Billa Stone'a podwójne miejsce w jego strefie biwakowej. Rozłożył dla niej śpiwór i przygotował ciepłą zupę. Była wyczerpana i wzruszona tym, że pomyślał o niej. Przypadkowo w tym dniu wypadały jej dwudzieste szóste urodziny, następnego ranka Stone dał więc jej prezent, ogromny baton Snickers, a polscy grotolazi odśpiewali jej „Sto lat” po polsku. Wspominała to później jako najlepsze urodziny w swoim życiu, zapoczątkowujące jej związek z Billem.

Andi Hunter była najnowszą kobietą w życiu Stone'a po rozwodzie. Barbara am Ende była pierwszą kobietą, z którą związał się na poważnie. Ich związek przetrwał ciężką próbę w Huautli, ale kiedy zapął Barbary do eksplorowania jaskiń nieco przygasł, również miłość Stone'a do niej straciła moc. Po rozstaniu Bill związał się z dwadzieścia lat młodszą oszałamiającą brunetką Beverly Shade, która również była doświadczonym grotolazem. Ich związek trwał około roku. Potem pojawiła się Andi.

Zanim jednak Andi i Bill mogli świętować jej urodziny w biwaku 3, należało wykonać ogromną pracę. Dziewiątego marca obóz bazowy był już gwarną wioską kolorowych namiotów, które upstrzyły łąkę jak kwiaty. W „stołówce” osłoniętej niebieskimi plandekami zwieszającymi się z drzew i urwiska znalazło się miejsce na stoły robocze i wielkie zielone Kuchenki Colemana zasilane butlami propanu w kształcie torpedy. Paczki liofilizowanej żywności zostały ułożone w niewielkich stosach.

John Kerr był szczupłym, umięśnionym sympatycznym inżynierem elektrykiem mówiącym z akcentem z Ohio, optymistycznie nastawionym do życia, bardzo wytrzymałym i niezwykle odważnym. W swoim czasie zrobił legendarną ścianę El Capitan w Parku Narodowym Yosemite – w odwrotną stronę. Zjechał z 900-metrowej ściany, a następnie wspiął się z powrotem, używając sprzętu wykorzystywanego przez grotolarów. Wspinacze po dotarciu na szczyt schodzą w dół ścieżką znajdującą się po drugiej stronie wielkiej formacji. Najbardziej, jak mówił, denerwował się wówczas, gdy próbował unieść do góry zwisającą za nim część liny, po której zjeżdżał, by lepiej kontrolować tempo zjazdu. Dziewięćset metrów zwieszającej się poniżej niego liny ważyło ponad 100 kilogramów, dlatego uniesienie jej nie wchodziło w grę. Przy całym napięciu problemem było nie zwalnianie, lecz w ogóle rozpoczęcie zjazdu. Poradził sobie w końcu, zręcznie manipulując drabinką zjazdową.

Jak wszyscy pozostali, Kerr pomagał wynosić sprzęt z Cheve po zakończeniu nurkowania w ostatnim syfonie. Znacznie większą wartość miała jednak jego znajomość inżynierii, dzięki której szybko stał się naczelnym magikiem od technologii. Wyregulował zacinające się dysze gaźnika w generatorach Hondy odpowiednio do wysokości 2800 metrów, na której się znajdowali, i odpalił je, oświetlając biwak i umożliwiając ładowanie baterii. Kiedy nie zadziałały nowe, wykonane na zamówienie czołówki diodowe za 1200 dolarów, które miały zastąpić prawie 300 kilogramów karbidu, Kerr rozstawił warsztat i na miejscu zabrał się do ich reperowania.

W obozie bazowym Stone, Bart Hogan i pozostali zapakowali tony sprzętu w jaskrawoczerwone wodoodporne worki, które miały zostać przetransportowane później w głąb jaskini, rozwinęły kilometry liny, uporządkowali sprzęt wspinaczkowy, nurkowy, narzędzia elektryczne i resztę. W tym samym czasie oddzielna 12-osobowa drużyna prowadzona przez weteranów wypraw do jaskiń Meksyku, Matta Oliphanta i Nancy Pistole, założyła bazę 8 kilometrów na północ, mniej więcej 1000 metrów poniżej obozu bazowego Cheve. Kiedy główny zespół badał Cheve, ten drugi – będący oficjalnie częścią całej wyprawy – miał zbadać jaskinię o nazwie Charco.

Charco była jednym z tych szwów w niedokończonym ściegu, leżącym zgrabnie pomiędzy Cheve a wywierzyskiem nad rzeką. Połączenie Charco i Cheve zapoczątkowałoby tworzenie megasystemu, który zgodnie z przekonaniem Stone'a

rozciągał się od wejścia do Cheve aż do samej rzeki. Ale – w eksploracji superjaskiń zawsze jest jakieś „ale” – Charco była piekielnym miejscem nawet w kategorii superjaskiń. Aby dotrzeć do jej najdalej położonego punktu, grotolaz musiał przez trzy dni przeczłogiwać się ciągnącymi się kilometrami korytarzami, w których nie było więcej miejsca niż pod kuchennym stołem. A jednak możliwość znalezienia połączenia z Cheve sprawiała, że eksploracja Charco była konieczna.

Nieliczni grotolazi darzyli to obrzydliwe miejsce osobliwym uczuciem; określano ich mianem „kopaczy”. Całość populacji badaczy superjaskiń dzieli się na wyspecjalizowane grupy plemienne: kierowników i szerpów, poręczujących, wspinaczy, nurków i kopaczy. W tym kontekście „kopacz” nie jest określeniem subtelnie pejoratywnym, jak „pracownik fizyczny” czy „kierowca ciężarówki”. W określeniu „kopacz”, podobnie jak w określeniu „nurek”, mieści się szacunek i wdzięczność za wzięcie na siebie szczególnie niebezpiecznej, nieprzyjemnej, ale koniecznej pracy.

Kopacze są wykwalifikowanymi specjalistami, których umiejętności są kluczowe w eksploracji superjaskiń. Nierzadko korytarz jaskini po prostu się kończy. Najczęściej zablokowany jest zawaliskiem lub rumowiskiem skalnym i często się zdarza, że za nim korytarz prowadzi dalej. Jeśli grotolazi wyczuwają strumień powietrza przepływającego przez skalne rumowisko, podjęcie próby przedostania się na drugą stronę ma sens; to właśnie zrobił Bill Farr w jaskini Cheve jakiś czas wcześniej. Jeśli nie da się znaleźć żadnej szczeliny, którą można by było prześlizgnąć się na drugą stronę, warto wziąć się do kopania. Ogromna wartość kopaczy nie polega jednak na umiejętności pracowniczego rycia, lecz na zdolności znajdowania przejść, których inni nie są w stanie znaleźć. Niektórzy ludzie z niewyjaśnionych przyczyn mają rękę do koni, smykałkę do silników albo naturalną łatwość zabawiania dzieci. Najlepsi kopacze w ten sam sposób naturalnie, instynktownie wyczuwają ukształtowanie podziemnych korytarzy i przejścia, których istnienia inni nawet nie podejrzewają.

John Kerr był jednym z najlepszych kopaczy świata. „Jestem szczęśliwy, kiedy mogę się zaszyć w jakimś zaułku [na głębokości 1500 metrów], rąbiąc skałę tytanowym łomem” – stwierdził w jednym z wywiadów. Kopacze potrafią przez wiele godzin przebywać w miejscach tak ciasnych, że z trudem daje się w nich oddychać i można poruszać tylko jedną ręką – miejscach, w których większość ludzi po krótkiej chwili wpadłaby w panikę. Przekopują się jak ogromne krety, korzystając ze wszystkich dostępnych narzędzi, od własnych paznokci, poprzez zaawansowane technologicznie narzędzia tytanowe, po spalinowe wiertarki udarowe.

Jeszcze jedną grupą plemienną są poręczujący. Kiedy inni rozstawiali obóz bazowy Cheve, oni zaczęli poręczować dla zespołów transportowych, które miały pójść za nimi. Poręczowanie nie polega jedynie na zakładaniu lin na dużych progach; upadek

zarówno z 9, jak i z 90 metrów może równie dobrze zakończyć się śmiercią. Zaporęczowanych musiało zostać również wiele trawersów: odcinków ściany do pokonania w poziomie ponad ziejącymi przepaściami i huczącymi wodospadami.

Określenie „zaporęczować” nie oddaje znaczenia szesnastu dni pracy, których wymagało od zespołu zamocowanie prawie 4 kilometrów liny ważącej ćwierć tony, co musiało zostać zakończone przed rozpoczęciem prawdziwej eksploracji Cheve. Członkowie wyprawy Cheve 2003 zabrali ze sobą osiemset kotew i plakietek ze stali nierdzewnej. Była to powtórka nieznośnej pracy – zamocowania zdublowanych punktów na przepinkach – wykonanej podczas pierwszego poręczowania Studni Saknussemma.

W trakcie poręczowania grotolazi zajmowali się również „czyszczeniem kruszyny”, zrzucając niestabilne kamienie dla bezpieczeństwa własnego i pozostałych członków zespołu. Podczas zjazdów grotolazi używają młotów do odłupywania skalnych półek i odstających płyt, które wydają się niepewne. Nie tylko podczas „czyszczenia” grotolazi mogą zostać zaskoczeni. W pewnym momencie Bill Stone wisiał wysoko na ścianie w Cheve. Reszta grotolazów kręciła się u stóp ściany, wiele dziesiątków metrów poniżej, błyskając latarkami jak odległe robaczki świętojańskie.

Andi Hunter, wówczas już dziewczyna Stone’a, stała na półce poniżej, asekurując go. Wyglądało to w ten sposób, że Stone zakładał kotwy i wyciągał się na nich wyżej, wpinał karabinki do punktów asekuracyjnych i wpinał w nie linę, Hunter, asekurując go, trzymała tę samą linę poniżej. Podobnie jak partner alpinisty wspinającego się w górach, miała za zadanie powstrzymać jego upadek, gdyby odpadł od ściany. Spadłby nie niżej, niż wynosiła podwójna odległość między nim a ostatnim przelotem, do którego udało mu się wpiąć linę. Jeśli lina między nim a punktem asekuracyjnym miała 3 metry długości, spadłby 3 metry do przelotu i 3 metry poniżej.

Stone zaklinował młotek w niewielkiej rysie w skale tuż nad swoją głową, chcąc jedynie sprawdzić jej solidność. Płyta wielkości kamienia nagrobnego odłupała się od ściany jaskini i spadła na niego.

¹⁷ Gra słów, rock w języku angielskim to „skała” (przyp. tłum.).



Juriy Kasjan i Ekaterina Medwediewa na dnie świata
fot. Call of the Abyss Project

Cudem albo szczęśliwym trafem, zależnie od światopoglądu, skalna płyta o wadze kilkuset kilogramów nie zerwała Stone'a z liny. Kiedy oderwała się od ściany, upadła całym ciężarem idealnie na kolana Stone'a. Chwycił ją kurczowo i wrzasnął „Kamień!”, ostrzegając innych. A potem odpychając się stopami od ściany jaskini, wysłał skalny odłam w kierunku środka studni w rozpaczliwej próbie oszczędzenia Hunter, która stała dokładnie pod nim. Usłyszała tylko świst powietrza, kiedy płyta przelatywała tuż koło niej, spadając ponad 70 metrów niżej, gdzie eksplodowała jak bomba na dnie studni.

To prawie cud, że nikt nie zginął ani nie doznał obrażeń.

Tuż za zespołami poręczującymi szli szerpowie. Niektórzy byli mniej doświadczonymi grotolazami, którzy tą podłą pracą zdobywali ostrogi, ale od wszystkich oczekiwano, że idąc na dół, zabiorą jakiś transport ze sobą. Jedzenie, spiwory, płachty, sprzęt nurkowy, baterie, kuchenki, paliwo, narzędzia i tak w nieskończoność. Była to trudna, niebezpieczna i wyczerpująca praca. Jeden z doświadczonych tragarzy, David Kohuth, opisał ją następująco: „Pracujesz jak zwierzę. Jak muł. Nieodmiennie jesteś wykończony”.

Nierzadko zdarzało się, że szerpowie zjeżdżali mierzącą 150 metrów Studnią Saknussemma z dwoma czy nawet trzema czerwonymi wodoodpornymi workami, z których każdy ważył nawet 20 kilogramów. W Studni Saknussemma znajdowało się czternaście przepinek, każda wymagała zatrzymania się i przepięcia na kolejny odcinek liny. Czasami w tej ogromnej studni znajdowało się kilka osób jednocześnie, przesuających się lub czekających na przepinkach, a bladoniebieskie światło emitowane przez diody LED sprawiało, że wyglądali jak robaczki świętojańskie we mgle.

John Kerr wykonywał sumiennie obowiązki szerpy podczas całej wyprawy, ale jego pierwsze wypadki, nawet z niewielkim obciążeniem, były bardzo trudne. W pewnym momencie schodził z bardziej doświadczoną grupą, która nieumyślnie, idąc szybciej, pozostawiła go z tyłu. (Biorąc pod uwagę nieustający szum wiatru i wody, intensywne skupienie na szukaniu drogi i poruszaniu się po głazach, wszechogarniającą ciemność, nie jest to tak trudne, jak mogłoby się wydawać). Osamotniony Kerr zgubił się, z czego nie zdawał sobie sprawy. Dotarł do miejsca, które uznał za syfon nadający się do przejścia. Bez zastanowienia wszedł do jeziora. Nieoczekiwanie stracił dno i z wielkim worem na plecach znalazł się w wodzie, płynąc, czy może raczej walcząc o to, żeby nie pójść pod wodę. Wstrząśnięty dotarł na drugi brzeg. Później dowiedział się, że właściwa droga całkowicie omijała pechowy syfon.

O włos uniknąwszy utonięcia, Kerr zorientował się, że zgubił się w jednej

z najbardziej rozległych superjaskiń świata. W końcu usłyszał kolejną grupę przechodzącą nieopodal i przyłączył się do niej, ale miał to być zaledwie początek jego ceremonii inicjacyjnej. Wkrótce, ponownie zostawszy z tyłu (za drugą grupą też nie był w stanie nadążyć), odkrył, że dalszą drogę blokuje mu walcowata studnia o gładkich ścianach nazwana Piston, Tłok, na której dnie płynie rwąca rzeka. Korytarz biegł dalej poniżej, po drugiej stronie Piston. Aby pójść dalej, Kerr musiał zrobić trawers, wpinając karabinek w poziomą linę. Kiedy dotarł do połowy trawersu, ze względu na luz na linie znalazł się zaledwie metr ponad rwącym nurtem.

W tym krytycznym momencie stopa ześlizgnęła się ze ściany i ciężki wór przeważał go w tył, przez co zawisł głową w dół tuż ponad linią wody. Po wielu wysiłkach powrócił do właściwej pozycji i podjął wędrówkę. Gdyby jednak lina była nieco dłuższa i gdyby głowa Kerra znalazła się pod wodą, to z tym ciężkim workiem...

Trzy biwaki były już założone 25 marca. Biwak 1 rozstawiono na wypadek sytuacji awaryjnej na głębokości 385 metrów i normalnie nie miał być wykorzystywany. Biwak 2 na głębokości 787 metrów był duży i jak na warunki jaskiniowe wygodny, ale zawsze w nim wiało. Biwak 3 założono w tym samym miejscu, co podczas wcześniejszych wypraw, na szeregu półek umieszczonych wysoko na zboczu, na głębokości 1243 metrów, w odległości ponad 8 kilometrów od otworu. Dotarcie z powierzchni ziemi do biwaku 3 zajmowało dwa dni. Wyjście na powierzchnię trwało dwa albo trzy dni.

W tym momencie wszystkie biwaki były już zajęte. Ludzie przepływali przez nie niemal nieustannie, wędrując w głąb jaskini i z powrotem. Standardową praktyką było tutaj, podobnie jak wszędzie indziej, zajmowanie wolnych śpiworów. Jedna z kobiet wspomina, że kojarzyło jej się to z jakimiś prymitywnymi rytuałami godowymi, mnóstwo osobników alfa walczących o uwagę samic. Biorąc pod uwagę fakt, że jedna kobieta przypadała na dziesięciu mężczyzn, sprawy mogły przybrać bardzo interesujący obrót.

Pozostając w tych samych klimatach, plastikowe plandeki nieźle chroniły śpiwory przed rozdarciem, ale miały wady, kiedy przychodziło do pieszczoł na skale. Charakterystyczny szelest, którego trudno było nie usłyszeć, stanowił podziemny odpowiednik skrzypiących sprężyn łóżka. Niektórych ludzi to irytowało, a innych zachęcało do eksperymentów. Dość szybko cały biwak szeleścił tak, jakby został najechany przez stado świerszczy. Chociaż ten rodzaj dźwięków był nie do uniknięcia, uczestnicy wyprawy starali się zachowywać pozory, powstrzymując się od krzyków i jęków.

Nadrzędnym celem jaskiniowej kuchni było dostarczenie biesiadnikom możliwie dużej liczby kalorii, smak miał znaczenie zdecydowanie drugorzędne. Grotołazi spalają każdego dnia od sześciu do ośmiu tysięcy kalorii. Stone, dysponujący zazwyczaj

niewielkimi zapasami tłuszczu, tracił podczas wielu wypraw ponad 10 kilogramów masy ciała. Grotołazi na swoich niewielkich kuchenkach gotowali ogromne ilości liofilizowanego i suszonego jedzenia – kawałki suszonego mięsa, spaghetti, ryż, ziemniaki. Żeby urozmaicić jakoś tę breję, podjadali orzeszki, batony, czekoladę i masło orzechowe.

Nie dysponując żadnymi metodami suszenia nasiąkniętego wodą ubrania ani zmycia z siebie błota (jedyną możliwością było wykąpanie się w lodowatej, podziemnej rzece), biwakowicze byli zawsze mokrzy i zawsze brudni, co znacznie zwiększało ryzyko choroby czy zakażenia, podobnie jak brak słońca, który obniża sprawność systemu immunologicznego. Ryzyko zdrowotne potęgowała dostępna w jaskini woda, którą spływał nie tylko ich mocz, lecz również ścieki z powierzchni ziemi pochodzące z pobliskich miast i wiosek dysponujących jedynie prymitywnymi oczyszczalniami lub niekorzystających z nich wcale. Wszystko to wywierało niekorzystny wpływ na skórę grotołazów. Po kilku dniach spędzonych w jaskini zaczynała pękać, zwłaszcza na dłoniach, stwarzając doskonałe warunki dla wnikania i rozwoju drobnoustrojów.

Oszczędzanie światła było równie ważne jak troska o zachowanie odpowiedniej masy ciała, więc w chwilach, w których nie pracowali ani akurat nie szukali ustronnego miejsca, grotołazi wyłączali latarki, siedząc w ciemnościach, śpiąc, kręcąc się, planując kolejną wyprawę w ustronne miejsce lub rozmyślając.

A jednak nawet myślenie mogło się okazać w superjaskini niebezpieczne. Doświadczony grotołaz z Teksasu, R.D. Milhollin, wszedł do jaskini Cheve po raz pierwszy podczas wyprawy w 2003 roku. Po dotarciu do biwaku 2 zatrzymali się wraz z trójką towarzyszy, by zjeść coś i przespać się dzień czy dwa. Oszczędzając baterie, używali latarek tylko po to, by wykonać jakieś ważne zadanie. Jednak wkrótce zaczęli się zwierzać, że jaskinia płata im dziwne psikusy. Milhollin słyszał nieistniejące głosy i widział błyskające światła, a jego dziewczyna widziała czaszki unoszące się w ciemnościach.

Następnego ranka pospiesznie zwinęli biwak.

To doświadczenie, które mogło wstrząsnąć nawet mężnymi duchem, było w gruncie rzeczy łagodnym wstępem do tego, co naprawdę potrafiła zrobić z umysłem człowieka wielka jaskinia, o czym miała się przekonać Andi Hunter.

Hunter doświadczyła ataku paniki w sąsiedniej jaskini o nazwie Palomitas. Schodziła z inną kobietą i po jakimś czasie dotarły do krawędzi studni mierzącej ponad 100 metrów. Towarzyszka Hunter zjechała w dół, zostawiając ją samą na górze. W tym momencie Hunter poczuła, że serce zaczyna walić jej jak młotem i nie może złapać tchu. Ogarnęła ją panika. Nie była w stanie przypomnieć sobie, jak ma użyć przyrządów zaciskowych, jak zjechać na dół ani nawet jak otworzyć worek. Z najwyższym trudem powstrzymała się, by natychmiast nie wstać i nie ruszyć na powierzchnię.

Zaczęła rozpaczliwie krzyczeć. Krzyknęła do swojej koleżanki, która poradziła jej usiąść prosto i oddychać, aż jej przejdzie. Nie przeszło. Z minuty na minutę było gorzej. Hunter zyskała absolutną pewność, że za chwilę umrze, tu i teraz. Nigdy wcześniej niczego podobnego nie doświadczyła, choć zdarzyło jej się wcześniej wiele przerażających momentów w jaskiniach, pod wodą i na górskich zboczach.

W rozpacz, być może nieświadomie, zaczęła myśleć o swojej matce. Głośno powiedziała: „Mamo, jeśli tam jesteś, to wiedz, że bardzo, bardzo cię potrzebuję. Proszę, pomóż mi”.

Po chwili zaczęła się uspokajać. Czekwała, oddychając spokojnie i myśląc o swojej matce, i w końcu odzyskała panowanie nad sobą. Odzyskawszy pewność siebie, pokonała studnię, dogoniła koleżankę i wspólnie poszły dalej. Gdyby była mniej doświadczona, panika mogłaby ją zabić.

Wkrótce działała znów w Cheve. Celem wszystkiego – każdej wbitej kotwy, każdej pokonanej ściany i studni, każdego przepłyniętego syfonu, każdego przeniesionego kilograma, każdego wytrzymanego dnia biwakowania – było umieszczenie w wodzie dwóch nurków: Stantona i Mallinsona. Opisując Ricka Stantona, zrównoważonego Anglika będącego z zawodu strażakiem, Stone zebrał się na najzaszczytniejszą możliwą pochwałę: „Bardzo chłodny i zdystansowany, podobny do Shecka Exleya”. Mallinson, równie doświadczony nurek jaskiniowy, był nieco podobny do aktora Mela Gibsona. Równie profesjonalny jak jego częsty partner Stanton, był zdecydowanie mniej towarzyski. I tak największe znaczenie miały jego osiągnięcia pod wodą, a nie to, czy był miłym kompanem na biwaku.

Mallinson, Stanton i Rich Hudson, trzeci brytyjski nurek, pojawili się w obozie bazowym 13 marca. Wszyscy trzej byli zaskoczeni tym, jak duży wpływ wywarła na nich wysokość 2274 metrów n.p.m., na której położony był obóz. Zwykły spacer czy wykonywanie lekkiej pracy okazywało się męczące. Obawiali się, że może to niekorzystnie wpłynąć na ich nurkowanie albo zwiększyć ich podatność na chorobę dekompresyjną, ale nic nie byli w stanie z tym zrobić.

Reszta grotolazów zaporęczała jaskinię i zaopatrzyła biwaki na długo przed ich przybyciem, więc cała trójka przygotowała swój sprzęt nurkowy, a następnie pomogła go przenieść do depozytu znajdującego się na głębokości prawie 500 metrów. Nie korzystali z najnowszego, udoskonalonego rebreathera Billa Stone'a o nazwie MK-V, który uznali za zbyt ciężki i skomplikowany, preferując nurkowanie z własnymi, mniejszymi i prostszymi, rebreatherami. Ich urządzenia były nie tylko prostsze, ale też mocowane na klatce piersiowej, a nie na plecach, dzięki czemu łatwiej było im przeciskać się w syfonach przez wąskie przejścia.

Stone nie miał zamiaru nurkować na odchudzonych rebreatherach Brytyjczyków. Niepokoił go zwłaszcza brak w ich przypadku zapasowego systemu pomiaru poziomu tlenu. Jego zdaniem nie różniło się to niczym od jazdy samochodem wyposażonym w świetny silnik i pozbawionym hamulców. Wiedział jednak, że Hudson i pozostali wielokrotnie nurkowali już na swoich wynalazkach, a jednak nadal żyli. Jeśli chcieli wciąż jeździć swoimi wozami bez hamulców, pozostawało im tylko kibicować.

Jedenaście dni po przybyciu do obozu bazowego Hudson, Mallinson i Stanton dotarli do biwaku 3. Końcowy syfon Cheve, w którym mieli rozpocząć nurkowanie, był oddalony jeszcze o kilka godzin – trzeba było pokonać Wet Dreams, Exclusion Tubes i Nightmare Falls.

Po kilku kolejnych dniach spędzonych na przenoszeniu sprzętu do syfonu Mallinson i Stanton byli gotowi zanurkować. Mieli być pierwszymi nurkami w syfonie 1 Cheve od czasów Johna Schweyena, który w 1991 roku spenetrował go na odległość 100 metrów i na głębokość 23 metrów, zanim nie zatrzymał go zwężający się w szczelinę korytarz. Od początku Bill Stone nie zamierzał powtarzać trasy Schweyena. On i Rick Stanton zbadali geologię rejonu i obaj mieli wrażenie, że w przeszłości uskoki tektoniczne przesunęły tunel na wschód. Byli przekonani, że płynąc w kierunku przeciwnym do obranego przez Schweyena, mogą ominąć zwężenie, a tunel obierze w końcu pożądaną kierunek.

Przygotowanie sprzętu miało kluczowe znaczenie, ale nie mniej ważne było psychiczne przygotowanie się na to wyzwanie. W przypadku żadnego innego rodzaju nurkowania ryzyko związane z wybuchem paniki nie było większe. Niektórzy byli pewni, że to właśnie panika zabiła Rolfa Adamsa w jaskini Hole in the Wall, a wśród nurków jaskiniowych krążyły legendy o tych, którzy utonęli, mając do dyspozycji mnóstwo powietrza w butlach. Wiedząc o tym, Stanton przed rozpoczęciem każdego nurkowania odprawiał własny rytuał bezpieczeństwa.

Znalazł spokojne miejsce i zwizualizował trasę, wykorzystując doświadczenie zdobyte podczas wielu poprzednich nurkowań do przewidzenia problemów i opracowania zawczasu ich rozwiązań. Najważniejsze było rozluźnienie się i uniknięcie nadmiernej „fiksacji na celu”, jak piloci określają skłonność do koncentrowania się na jednej rzeczy i lekceważenia innych pojawiających się informacji. Stanton przeszedł wszystkie krytyczne fazy nurkowania, opracowując każdy detal – odwiązując poręczówki, zdejmując sprzęt, by precyzyjnie się przez zaciski, idealnie kontrolując swoją pływalność. Próbował również przewidzieć sytuacje, które mogły przybrać zły obrót, i przygotować się na nie mentalnie, opracowując scenariusze awaryjne – wycinanie się z poplątanych linek, stosowanie zapasowego kołowrotka w przypadku zgubienia się, przełączanie się na automat zapasowy.

Po wciągnięciu czarnego suchego skafandra, zapięciu pasa balastowego i założeniu czerwonego kasku z trzema przymocowanymi zielono-żółtymi latarkami Stanton wszedł do wody. Syfon 1 był okrągłym jeziorkiem o średnicy około 9 metrów, wypełnionym turkusową wodą i otoczonym poszarpanymi skalnymi ścianami koloru mosiądzu. Przy brzegu woda o temperaturze 18 stopni Celsjusza sięgała nurkowi do pasa. Prąd był niewyczuwalny. Stojąc w tym miejscu, Stanton przypiął sobie rebreather do piersi. Z pomocą Richa Hudsona zaczął przechodzić długą listę procedur poprzedzających nurkowanie. Napluł w maskę, żeby zapobiec jej zaparowywaniu, przemył ją i nałożył, wsunął stopy w jaskrawożółte płetwy i czekał na Mallinsona, który po chwili stał już w wodzie, gotów do zanurzenia. Pokazali Stone'owi, Hudsonowi

i pozostałym sygnał „OK”, zanurzyli się i zniknęli pod wodą.

Prowadził Stanton, odnajdując drogę. Za nim płynął Mallinson, odwijając poręczówkę z czarnego kołowrotka. Woda była zimna, ale w suchych skafandrach czuli się całkiem dobrze. Widoczność nie przekraczała 2,5 metra. Ich czołówki żłobiły w ciemnej wodzie niewielkie tunele światła, kiedy odpychając się żabką, wolno płynęli naprzód. Wkrótce tunel zakręcił pod kątem prawie 180 stopni i płynęli w kierunku, który zgodnie z planem miał im pozwolić na ominięcie przeszkody i pokonanie syfonu. Znajdowali się na głębokości prawie 8 metrów, w odległości 60 metrów od miejsca, w którym się zanurzyli, kiedy przepłynęli nad otworem w dnie tunelu. To było kuszące, ale zostawili tę opcję na później. W odległości 110 metrów od miejsca zanurzenia natknęli się na otwór w ścianie tunelu po prawej stronie, wystarczająco duży, by można było przez niego przepłynąć. Obaj nurkowie natychmiast zrozumieli wagę tego „okienka”. Prześlizgnęli się przez otwór i wynurzyli 10 metrów dalej w miejscu będącym kontynuacją koryta głównej rzeki. Powitał ich huk spadającej kaskadami wody.

Stanton i Mallinson znaleźli właśnie obejście zwężenia, które pokrzyżowało plany Johna Schweyena w 1991 roku i na wiele lat zatrzymało postępy w dalszej eksploracji jaskini Cheve. Odnajdując przejście, otworzyli realną możliwość znalezienia połączenia z legendarnym wywierzyskiem na dnie kanionu rzeki Santo Domingo. Gdyby się udało, Cheve mogłaby z bardzo odległego miejsca wskoczyć na podium najgłębszej jaskini świata.

Dwaj nurkowie zrzucili sprzęt i zaczęli iść korytarzem, którym nie wędrował jeszcze żaden człowiek. To było spełnienie marzeń każdego grotolaza, eksploracja dziewiczych partii jaskini. Teren był niepewny, wąski, gładki kanion, który schodził bardzo stromo w dół, niosąc spienione wody głównego strumienia Cheve w obłokach pary wodnej. Po kilkuset metrach dotarli nad dwa 10-metrowe wodospady, którymi brawurowo zeszli bez asekuracji. Nawet na Stonie, który zobaczył je później, zrobiło to wrażenie; powiedział, że sam nigdy nie odważyłby się zejść nimi bez użycia liny. Biorąc pod uwagę zuchwałość Brytyjczyków, trudno się dziwić, że podwójny wodospad ochrzczono później nazwą Wodospadu Szaleńca. Po przejściu drugiego wodospadu znaleźli prawie poziomy korytarz systematycznie zwiększający swoje rozmiary. Tutaj odpoczęli i przekazali małe co nieco, przerywając posiłek ekscytującymi uwagami na temat tego, co właśnie widzieli i co mogło znajdować się przed nimi. Pełni nadziei ruszyli naprzód. Jednak ciemne, splątane jaskinie mają to do siebie, że może bardziej jeszcze niż jakiegokolwiek inne ziemskie królestwo potrafią wzbudzić zachwyt w jednej chwili i rzucić w otchłań beznadziei w następnej. Po krótkim czasie dotarli nad brzeg drugiego syfonu, który powstrzymał ich dalszy marsz.

Rozczarowani nurkowie dowlekli się do syfonu 1 i ocenili, że pokonali około 500

metrów i może 50 metrów różnicy poziomów. Później okazało się, że w całości pokonali dystans dwukrotnie większy i zeszli na prawie dwukrotnie większą głębokość. Te dwa śliskie i zdradliwe wodospady wykluczały zniesienie sprzętu nurkowego do syfonu 2, nurkowie wrócili więc przez syfon 1 do oczekujących na nich towarzyszy. Nie było ich przez sześć godzin. Pod wodą spędzili 90 minut, a resztę czasu – eksplorując suche korytarze.

Po odpoczynku w bazie Cheve 5 kwietnia Stanton i Mallinson przenurkowali syfon 1, założyli liny na Mad Man's Falls, a następnie przenieśli butle nurkowe i balast nad syfon 2. Następnego dnia ponownie przenurkowali syfon 1, a za nimi popłynęli Bill Stone i Rich Hudson. Stone zdecydowanie nie był słabym nurkiem jaskiniowym, ale Stanton i Mallinson stanowili klasę sami dla siebie i, nurkując z własnymi rebreatherami, pozostali na czele. Mallinson poprowadził przez syfon 2, a Stanton rozwijał tuż za nim poręczówkę. Syfon poprowadził przez przejście ukształtowane niczym spłaszczony owal wysokości mniej więcej 5 metrów, szerokości 3 metrów i długości 12 metrów. Przepłynęli 290 metrów i wynurzyli się w jeziorku otoczonym głazami, bez wyraźnego dalszego ciągu. Zdecydowani przeć naprzód, skoro dotarli tak daleko, zrzucili sprzęt nurkowy i spędzili cztery godziny na poszukiwaniach dalszej drogi. Bez sukcesu. Ponownie mat.



Jurij Kasjan i Igor Iszenko, Game Over
fot. Call of the Abyss Project

Wszyscy czterej nurkowie powrócili bezpiecznie do biwaku 3, a następnie do biwaku 2, gdzie odpoczęli przez noc przed dalszą drogą na powierzchnię. Tym razem spędzili pod ziemią sześć dni, a na Llano Cheve przebywali już od pięciu tygodni. Kilka dni później Stanton, Mallinson i Hudson polecili do domu. Cała ta ogromna praca wszystkich członków wyprawy zjeżdżających z całego świata, rok planowania, organizacji i gromadzenia funduszy przez Stone'a zostały wykonane po to, by kilku nurków mogło trzy razy zanurkować i wrócić do domu. Tak właśnie wyglądają podziemne wyprawy.

Kiedy Stone i jego nurkowie eksplorowali syfony, inni grotolazi szukali przejść powyżej syfonów. Grupa Polaków prowadzona przez Marcina Gałę wspinała się i sprawdzała kolejne partie Cheve przez dziesięć dni. Podczas ostatniej próby wspięli się 40 metrów w górę i odkryli tunel prowadzący poza syfon 1 znajdujący się głęboko w dole. Dalszą drogę tarasowało zawalisko, przez które przepływał orzeźwiający strumień powietrza. Powietrze musiało skądś płynąć.

Bill Stone, Robbie Warke, John Kerr, Marcus Preissner i Bart Hogan 14 kwietnia zaczęli od dołu odporęczowywać Cheve, likwidując wszelkie ślady ciężkiej pracy wykonanej w pierwszych tygodniach, by wyczyścić jaskinię ze wszystkiego, co zostało przyniesione przez członków wyprawy: lin, sprzętu biwakowego, śmieci. Wszystkiego z wyjątkiem kotew. Podejmując ostatnią próbę ominięcia syfonu, Stone, Kerr i Preissner wspięli się nową drogą prowadzącą w stropie jaskini 70 metrów powyżej jej dna. Początkowo sądzili, że znaleźli biegnący dalej korytarz, ponieważ tutaj, podobnie jak w drugim tunelu, dawał się wyczuć strumień powietrza. Pokonawszy jednak niewielki dystans, natknęli się ponownie na głązy tarasujące dalszą drogę.

Fiasko kolejnej podjętej w Cheve próby wielu odkrywców zniechęciłoby na dobre do tej jaskini, ale nie Stone'a. „Nikt nie wiedział o istnieniu tych korytarzy przed 2003 rokiem. Podejrzewaliśmy, że mogą umożliwić obejście syfonu, ale nie mieliśmy po prostu wystarczająco dużo czasu na przeprowadzenie dalszych badań” – zauważył wówczas Stone.

W każdym razie nie podczas tej wyprawy.

A co z przebiegającą jednocześnie wyprawą do Charco, próbą wślizgnięcia się do Cheve tylnymi drzwiami? Było to wyzwanie nawet dla światowej klasy wyjadaczy. Stone i grotolaz Mark Minton odkryli otwór Charco w 1989 roku i w ciągu następnych czternastu lat kolejne wyprawy docierały coraz głębiej, by osiągnąć 1162 metry głębokości i prawie 5,5 kilometra długości. Eksploracja Charco było koszmarna, głównie dlatego że w przeciwieństwie do innych jaskiń przekrój jej korytarzy nie zwiększał się wraz z głębokością. Zachęcający, obszerny otwór szybko przekształcał się

w ciasny korytarz, którym można było najwyżej pełznąć – albo nie. W podsumowaniu wyprawy odnotowano, że Charco składała się w większości z „opadających pochylni, ciasnych korytarzy, małych prożków, niskich przejść umożliwiających jedynie chodzenie na czworakach oraz jeszcze niższych przełazów zmuszających do czołgania się i do tego wypełnionych częściowo wodą (...). Jednym słowem, maszynka do mięsa”.

Wkrótce badaczom Charco zajmowało 24 godziny samo dotarcie do przodka na dnie jaskini, zaczęli więc nocować w biwaku założonym w 2000 roku na głębokości 670 metrów, w odległości prawie 2,5 kilometra od otworu. Nawet w oczach grotołazów było to obrzydliwe miejsce. Można było usiąść, ale już nie stanąć. Grotołazi spali na niewielkich półkach nie szerszych niż typowy ekran telewizora. Jedno przekręcenie się we śnie za dużo i spadliby do podziemnej rzeki płynącej 12 metrów niżej. Sklepienie tych klaustrofobicznych koi było pokryte grubą warstwą kryształów gipsu, które osypywały się na dół za każdym razem, gdy któryś z grotołazów otarł się o strop. Pracowali jednak dalej i wkrótce dotarli na głębokość 1000 metrów, co wymagało założenia biwaku 2 w jeszcze mniej gościnnym miejscu. Członkowie wyprawy byli zmuszeni osadzić w ścianach jaskini kotwy i zawiesić na nich hamaki.

W Cheve na czele wyprawy stanęli nurkowie, w Charco – kopacze. Dla kopacza nie było niczym nadzwyczajnym wklonowanie się głową w dół w pionową dziurę tak ciasną, że nie mógł ani założyć kasku, ani odwrócić głowy. Aby kopać dalej, wyciągał jedną rękę przed twarzą, darł i zbierał urobek, przesuwał go do tyłu, by drugą ręką odepchnąć go za siebie. Podczas tej operacji grotołaz przypominał pływaka płynącego na boku.

Za kopaczem pracował jego pomocnik, który wypełniał wiadro albo garnek materiałem skalnym i przekazywał je do tyłu, i tak dalej. Na wsuniętego w dziurę kopacza opadał nieustannie deszcz skalnego pyłu, który wdzierał mu się do nosa, uszu, ust i oczu. Dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza, z biegiem czasu więc w dziurze robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie, co wymagało od kopaczy robienia okresowych przerw dla uniknięcia utraty przytomności. Kopacze spędzili w Charco wiele podobnych godzin.

Oczywiście, celem nie było tylko przenoszenie pokruszonych skał z miejsca na miejsce, ale przedarcie się do nowego korytarza i perspektywa dokonania przełomu podtrzymywała kopaczy w ich wysiłkach w warunkach wyjątkowo paskudnych nawet jak na jaskinie. Do końca wyprawy udało im się pogłębić Charco do 1278 metrów i wydłużyć ją do prawie 6,5 kilometra. Było to zdumiewające osiągnięcie, biorąc pod uwagę warunki, w jakich pracowali przez prawie dziesięć tygodni. Nie udało im się jednak połączyć Charco z Cheve; po raz kolejny Bill Stone nie zdołał odkryć jaskiniowego megasystemu.

Nurkowie wrócili do domu, a teraz nadszedł czas, by do domu powrócili również pozostali uczestnicy wyprawy. W roku 2003 grotolazi w Cheve dali z siebie wszystko. Po zakończeniu swojej pierwszej prawdziwej wyprawy superjaskiniowej Andi Hunter doszła do wniosku, że żadne doświadczenie jej wypełnionego ekstremalnymi przygodami życia nie może się równać z tym. Jako doświadczony wspinacz zdała sobie sprawę, że badanie superjaskiń naprawdę przypomina wspinaczkę na Mount Everest, tylko w drugą stronę, kiedy najgorsze – wejście – przychodzi na końcu. Wielokrotnie podczas wspinaczki na górę Hunter wisiała na linie ponad otchłanią kompletnie wyczerpana, niezdolna wykrzesać z siebie energii czy choćby jednej sensownej myśli, obolała i udręczona. Nieraz przeszło jej przez myśl, że było o wiele łatwiej po prostu odpuścić, spaść w ciemność i zginąć łaskawą śmiercią, przerywając męczarnię.

Szła jednak pod górę, podobnie jak pozostali. Wytrwały wysiłek dziesięciu tygodni zaowocował wydłużeniem Cheve o kolejnych 1260 metrów oraz dotarciem na głębokość 1484 metrów, dzięki czemu Cheve zyskała status najgłębszej jaskini w Ameryce Północnej. Pod koniec, sądząc z opisów, wielu grotolazów było tak wycieńczonych, że z najwyższym trudem wychodzili na powierzchnię. Zespół Hunter na przykład został na dole dłużej, niż pozwalały na to ich zapasy żywności, więc przez dwa dni grupa pięciu osób musiała wyżywić się dwoma batonami. Kiedy w końcu dotarli do biwaku 2, zanurkowali bez namysłu w siedmioletnią górę śmieci. Ku nieopisanej radości znaleźli kawałki spleśniałego sera, które natychmiast pochłonęli, i stare brudne puszki tuńczyka, które bez wahania wylizali do czysta.

Nie dowiedli jednak, że Cheve jest najgłębszą jaskinią na świecie. Mimo niewolniczej pracy, mimo planów Billa Stone'a, organizowania, poszukiwania sponsorów, gromadzenia funduszy i wspinania się na szczyty dyplomacji Cheve musiała zadowolić się tytułem dziewiątej najgłębszej jaskini świata. Prawie 30 lat wcześniej Stone po raz pierwszy pojechał do Meksyku. Od tego czasu brał udział, jako uczestnik lub kierownik, w około pięćdziesięciu wyprawach, ale nie udało mu się osiągnąć postawionego sobie celu. Każdy inny człowiek uznałby się na jego miejscu za pokonanego.

Lecz nie Bill Stone. Kiedy wyprawa z 2003 roku zbliżała się do smętnego końca, on już rozmyślał nad tym, w jaki sposób zakończyć wyprawę w 2004 roku z takim hukiem, by usłyszał go cały świat.

Nie mógł wówczas wiedzieć, że inny legendarny naukowiec i badacz superjaskiń, Ukrainiec Aleksander Klimczuk planuje to samo.

CZEŚĆ DRUGA
KLIMCZUK

*Doświadczeni grotolazi biorą pod uwagę wiele
elementów, z których część wymyka się racjonalnemu rozumowaniu*

ALEKSANDER KLIMCZUK

Dwudziestego trzeciego sierpnia 2003 roku o godzinie 11.40 Aleksander Kabanichin, młody rosyjski speleolog z Archangielska, wszedł do jaskini Krubera znajdującej się w zachodniej części gór Kaukazu, w Gruzji. Kabanichin transportował zapasy dla grotolarów znajdujących się już na biwaku założonym na głębokości 500 metrów. Po kilku godzinach dotarł do Wielkiej Kaskady, studni z kilkoma przepinkami mierzącej 150 metrów.

Na pierwszej przepince, w połowie wysokości studni, Kabanichin przepiął rolkę¹⁸ z jednej liny na drugą, a potem odchylił się w tył, by rozpocząć zjazd. Lina wyskoczyła z rolki i Kabanichin zaczął spadać, chaotycznie omiatając ściany jaskini snopem światła czołówki. Jeszcze zanim zdołał wydobyć z siebie krzyk, uderzył w skalną półkę, łamiąc szczękę. Kolejne uderzenia spowodowały skomplikowane otwarte złamanie lewej kości podudzia, złamanie kości miednicy i pęknięcie kilku kręgów.

Kabanichin popełnił ten sam błąd, który zabił Chrisa Yeagera w Cheve: nie domknął rolki zjazdowej. Lina przechodziła przez dwa karabinki znajdujące się pomiędzy uprzężą a rolką, Kabanichin nadal był więc połączony z liną, ale ani karabinki, ani rolka nie zmniejszyły tempa jego upadku.

Stare powiedzenie głosi, że spadanie nie jest problemem – problemem jest upadek. Lot Kabanichina odwrócił jego znaczenie. Spadanie było znacznie gorsze od twardego lądowania, ponieważ przez to, że nadal był połączony z liną, wielokrotnie uderzył w ściany jaskini. Ostatecznie jednak lina, która stała się przyczyną dotkliwych obrażeń, uratowała go od śmierci. Nie zwisała luźno do dna studni, lecz poprowadziła go do następnej przepinki znajdującej się 35 metrów niżej. Kabanichin spadł 35 metrów i spadałby kolejnych 30, nie uchodząc z tej przygody z życiem, gdyby nie zatrzymała go przepinka, bliskiego śmierci, ale nadal żywego. Zawisł tam, początkowo nieprzytomny, ale po chwili całkowicie otrzeźwiony i wrzeszczący ze wszystkich sił.

Sam fakt przeżycia przez Kabanichina upadku można określić mianem cudu, biorąc pod uwagę jego długość i gwałtowne uderzenia ofiary o ścianę. Przeżył dzięki posiadaniu na głowie kasku, który uchronił jego głowę przed rozbiciem niczym skorupka jajka i nie uszkodził żadnego z głównych naczyń krwionośnych, choć już wkrótce miał uznać, że z dwojga złego wolałby być może wykrwawić się na śmierć. Ból wydaje się zwalniać upływ czasu; wisząc tam, dotkliwie połamany, Kabanichin poznał znaczenie słowa „wieczność”.

Sympatyczny, płowowłosy Hiszpan Sergio García-Dils dotarł do biwaku położonego na głębokości 500 metrów kilka godzin wcześniej, przynosząc ze sobą paliwo do spalinowych wiertarek udarowych i inne zapasy. Był specjalistą od akcji ratunkowych i miał za sobą wiele szkoleń przeprowadzonych dla hiszpańskich oddziałów wojskowych. Teraz wraz z pozostałymi grotolarzami siedzącymi w biwaku usłyszał

krzyki Kabanichina i mdlący odgłos uderzeń o ścianę. Jaskinia zadziałała jak rozległe pudło rezonansowe, potęgując krzyki ofiary do tego stopnia, że początkowo nikt nie mógł się zorientować, czy ich źródło znajduje się powyżej, czy poniżej nich. Początkowo grotolazi w poszukiwaniu uszkodzonego przeszukali studnie znajdujące się poniżej biwaku na 500 metrach, ale Bernard Tourte, przystojny, umięśniony, czarnobrody francuski grotolaz szybko zdał sobie sprawę, że krzyki dochodzą z góry. Dwóch innych grotolazów wspięło się 30 metrów wyżej do przepinki, z której zwisał Kabanichin. Ślad jego upadku znaczyła smuga jaskrawoczerwonej krwi błyszczącej w świetle latarek na ścianie powyżej. Kabanichin był zalany krwią i miał wielokrotnie rozciętą skórę twarzy po spotkaniach ze skałą. Wił się z bólu z powodu licznych złamań, ale był przytomny i zdolny komunikować się. Tak delikatnie, jak było to możliwe (co nie oznacza bardzo delikatnie, biorąc pod uwagę okoliczności), opuścili Kabanichina do biwaku na 500 metrach i postarali się zapewnić mu osiągalne minimum komfortu.

Sytuacja Kabanichina mogła być o wiele gorsza. Gdyby kotwa na przepince nie powstrzymała jego dalszego upadku, spadłby ostatnich 30 metrów. Chociaż jego upadek był katastrofalny, zdrowego grotolaza dzielił od powierzchni ziemi z biwaku na 500 metrach mniej niż dzień drogi. Gdyby wypadek miał miejsce w pobliżu poznanego dna jaskini Krubera, Kabanichin mógłby umrzeć, zanim jego ratownicy zdołaliby wyciągnąć go na powierzchnię.

Mimo wszystko szanse na ocalenie Kabanichina wydawały się raczej marne. Kabanichin był udręczony potwornym bólem, wstrząs się pogłębiał. Serce waliło mu z prędkością 180 uderzeń na minutę, co wskazywało na rozmiar doznanych urazów. Stracił prawie litr krwi, a jego koledzy mieli problem z zatamowaniem krwawienia z powodu skomplikowanego złamania. Wyciągnięcie go na powierzchnię wymagało noszy, których grotolazi nie mieli. Gdyby nawet udało im się jakieś zdobyć, wiele przejść pomiędzy wejściem do jaskini a biwakiem na 500 metrach było zbyt wąskich, by nosze mogły przez nie przejść. Przetransportowanie noszy na dół wymagałoby poszerzenia ciasnych szczelin i wąskich przejść. Na domiar złego niewielu członków wyprawy miało przeszkolenie ratownicze.

¹⁸ Przyrząd zjazdowy wykorzystywany często w Europie, porównywalny do drabinki zjazdowej stosowanej przez większość Amerykanów (przyp. red.).

Jaskinie Cheve i Krubera mają ze sobą niewiele wspólnego, z wyjątkiem głębokości. Krubera leży na 43. stopniu szerokości geograficznej północnej, około 2900 kilometrów dalej na północ niż Cheve. Znajduje się w spornym regionie Abchazji w południowo-wschodniej części Gruzji, na północ od Morza Czarnego. Tutaj w bardziej przyjaznych czasach pałacy jednego papierosa za drugim Rosjanie w markowych kąpielówkach i znacznie bardziej praktycznie ubrane kobiety pluskali się w słonej wodzie o temperaturze 25 stopni Celsjusza, akurat na tyle orzeźwiającej, by zneutralizować wpływ ogromnych ilości wypijanej przez nich wódki. Teren od wybrzeża Morza Czarnego gwałtownie się podnosi, przechodząc w masyw Arabiki, ogromny górotwór będący częścią Kaukazu Zachodniego; jaskinia Krubera znajduje się w tym masywie.

Współcześni odkrywcy korzystają ze śmigłowców, by dotrzeć do jaskini zimą. Nie jest to wcale takie łatwe, jak mogłoby się wydawać.

W styczniu 2005 roku helikopter przewożący grotolarzy i zaopatrzenie kolejnej wyprawy rozbił się podczas próby lądowania w warunkach słabej widoczności w pobliżu otworu jaskini Krubera; koniuszek wirnika zahaczył o śnieżną zaspę. Wszystkie osoby będące na pokładzie odniosły obrażenia; kilka osób, włącznie z pilotem, poważne. Tylko dzięki ogromnemu szczęściu wyprawa nie zakończyła się śmiercią kilku osób, jeszcze zanim pierwsi grotolarze postawili stopę w superjaskini. Kiedy się przejaśniło, helikopter ratunkowy ewakuował sponiewieraną ekipę. Tej zimy nie podjęto już próby wejścia do Krubera.

Latem grotolarze docierają do jaskini starymi wojskowymi ciężarówkami, jadąc po drogach, które na kilku ostatnich kilometrach mają jedynie odrobinę lepszą jakość niż ścieżki wydeptane przez zwierzęta. Docierają w ten sposób na wysokość około 2000 metrów w masywie Arabiki, który jest jednym z największych masywów krasowych w Kaukazie Zachodnim, jeśli nie na całym świecie. To wysokie, groźne góry, w których podczas długich zim często zdarzają się potężne burze śnieżne i zawsze istnieje ryzyko zejścia lawiny. Jednak latem teren otaczający jaskinię Krubera jest uderzająco piękny, przypominając krajobrazy odmalowywane przez J.R.R. Tolkiena w jego fantastycznych powieściach.

Wysokość górskich szczytów waha się od 1768 do 2661 metrów n.p.m. Lecąc ponad masywem na wysokości 15 000 metrów, można dostrzec, że z oddali przypomina nieco kształtem czterolistną koniczynę. Masyw Arabiki nie jest specjalnie rozległy – zewnętrzną krawędź jednego listka koniczyny dzieli od zewnętrznej krawędzi przeciwległego listka zaledwie 12 kilometrów. Koniczyna jest raczej biała niż zielona, ponieważ ten masyw górski jest zbudowany z białawego, niespotykane twardego wapienia. W skale znajduje się sporo krzemu, przez co w dotyku przypomina papier

ścierny, a światło padające pod pewnym kątem wydobywa z niej połysk.

Masyw wygląda tak, jakby ktoś wyrzeźbił go gigantyczną łyżką do lodów, wybierając między łańcuchami górskimi doliny w kształcie litery U oraz o stromych zboczach. Tym kimś była Matka Natura, a jej łyżką do lodów były pradawne lodowce, które pozostawiły po sobie fantastycznie ukształtowane szmaragdowozielone doliny oraz śnieżnobiałe szczyty i granie, formacje tak zróżnicowane i nieprzewidywalne, że wyglądem przypominają spienione, oceaniczne fale podczas sztormu. Bezpośrednie otoczenie jaskini nosi nazwę równie piękną jak ten region: Dolina Ortobałagan.

Otwór jaskini Krubera położony na zboczu doliny jest niepozorną dziurą w ziemi wielkości i kształtu długiej deski surfingowej. Zarówno Cheve, jak i Krubera są prawdziwymi superjaskiniami, głębokimi na ponad kilometr, z wieloma kilometrami zbadanych korytarzy – i na tym podobieństwa się kończą. Cheve przypomina gigantyczną literę L; laseczka opada na głębokość około 900 metrów, a wydłużona poprzeczka schodzi przez kolejne 3,5 kilometra po zboczu nachylonym mniej więcej pod kątem 10 stopni. Krubera ma przebieg w 90 procentach pionowy, a kolejne studnie są połączone krótkimi, stosunkowo poziomymi odcinkami noszącymi nazwę meandrów. W tych, którzy nie są grotolazami, ziejące studnie – jedna z nich o głębokości 150 metrów – wzbudziłyby przerażenie, ale doświadczeni odkrywcy nie mogą się doczekać ekscytujących zjazdów, chociaż nie przepadają za męczącym i nieuniknionym podchodzeniem. Powszechna jest za to pogarda dla „pieprzonych meandrów”, bo tym mianem są powszechnie określane.

Winą za takie ukształtowanie należy obciążyć speleogenezę – sposób, w jaki powstają jaskinie takie jak Krubera. Woda spadająca pionowo ma znacznie większą zdolność erodowania skał niż woda płynąca poziomo. Spadająca woda może rzeźbić ogromne pionowe pustki, podczas gdy woda płynąca w tej samej jaskini poziomo zabierze ze sobą znacznie mniej materiału skalnego. Z tego powodu meandry są bardzo ciasne, zwłaszcza na pierwszych 100 metrach, kiedy wypływ z pionowych studni jest najwolniejszy i skały drążone są znacznie słabiej. Trawersowanie licznych meandrów jaskini Krubera przypomina czołganie się pod samochodem (zazwyczaj jest się do połowy pogrążonym w płynącej wodzie) na odcinku kilkuset metrów.

W jaskini Krubera panuje zupełnie inna temperatura niż w Cheve. Cheve jest łagodnie chłodna, temperatura powietrza przy otworze jaskini wynosi zazwyczaj około 8 stopni, a wewnątrz około 10. Temperatura wody odpowiada temperaturze powietrza. Wschodni Europejczycy uznaliby tę temperaturę za rozkoszny luksus. Aleksander Klimczuk powiedział bez ogródek: „Meksykańskie jaskinie są ciepłe”. Krubera, dla odmiany, jest lodowata. Panuje w niej temperatura, która w momencie, gdy pracujesz na wietrze i częściowo zanurzony w wodzie, szybko może doprowadzić cię do śmiertelnego wychłodzenia. Średnia temperatura powietrza na dnie pierwszej studni

jaskini Krubera wynosi 0 stopni Celsjusza latem i minus 18 albo mniej zimą. Na dnie jaskini temperatura wynosi nie więcej niż 4 stopnie. Temperatura wpływającej wody nigdy znacząco nie przekracza 0 stopni Celsjusza. W wodzie o tej temperaturze niechroniony w żaden sposób człowiek jest w stanie przeżyć maksymalnie 15 minut. Biorąc pod uwagę przewiew w jaskini Krubera, temperatura odczuwalna jest o około 18 stopni Celsjusza niższa niż w rzeczywistości. Grotołazi badający jaskinię chronią się przed zimnem, wkładając wiele warstw technicznej odzieży i wodoodporne kombinezony, ale nawet one nigdy nie są całkowicie suche, grotołazi są więc zawsze częściowo mokrzy i zawsze zziębnięci.

Eksploratorzy obu jaskiń z upodobaniem twierdzą, że ich jaskinia jest bardziej wymagająca. Tak naprawdę zarówno Cheve, jak i jaskinia Krubera stawiają grotołazom ogromne wyzwania – każda inne. Cheve jest dłuższa i bogatsza w podziemne rzeki i wodospady. Krubera jest bardziej stroma, ciasniejsza i znacznie zimniejsza. Nieliczni grotołazi zwiedzili je obie, ale ci, którzy mieli okazję, opisują je obie z szacunkiem, twierdząc, że są odmienne, a jednocześnie bardzo trudne i bardzo niebezpieczne.

Miejscowi znali wejście do jaskini Krubera od prawie 100 lat. Sala wejściowa została po raz pierwszy zbadana i opisana przez gruzińskiego speleologa w 1963 roku. W ciągu następnych 20 lat badali ją kolejni naukowcy, ale żaden z nich nie był w stanie pokonać przewężenia na głębokości 88 metrów. Od tego czasu jaskinia była penetrowana przez uczestników kilku wypraw, które jednak nie były w stanie przesunąć granic jej poznania. Uznano, że Krubera jest przeciętną jaskinią bez większego potencjału.

I wówczas pojawił się człowiek o nazwisku Klimczuk.

Dziś doktor Aleksander Klimczuk ma pięćdziesiąt trzy lata i obnosi się z długimi, idealnie przystrzyżonymi szpakowatymi wąsami. Wygląda jak połączenie Charlesa Bronsona i Waltera Matthaua: męski i atrakcyjny jak pierwszy z nich, dobroduszny i nieco zrezygnowany jak drugi. Gdyby Bóg podjął się stworzenia dokładnego przeciwieństwa Billa Stone'a, Aleksander Klimczuk byłby jego najdoskonalszym przybliżeniem. Stone dorastał w szczęśliwej rodzinie na przedmieściach wysadzanych szpalerami drzew. Klimczuk był wychowywany, mniej lub bardziej, w jednym z przemysłowych miast Związku Radzieckiego przez dwukrotnie rozwiedzioną matkę borykającą się z wychowywaniem trojaczków. Stone mierzy 193 centymetry wzrostu i waży 90 kilogramów. Klimczuk ma 173 centymetry wzrostu i waży niecałe 70 kilogramów. Stone jest klasyczną osobowością typu A: szorstki, niecierpliwy, zawsze w pośpiechu. Klimczuk, albo „Ojciec Klim”, jak nazywają go czasem młodszy grotołazi, jest łagodny w głosie i obejściu, nadmiernie wręcz ugrzeczniwy, rozważny w słowach i czynach. Od czasu rozwodu Stone zmieniał kobiety jak rękawiczki. Klimczuk od 1975 roku jest związany węzłem małżeńskim z jedną i tą samą kobietą, hydrogeologiem

Natalią Jabłokową.

Tych dwóch mężczyzn różni także całkowicie odmienna filozofia eksploracji jaskiń. Bill Stone niewątpliwie docenia pracę zespołową, ale wyżej ceni przywództwo, dążąc do objęcia pozycji lidera w każdym zespole, którego jest członkiem. Stosunkowo krótka jest lista wypraw, w których uczestniczył, a którymi nie kierował. Klimczuk docenia przywództwo, ale wyżej ceni pracę zespołową, zdecydowanie przekonany, że tylko „liczna społeczność ludzi dążących do wspólnego celu” jest w stanie doprowadzić do końca wielopokoleniową pracę, której wymaga eksploracja superjaskiń. Na ogół powierza zaufanym młodszym grotolazom część obowiązków związanych z prowadzeniem wyprawy.

Klimczuk urodził się w Odessie, czarnomorskim porcie położonym 420 kilometrów na południe od stolicy Ukrainy, Kijowa, w sierpniu 1956 roku – przypadkowo w tym samym miesiącu tego samego roku, gdy w alpejskiej jaskini francuscy grotolazi jako pierwsi na świecie osiągnęli głębokość 1000 metrów. Ojciec Klimczuka zmarł, gdy chłopiec miał cztery lata. Jego matka ponownie wyszła za mąż i przeniósła się wraz z nowym mężem do Kijowa. Kiedy Klimczuk miał sześć lat, urodziła trojaczki, dwie córki i syna.

Matka Klimczuka była, co zrozumiałe, niezwykle zajęta trójką niemowląt. Nie ignorowała Aleksandra, ale nie była w stanie poświęcić mu zbyt wiele uwagi. Kiedy po jakimś czasie rozwiodła się ze swoim drugim mężem, ojcem trojaczek, sytuacja stała się jeszcze trudniejsza. Życie w Kijowie nie było idyllą. W ukraińskim mieście było pod dostatkiem szarych fabryk produkujących trawlerzy rybackie, narzędzia mechaniczne, sprzęt medyczny i motocykle oraz wiele innych produktów przemysłowych. Pod stalowoszarym niebem stały szeregi szarych bloków, w których mieszkali szeregowi urzędnicy.

Kijów miał jednak również jasną, uroczą stronę. Wzdłuż chodników ciągnęły się zadbane klomby czerwonych i niebieskich kwiatów (w epoce Związku Radzieckiego były to barwy narodowe Ukrainy), a wiele ulic ocieniały szpalery starych, rosnących kasztanowców. Była, oczywiście, ulica Lenina, ale również znacznie okazalsza aleja Szewczenki, nazwana imieniem bohatera narodowego Tarasa Szewczenki, XIX-wiecznego poety

i malarza walczącego z rosyjską tyranią. W dobrych restauracjach serwowano kurczaka po kijowsku i inne smakołyki. Przedstawienia teatralne i wystawy ożywiały życie kulturalne, mieszkańcy miasta kąpali się w Dnieprze, a na Stadionie Olimpijskim mieszczącym 100 000 widzów odbywały się zawody sportowe na światowym poziomie.

System sowiecki, mimo wszystkich swoich wad, starał się być uczciwy względem dzieci. Istniały dwie instytucje wspierające młodych ludzi w całym Związku Radzieckim, w Kijowie w szczególności. Jedną z nich była szkoła. Drugą, zdecydowanie

bardziej istotną, była funkcjonująca w całym Związku Radzieckim Organizacja Pionierska imienia W.I. Lenina, połączenie organizacji skautowej, YMCA i Młodych Republikanów (albo Młodych Demokratów). Organizacja finansowana z państwowej kasy była w stanie zaoferować młodym ludziom więcej niż jakakolwiek amerykańska grupa młodzieżowa. Przykładowo w latach siedemdziesiątych przez jeden z pionierskich obozów o nazwie Orzełek przewijało się każdego roku 17 000 dziewcząt i chłopców. Obóz składał się z sześćdziesięciu budynków, sceny teatralnej, otwartych i krytych basenów z podgrzewaną wodą, szkoły średniej, przychodni lekarskiej oraz muzeum lotnictwa i kosmonautyki, a na jego wyposażeniu znajdowały się statek pasażerski, czterdzieści pięć łodzi żaglowych i łodzie motorowe. Dzieci miały do wyboru dwieście różnych propozycji zajęć.

Każde miasto, łącznie z Kijowem, miało swój Pałac Młodzieży, będący centrum edukacji, sportu, rekreacji i oczywiście starej dobrej komunistycznej indoktrynacji. Pierwsze takie centra powstały w Moskwie w latach dwudziestych. Były to faktycznie dotychczasowe pałace, z których eksmitowano zamożnych i politycznie niepożądanych właścicieli, często pozostawiając im na pamiątkę dziurę w tyle czaszki. Rząd zbudował również nowy Pałac Młodzieży. Do 1970 roku w Związku Radzieckim funkcjonowało ponad 3000 tego rodzaju ośrodków. Pałac Młodzieży w Kijowie, ukończony w 1965 roku, był jednym z największych, porównywalnym z pałacem w Moskwie. Monument w stolicy Ukrainy był rozległym, modernistycznym, czteropiętrowym budynkiem o przestronnych, jasnych, przeszklonych wnętrzach. Kampus otaczały porośnięte trawą pawilony, otoczone kasztanowcami. Na dachu znajdowało się nawet obserwatorium astronomiczne zwieńczone srebrzystą kopułą.

Działalność pałaców młodzieży uzupełniała system sowieckiego szkolnictwa, który kładł nacisk niemal wyłącznie na osiągnięcia naukowe i indoktrynację uczniów. Uczestnictwo w organizowanych w pałacach młodzieży zajęciach sportowych, artystycznych, technicznych oraz organizacjach politycznych było dobrowolne, przy czym większość zajęć odbywała się w grupach podzielonych ze względu na wiek. Nie pobierano żadnych opłat od rodziców, a poziom zajęć był bardzo wysoki. Wszystkie zajęcia łączyła wspólna, komunistyczna w duchu, idea: „Naucz tego, czego zostałeś nauczony”. Ta koncepcja miała się okazać korzystna dla rozwoju alpinizmu jaskiniowego we wschodniej Europie, gdzie liderzy wypraw wpajali uczestnikom przekonanie, że odkrycie sekretów superjaskiń jest przedsięwzięciem całego życia, którego sukces zależy od umiejętności przekazywania wiedzy i doświadczeń z pokolenia na pokolenie.

Pionierzy byli w gruncie rzeczy raczej organizacją młodzieżową zorientowaną na zabawę niż biurem politycznym. Celem tej organizacji było przede wszystkim ukształtowanie wszechstronnie wykształconych młodych ludzi i rozpoznanie jednostek

szczególnie utalentowanych, których rozwojem można by umiejętnie pokierować, przynosząc Związkowi Radzieckiemu osiągnięcia naukowe i sukcesy olimpijskie. Aleksander Klimczuk wcześniej objawił swoje uzdolnienia.

Jak daleko Bill Stone sięgał pamięcią, zawsze fascynowała go nauka, a w szczególności chemia. Klimczuk niemal w chwili, w której nauczył się czytać, pokochał geologię. Wykazując niezwykłą inicjatywę, w wieku jedenastu lat postanowił pokierować swoim rozwojem intelektualnym, ruszając na poszukiwanie wiedzy do kijowskiego Pałacu Młodzieży.

Wszedł przez imponujące drzwi frontowe i przemierzał jeden rozległy korytarz po drugim, badając po kolei wszystkie piętra i stając w końcu przed otwartymi drzwiami, za którymi siedział starszy mężczyzna w profesorskim typie.

„Szukam geologa” – powiedział Klimczuk.

„Wejź – odpowiedział mężczyzna z uśmiechem, zachęcająco kiwając dłonią. – Zajmujemy się tutaj speleologią, ale w tym mieści się również geologia”.

Zaledwie jedno zdjęcie dostrzeżone podczas pokazu slajdów w szkole średniej zmieniło bieg życia Billa Stone'a. Przejście przez drzwi tego gabinetu zmieniło życie Klimczuka.



Don Coons, Kasia Biernacka i Zuzia Gala w jaskini lawowej na Hawajach
fot. Marcin Gala/speleo.pl

Odważnym szczęście sprzyja, nawet jeśli mają zaledwie jedenaście lat. Jak się okazało, sympatycznym geologiem był nie kto inny jak Walerij Rogożnikow, mający wówczas zaledwie dwadzieścia dwa lata (gdy masz jedenaście lat, 22-latek wydaje ci się rzeczywiście starszym człowiekiem), twórca zorganizowanej wspinaczki podziemnej w Kijowie. Wkrótce życie Klimczuka zaczęło się kręcić wokół jaskiń. Został członkiem klubu speleologicznego w Kijowie i każdą wolną chwilę poświęcał na planowanie, organizowanie i uczestniczenie w wyprawach. Z powodu zamiłowania do jaskiń coraz częściej opuszczał lekcje w szkole, przeciągając wagary do kilku tygodni. Mimo wszystko, jako inteligentny młody człowiek, świetnie radził sobie z nauką. W terminie ukończył szkołę średnią i zdał egzaminy wstępne na uniwersytet. No cóż, jeden egzamin. Wymagane było zdanie pięciu, ale po zdaniu pierwszego zawałił cztery kolejne, by latem 1972 roku przyłączyć się do kolegów wybierających się na wyprawę jaskiniową w odległym Uzbekistanie.

Główna grupa pojechała pociągiem, co oznaczało czterodniową podróż. Klimczuk ruszył w drogę dwa tygodnie później – autostopem. Podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, w 1972 roku podróżowanie autostopem było nie tylko bezpieczne, ale też bardzo łatwe. Większość kierowców zatrzymywała się na widok nastolatka wlekącego się poboczem, nawet wówczas gdy nie zadał sobie trudu zamachania ręką. Po odbyciu transkontynentalnej podróży za jeden uśmiech Klimczuk dobił do swoich przyjaciół w górach i pracował wspólnie z nimi przez kolejne dwa tygodnie, które pozostały do ich wyjazdu. Przebywające tutaj zespoły zajmowały wysoko położony, oddalony od siedzib ludzkich, smagany wiatrem płaskowyż chaotycznie porośnięty zielenią i równie płaski jak nieporuszone lustro wody. Zamieszkiwali obozowisko kolorowych namiotów starego typu ustawionych w tak równiutkich szeregach, jakby rozstawiało je radzieckie wojsko. Wejście do jaskini znajdowało się 800 metrów od obozu, na wyżej położonych graniach, które otaczały płaskowyż ze wszystkich stron.

Klimczuk został w górach, czekając na kolejną grupę, która w końcu dotarła na miejsce. Przez kolejny miesiąc jako jej lider prowadził dalsze prace badawcze. Spenetrowali jaskinię o nazwie Kilski do głębokości 263 metrów. Uczestnicząc w trzech kolejnych wyprawach w ciągu czterech kolejnych lat, Klimczuk był jednym z grotolarów, dzięki którym Kilski o głębokości 1014 metrów została ustanowiona najgłębszą jaskinią Związku Radzieckiego, pierwszą jaskinią w tym kraju, której głębokość przekroczyła kilometr, i czwartą najgłębszą jaskinią na świecie. Niezłe jak na nastolatka korzystającego z najprymitywniejszego sprzętu, włącznie z nieporęcznymi drabinkami z linek stalowych i na gorąco opracowującego nowe techniki.

Kilski miała ostatecznie spaść na odległe miejsce na liście najgłębszych jaskiń świata, ale doświadczenie, które Klimczuk zdobył podczas jej eksploracji, okazało się kluczowe

dla jego dalszych działań. Kilski dowiodła, że on i jego zespoły dysponowali możliwościami dokonywania odkryć na skalę światową. Doświadczenie w Kilski pokazało coś jeszcze, coś równie ważnego: eksploracja superjaskini miała być wysiłkiem obliczonym na wiele lat, wymagającym ogromnej determinacji, wytrzymałości i wytrwałości. Mogłoby to zniechęcić niektórych odkrywców i naukowców, ale nie Klimczuka, przed którym otworzyło to ekscytującą perspektywę owocnej pracy całego życia, a nawet kilku kolejnych pokoleń. Innymi słowy marzenie: odkrycie najgłębszej jaskini na świecie. Właśnie wówczas ukształtowało się zaangażowanie podobne do tego, które odczuwał Bill Stone, poświęcenie, które miało wyznaczyć bieg życia Aleksandra Klimczuka i wpłynąć na życie wielu innych ludzi.

Podczas wyprawy do Kilski w 1972 roku Klimczuk odnalazł nie tylko bardzo głęboką jaskinię. Jednym z członków zespołu była żywa, beztroska, rudowłosa dziewczyna Natalia Jabłokowa, która rok wcześniej od Klimczuka zaczęła chodzić po jaskiniach. Natalia była wybitnym, bardzo aktywnym grotolazem i idealnym przeciwieństwem powagi i stateczności Klimczuka. Zakochali się i pobrali w 1975 roku. Ich pierwsze dziecko, Oleg, urodzony w 1977 roku, zaczął przygodę z jaskiniami jeszcze wcześniej niż którekolwiek z nich. Natalia była już w ciąży, kiedy jako członek innej wyprawy w 1976 roku zeszła w Kilski na głębokość 366 metrów. Po narodzinach Olega Klimczuk od 1977 do 1979 roku odsłużył obowiązkowe dwa lata służby wojskowej. W roku 1982 urodził się ich drugi syn, Aleksiej.

W roku 1979 Klimczuk utworzył Instytut Nauk Geologicznych w Państwowej Akademii Nauk. W niedługim czasie kierował już zespołem kilkunastu naukowców i techników. Jednym z naukowców pracujących pod jego kierunkiem była Natalia, która rozpoczęła pracę na Wydziale Krasu i Speleologii w 1981 roku i kontynuowała ją przez kolejnych dziesięć lat. (Eksploracja jaskiń zniszczyła, niestety, małżeństwo Billa Stone, ale umocniła więzy łączące Klimczuków). Nadzorowanie prac tak licznej grupy naukowców w normalnych warunkach wymagałoby doktoratu. Klimczuk zrobił swój niemal w biegu, wielokrotnie przerywając przewód doktorski kolejnymi wyprawami. Tytuł doktora hydrogeologii otrzymał w końcu w 1998 roku.

Zaangażowanie Klimczuka w badanie jaskiń miało wówczas dwie strony. Z jednej – uczestniczył w działaniach organizowanych przez samorzutnie powstające kluby i stowarzyszenia speleologiczne. W 1975 roku został prezesem Kijowskiego Komitetu Alpinizmu Jaskiniowego, organu, który koordynował działalność kilku grup grotolazów działających w mieście. W roku 1984 założył Kijowski Klub Speleologiczny, który połączył wiele niezależnych dotychczas grup w ramach jednej organizacji zrzeszającej około stu członków. Z drugiej – prowadził pod ziemią zaawansowane badania hydrogeologii obszarów krasowych, w szczególności powstawanie jaskiń oraz wód podziemnych. Badanie wód

podziemnych samo w sobie jest pokaźną dziedziną nauki, co jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że woda odgrywa kluczowe znaczenie w zaspokajaniu podstawowych potrzeb ludzi. W zasadzie całość produkcji rolnej, od ogródków przydomowych do gigantycznych, wielohektarowych gospodarstw rolnych, wymaga nawadniania wodą pochodzącą z wód podziemnych. Podobnie jak warzywa, ludzie zamieszkujący osiedla ludzkie – od małych afrykańskich wiosek po japońskie megalopolis – potrzebują wody czerpanej z wód podziemnych, by móc podtrzymać swoją egzystencję. Z wyjątkiem zatrucia powietrza trudno wyobrazić sobie katastrofę, która równie szybko jak odcięcie źródeł wody pogrążyłaby współczesne miasto w kompletnym chaosie. Można sobie wyobrazić życie bez elektryczności, paliwa, nawet bez łatwo dostępnego jedzenia, ale niepodobna pomyśleć o życiu bez wody. Według wszelkich relacji śmierć z odwodnienia jest jednym z najboleśniejszych rodzajów śmierci i nie trzeba wybujałej wyobraźni, by wyobrazić sobie oszalałych z pragnienia mieszkańców miasta chłepczących krew swoich sąsiadów na wzór rozbitków ocalałych z katastrofy statku i innych ofiar skrajnego odwodnienia.

Kwestia nauki rzuca światło na naturę różnic dzielących Billa Stone'a i Aleksandra Klimczuka w podejściu do eksploracji superjaskiń. Obaj mężczyźni niewątpliwie czerpią przyjemność z przygód i emocji związanych z podziemną działalnością, chociaż konieczność wyciągania funduszy od nieskłonnych do szastania pieniędzmi korporacji zmuszała ich czasem do bagatelizowania mniej poważnych aspektów swoich przedsięwzięć. (Ci, których nie podnieca balansowanie na krawędzi życia i śmierci, tak czy inaczej szybko kończą podziemną karierę). Obaj mężczyźni mieli jednak bardziej wzniosłe cele i zupełnie inne środki ich osiągnięcia. Można powiedzieć, że dla Stone'a nauka stała się środkiem do osiągnięcia celu: odkrywania. Jego doktorat z inżynierii budowlanej idealnie przygotował go naukowo do opracowania wymyślnego rebreathera, który stworzył nową epokę w eksploracji superjaskiń. Nie byłoby zgodne z prawdą stwierdzenie, że Stone'a nie interesowały odkrycia naukowe. Prawdą jest jednak, że postrzegał sam siebie jako prekursora – lubił określenie „pionier” – w zupełnie nowych obszarach, po którego śladach mogli pójść naukowcy dokonujący własnych odkryć w dziedzinie biologii, chemii, geologii, psychologii, paleontologii itd. Oczywiście, dreszcz przygody jest wpisany w rolę pioniera, a Stone z całą pewnością nie był odporny na jego urok.

Dla Klimczuka sprawy przedstawiały się inaczej: nauka była ostatecznym celem, a jaskinie jednym z laboratoriów badawczych. „Zawsze byłem po stronie nauki” – zwykł mawiać. Publikacje obu odkrywców odzwierciedlały te różnice. Relacje z podziemnych wypraw Stone'a ukazywały się głównie w popularnych czasopismach takich jak „Outside”, „National Geographic” czy „National Geographic Adventure”. Jego książka *Beyond the Deep* opublikowana w 2002 roku, napisana wspólnie z Barbarą

am Ende i Monte Paulsenem, była przeznaczona dla szerokiej rzeszy czytelników. Napisał ponad sto artykułów związanych z alpinizmem jaskiniowym, ale ukazywały się głównie w publikacjach takich jak AMCS Activities Newsletter, przeznaczonych raczej dla amatorów tej formy sportu niż dla naukowców i teoretyków. Jego artykuły napisane na potrzeby poważnych, czysto naukowych czasopism i konferencji (łącznie ponad sto czterdzieści) dotyczyły inżynierii budowlanej, a nie wspinaczki jaskiniowej.

Klimczuk, przeciwnie, pisze głównie do czasopism naukowych, zdawszy sobie dość wcześnie sprawę, że jako naukowiec eksplorujący jaskinie „może dokonać odkryć istotnych w skali globalnej”. Pierwszy spośród licznych późniejszych artykułów naukowych opublikował w wieku czternastu lat w nieukazującym się już radzieckim czasopiśmie geologicznym. Jego teksty noszą takie tytuły jak: *Zamknięte i otwarte przestrzenie podziemne: zróżnicowanie przepuszczalności i porowatości skał* i są, mówiąc oględnie, dość hermetyczne. Ścieżki tych dwóch odkrywców przecięły się na łamach „National Geographic”, które to czasopismo opublikowało reportaże z wypraw prowadzonych przez nich obu; w innych przypadkach pisali dla zupełnie innego odbiorcy.

Kolejną różnicą jest podejście Amerykanina i Ukraińca do kwestii organizacji. Bill Stone, patologicznie wręcz nie znosząc biurokracji, wolał działać na własnych zasadach, nie przejmując się przepisami i uregulowaniami prawnymi. Trzymał się z daleka od jakichkolwiek organizacji mogących zaoferować mu pomoc finansową, o ile nie były to agencje rządowe lub firmy komercyjne.

Aleksander Klimczuk, który wyrósł na żyznej glebie tak rozległej radzieckiej organizacji jak pałace młodzieży, świetnie się czuł w sieci wzajemnych powiązań. Widząc potrzebę lepszej organizacji i silniejszego przywództwa, został prezesem Kijowskiego Komitetu Alpinizmu Jaskiniowego, a następnie utworzył Kijowski Klub Speleologiczny, łącząc mniejsze, rozproszone grupy, by umożliwić podejmowanie szerzej zakrojonych, ambitniejszych, lepiej zorganizowanych przedsięwzięć. Miał później z poziomu organizacji lokalnej przejść na poziom organizacji krajowej, tworząc Ukraińskie Stowarzyszenie Speleologiczne.

Przywołując tak wiele różnic dzielących Stone'a i Klimczuka, byłbym nierzetelny, nie zwracając uwagi na pewne rzucające się w oczy prawdopodobieństwo: obaj mężczyźni są urodzonymi zawodnikami i od początku obaj rozumieli, odkładając naukę na bok, że poszukiwanie najgłębszej jaskini na świecie było wielkim wyścigiem. Stone wielokrotnie opisywał to w ten właśnie sposób. Klimczuk sformułował to bardzo podobnie: „Grotołazi rywalizują o odkrycia”. Być może nieco zawstydzony tą deklaracją Ukraińiec dodał: „To po prostu część natury ludzkiej”.

W roku 1980 speleolodzy byli zgodni, że potencjał masywu Arabiki wyczerpał się. Szumne obietnice, ale marne wyniki. Klimczuk nie podzielał tego przekonania, ale

musiał poprzeć swoje przeczucia konkretnymi dowodami, by zyskać środki konieczne do przeprowadzenia kolejnych wypraw. W 1984 i 1985 roku wlał fluorescencyjny barwnik do kilku jaskiń, między innymi jaskini Krubera, znajdujących się w masywie Arabiki. Ślady barwnika zostały znalezione dużo niżej, w źródłach na wybrzeżu Morza Czarnego. Barwnik zabarwił wodę Morza Czarnego 120 metrów pod powierzchnią, kilka kilometrów od brzegu. Ślady barwnika użytego przez Klimczuka dowiodły, że w masywie Arabiki znajduje się najgłębszy hydrologiczny system krasowy na świecie.

Klimczuk prowadził lub uczestniczył w większości prac wykonywanych przez Wydział Krasu i Speleologii w Instytucie Nauk Geologicznych oraz Ukraińskim Instytucie Krasu i Speleologii. Wraz ze swoimi zespołami prowadził badania terenowe, zwłaszcza w regionie zachodniej Ukrainy, ale również w Rosji, Armenii i Azji Środkowej. Były to jego najszcześniejsze lata, umożliwiające idealne połączenie autentycznej nauki i eksploracji.

Rozpad Związku Radzieckiego w 1991 roku położył kres jego pracom. Na Ukrainę spadła plaga bezrobocia, inflacji i rosnącej przestępczości. Kraj walczący o przetrwanie nie dysponował środkami na tak niepraktyczne dziedziny badań jak speleologia. Kiedy wszystkie instytucje, od uniwersytetów po ogrody zoologiczne, pogrążyły się w chaosie, nękane brakiem środków finansowych na wynagrodzenia pracowników i badania naukowe, Klimczuk był zmuszony rozwiązać swój wydział. Nieoczekiwanie ponad dwudziestu doświadczonych pracowników nauki znalazło się na lodzie.

Jednym z nich była żona Klimczuka, Natalia. Szczęśliwie, zdołała wycofać się na z góry upatrzoną pozycję, ściśle związaną, co nie wydaje się zaskakujące, z jaskiniami. Od kilku lat była głęboko zaangażowana w działalność dziecięcych grup grotolazów. Od roku 1986 prowadziła sekcję dziecięcą Kijowskiego Klubu Speleologicznego, w której pracę podjęła teraz ze zdwojoną energią. W 1992 roku przejęła kierowanie Komitetem Dzieci i Jaskiń w Ukraińskim Towarzystwie Speleologicznym. W przyszłości miała zostać wiceprezesem Grupy Roboczej Dzieci i Jaskiń Międzynarodowej Unii Speleologicznej. Natalia Klimczuk była matką chrzestną kilku pokoleń grotolazów w Kijowie i na całej Ukrainie.

Nie mogąc ocalić instytucji naukowych, Klimczuk skoncentrował się na podtrzymaniu działalności ruchu speleologicznego jako takiego. W roku 1991 założył Ukraińskie Stowarzyszenie Speleologiczne, krajową organizację jaskiniową, która zintegrowała większość grup i klubów działających w kraju. Stowarzyszenie podtrzymywało działania speleologów podczas kryzysu lat dziewięćdziesiątych. Było również podstawową organizacją prowadzącą szkolenia grotolazów i podtrzymującą motywację do poszukiwań najgłębszej jaskini świata. W ciągu kilku lat pozyskało ponad pięciuset członków i stało się doskonale prosperującą organizacją wydającą czasopismo, biuletyny, organizującą regularne seminaria, zjazdy, szkolenia terenowe

z technik linowych i ratownictwa oraz wyprawy będące przedsięwzięciami kilku klubów. Biorąc pod uwagę zmniejszanie się liczby aktywnych doświadczonych grotolazów, niezwykle istotne było przekazanie tradycji, wiedzy, umiejętności i przekonania o istotności poszukiwań najgłębszej jaskini świata kolejnemu pokoleniu. Stowarzyszenie zdołało przekazać swoją spuściznę. Ponieważ było (i jest) jedyną ponadnarodową organizacją speleologiczną powstałą na terenie byłego Związku Radzieckiego, wielu grotolazów z krajów związkowych, zwłaszcza z Rosji, wstąpiło w poczet jego członków.

U progu nowego tysiąclecia ukraiński rząd zyskał (względna) stabilność, a gospodarka cofnęła się znad przepaści. Wydawało się, że jest to dobry moment na wskreszenie grupy naukowców Klimczuka z popiołów komunistycznej zapaści. Opracował strategię równie genialną na swój sposób, jak koncepcja zaliczania przedmiotów akademickich wyprawami jaskiniowymi opracowana przez Billa Stone'a w Rensselaer Polytechnic Institute.

Logicznie rozumując, że w większy garnek zbierze się więcej złota niż w kilka małych, Klimczuk zorganizował wszystkich ukraińskich naukowców zajmujących się krasem i jaskiniami w ramach jednej jednostki, Instytutu Krasu. Grupa robiła wrażenie zarówno swoją wielkością – ponad trzydziestu znanych naukowców pracujących w różnych instytutach i ośrodkach akademickich – jak i statusem. Następnie zwrócił się nie do jednej, lecz do dwóch instytucji rządowych, Ministerstwa Nauki oraz Państwowej Akademii Nauk, które konkurowały o prymat na scenie krajowej i arenie międzynarodowej. Klimczuk przedstawił obu swoje propozycje, a następnie wycofał się, pozwalając, by dokonał się kapitalistyczny cud konkurencji. Nie trzeba było długo czekać, by obie instytucje zaczęły zażarcie walczyć o możliwość objęcia Instytutu Krasu swoim łaskawym patronatem, umacniając twórcę Klimczuka środkami finansowymi i udzielając mu potężnego politycznego wsparcia.

Być może to właśnie Aleksander Klimczuk rozstawił masyw Arabiki, ale z pewnością nie był pierwszym badającym go speleologiem. Zaszczyt ten przypadł nadzwyczajnemu Francuzowi Edouardowi Alfredowi Martelowi. Martel, prawnik, który zdecydował się podążyć za swoją pasją i dziś uznawany jest powszechnie za „ojca speleologii”, pojawił się w masywie Arabiki w 1902 roku. Podróżował na koszt rosyjskiego rządu, który, organizując tę wycieczkę specjalnie dla niego, miał nadzieję pobudzić turystykę w rejonie Morza Czarnego. Martel posłusznie opublikował relację ze swojej podróży, tytułując ją w sposób narzucający czytelnikom skojarzenia z jednym z legendarnych europejskich kurortów: *La Côte d’Azur Russe* (Rosyjskie Lazurowe Wybrzeże). Rozdział 16, „L’Arabika Massif”, opisywał wizytę Martela w Dolinie Ortobałagan, gdzie penetrował jaskinię znaną dzisiaj jako Jaskinia Martela, której otwór znajduje się zaledwie kilkaset metrów powyżej otworu jaskini Krubera.

Depcząc Martelowi po piętach, w masywie Arabiki pojawił się rosyjski naukowiec Aleksander Kruber. O ile wizyta Martela miała przede wszystkim doprowadzić do rozkwitu turystyki, o tyle zainteresowania Krubera były ściśle naukowe. W latach 1909–1910 Kruber przeprowadził badania terenowe i opublikował wiele artykułów na temat swoich odkryć. Ze względu na te i inne prace geologiczne jest uznawany za twórcę nauki o krasie w Rosji.

Rewolucja październikowa, dwie wojny światowe, globalne kryzysy ekonomiczne i niezliczone konflikty regionalne odwróciły uwagę Europy Wschodniej od badań jaskiń na pięćdziesiąt lat. W końcu w 1960 roku gruzińscy naukowcy ponownie przystąpili do badań potencjału masywu Arabiki. Pomimo prymitywnego wyposażenia i technik wspinaczkowych ci wcześnie badacze zdołali zejść na głębokość 213 metrów w kilku jaskiniach masywu, co skłoniło ich do wniosku, że masyw kryje dalsze możliwości eksploracji. Jak na ironię, to właśnie jedno z płytszych zejść dowiodło ostatecznie słuszności ich oczekiwań. Była to otwarta 60-metrowa studnia spenetrowana w 1960 roku przez naukowca Leonida Maruaszwiliego. Być może wyczuwając kryjący się w niej potencjał, Maruaszwili nazwał to miejsce jaskinią Krubera, od nazwiska Aleksandra Krubera.

W ciągu następnych 20 lat w masywie Arabiki pojawiały się kolejne wyprawy próbujące przesunąć granice poznania. Ich odkrycia wydawały się raczej zaprzeczać potencjałowi tego regionu niż go potwierdzać; żadnej z eksplorowanych jaskiń nie udało się pogłębić poniżej 237 metrów. W późnych latach siedemdziesiątych w zasadzie wszyscy speleolodzy skupili uwagę na innych regionach.

A jednak nie wszyscy. Aleksander Klimczuk w 1980 roku miał dwadzieścia cztery lata i kierował tym samym Kijowskim Klubem Speleologicznym, w którym trzynaście lat

wcześniej zasmakował w eksplorowaniu jaskiń. Klimczuk był wschodzącą gwiazdą speleologii i już wówczas myślał poważnie o odkryciu najgłębszej jaskini na świecie. Zamiast przyłączyć się do klubów pracujących gdzie indziej Klimczuk postanowił skoncentrować się na masywie Arabiki.

Wagę tej decyzji trudno zarówno przecenić, jak i ją w pełni wyjaśnić. Niektórzy ludzie wydają się obdarzeni darem genetycznej zgodności z pewnymi zjawiskami, których misterium zdolni są objawić innym. Edison pojmował elektryczność każdą drżącą komórką swojego ciała. Urodzony na Dalekiej Północy Amundsen czuł się wśród polarnych pustkowi równie dobrze jak czarne orki i białe niedźwiedzie. Aleksander Klimczuk, który zaczął chodzić po jaskiniach w wieku jedenastu lat i (jak wspomniano wcześniej) opublikował swoją pierwszą pracę naukową, mając czternaście lat, czuł ten szczególny rodzaj powinowactwa ze światem podziemnym.

Ta intuicja – nazwijmy ją z braku lepszego określenia szóstym zmysłem – powstrzymywała go od wycofania się, kiedy reszta światowej społeczności speleologów spisała masyw Arabiki na straty. Przemawiając nie jak naukowiec, lecz jak mistyk, przypisał ostatecznie swoje zauroczenie tym regionem „innym, czasem niezwykle tajemniczym, odczuciom” (podkreślenie autora).

Istniały, oczywiście, też bardziej konkretne powody. Jako naukowiec zajmujący się krasem Klimczuk widział w masywie Arabiki jedną podstawową zaletę: grube warstwy wapienia schodzące nieprzerwanie z wysokich szczytów górskich ku brzegom Morza Czarnego. Warstwy te zapowiadały obecność jaskiń schodzących aż do Morza Czarnego, znajdującego się ponad 2400 metrów niżej. Przeczyło to tradycyjnemu przekonaniu, zgodnie z którym jaskinie znajdujące się w środkowej części masywu Arabiki nie mogły być hydrologicznie połączone z wybrzeżem morskim ze względu na bariery geologiczne.

Klimczuk był głęboko przekonany, że wie, dlaczego wcześniejsi odkrywcy odchodzili z masywu Arabiki z pustymi rękami. Dotychczasowi eksploratorzy grali, dosłownie i w przenośni, szybko i nieczysto. Cierpliwy z natury, po latach pracy naukowej skrupulatny i pedantyczny Klimczuk odnosił się podejrzliwie do tego rodzaju dróg na skrót.

Szybka eksploracja zaczynała się od góry. Ówczesni speleolodzy byli skłonni szukać otworów jaskiń w dużych lejach krasowych, ponieważ (jak doskonale wiedzieli Carol Vesely i Bill Farr) leje często sygnalizowały obecność poniżej obszernych jaskiń. Jednakże w wysokich górach Kaukazu lodowce radykalnie przekształciły pierwotny krajobraz krasowy, który faktycznie podziurawiony był lejami. Przedzierający się przez dolinę lodowiec usunął górne warstwy skał wapiennych, w tym większość lejów, wypełniając gros pozostałych transportowanym materiałem skalnym. Zdając sobie z tego sprawę, Klimczuk był przekonany, że większą uwagę należałoby zwrócić na

niewielkie otwory i szczeliny znajdujące się nie wewnątrz lejów, ale... wszędzie. Z pewnością wymagało to zastosowania taktyki nie szybkiego typowania najbardziej oczywistych trafień, ale systematycznego, wyczerpującego wysiłku.

Filozofia szybkich trafień obowiązywała nie tylko nad powierzchnią ziemi, ale również pod nią. Po odkryciu wejścia do jaskini speleolodzy kontynuowali zejście do jaskini do momentu, w którym coś – zawałisko, zacisk, podziemna rzeka, cokolwiek – ich nie zatrzymało. Zamiast walić łomem w napotkaną ścianę, przenosili się do nowych studni i korytarzy. Przyjmowano założenie, że na otaczającym terenie znajdują się setki, a nawet tysiące podobnych otworów. Jeśli jedna jaskinia się nie poddawała, łatwiej było przenieść się do innej niż odwalać ciężką górniczą pracę. Klimczuk i jego zespoły nie cofali się przed przeszkodami. Przeciwnie, byli wierni przekonaniom o zasadniczym braku ślepych uliczek.

Ten sposób myślenia opłacił się już w 1980 roku, kiedy to Klimczuk pokazał, że w masywie Arabiki jedyna droga w dół nie prowadziła przez leje, a rozmiar naprawdę nie miał znaczenia, przynajmniej nie na powierzchni. Tego roku zafascynował go otwór jaskini niewiele większy od muszli klozetowej, który można było dojrzeć poniżej kruchej wapiennej półki skalnej. Otwór ten został dostrzeżony i zlekceważony przez wcześniejszych odkrywców. Klimczuk uważał jednak, że warto przyjrzeć mu się bliżej – i miał rację. Ciasne wejście okazało się początkiem jaskini znanej dziś pod nazwą Jaskini Kujbyszewskiej mierzącej 1110 metrów głębokości.

Klimczuk zrozumiał, że należy porzucić szybkie poszukiwania również w kategoriach czasu. Wiedział, że spośród wszystkich elementów składających się na ukształtowanie Ziemi – gór, oceanów, rzek, atmosfery – to właśnie jaskinie najtrudniej będzie skłonić do ujawnienia sekretów przypadkowym zalotnikom. Miały wymagać więcej wyczerpującej, morderczej, nieprzynoszącej natychmiastowych efektów nieustępliwości niż jakiegokolwiek inne formacje lądowe; wytrwałości, która miała wymagać nie lat, lecz pokoleń pracy badawczej.

Odkrywcy są dziećmi natchnienia – i zmęczenia. Klimczuk i jego ekipy grotołazów poparli swoje teorie odpowiednią porcją potu i łez. Trzy lata, od 1983 do 1986 roku, zabrało im oczyszczenie jednego zaledwie zawałiska znajdującego się na głębokości 670 metrów w Jaskini Kujbyszewskiej. Ochrzcili tę przeszkodę Ugrjum-Zawał, Posępny Zawał, nazwą równie paskudną jak praca, której wymagało jej usunięcie. Ugrjum był bardzo dużym zawałiskiem, 90-metrową pionową studnią o średnicy od 3 do 4,5 metra, całkowicie wypełnioną skałami i głazami, zalewaną wodą topniejącego lodowca o temperaturze bliskiej zeru. Na powierzchni do prac tego rodzaju wykorzystano by ogromne koparki i dźwigi dysponujące chwytakami dwuszczykowymi. Na dole pracę tę wykonali ludzie za pomocą ręcznych narzędzi, lin, bloczków i nieugiętej zawziętości.

W Dolinie Ortobałagan grotołazi z Kijowa dokonali ogromnych postępów. W roku

1986 pogłębili Jaskinię Kujbyszewską do 1067 metrów, pokonując szereg kolejnych zawalisk – Ugrjum-Zawał był tylko jednym z nich – określanych wcześniej jako „beznadziejne”. Na początku lat dziewięćdziesiątych odkrycia zespołów Klimczuka w Dolinie Ortobałagan przyciągnęły inne organizacje grotolarzy z całego byłego Związku Radzieckiego. W ramach operacji koordynowanej przez Klimczuka cały masyw Arabiki został podzielony na wiele odrębnych stref poszukiwawczych, a wszystkie wyprawy przyjęły metodyczne podejście Klimczuka: żadnych ślepych uliczek. Pod koniec lat osiemdziesiątych eksplorowano już około 36 jaskiń głębszych niż 90 metrów, w tym siedem jaskiń o głębokości przekraczającej 530 metrów i trzy jaskinie o głębokości większej niż 1000 metrów. Co więcej, barwienia wody, które Klimczuk przeprowadził w latach 1984–1985, dowiodły, że rzeczywiście istniało połączenie hydrologiczne z wywierzyskami na brzegu Morza Czarnego, co potwierdzało jego wcześniejsze podejrzenia i ujawniało superjaskiniowy potencjał tego regionu.

W jaskini Krubera zespołom Klimczuka udało się nieomal odkryć sekret całego systemu jaskiń masywu Arabiki. Pionowa część jaskini nosząca nazwę P43 rozpoczynała się na głębokości 213 metrów i opadała kolejne 43 metry w dół. Na głębokości od 220 do 250 metrów grotolarzy odkryli w ścianie jaskini dwa otwory zwane oknami, których nie zdołali jednak spenetrować. Nie było to złamanie reguły „żadnych ślepych uliczek”. Tak długo jak jaskinia schodziła w dół, wybór drogi stawiającej najmniejszy opór miał sens. Kiedy jednak nie byli już w stanie zejść głębiej w jaskini Krubera, Klimczuk i jego grotolarzy postanowili sprawdzić, gdzie mogą prowadzić dwa niezbadane wcześniej otwory. Dwa ciemne przejścia kusiły nowymi możliwościami. Przyszedł czas, by zweryfikować ich obietnice.

I tak by właśnie zrobili, gdyby nie wojna.

W roku 1990 Związek Radziecki rozpadł się na piętnaście niezależnych republik, z których część podzieliła się na mniejsze. Gruzja była jedną z nich, a Rosja entuzjastycznie dokładała starań, by rozłąmy się pogłębiały. Z kolei w 1992 roku Abchazja, podżegana w mniejszym lub większym stopniu przez Rosję, proklamowała niepodległość, co stało się przyczyną krwawej wojny z Gruzją. Mieszkańcy Abchazji, czując przynależność do Rosji, ogłosili swój kraj niezależnym, suwerennym państwem, choć Gruzja ograniczała ich geograficznie. Rząd Gruzji próbował nie dopuścić do rozpadu państwa. Był to najnowszy wybuch konfliktu etnicznego, który targał tym rejonem od średniowiecza i zachował mroczne zabarwienie tej epoki. Walczące oddziały zabijały i torturowały nawzajem swoich żołnierzy, starców, kobiety, dzieci, niemowlęta, psy, zwierzęta gospodarskie – wszystko, co się ruszało – przez dwa lata. Obie strony popełniały potworne zbrodnie z makabryczną pomysłowością, nie cofając się przed niczym. Abchazja stała się jednym z tych miejsc, do których obcy zapuszczali się jedynie w ostateczności, nawet jeśli byli Ukraińcami.

Eksploracja jaskiń w masywie Arabiki stała się jedną z wielu ofiar wojny. Konflikt oficjalnie zakończył się w 1994 roku – w tym samym roku, w którym wyprawa Billa Stone'a do meksykańskiej jaskini Huautla przyniosła śmiertelne żniwo i wielki sukces – ale strzały nigdy do końca nie ucichły, a starcia zbrojne wybuchały od czasu do czasu ze wzmożoną siłą w różnych miejscach niczym niewielkie pożary w spalonym lesie.

Ukraińscy grotolazi powrócili ostatecznie w masyw Arabiki w sierpniu 1999 roku, choć sytuacja w Abchazji nadal była niestabilna. Była to wyprawa Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego, zorganizowana i poprowadzona przez Jurija Kasjana, twardego i jednocześnie skromnego, 38-letniego wówczas Ukraińca, jednego z najlepszych grotolazów świata, który miał później odegrać kluczową rolę w poszukiwaniach najgłębszej jaskini świata.

W przeciwieństwie do Billa Stone'a, będącego kierownikiem większości wypraw, w których uczestniczył, część obowiązków związanych z prowadzeniem wyprawy Klimczuk zazwyczaj powierzał starannie dobranym, doświadczonym młodemu grotolazom, dla siebie rezerwując rolę starszego wiekiem i doświadczeniem stratega. Skłaniało go ku temu kilka powodów. Europejskie jaskinie nie są miejscem łaskawszym dla starych ludzi niż meksykańskie. Dziesięciolecia forsownej eksploracji jaskiń pozostawiły ślady w organizmie Klimczuka i teraz z chęcią od czasu do czasu oddawał się wypoczynkowi. Ważniejsze było jednak jego przekonanie, że superjaskinie wymagają wysiłku kilku pokoleń grotolazów, a to z kolei wymaga pielęgnowania mechanizmów przekazywania wiedzy z pokolenia na pokolenie.

Kasjan, wesoły, muskularny, płowowłosy, 49-letni dziś mężczyzna, mieszka w Kijowie. Urodził się w 1960 roku w zachodniej części Ukrainy w Śniatyniu,

miejsowości liczącej około 10 tysięcy mieszkańców, założonej jeszcze w XII wieku. Jako dziecko marzył o dalekich wyprawach do odległych krain i przeżywaniu zapierających dech w piersiach przygód. Wraz z upływem lat jego nadzieje na wielkie przygody nieco zbladły, choć i tak pozostały znacznie barwniejsze niż marzenia większości ludzi. Po szkole średniej rozpoczął studia w Iwano-Frankowskim Narodowym Technicznym Uniwersytecie Nafty i Gazu, ukraińskim odpowiedniku instytucji podobnych do Uniwersytetu Teksańskiego. Studiował geologię, co wydawało się stwarzać pewne możliwości przeżywania przygód w stylu Indiany Jonesa.

Myszkowanie w jaskiniach idealnie odpowiadało jego pragnieniom. Kasjan przeszedł swoją pierwszą jaskinię w 1978 roku wraz z członkami studenckiego speleoklubu z jego rodzinnego miasta. Jeśli miał jakieś romantyczne złudzenia dotyczące eksploracji jaskiń, zostały one rozwiane podczas tej wyprawy, w której nie zabrakło tego, w czym grotolazi są najlepsi: kopania i utykania w ślepych korytarzach. Później przeniósł się do miasta Połtawa, również położonego na Ukrainie, w którym powołał speleoklub funkcjonujący znakomicie do dziś.

Obecnie, jeśli akurat nie prowadzi wyprawy, Kasjan pracuje jako alpinista przemysłowy, co jest stosunkowo nowym, niezwykle zawodem wykorzystującym sprzęt oraz techniki wspinaczkowe i jaskiniowe do wykonywania technicznych prac na ścianach drapaczy chmur, gigantycznych masztów radiowych, platform wiertniczych i podobnych konstrukcji. Wiele technik i narzędzi jest wspólnych dla wspinaczki wysokogórskiej i podziemnej, ale z jakiegoś powodu nie przyjął się termin „grotolaz przemysłowy”.

Kasjan był dwukrotnie żonaty, za każdym razem wybierając na obiekt uczuć grotolazki. Owocem jego związków są dwaj synowie, Siergiej i Denis, oraz córka Anastazja. Wszyscy zaangażowali się w speleologię, przy czym synowie biorą udział w wymagających wyprawach, córka zaś na razie traktuje ten sport rekreacyjnie. Kasjan trzykrotnie pełnił funkcję prezesa Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego, obecnie jest redaktorem naczelnym magazynu „Swiet” (Światło), oficjalnego czasopisma Towarzystwa.

Pod wieloma względami Klimczuk i Kasjan idealnie się uzupełniali. Jak obaj przyznają, motorem jaskiniowej pasji Klimczuka jest nauka. Kasjan ma bardziej praktyczne, inżynierskie podejście; w gruncie rzeczy przypomina Billa Stone'a. Ogromną satysfakcję czerpie z rozwiązywania technicznych, praktycznych problemów, takich jak kwestie związane ze złożonymi systemami linowymi, pracą na wysokich ścianach i skomplikowanymi nurkowaniem.

Kasjan po raz pierwszy odwiedził Dolinę Ortobałagan w 1989 roku z grupą z Połtawy. Wracał tam kilkakrotnie, w sierpniu 1999 roku jako kierownik wyprawy Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego. Ważnym celem było poznanie

odkrytych wcześniej okien, które nie doczekały się jeszcze zbadania. Kasjan podzielił swój zespół na dwie grupy. Pierwsza zaatakowała niższe okno, wchodząc z niemal pionowej studni do korytarza, który opadał stopniowo na odcinku około 600 metrów, zanim skończył się w zamkniętej sali 488 metrów pod powierzchnią ziemi. Przekrój tego systemu w dużym stopniu przypominał plany komnat i korytarzy egipskich piramid.

Pozostawało zatem wyższe okno. Klimczuk i Kasjan zdawali sobie sprawę z tego, że może się ono okazać magicznym przejściem. Wiedzieli też, że jest to bardzo mało prawdopodobne. Liczby w abchaskich jaskiniach były równie bezwzględne jak w Meksyku. Klimczuk z typowym zacięciem naukowca wyliczył statystykę na przestrzeni lat – dziewięćdziesiąt pięć spośród stu tropów prowadziło donikąd, cztery pozwalały odkryć partie jaskini o znaczącej długości i głębokości, a tylko jeden umożliwiał dokonanie przełomu w eksploracji. Trudno było jednak powstrzymać podniecenie. Klimczuk i rzesze grotolazów, których zwerbował, spędzili prawie dwadzieścia lat na eksploracji jaskiń w masywie Arabiki, i w tym momencie wszystkie ich nadzieje skupiły się w jednej dziurze w ścianie jaskini Krubera.

Aleksiej Zdanowicz, młody grotolaz z ukraińskiego Użgorodu, poprowadził to ostatnie uderzenie. Zjechał do P43, zablokował przyrządy zjazdowe i zawisł tam na moment, patrząc przez okno w głąb tunelu tak daleko, jak daleko sięgał snop światła. Przecisnął się przez otwór, wypiął z liny i poczołgał w ciemność. Tunel prowadził w odwrotną stronę niż korytarz odchodzący od niżej położonego okna. Był również większy – na tyle duży, że Aleksiej mógł iść na czworakach, nie będąc zmuszony pełznąć na brzuchu.

Nie czekał długo na rezultaty. Zanim pokonał 45 metrów, dotarł do krawędzi studni, w której zrzucony z góry kamień spadał 4 sekundy, zanim sięgnął dna. Nowo odkryta studnia okazała się mierzyć 78 metrów głębokości i otworzyła pozostałe partie jaskini. Znaleździło się punktem zwrotnym w eksploracji Krubera. Zanim wyprawa z 1999 roku dobiegła końca, inne zespoły, które ruszyły w ślady Zdanowicza, pogłębiły ją do prawie 760 metrów. Grotolazi zatrzymali się nie dlatego, że zabrakło im jaskini, lecz dlatego że nie mieli już lin, zapasów i czasu.

Kiedy Kasjan i jego ekipa wyłonili się w końcu z jaskini Krubera, mrużąc oczy w bolesnym świetle słońca, koledzy powitali ich bukietami świeżych kwiatów i kubkami czerwonego wina. Każdy członek zespołu zdawał sobie sprawę z wagi tego wydarzenia: potwierdziły się prognozy Klimczuka, że Krubera stanie się prawdziwą superjaskinią. Potwierdzenie znalazła również jego wiara w Jurija Kasjana.

Składanie obozu i odporęczowywanie jaskini nie jest zazwyczaj tą częścią wyprawy, która przebiegałaby w szczególnie radosnej atmosferze; przypomina raczej końcówkę imprezy, kiedy ktoś zapala światło i do wszystkich dociera, że czas udać się do domu

i przygotować na potężnego i nieuchronnego kaca. Tym razem było inaczej. Kasjan i członkowie jego zespołu radośnie wykonywali wszystkie nużące obowiązki, podniesieni na duchu świadomością, że jaskinia ciągnie się dalej. Wiele było trzeba, by skłonić tych ludzi niekończących się zim i mrocznej historii do uśmiechu, ale to, co właśnie znaleźli w jaskini Krubera, starczyło z naddatkiem.



Mariano Silva nad Syfonem 1, Cheve
fot. Gustavo Vela Turcott

Sprawy potoczyły się tak szybko, że Klimczuk wyznał później, że czuł się odrobinę oszołomiony, ponieważ w superjaskiniach sprawy rzadko toczą się tak żwawo.

W sierpniu 2000 roku Klimczuk wysłał kolejną wyprawę dowodzoną przez Jurija Kasjana, złożoną wyłącznie z ukraińskich grotolarzy. Grupa zeszła na głębokość 1185 metrów i pozostawiła jaskinię oporęczowaną dla kolejnej grupy, która po raz pierwszy w historii nie składała się wyłącznie z Ukraińców. Hiszpański grotolarz Sergio García-Dils (który pomagał w akcji ratowania Aleksandra Kabanichina) od dawna błagał Klimczuka o możliwość udziału w wyprawie do jaskini Krubera, podobnie jak wybitny francuski grotolarz Bernard Tourte. Jurij Kasjan zgodził się poprowadzić również tę grupę, chociaż spędził już znaczną część sierpnia tego roku pod ziemią.

Sergio García-Dils wspólnie z innymi hiszpańskimi i francuskimi grotolarzami spotkał się 31 sierpnia z Kasjanem w rosyjskim mieście Soczi, czarnomorskim kurorcie z międzynarodowym portem lotniczym, wyznaczonym na miejsce zimowych igrzysk w 2014 roku. Starcia zbrojne między Abchazją a Gruzją w zasadzie się zakończyły, ale nie wygasła odwieczna wrogość, która podzieliła te dwie społeczności. Obie strony strzegły swoich granic równie czujnie jak Rosjanie.

Nieskłonni do wręczenia astronomicznych łapówek (300 dolarów za grotolarza) skorumpowanej straży granicznej członkowie wyprawy przyjęli w końcu usługi „załatwiacza” o imieniu Watek, który „wynegocjował” niższe łapówki na innym przejściu. Tam w atramentowych ciemnościach Europejczycy przeszli w bród rzekę Psou wyznaczającą granicę między Rosją a Abchazją. Po drugiej stronie szli długo polami gęsto usianymi minami przeciwpiechotnymi, o czym Watek nie zająknął się ani słowem. Mieli szczęście. Kiedy następnego ranka Watek pojawił się w ciężarówce załadowanej sprzętem jaskiniowym, wszyscy byli w jednym kawałku.

Następnego dnia okazało się, że repertuar zagrożeń masywu Arabiki wykracza poza lawiny i załamania pogody. Jurij Kasjan i jego zespół kończyli rozstawiać obóz bazowy, kiedy pojawiła się grupa Abchazów z kałasznikowami. Grotolarze pracowali w Dolinie Ortobałagan od dwudziestu lat, większość miejscowych więc nie zwracała już uwagi na ludzi ubranych w jaskrawe kombinezony znikających pod ziemią na wiele tygodni. Grotolarze mieli nadzieję, że żołnierze z podobną nonszalancją odniosą się do ich wyprawy. Szczęście im sprzyjało; żołnierze wpadli tylko po to, by się przywitać i sprawdzić, jak idzie praca. W pewnym momencie podali grotolarzom swoje kałasznikowy, żeby goście mogli sobie trochę postrzelać z broni automatycznej.

Zespół Kasjana dotarł tym razem na głębokość 1400 metrów, gdzie utknął przed ciasnym zaciskiem w meandrze bez przewiewu. Wychodząc studnią po ostatniej akcji do dna, Jurij Kasjan znalazł inne okno, tym razem na głębokości mniej więcej 1220 metrów. W tym miejscu był przewiew i w jakimś sensie budziło ono wyjątkowe

odczucia. Nie tylko Klimczuk został obdarzony wielką jaskiniową intuicją. W tym oknie było coś, co przemówiło do Kasjana; wyczuwał, że czai się za nim głębia.

Skuszeni obietnicą dalszej eksploracji Klimczuk i jego grotolazi zdecydowali się nie czekać do następnego lata i zorganizowali wyprawę zimową. Wyprawa zimowa miała jedną przewagę nad letnią: kiedy na górze wszystko było kompletnie zmrożone, ryzyko przyboru wody było w zasadzie zupełnie wyeliminowane. Jednocześnie dotarcie zimą do masywu Arabiki było znacznie trudniejsze, a gruba pokrywa śniegu i lodu wymagała rozstawienia przy otworze jaskini obozu bazowego podobnego do tych rozstawianych przez wspinaczy wysokogórskich. W warunkach zimowych transport zapasów do jaskini i ewentualnych poszkodowanych z jaskini był utrudniony.

Aleksander Klimczuk po raz kolejny nadzorował organizowanie wyprawy, którą miał poprowadzić niezrównany Jurij Kasjan. Tym razem jednak w składzie 11-osobowego zespołu znaleźli się członkowie klubu eksploracyjnego z Moskwy o nazwie CAVEX, które Klimczuk pomógł założyć w 1998 roku. CAVEX był swego rodzaju oddziałem Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego – ponownie objawiło się zamiłowanie Klimczuka do zrzeszania się. Klimczuk widział potrzebę poprawy stosunków między grotolazami z Moskwy i Ukrainy. Efektem jego dobrych chęci był jednak klasyczny dowód na to, że „wszystkie dobre uczynki zostaną ukarane”, a CAVEX, niczym dzieło doktora Frankensteina, miał wyrzucić katastrofalny wpływ na jego życie.

Oleg, syn Klimczuka mający wówczas dwadzieścia cztery lata, był członkiem CAVEX-u i gorąco namawiał swojego ojca do włączenia Rosjan w skład zimowej wyprawy. Klimczuk miał wątpliwości. Oleg wcześniej rozpoczął karierę grotolaza, uwielbiał ten sport i dysponował niezbędnymi umiejętnościami i doświadczeniem. A jednak Klimczuk zawahał się, a powody jego wahania nie miały nic wspólnego z kompetencjami Olega jako grotolaza.

Efektom tej wyprawy mogło być epokowe odkrycie. Rosjanie nie brali udziału we wcześniejszych wyprawach do jaskini Krubera, toteż ich niezasłużona okazja do „spicia śmietanki” rozżaliłaby wielu członków Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego. Klimczuk był jednak człowiekiem, który starał się jak najczęściej dopuszczać do głosu lepszą stronę swojej natury, ostatecznie więc zgodził się na ich udział w wyprawie. Grotolazi z Moskwy byli młodzi, silni i ambitni, a poza tym byli w końcu formalnie członkami Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego. Dlaczego nie dać im szansy wzięcia udziału w czymś, co mogło się okazać epokowym wydarzeniem? Dlaczego nie otworzyć w ten sposób drogi do międzynarodowej współpracy na polu eksploracji jaskiń? Klimczuk miał dobre chęci, ale ostatecznie została nimi wybrukowana droga do piekielnej konfrontacji nie tylko pomiędzy jego stowarzyszeniem a CAVEX-em, ale również między nim a Olegiem.

Początkowo kierujący wyprawą Kasjan również niechętnie odniósł się do obecności

Rosjan, ale Klimczuk go przekonał. Obaj wyjaśnili grupie moskiewskiej, że bierze udział w wyprawie jako część Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego, a nie jako grupa CAVEX. Pełni energii młodzi grotolazi oświadczyli, że doskonale rozumieją sytuację, i ochoczo przystali na warunki Klimczuka.

Wyprawa wyruszyła z Kijowa w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2000 roku. Dwa dni później śmigłowiec zrzucił grotolazów wraz ze sprzętem i zapasami w głęboki śnieg na terenie obozu bazowego. Zarówno w Oaxaca, jak i w masywie Arabiki pierwszym zadaniem zawsze jest zaporęczowanie jaskini. W ciągu zaledwie dwóch dni założyli biwak 1 na głębokości 488 metrów, na dnie mierzącej 137 metrów studni, z której ścian z niepokojącą regularnością odrywały się skalne odłamki. Stacjonowanie w tym miejscu postawiło grotolazów w sytuacji plutonu piechoty ostrzeliwanego z moździerzy.

Niezrażeni nie poddali się, pracując zgodnie i skutecznie w sposób typowy dla ukraińskich zespołów. Cztery zespoły dwuosobowe pracowały nieprzerwanie przez całą dobę. Ich ostatecznym celem było zbadanie okna, które Jurij Kasjan znalazł w sierpniu. Zaszczyt poprowadzenia grupy przypadł najmłodszemu członkowi wyprawy, Anatolijowi Powjakało, który dopiero niedawno osiągnął pełnoletniość. Powjakało zdołał precyzyjnie się przez okno i zejść na głębokość 1450 metrów. Zwiększony przewiew i przepływ wody sugerowały, że niewiele dzieli ich od pobicia rekordu głębokości, który w tym czasie należał do najgłębszej wówczas austriackiej jaskini o nazwie Lamprechtsofen¹⁹ o deniwelacji 1632 metrów. Późnym wieczorem 4 stycznia grotolaz z Moskwy, Ilia Żarkow, i jego kolega Konstantin Muchin pobili ten rekord, schodząc do ogromnej sali na głębokości 1679 metrów, gdzie drogę zatarasowało im ogromne zawalisko.

Czterech innych grotolazów dotarło do tego samego punktu, mając nadzieję, że zdołają zejść jeszcze głębiej, ale nie znaleźli obejścia zawaliska. Członkowie wyprawy nazwali rozległą salę Chamber of Soviet Speleologists, Salą Radzieckich Speleologów. W przeciwieństwie do ekstremalnych wypraw wysokogórskich, podczas których zazwyczaj tylko kilku wspinaczy z licznej grupy atakuje szczyt, każdy człowiek tej wyprawy zszedł na głębokość przekraczającą 1520 metrów, a dziewięciu dotarło aż do przodka na głębokości prawie 1710 metrów. Krubera zyskała oficjalny tytuł najgłębszej jaskini świata, co z pewnością było dobrym powodem do świętowania, ale wszyscy spodziewali się, że jaskinia prowadzi znacznie głębiej, być może na głębokość przekraczającą 2000 metrów.

Niebezpieczne zadanie zejścia w głąb jaskini Krubera na głębokość przekraczającą 1600 metrów zostało wykonane bez problemów, czego nie można powiedzieć o zejściu zespołu ze zboczy masywu Arabiki. Jedenastego stycznia grotolazi czekali z niepokojem na śmigłowiec, który miał podjąć ich z obozu bazowego. Niesprzyjająca

pogoda uziemiła go tego dnia na poziomie morza, a kolejne dni nie przyniosły roz pogodzenia. Instytut meteorologii prognozował co najmniej na kolejne trzy dni silne wiatry, obfite opady śniegu i widoczność nieprzekraczającą kilku metrów. Zespół zdecydował się na piesze zejście z masywu Arabiki. Prawie 5 kilometrów dzieliło ich od granicy lasu, a szlak prowadził przez tereny zagrożone lawinami. Pokonali nieco ponad połowę drogi, kiedy ogromna lawina zeszła z górskiego zbocza tuż przed nimi, porywając i grzebiąc pod zwałami śniegu młodego grotolaza, który tak niedawno świętował swoje osiemnaste urodziny, Anatolija Powjakało. Dowodząc, że jest nie tylko najmłodszym uczestnikiem, ale też największym szczęściarzem, Powjakało uszedł z tej przygody z życiem dzięki szybkiej akcji swoich kolegów, którzy odkopali go spod śniegu, zanim się udusił. Dotarli do podnóża gór już bez niespodzianek i 16 stycznia stary, szary śmigłowiec, wykorzystując krótkie roz pogodzenie, zabrał z obozu bazowego resztę ich sprzętu.

W Kijowie Aleksander Klimczuk spędził pierwszy tydzień stycznia 2001 roku niespokojnie, oczekując wieści od Kasjana. Klimczuk doskonale zdawał sobie sprawę, że ta wyprawa może przynieść owoc wyteżonej i niebezpiecznej pracy ostatnich dekad. Mijały kolejne dni, ale nic się nie działo. Wreszcie 7 stycznia z masywu Arabiki zadzwonił Denis Prowałow ze swojego telefonu satelitarnego.

„No, Aleksander, właśnie wyszedłem sam na powierzchnię. Pogodę mamy tu dość mocno zimową, ale wszystko poszło świetnie” – zameldował Prowałow rzeczowo. Wyobrażając sobie Klimczuka dygoczącego z niecierpliwości, Prowałow z trudem opanowywał wybuch śmiechu.

„Ale...? – przerwał mu Klimczuk. – Co się wydarzyło na dnie?”

„No cóż, Aleksander, może lepiej usiądź – powiedział – bo udało nam się pobić światowy rekord głębokości. Krubera jest teraz najgłębszą jaskinią na Ziemi”.

I wtedy Klimczuk rzeczywiście usiadł. Po meldunku Denisa zabrakło mu tchu w piersiach. Ten moment był ukoronowaniem prawie trzydziestu lat pracy, która rozpoczęła się od odkrycia jaskini Kilsy w Azji Środkowej i była kontynuowana przez dziesięciolecia organizacji ogromnych wypraw i podejmowania rok po roku ogromnego ryzyka. Pielęgnowane od dawna marzenie przybrało w końcu realne kształty. Przez chwilę wiadomość nie docierała do niego w pełni. I chociaż Klimczuk podczas tej konkretnej wyprawy nie zszedł na dno, czuł się tak, jakby to on był na dnie jaskini Krubera, która właśnie została najgłębszą jaskinią świata. Słusznie uznawał to za efekt dziesięcioleci swojej pracy. Przez wiele tygodni upajał się sukcesem.

Według Klimczuka nie był on jedyną osobą, której Prowałow przekazał wiadomość przez telefon satelitarny. Prowałow poinformował o sukcesie również moskiewskie media, informując, że „rosyjscy grotolazi ustanowili nowy rekord świata”. Zdaniem Klimczuka był to początek „kampanii dezinformacji”.

Osiemnastego stycznia na dworcu kolejowym w Kijowie zgromadził się zbity tłum oczekujący na przyjazd pociągu z Soczi. Ludzie nieśli kwiaty, wódkę, szampana i transparenty. Kiedy pociąg wtoczył się na stację, orkiestra zagrała marsza. Ekipy telewizyjne i dziennikarze prasowi walczyli o najlepszą miejscówkę, wykrzykując pytania w stronę grotolazów wysiadających z pociągu. Członkowie wyprawy, którzy jeden po drugim stawali na peronie, byli porywani na ramiona wiwatującego tłumu i obnoszeni jak bohaterowie.

Nowy światowy rekord głębokości zyskał medialny rozgłos w krajach Europy kontynentalnej i Wielkiej Brytanii, których mieszkańcy interesują się sportami takimi jak wspinaczka wysokogórska, alpinizm jaskiniowy czy nurkowanie zdecydowanie bardziej niż Amerykanie. Mimo wszystko zainteresowanie mediów nie było tak duże jak w przypadku odkryć polarnych czy wspinaczki na ośmiotysięczniki.

Naukowcy zajmujący się geologią i speleologią zdawali sobie sprawę, jak znaczącym osiągnięciem było zejście na dno jaskini Krubera – i co zapowiadało. Poprzedni rekord został pobity za jednym zamachem o ponad 70 metrów, podczas gdy w ciągu trzech poprzednich dekad udawało się przesuwać granicę głębokości średnio o zaledwie 15 metrów rocznie. Co więcej, po raz pierwszy w historii geologii tytuł najgłębszej jaskini świata otrzymała jaskinia nieznaną się w zachodniej Europie. Analogicznie, można sobie wyobrazić, że najwyższa góra świata zostaje nagle odkryta w Chile. Przez następny miesiąc napływały gratulacje od setek naukowców i grotolazów z całego świata. Radość i entuzjazm innych sprawiał Klimczukowi ogromną satysfakcję.

Przez wiele tygodni Klimczuk i jego zespół cieszyli się zwycięstwem. Gdy jednak ucichły wiwaty i szampan został wypity, Klimczuk poczuł niepokój, który prawie zawsze pojawia się po dokonaniu znaczącego wyczynu. Świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że odkrycie jest mieczem obosiecznym: pozwala świętować wielki wyczyn, a jednocześnie wyznacza smutny koniec długiej podróży. Czego miał dokonać na bis, kiedy już jego zespół dotarł na dno najgłębszej jaskini świata?

Podjęcie decyzji nie trwało długo. W lutym 2001 roku opracował nowy projekt dla Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego i CAVEX-u: odkryć pierwszą jaskinię o głębokości przekraczającej 2000 metrów. Pomimo dokonań Klimczuka wielu geologów i wybitnych grotolazów zareagowało niedowierzaniem. Przed eksploracją jaskini Krubera odkrywcom zajmowało dwadzieścia pięć lat przesunięcie rekordu głębokości o kolejnych 300 metrów. A teraz Klimczuk sądzi, że uda mu się powtórzyć ten wyczyn w ciągu zaledwie kilku lat? Mało prawdopodobne. Klimczukowi jednak udawało się już w przeszłości zaskakiwać niedowiarków.

W ten sposób narodził się projekt Zew Otchłani.

¹⁹ System ten od 1975 roku był eksplorowany przez polskie wyprawy jaskiniowe. W roku 1998 wyprawa pod kierownictwem Andrzeja Ciszewskiego odkryła połączenie pomiędzy jaskinią PL-2

a systemem Lamprechtsofen. Tym samym „Lampo” stała się najgłębszą jaskinią na świecie (przyp. red.).

Wielkie odkrycia stają się często przyczyną wielkich tragedii i źródłem potężnych kontrowersji. Po tym, jak Amundsen stosunkowo lekko wyposażony, wykorzystując narty i zaprzęgi ciągnięte przez psy, w ekspresowym tempie dotarł na biegun południowy, niektórzy (zwłaszcza Brytyjczycy plasujący się na drugim miejscu) oskarżyli go o to, że rozpoczął haniebny „wyścig”, a jego wyprawa nie miała nic wspólnego z poważnymi badaniami naukowymi. Po tym, jak zginęli – już po zdobyciu bieguna południowego przez Amundsena – wszyscy członkowie grupy szturmowej Brytyjczyków niektórzy kwestionowali zdolności przywódcze i umiejętność oceny sytuacji Roberta Falcona Scotta. Zanim Hillary i Norgay zdołali zejść ze zboczy Everestu po zdobyciu jego szczytu, rozgorzała dyskusja na temat tego, który z mężczyzn stanął na szczycie jako pierwszy. Tradycji stało się zadość i wkrótce po uznaniu jaskini Krubera za najgłębszą jaskinię na Ziemi wokół jej eksploracji zaczęły narastać kwestie sporne. Niestety, najbardziej zażarty konflikt rozpętał się między Klimczukiem a jego synem Olegiem.

Aleksander Klimczuk zaczął chodzić po jaskiniach bardzo wcześnie, w wieku jedenastu lat. Gdyby jego ojciec interesował się eksploracją jaskiń, zacząłby prawdopodobnie jeszcze wcześniej, podobnie jak jego synowie. Niektórzy synowie niemal odruchowo buntują się przeciwko upodobaniom swoich ojców, ale nie Oleg. Szybko zapalał entuzjazmem do alpinizmu jaskiniowego, co ucieszyło Aleksandra. Czy ojciec może oczekiwać od życia hojniejszej nagrody niż dziecko radośnie podążające jego śladami?

Oleg miał wówczas dwadzieścia pięć lat i podobnie jak Jurij Kasjan zarabiał na życie pracami na wysokości; w sposób typowy dla młodych dojrzewających mężczyzn przeniósł się z cichej dzielnicy w samo centrum wydarzeń. Spędził dużą część dorosłego życia w sercu byłego Związku Radzieckiego – w Moskwie. Miasto było siedzibą CAVEX-u, do którego Oleg entuzjastycznie się zapisał.

Wkrótce po powrocie z jaskini Oleg poprosił ojca o pozwolenie dla siebie i CAVEX-u na szukanie komercyjnych sponsorów i gromadzenie funduszy pod szyldem ustanowienia rekordu świata w jaskini Krubera. Klimczuk zignorował podszepty rozsądku i wyraził zgodę, z pewnymi zastrzeżeniami. Stwierdził, że CAVEX może działać w jaskini Krubera jedynie jako część Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego i tylko dzięki wieloletniej wcześniejszej pracy Ukraińców rekord mógł zostać ustanowiony.

Oleg i grotolazi z Moskwy zgodzili się z Klimczukiem. A jednak problemy pojawiły się niemal natychmiast. Członkowie CAVEX-u wspominali w wywiadach i artykułach, że nowa najgłębsza jaskinia świata została odkryta przez zespół CAVEX-u. Rosyjskie media nie darzą Ukraińców szczególną sympatią, więc kilka znaczących rosyjskich

kanałów telewizyjnych wyemitowało reportaże, w których członkowie zespołu CAVEX-u zostali przedstawieni jak bohaterowie, a Ukraińcy, o ile w ogóle doczekali się wspomnienia, jako zwykli pomocnicy. Można by to jakoś przeżyć, gdyby błędne informacje pojawiły się jedynie w kanałach nadawanych lokalnie, ale te stacje telewizyjne miały rzesze odbiorców na Ukrainie i stały się źródłem informacji wykorzystywanych później przez media innych krajów. Ukraińcy byli zszokowani i czuli się poniżeni na oczach całego świata.

„Zupełnie im odbiło na punkcie wyższości i sławy – powiedział Klimczuk o zespole CAVEX. – Najwyraźniej rekord świata uderzył im do głowy. Zaczęli opracowywać plany wypromowania CAVEX-u jako zespołu ekstremalnych grotołazów i zarabiania w ten sposób na życie”.

Klimczuk był zdenerwowany, ale co mógł zrobić? Mleko już się rozlało. Odosobniony głos jego i kilku Ukraińców utonął w zgiełku międzynarodowych mediów. Czerpał niewielką pociechę z przekonania, że tego rodzaju ekscytującym informacjom we współczesnych mediach przeznaczony jest krótki żywot, a zainteresowanie tematem lada moment przygaśnie. Wszystko wróci do normy, a on i jego zespoły będą mogli wrócić do eksploracji jaskini Krubera.

Tak w każdym razie zakładał aż do pewnego wiosennego dnia 2001 roku. Zainteresowanie mediów faktycznie przygasło, ale wówczas Oleg zaproponował swojemu ojcu dziwaczny projekt. Przemawiając w imieniu CAVEX-u, zaczął namawiać Aleksandra, by zmusił Jurija Kasjana i całą ekipę Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego do wycofania się z jaskini Krubera i przekazania jej eksploracji zespołowi CAVEX. Młode wilki – a konkretnie Rosjanie – przygotowywały w Moskwie zamach stanu.

Klimczuk był przerażony. Czuł się tak, jakby Oleg zaproponował mu, żeby obciął sobie rękę. Żądanie Olega i kategoryczna odmowa Klimczuka stały się zarzewiem potężnego konfliktu między tymi dwoma mężczyznami i doprowadziły ostatecznie do zerwania stosunków, których nie udało się nawiązać ponownie do dzisiaj. Klimczuk, zawsze do rany przyłóż, był tak głęboko poruszony i rozwścieczony propozycją Olega, że „z trudem powstrzymał się od tego, żeby go nie pobić”. To oczywiście przesada, Klimczuk nigdy nie uderzył Olega ani nawet nie podniósł na niego ręki. Nie ulega jednak wątpliwości, że był wściekły. Syn szybko zdał sobie sprawę z tego, jak fatalny błąd popełnił, wycofał się więc i przez jakiś czas starał się nie wchodzić ojcu w drogę.

Był to tragiczny przykład działania prawa efektów ubocznych. Powodowany dobrymi chęciami Aleksander Klimczuk bardzo wcześnie wprowadził syna w arkana eksploracji jaskiniowej, która nadawała sens jego życiu. I chociaż bezwarunkowo kochał zarówno swojego syna, jak i speleologię, w jakiś sposób doszło do tego, że to, co kochał, sprzysięgło się przeciwko niemu, by zadać mu największe cierpienie, jakiego w życiu

doświadczył. Przepaść, która rozdzieliła ojca i syna, nosiła znamiona upiornego podobieństwa do rozłamu w małżeństwie Billa i Pat Stone'ów.

Mimo wszystko Klimczuk postanowił nie przekreślać grotolazów z Moskwy i przypisać gafę Olega jego młodemu wiekowi i wpływowi zapalczywych młodych Rosjan. Przekonany, że szczerą rozmową przywróci Rosjanom zdrowy rozsądek, a eksploracji jaskini Krubera jej godność, Klimczuk zaprosił Rosjan do wzięcia udziału w zbliżającej się wyprawie w turecki masyw Aladaglar, który z punktu widzenia eksploracji superjaskiń wydawał się bardzo obiecujący. Osobiście poprowadził 23-osobową wyprawę, w której znalazło się sporo członków CAVEX-u.

Podczas miesiąca spędzonego w tureckich górach Klimczuk rzeczywiście lepiej zrozumiał ludzi z CAVEX-u – potwierdziły się jego najgorsze obawy. Klimczuk nigdy nie dbał o rozgłos; znacznie bardziej troszczył się o poważną naukę, ochronę środowiska i bezpieczeństwo ekipy, by przywołać choćby te trzy istotne aspekty jego pracy. Doszedł do wniosku, że Rosjanie do tego stopnia byli żądni sławy, że wyłudzali od nieznaną się na rzeczy dziennikarzy pochwalne peany nawet za niezbyt trudne przejścia. Miał poczucie, że zaproszeni przez niego Rosjanie zatruli atmosferę miesięcznej wyprawy, popełniając ustawicznie coś, co uznawał za akty zdrady, by przypisać sobie nienależne zasługi. Co gorsza, tocząc boje z CAVEX-em, Klimczuk walczył z własnym synem, być może ostatecznie nadszarpując wąż, która ich jeszcze łączyła.

Klimczuk był tak przerażony dwulicowością CAVEX-u, że w 2002 i 2003 nie postawił stopy w ukochanym masywie Arabiki, pozwalając swobodnie działać zespołom CAVEX-u, które wyprawiły się tam w tym czasie. Zamiast tego wraz z Jurijem Kasjanem poprowadzili wyprawy w masyw Aladaglar, z daleka obserwując wysiłki CAVEX-u. Klimczuk z pewnością był rozżalony bezczelną inwazją Rosjan, ale obawiał się również o bezpieczeństwo młodszych, mniej doświadczonych zespołów. Bał się, że są kiepsko zorganizowani, pozwalają na uczestnictwo zbyt dużej liczbie niedoświadczonych grotolazów i podejmują zbyt duże ryzyko, co w sumie składa się na przepis na katastrofę.

Wyprawa CAVEX-u z 2003 roku rozpoczęła się 29 lipca. Szybko rozstawiono obóz bazowy. Grotolazi zmęczeni długą podróżą przystosowali się do zmiany strefy czasowej, przestawili zegarki i po raz kolejny przywykli do spania na ziemi i pod nią.

Do tego momentu statuetka najgłębszej jaskini świata po raz kolejny zmieniła właściciela – 12 stycznia 2003 roku wyprawa grotolazów zeszła we francuskiej jaskini Mirola na głębokość 1733 metrów, poprawiając rekord ustanowiony w jaskini Krubera o 23 metry. Poza tym na horyzoncie nieustannie unosiło się widmo Billa Stone'a eksplorującego system meksykańskiej jaskini Cheve, która, jak zapowiedział bez ogródek, miała okazać się najgłębszą jaskinią na Ziemi.

Kilka niezbadanych okien i korytarzy prowadziło dalej z rozległej Sali Radzieckich Speleologów znajdującej się w pobliżu dna jaskini Krubera. Kolejne znajdowały się również w prowadzących do niej partiach jaskini. Największe zainteresowanie budził jednak niewielki syfon położony na głębokości 1433 metrów poniżej 11-metrowego progu nazwanego P11. Trzymając się ustalonych wcześniej zasad, grotolazi nie poświęcali uwagi tym „możliwościom”, dopóki główny korytarz pozwalał im posuwać się naprzód. Teraz, gdy zostali na dobre zablokowani na głębokości 1710 metrów, nadszedł czas na odwrót i przenurkowanie syfonu.

W początkach sierpnia większość jaskini była już zaporęczowana. Założono biwak na głębokości 1215 metrów i zainstalowano linię telefoniczną. Wszystko szło tak świetnie, że trudno byłoby się dziwić komukolwiek, kto sądziłby, że nad tą wyprawą czuwa anioł stróż. Sielanka trwała do momentu pojawienia się oddziału żołnierzy uzbrojonych w kałasnikowy.

Ponownie byli to Abchazi. Wpadli niezapowiedziani i ogłosili, że mają zamiar zostać „kilka dni”. Być może z powodu obecności Europejczyków w ekipie, wydawali się znacznie mniej przyjaźni niż żołnierze, którzy zawitali do obozu bazowego wyprawy w 2000 roku. Była to część ich szkolenia, wyjaśnili, a ponadto chcieli, by uczestnicy wyprawy czuli się bezpieczni. Nie mieli wątpliwości, że poczucie bezpieczeństwa zapewni im obecność oddziału krzepkich żołnierzy abchaskich. W gruncie rzeczy grotolazi przewidzieli taki rozwój wypadków i zawiesili wcześniej w swoim obozie dwie flagi: abchaską i białą. Żołnierze kręcili się wokół, paląc papierosy i obserwując grotolazów, ale nie zakłócali przebiegu wyprawy.

Grotolazi wrócili do pracy i 14 sierpnia Oleg Klimczuk wszedł do najgłębiej położonego syfonu na świecie. Po drugiej stronie kuli ziemskiej, w Meksyku, Bill Stone, Rick Stanton i Jason Mallinson dowiedli, że ogromne przygotowania, których wymaga nurkowanie w superjaskiniach, mogą doprowadzić do wydłużenia i pogłębienia jaskini o zaledwie kilka metrów; mogą też otworzyć kilometry nowych partii, czego dowiedli Stone i Barbara am Ende w jaskini Huautla w 1994 roku. To była zawsze loteria i tym razem kości potoczyły się niepomyślnie. Syfon, w którym zanurkował Oleg, był wręcz komicznie rozczarowujący: miał zaledwie 4 metry długości, niecałe 2 metry głębokości i szybko się zwężał, by przejść w otwór o średnicy piłki do koszykówki. Dalej Oleg Klimczuk nie był w stanie dostrzec dna, ale w warunkach tak kiepskiej widoczności mogło ono leżeć w odległości zarówno 3, jak i 300 metrów.

Nurkowanie Klimczuka było nurkowaniem na największej głębokości w jaskini, ale nie doprowadziło go do pobicia rekordu ustanowionego we francuskiej jaskini Mirola. Niewarte było zatem nawet wzmianki w księgach rekordów – o ile nie otwierało drogi do znacznie głębszej eksploracji jaskini Krubera. Ekipa zniosła więc na dół kolejne butle nurkowe i narzędzia umożliwiające powiększenie otworu u końca syfonu.

Wieczorem 18 sierpnia Oleg Klimczuk i Denis Prowałow zanurkowali wspólnie w syfonie, prześlizgując się przez powiększone przejście do wielkiej sali znajdującej się dalej. Znaleźli na końcu suchy korytarz, którym poszli aż do wodospadu spadającego z gigantycznego progu. Nie dysponując liną ani sprzętem umożliwiającym dalsze zejście, przenurkowali syfon z powrotem. Wyprawa w 2003 roku zakończyła się tym drugim nurkowaniem, a najgłębszy osiągnięty przez grotolazów punkt nie pozwolił na zaznaczenie kolejnego rekordu. Czas było rozpocząć gehennę odporęczowywania jaskini.

Kilka zespołów, wliczając w to zespół Sergia Garcii-Dilsa, pracowało w głębi jaskini, gdy rankiem 22 sierpnia rozpętała się burza. Na ziemi wiatr i ulewne deszcze

zniszczyły namioty i rozrzuciły sprzęt. Według relacji opublikowanych później przez liderów wyprawy nieprzerwane, obfite deszcze zaczęły zalewać jaskinię potokami wody. Co gorsza, jaskinią wstrząsnęło lokalne trzęsienie ziemi. Aleksander Klimczuk, choć nie było go na miejscu, sceptycznie odnosił się do tych rewelacji. Jego zdaniem „zalanie jaskini” nie było niczym więcej niż normalnym o tej porze roku przybojem wody. Był również pewien, że nie było żadnego trzęsienia ziemi. Przypisywał wstrząsy osunięciu się kamieni w głębi Krubera lub którejś pobliskiej jaskini. Klimczuk doszedł do wniosku, że relatywny brak doświadczenia grotolazów biorących udział w wyprawie do jaskini Krubera w 2003 roku skłonił ich do opisywania w kategoriach katastrofy zdarzeń, które nie zrobiłyby wrażenia na bardziej wytrawnych grotolazach. Teorię Klimczuka uwiarygodnił Sergio García-Dils, który napisał później, że „trzęsienie ziemi” odczuwane przez grotolazów wewnątrz jaskini nie zostało odnotowane przez ludzi znajdujących się wówczas na powierzchni.

Nie ulega wątpliwości, że podczas burzy wielokrotnie uderzały pioruny. Jeden z nich trafił w centralę telefoniczną na powierzchni, posyłając ładunek elektryczny wzdłuż linii telefonicznej. Akurat w tym momencie Ilia Żarkow rozmawiał przez telefon. Słuchawka wyskoczyła mu z ręki, a uderzenie prądu odrzuciło go trzy metry dalej. Chociaż miał na sobie grube jaskiniowe rękawiczki, doznał poważnych poparzeń dłoni. Od porażenia prądem ocaliły go prawdopodobnie grube, gumowe podeszwy noszonych przez grotolazów kaloszy.

Biorąc pod uwagę burzę, prawdopodobne trzęsienie ziemi, przybór i uderzenie pioruna, García-Dils i pozostali zaczęli sobie wyobrażać, że wkrótce usłyszą dźwięk trąb wzywających na Sąd Ostateczny. Burza w końcu ucichła, ale deszcz lał nieprzerwanie i poziom wody w jaskini naprawdę zaczął niepokojąco wzrastać. Dwa oddzielnie działające dwuosobowe zespoły grotolazów zostały odcięte w meandrach poniżej biwaku na 500 metrach, a jeden dwuosobowy zespół utknął na głębokości 1220 metrów. Jeden z zespołów z trudem uszedł z życiem, wspinając się pod sam strop i przyklejając się do ściany korytarza, który został niemal kompletnie zalany. Inny zespół umknął w ostatniej chwili przed zbliżającą się ścianą wody, uskakując pod ścianę wąskiego korytarza i unikając fali, która mogła zabrać ich ze sobą. Bardzo w stylu Indiany Jonesa.

Nikt nie zginął ani w wyniku przyboru, ani uderzenia pioruna, ani trzęsienia ziemi. Rankiem 23 sierpnia woda zaczęła opadać i zespół powrócił do odporeczowywania jaskini. Około 11.00 Aleksander Kabanichin wszedł do jaskini i zaczął schodzić w dół, zjeżdżając z kolejnych progów. Pokonał mierzący ponad 100 metrów meander nazwany Ulibka, co w tłumaczeniu oznacza Uśmiech. Dotarł do krawędzi Wielkiej Kaskady i zjechał z niej. Na pierwszej przepince przepiął przyrząd zjazdowy na drugą linę, odchylił się w tył i spadł w ciemność.



Prawie 800 kg sprzętu ciągniętego przez Igora Iszenkę
i Emila Wasza. Poniżej Meander Lamprechtsofen
fot. Call of the Abyss Project

Kiedy już Kabanichin leżał bezpiecznie na biwaku na 500 metrach, zaczęto zastanawiać się, w jaki sposób wyciągnąć go na powierzchnię. Akcje ratownicze w jaskiniach są zawsze bardzo trudne.

Z wielu powodów ta miała być koszmarem. Sergio García-Dils²⁰ był jedynym grotolazem z całego zespołu wyszkolonym w zakresie organizacji i przeprowadzania akcji ratunkowych. Co więcej, ci, którzy ewentualnie mieliby przeprowadzić akcję ratowniczą, byli już wyczerpani wielotygodniową wyęzioną pracą. Nie wzięli ze sobą nawet podstawowego sprzętu ratowniczego: noszy, bloczków, wyciągarek. Wszystko należało zorganizować na terenie Abchazji, regionu kompletnie nieznanego prawie całej reszcie świata i cierpiącego na niedobory w zasadzie wszystkiego. Jakby tego było mało, każdy ruch i każdą decyzję komplikowała obecność w zespole grotolazów z siedmiu różnych krajów. Wśród nich byli tacy, którzy porozumieli się tylko w swoim ojczystym języku. I wreszcie poziom wody nie obniżył się do tego przed przyborem, a niezbędny system komunikacji telefonicznej nie został naprawiony.

Tuż przed południem zespół zdecydował, że doświadczony francuski grotolaz Bernard Tourte zostanie z Kabanichinem, kiedy Sergio García-Dils wyjdzie w ekspresowym tempie na powierzchnię, żeby zorganizować akcję ratowniczą. Hiszpan dotarł na powierzchnię o godzinie 13.00 tylko po to, by zorientować, że system łączności telefonicznej jest już sprawny i wieści o wypadku dotarły na powierzchnię wcześniej niż on. Niezależnie od tego, biorąc pod uwagę jego doświadczenie ratownicze, Sergio García-Dils został kierownikiem akcji ratowniczej.

Najbliższym możliwym źródłem sprzętu ratowniczego było rosyjskie Ministerstwo Sytuacji Nadzwyczajnych w Soczi. Prośba o pomoc skierowana do nienawidzących Gruzinów Rosjan była proszeniem się o kłopoty, ale jakie mieli wyjście? Tego popołudnia członkowie wyprawy skontaktowali się z Rosjanami w Soczi i oficjalnie poprosili o pomoc. Tymczasem Sergio García-Dils sprawdził cały obóz bazowy w poszukiwaniu elementów sprzętu, które mogły przydać się podczas akcji ratowniczej. Oddelegował również zespół, którego zadaniem miało być przygotowanie ładunków wybuchowych umożliwiających powiększenie zacisków znajdujących się na drodze, którą miały pokonać nosze.

Rosjanie obiecali wysłać helikopter ze sprzętem, zapasami i większą liczbą ludzi. Tego wieczoru Sergio García-Dils zrobił szybkie przeszkolenie z technik ratowniczych dla tych członków zespołu, którzy nigdy nie uczestniczyli w żadnej tego typu akcji. Przeciągnięcie Kabanichina przez tak pionowo biegnące korytarze miało być bardzo skomplikowane ze względu na wagę obciążonych noszy, wijące się meandry i złożoność systemu bloczków koniecznego do wyciągnięcia noszy na górę. Wiadomo

było, że w pewnych momentach konieczne będzie wykorzystanie innych grotolazów jako przeciwcieżary, by stworzyć mechanizm podobny do stosowanego w windach. W niektórych miejscach nosze musiały być pchane i ciągnięte przez meandry na tyle obszerne, by pomieścić nosze, ale nie na tyle duże, by móc w nich stanąć. Budowany na zamówienie system umożliwiający tego rodzaju przedsięwzięcie, który nosi nazwę systemu do ratownictwa w zamkniętych przestrzeniach, składa się z dziesiątków specjalistycznych urządzeń i kosztuje ponad 5000 dolarów. Ta akcja ratownicza musiała zostać przeprowadzona za pomocą sześciu zużytych bloczków, które Sergio García-Dils znalazł wśród obozowego sprzętu, chyba że Rosjanie przywieźą coś lepszego – od kiedy to jednak Rosjanie dysponują czymkolwiek, co można uznać za lepszy sprzęt?

O trzeciej rano na pokładzie śmigłowca nadleciały wyczekiwane posiłki: jedenastu wypoczętych ludzi, zaopatrzenie medyczne i nosze. Nie tego oczekiwali grotolazi. Nosze przeznaczone do akcji ratunkowych w jaskini są zbudowane z mocnego, grubego plastiku, który jest jednak do pewnego stopnia elastyczny, uszkodzony owinięty jest w nich jak w kokonie. Są również lekkie, ważą zaledwie 5–8 kilogramów. Rosjanie przywieźli nosze przeznaczone do akcji ratowniczych przeprowadzanych za pomocą helikoptera, które są sztywnym, ważącym 25 kilogramów metalowym koszem. Grotolazi pracowali do rana nad osadzeniem w ścianach jaskini specjalnych kotew. Tuż przed południem zespół ratowniczy zaczął schodzić w dół z noszami.

Na powierzchni trwała wytężona praca, ale również pod ziemią grotolazi pracowali gorączkowo nad poszerzeniem korytarzy. Długość meandra Mozambik, dla przykładu, przekraczała 100 metrów, a szerokość wynosiła średnio zaledwie 60 centymetrów. Większość ludzi musiała się obrócić bokiem, by go pokonać. Do godziny 12.30 grotolazi pracujący za pomocą młotów i materiałów wybuchowych zdołali na tyle poszerzyć najwęższe fragmenty, że można było przecisnąć przez nie puste nosze, choć pokonanie kilku odcinków wymagało rozłożenia noszy na dwie części. Cztery godziny później nosze dotarły do biwaku na 500 metrach, gdzie Kabanichin walczył z bólem, robiąc sobie zastrzyki z tramadolu, mocnego środka przeciwbólowego o działaniu narkotycznym.

Zapakowanie Kabanichina na nosze zajęło trzy godziny. Ciężar noszy przekroczył 110 kilogramów. Około godziny 19.00 nosze zostały uniesione z biwaku na 500 metrach i rozpoczęły długą, wyczerpującą drogę na powierzchnię. Ratownicy wyciągali je na górę w głębokich studniach i przepychali przez kolejne zaciski. Około 1.30 nad ranem 25 sierpnia dotarli do biwaku urządzonego wcześniej w połowie drogi na powierzchnię. Tutaj ratownicy i uszkodzony odpoczęli, kiedy reszta pracowała nad poszerzeniem jednego z najgorszych odcinków, pionowego fragmentu, który prowadził z głębokości 76 metrów na głębokość 49 metrów. Aleksiej Karpeczenko,

krzepki Ukrainiec – ze względu na swoją wytrzymałość noszący ksywkę „Cegła” – i Nikołaj Sołowiew jego partner, pracowali w zasadzie bez przerwy na tym odcinku. Doprowadzenie pracy do końca wymagało założenia 120 ładunków wybuchowych i wykorzystania spalinowej wiertarki udarowej.

Dwudziestego piątego sierpnia o godzinie 19.30 ratownicy ponownie podnieśli nosze; akcję kontynuowano do następnego ranka. O czwartej rano 26 sierpnia, 64 godziny po wypadku, Aleksander Kabanichin wyłonił się niczym Łazarz z otworu jaskini Krubera i odetchnął świeżym powietrzem; wcześniej z pewnością przemknęło mu przez myśl, że może już nigdy nie zaznać tej przyjemności.

Kabanichin został szczęśliwie ewakuowany i spędził w szpitalu wiele kolejnych tygodni. Zdumiewające, ale katastrofalny wypadek, który mógłby położyć kres jego życiu, nie spowodował żadnych trwałych uszkodzeń ciała.

To wydarzenie zdecydowanie wystarczyło, by zakończyć wyprawę do jaskini Krubera w 2003 roku, która w ostatecznym rozliczeniu, jak obawiał się już wcześniej Klimczuk, stała się przyczyną tragedii, lecz nie źródłem triumfu. Pomimo całej ciężkiej pracy speleolodzy nie zdołali pogłębić jaskini poniżej 1710 metrów, co było znaną głębokością jaskini Krubera na początku wyprawy. Aleksander Klimczuk zdawał sobie sprawę, że grotolazi równie doświadczeni i zdeterminowani jak jego zespoły pracowały w innych jaskiniach na całym świecie, a szczególnie świadomy był wysiłków podejmowanych w Meksyku przez Billa Stone'a i jego zespół United States Deep Caving Team.

Stone nigdy nie cofał się przed deklaracjami, że Cheve może sięgnąć po laur jaskini mierzącej co najmniej 2,5 kilometra głębokości, czego dowiodła próba z barwnikiem, i że on, Bill Stone, zbada ją do tej głębokości, nawet gdyby miało to oznaczać konieczność spędzenia miesiąca pod ziemią i nurkowania wymagającego de facto oddzielenia się od głównego składu wyprawy. Klimczuk kilkakrotnie spotkał się ze Stone'em podczas wyjazdów do Stanów Zjednoczonych i jego silna osobowość oraz znaczące osiągnięcia zrobiły na nim duże wrażenie. Wiedział, że Stone uczestniczył w prawie pięćdziesięciu meksykańskich wyprawach, był błyskotliwy, doświadczony i silnie zmotywowany. Wiedział, że Towarzystwo National Geographic było jednym ze sponsorów jego wypraw i jeśli można cokolwiek powiedzieć o zarządzających nim osobach, to z pewnością to, iż nie wspierają przegranych. Jeśli ktokolwiek, gdziekolwiek, poza zespołami Klimczuka, miał dokonać przełomu w superjaskini, to z pewnością był to Bill Stone w Meksyku. Klimczuk wiedział, że Stone rozgrzany do czerwoności ambicją, dysponując wsparciem finansowym potężnych sponsorów, legionami doświadczonych grotolazów i najbardziej zaawansowaną techniką nurkową planuje powrót do Cheve w 2004 roku.

W powyższych akapitach można by bez problemu zamienić Stone'a na Klimczuka i otrzymać trafny opis poglądów amerykańskiego grotolaza znajdującego się na drugiej półkuli. Stone wiedział, że głębokość jaskini Krubera, podobnie jak głębokość Cheve, została zweryfikowana za pomocą barwnika i sięgała co najmniej 2438 metrów. Wiedział, że Klimczuk, podobnie jak on sam, jest głęboko zaangażowanym i skoncentrowanym na celu naukowcem dysponującym potężnymi zasobami, który nie poświęciłby nawet minuty życia masywowi Arabiki, gdyby nie dostrzegł tam ogromnego potencjału. Klimczuk miał do dyspozycji jeszcze większą liczbę jeszcze bardziej doświadczonych i zdyscyplinowanych grotolazów, których znaczna liczba zajmowała się chodzeniem po jaskiniach od wczesnego dzieciństwa. Sponsor Stone'a, Towarzystwo National Geographic, miało wspierać w następnym roku zorganizowaną przez Klimczuka wyprawę Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego. Pobudziło to dodatkowo wystarczająco już zapalonego Stone'a, który między innymi z tego powodu zorganizował własną wyprawę o wszystko w Meksyku w 2004 roku.

W ten sposób rozpoczął się ostatni etap wyścigu po tytuł najgłębszej jaskini świata i laur ostatniego odkrycia lądowego czekającego na swojego odkrywcę. Świat nie był świadkiem podobnych zmagania od 1911 roku, kiedy to Scott i Amundsen przemierzali smagane wiatrem połacie Antarktydy w wyścigu na biegun południowy.

Wyglądało na to, że rok 2004 będzie pod tym względem bardzo podobny.

²⁰ Znacznie bardziej doświadczonym ratownikiem był Bernard „Buldo” Tourte (przyp. red.).

CZEŚĆ TRZECIA
GAME OVER

Albo powietrze jest pijane, albo jakiś czart jest zazdrosny.

LEONID FIŁATOW, ROSYJSKI POETA
(cytat przywołany przez Emila Wasza)

Mniej więcej sześć miesięcy po zakończeniu nieudanej wyprawy Billa Stone'a, 28 października 2003 roku, meksykański rolnik Pedro Pérez wracał do swojego domu w niewielkiej wiosce Santa Ana Cuauhtémoc położonej w tym samym rejonie, co jaskinia Cheve. Santa Ana zajmuje niewielką przełęcz położoną na wysokości 1295 metrów n.p.m. pomiędzy dwoma szczytami masywu Sierra Juárez. Ścieżka, którą szedł Pérez, prowadziła nieopodal rzeki San Miguel płynącej dnem głębokiego kanionu Barranca Estrella. Pérez mieszkał w tym miejscu całe życie i szum rzeki San Miguel znał równie dobrze, jak głos własnej żony. W wyniku ulewnych tego roku deszczy rzeka grzmiała jak nigdy wcześniej.

Pérez dotarł nad brzeg rzeki i zapatrzył się w jej nurt. Korytem płynęło dwadzieścia razy więcej wody niż zwykle, a kotłującą się, kipiącą masę ciemnobrązowej wody pokrywała kremowa piana. W pewnym momencie, bez ostrzeżenia, rzeka po prostu zniknęła w ogromnej dziurze znajdującej się w jej dnie. Otwór mierzył prawie 30 metrów średnicy i 12 metrów głębokości. Pérez nie był w stanie wyobrazić sobie, gdzie uchodzi rzeka wpływająca do gigantycznej paszczy.

Informacje o nowym ponorze szybko rozeszły się wśród miejscowych, a później w środowisku meksykańskich grotolarów, którzy wiedzieli, że z pewnością zainteresuje ona Billa Stone'a. Zainteresowała do tego stopnia, że stała się głównym celem wyprawy USDCT w rejon Cheve w 2004 roku. Stone uważał, że jeśli uda im się wejść w porze suchej do ponoru, może się on okazać tylnymi drzwiami do znajdującej się o wiele wyżej jaskini Cheve. Tę samą nadzieję żywił w przypadku jaskini Peña Colorada dokładnie dwadzieścia lat wcześniej.

Jego wyprawa miała trzy cele. Pierwszym był nowy ponor. Drugim była jaskinia Barranca Estrella położona w górnej części koryta rzeki, powyżej ponoru. Trzecim był rekonesans na rozległym terenie powyżej wioski San Francisco Chapulapa. Rozciągał się on od doliny Aguacate, przez las mglisty porastający jej zbocze, aż po odpychający skalny płaskowyż sięgający 2800 metrów n.p.m. porośnięty kaktusami, poprzecinany zdradliwymi rozpadlinami, wśród których pełzały jadowite węże. Wyprawę do Meksyku poprowadził Bill Stone. On i Andi Hunter, śliczna, silna dziewczyna z Alaski, byli teraz oficjalnie parą. Ponadto trzon zespołu stanowiło pięciu innych członków wyprawy. David Kohuth, wysoki, gadatliwy mężczyzna, były kierowca samochodów wyścigowych mieszkający w zasiedlonym przez amiszów rejonie Pensylwanii, menedżer produkującej traktory firmy New Holland, był doświadczonym grotolarzem o niespożytych siłach. Gregg Clemmer, wielokrotnie nagradzany historyk i eksplorujący jaskinie przez całe życie grotolarz, pochodził z Germantown w stanie Maryland. W wyprawie wzięli również udział szczupły, serdeczny John Kerr z Ohio, magik od techniki, który okazał się tak nieoceniony podczas wyprawy w 2003 roku,

a także nieco ekscentryczny i introwertyczny Jim Brown, doskonały nurek jaskiniowy, którego zadaniem miało być przenurkowanie potencjalnych syfonów. I był wreszcie nowy nabytek, Ryan Tietz, przystojny jak gwiazda filmowa i twardy jak stal, który właśnie otrzymał tytuł magistra nauk humanistycznych na Uniwersytecie Tekszańskim. Ostatecznie w wyprawie miało wziąć udział trzydziestu ośmiu grotolarzy z ośmiu krajów.

Wyprawa w 2004 roku wyjechała z Austin w stanie Teksas 12 lutego dwoma załadowanymi po dach ciężarówkami i jeepem grand cherokee Davida Kohutha. Po 48 godzinach nieprzerwanej podróży karawana o drugiej nad ranem zjechała z drogi i grotolarze z ulgą wyciągnęli się w śpiworach, żeby trochę się przespać. Następnego ranka obudził ich słodki zapach cukru przetwarzanego w pobliskiej cukrowni. Kilka godzin później wtoczyli się do Cuicatlán, 15-tysięcznego miasta otoczonego czerwonymi urwiskami o wysokości ponad 300 metrów.

Następnego dnia Stone i Hunter spotkali się z miejscowymi urzędnikami, by uzyskać pozwolenie na wyprawę, po czym ruszyli w stronę stoiska z lodami na patyku – nawet w lutym w Cuicatlán dopiero wieczorem robiło się nieco chłodniej. Kiedy przechodzili przez ulicę, zatrzymał ich uzbrojony policjant w niebieskim mundurze i ciemnych okularach. Stone i Hunter przygotowali się na trudną rozmowę rodem z anegdot o Trzecim Świecie, ale mężczyzna w mundurze nieoczekiwanie szeroko się uśmiechnął. Przedstawił się jako komendant policji i wyciągnął numer hiszpańskiego „National Geographic” z lutego 2004, w którym opublikowano artykuł Stone’a opisujący jego wyprawę do Cheve z 2003 roku. Komendantowi chodziło jedynie o autograf, który Stone z przyjemnością złożył.

Z Cuicatlán ekipa przejechała prawie 10 kilometrów na północny wschód i jednocześnie prawie 2000 metrów wyżej do Concepción Pápalo, osady liczącej kilka tysięcy mieszkańców. W niej miał siedzibę kolejny miejscowy urząd nadzorujący teren, na którym znajdował się otwór jaskini Cheve. Następnie pojechali dalej na północny wschód, pokonując szczyt góry, na której zboczu przycupnęła Concepción Pápalo, i zjechali w dół po drugiej stronie do Santa Ana Cuauhtémoc. W październiku rok wcześniej Pedro Pérez właśnie tam dostrzegł ogromny ponor.

Grotolarze wyrąbali miejsce na obóz bazowy w pobliżu ponoru Barranca Estrella. Przez kilka następnych dni do obozowiska ciągnęły karawany mułów, koni, wynajętych miejscowych i grotolarzy obładowane tonami jedzenia, ubrań, sprzętu i innych zasobów.

Stone i jego zespół szybko znaleźli gigantyczny otwór w teraz prawie zupełnie suchym korycie rzeki. Podczas pory deszczowej ponor okazywał się wystarczająco duży, by – jak zapewniał Pérez – pochłoniąć całą rzekę. Otwór przypominał lej po

jednej z ogromnych bomb stosowanych do wysadzania bunkrów, w tym przypadku z zastrzeżeniem, że w tym nie sposób było dostrzec dna.

Gregg Clemmer zszedł prawie 6 metrów w dół stromej skalnej ściany po jednej stronie otworu i ujrzał ziejącą poniżej przepaść. „Ściana”, którą właśnie zszedł, składała się z ogromnych głazów pozostających w chwiejnej równowadze. Świadomy, że dowolny drobiazg lub zwykły przypadek może spowodować śmiertelne osunięcie, Clemmer uznał, że czas się wycofać.

Przed podjęciem dalszej eksploracji ogromne, kanciaste głazy musiały zostać usunięte. Większość wypraw odpuściłaby już w tym momencie, ale nie wyprawa Stone'a, który wziął ze sobą dwie elektryczne wyciągarki Warn o uciążu 5 ton i czternaście akumulatorów GM Ovonic do ich zasilania. Po przymocowaniu do skalnej ściany albo mocnych drzew wyciągarki mogły wyciągać głazy z dna rzeki jak dentysta wrywający ogromne zęby.

Mieli przed sobą ciężką pracę, ale też powody do świętowania, biorąc pod uwagę rozmiary ponoru. Ci, którzy zastanawiali się, czy ich lider kiedykolwiek się uśmiecha lub wręcz wybucha serdecznym śmiechem, otrzymali tego wieczoru odpowiedź na swoje pytanie. Podniesieni na duchu radosnym oczekiwaniem i odpowiednią liczbą procentów członkowie ekipy zaprezentowali po kolacji porywające talenty wokalne. Szeroko uśmiechnięty Stone z głową owiniętą czymś na kształt turkusowego turbanu śpiewał i akompaniował sobie na gitarze pomimo zabandażowanego palca wskazującego. Andi Hunter podtrzymywała ścieżkę wokalną tekstami lirycznych piosenek, które ze sobą przywiozła, i nawet Jim Brown, trochę niedosłyszający i nieco zakłopotany, pozwolił sobie na wykonanie kilku chórków.

Stone uznał 17 lutego, że najsmardziej będzie pójść na początek po linii najmniejszego oporu, i skierował cały zespół do pracy w jaskini Barranca Estrella. Kiedy w południe byli już gotowi opuścić obóz, na miejsce dotarło czterech kolejnych grotolazów: dwóch Amerykanów oraz Jan Matthesius i Pauline Barendse, para Holendrów, którzy regularnie uczestniczyli w wyprawach organizowanych przez Stone'a. Wszyscy byli doświadczonymi grotolazami i wmaszerowali do obozu z energią, która zawsze towarzyszy początkom każdej wyprawy. Nie przypuszczali wówczas, że w nadchodzących tygodniach mogą spodziewać się jedynie ciężkiej pracy i problemów, z którymi dotychczas się nie spotkali.



Cheve
fot. Speleo

Niektóre jaskinie zachęcają do eksploracji bardziej niż inne. Jaskinia Barranca Estrella plasowała się niemal na końcu rankingu. Ze sklepienia sali wejściowej zwisały tysiące nietoperzy wampirów. Uciekając się do niewyobrażalnych akrobacji, potrafiły wydalać każdego dnia na spąg jaskini niezliczone litry płynnych odchodów, które gromadziły się na dnie w postaci cuchnących, rojących się od zarazków kałuż o konsystencji jogurtu. Nietoperze odchody zdecydowanie nie były tematem do żartów. Po eksploracji w niedaleko położonej jaskini Cueva de la Mano w 2001 roku polski grotolarz Marcin Gala zapadł na histoplazmozę, chorobę grzybiczą atakującą płuca, która może doprowadzić do śmiertelnego uszkodzenia systemu oddechowego przy niewłaściwie prowadzonym leczeniu. Infekcja Marcina skończyła się sześciotygodniowym pobytem w szpitalu i potężnymi dawkami silnych leków przeciwwgrzybiczych.

Grotolarze pokonali to wyzwanie i zeszli na głębokość 180 metrów, na dno jaskini Barranca Estrella, gdzie zaczęli kopać. Tu nie wyczuło się przewiewu, powietrze więc szybko stało się wyjątkowo paskudne. W stanie Maryland brodaty naukowiec Bart Hogan, którego talent do dokonywania wynalazków dorównywał zdolnościom Johna Kerra, przygotował niewielkie dmuchawy. Przymocował je do długich węży, a te do rebreathera Billa Stone'a. Gdy jedna dmuchawa wysysała ciężkie, nasyczone dwutlenkiem węgla powietrze z jaskini, druga pompowała do środka świeży tlen.

To było kopanie w jaskini w najgorszym wydaniu – albo najlepszym z punktu widzenia grotolarzy gustujących w takich pracach. Dotarcie na przodek wymagało godzinnej wspinaczki z obozu bazowego i godzinnego zejścia w głąb jaskini. W pierwszych dniach wyprawy nawet wspinaczka okazywała się niebezpieczna. Grotolarze notorycznie zsuwali się ze stromych, błotnistych ścieżek przerośniętych śliskimi korzeniami.

Z upływem dni ścieżki wyschły, a grotolarze z niecierpliwością wyczekiwali miłych wędrówek w jasnym słońcu pod bezchmurnym niebem. Ze ścieżki rozciągał się niesamowity widok na szmaragdowe, usiane głazami łąki poprzecinane plantacjami kawy i bambusowymi zagajnikami. Wokół nich rozciągały się imponujące łańcuchy górskie, doskonale widoczne z tej wysokości.

Kolejna godzina zjazdu i schodzenia w dół doprowadzała grotolarzy do miejsca, w którym mieli kopać przez siedem następnych, bardzo nieprzyjemnych, godzin. Zespół drążący skałę przypominał gigantyczną stonogę. Zagłębiony w dziurze grotolarz wyrąbywał i wyskrobywał twardą jak beton ziemię, wypełniał nią wiadro, które stawiał obok siebie, albo przesuwiał urobek w stronę partnera, który wrzucał go do wiadra. Kolejni grotolarze przekazywali sobie wiadro, którego zawartość była wysypywana na dno przestronnej sali przez grotolarza znajdującego się na końcu kolejki. Każde wiadro

wypełnione piaskiem i żwirem ważyło około 25 kilogramów. Czasami udawało się wyciągnąć około dwudziestu wiader, czyli mniej więcej pół tony materiału skalnego, co pozwalało wydłużyć korytarz o dwa do czterech metrów.

Po skończeniu szczyty grotolazi wychodzili na powierzchnię, na której panowała już ciemna noc, a drogę powrotną do obozu rozświetlały jedynie gwiazdy i księżyc, o ile niebo było bezchmurne. Po trzech dniach kopania w jaskini Barranca Estrella, które nie przyniosło przełomu, Stone przeniósł część ekipy do wielkiego ponoru w dole rzeki, po raz pierwszy dostrzeżonego przez Pedro Péreza. Koryto rzeki było już wówczas suche i woda nie stanowiła już zagrożenia. Zespół pod wodzą Gregga Clemmera wykopał ponadmetrową dziurę w piaszczystym dnie ponoru znajdującym się około 12 metrów poniżej dna koryta rzeki. Tuż po zachodzie słońca siedzący najgłębiej w otworze Clemmer uderzył swoim zaprojektowanym na zamówienie tytanowym łomem w... nic. Szybko wyrznął otwór o średnicy 60 centymetrów. Dostrzegł ciągnącą się dalej jaskinię; to, co znaleźli po kilku godzinach dalszej pracy, wyglądało o wiele bardziej zachęcająco niż to, z czym od wielu dni mieli do czynienia w jaskini Barranca Estrella.

Na lewo od otworu, nad poszerzeniem którego pracował Clemmer, znajdował się inny płytki otwór o głębokości niecałych 5 metrów. Stone również tam skierował swoich kopaczy. Pierwszą dziurę nazwano „dziurą po prawej”, a drugą „dziurą po lewej”. Clemmer, posuwający się teraz mozolnie naprzód w lewej dziurze, przecisnął się przez wąski otwór na końcu. Ruchem robaczkowym przesuwiał się coraz dalej, kopiąc spąg, by poszerzyć korytarz, kiedy natknął się na gromadę pajęczaków – kosarzy przyczepionych do sklepienia tuż nad jego twarzą. Z pewnej odległości kolonia kosarzy sprawiała wrażenie gigantycznej czarnej brody rosnącej na skale. Z odległości kilku centymetrów wyglądały jak wielkie, przerażające tarantule. Za żadne skarby Clemmer nie mógł sobie przypomnieć, czy są jadowite. O ile nie oddychał i nie poruszał się, kolonia zachowywała się spokojnie. Kiedy tylko odetchnął lub się poruszył, kolonia momentalnie zaczynała się histerycznie roić. Ta scena spokojnie mogłaby zostać opisana na kartach powieści Stephena Kinga.

Próbując leżeć całkowicie bez ruchu i zastanawiając się nad tym, jakich zniszczeń może dokonać tysiąc kosarzy na bezbronnej ludzkiej twarzy, Clemmer wyczuł silny, nieprzerwany przewiew, tak jakby leżał pod wentylatorem. W ten właśnie sposób jaskinie zwykły sygnalizować odwiedzającym: „Wejście tutaj”. Było to tak ekscytujące odkrycie, że zapomniał o kosarzach i wyprysnął z otworu, żeby podzielić się nowiną z pozostałymi. Wszyscy, włącznie z Billem Stone'em, zgodzili się, że jest to rzeczywiście cholernie dobra wiadomość.

Choć położone tak blisko siebie, dwa schodzące w dół tunele przedstawiały dwa zupełnie różne wyzwania. Kopacze pracujący w tunelu po prawej wyrąbywali

i wybierali materiał skalny z ciasnej szczeliny zatkanej błotem, piaskiem i litą skałą. Kopanie w tym miejscu było niesłychanie trudne, ale ryzyko osunięcia się skał – stosunkowo niewielkie, inaczej niż w przypadku dziury po lewej, gdzie pomimo ogromnego wysiłku obsługi wyciągarek większa część stropu nadal składała się z niestabilnych gładów, które w każdej chwili mogły runąć.

Kopanie w tym rejonie dzień po dniu, godzina po godzinie, wymagało stalowych nerwów. Andi Hunter spędziła jeden z takich dni, klęcząc w tunelu, w którym zaledwie centymetry dzieliły czubek jej kasku od dwóch masywnych gładów. Gigantyczne skały podpierały się nawzajem jak dwóch podtrzymujących się pijaków z podłej dzielnicy – jeden trzymał drugiego i żaden nie był w stanie ustać na własnych nogach. Głazy stykały się ze sobą dokładnie nad głową Hunter. Gdyby któryś z nich runął w dół, zmiażdżyłby ją jak obcas mrówkę. Pracując przez cały dzień z chirurgiczną precyzją, zdołała uniknąć tego losu, ale praca tego dnia była jeszcze bardziej nerwowa i wyczerpująca niż zazwyczaj.

Do soboty 21 lutego Clemmer i jego koledzy wykopali szyb o głębokości prawie 5 metrów i średnicy opony samochodu ciężarowego. Była dobra i lepsza wiadomość: w dziurze nie czaiły się kosarze i dało się w niej wyczuć stały przewiew. Clemmer był przekonany, że przewiew jest kluczową wskazówką. Nawet w martwej dotychczas dziurze po prawej było czuć delikatny szept oddechu jaskini. Wszystko wyglądało coraz lepiej. Przeświadczenie, że szczęście im sprzyja, miało się jednak okazać złudne.

Pod datą 23 lutego Andi Hunter napisała w dzienniku wyprawy: „Poniższe notatki są zapisem wydarzeń z 21, 22 i 23 lutego i oddają nadzieję i rozpacz towarzyszące każdej wyprawie, której członkowie chcą dokonać prawdziwych odkryć”.

Tego ranka ekipa Gregga Clemmera wciąż wyrąbywała drogę w dziurze po lewej, kiedy pozostali kopali w dziurze po prawej. Stone razem z Andi Hunter i czterema innymi grotolazami opuścił obóz o świcie, podążając w kierunku nowej jaskini znajdującej się kilka kilometrów na północ, o której istnieniu poprzedniego dnia doniósł jeden z miejscowych. Po kilku godzinach poszukiwań znaleźli studnię wlotową i zjechali w dół. Jak się okazało, studnia miała głębokość zaledwie 90 metrów. Zamieszkiwała ją liczna populacja pajaków wielkości dłoni oraz gigantycznych krocionogów w kolorze jaskrawej żółci i błękitu (przypadkowo są to barwy narodowe Ukrainy) o długości 10 centymetrów. Dotknięte wydzielały z gruczołów rozmieszczonych wzdłuż ciała cuchnący kwas. Taka egzotyka z pewnością ucieszyłaby Juliusza Verne’a.

Niedziela 22 lutego w całym regionie była dniem targowym, Stone i Hunter pojechali więc po 30 kilogramów świeżej żywności. Po powrocie spotkali oczekującego na nich Clemmera.

„Jak chcecie zobaczyć coś ciekawego, to wejdźcie do tej dziury po lewej” – zachęcił Clemmer.

W tym momencie tunel skręcił już pod porośnięty drzewami brzeg rzeki. Kiedy Stone dotarł do końca tunelu, poczuł bryzę poruszającą korzeniami drzew z taką siłą, że wyglądały jak czułki ogromnych owadów. To, zgodził się Stone, rzeczywiście było coś interesującego, może nawet bardziej, niż sądził wówczas Clemmer. Jaskinia Cheve, położona znacznie wyżej nich, wdychała powietrze przez cały dzień. Niżej położona jaskinia je wydychała. Powietrze, które Cheve zasysała powyżej, mogło być wydmuchiwane właśnie tutaj. A to mogło oznaczać istnienie czegoś, po co tu przejechali: połączenia.

Następnego dnia Stone zdecydował się porzucić jaskinię Barranca Estrella. Herkulesowe wysiłki zespołu kopaczy pozwoliły ją nieco wydłużyć, ale nie natrafiono na żadną oznakę przepływu powietrza. Co gorsza, zespół natknął się na nasiąknięty wodą piach, co było oznaką, że w pobliżu znajduje się syfon. To i brak przewiewu przekonało Stone’a do skoncentrowania wysiłków na dwóch tunelach wykopywanych w ponorze w dole rzeki.

Była to bardzo męcząca praca. Grotolazi skręcali się w nienaturalnych pozycjach i pracowali młotami i kilofami, często stojąc na głowie z twarzą wciśniętą w poszerzony otwór, a otaczające ich powietrze pomimo ustawicznej pracy pomp tlenowych Hogana

stawało się coraz bardziej zatęchłe. To była powtórka z Charco i gdyby sytuacja nie poprawiła się w ciągu kilku najbliższych dni, wszyscy szybko upadliby na duchu.

Praca zbierała żniwo zwłaszcza wśród mniej doświadczonych uczestników wyprawy. Pewnego popołudnia pod koniec lutego Ryan Tietz siedział obok wejścia do dziury po prawej. Otoczenie wyglądało ponuro: brzydka, przetrawiona ziemia, pokaleczone korzenie, brudne światło. Przed nim stało 20-litrowe wiadro błota, a wokół stóp wiły się zwoje lin i kabli. Nad jego głową jakieś dziwne mchy czy porosty nadawały skale kolor jaskrawej zieleni. Umazany błotem, siedział ze skrzyżowanymi ramionami i łokciami opartymi na kolanach, z twarzą zarośniętą dwutygodniowym zarostem, patrząc nieobecny wzrokiem w przestrzeń. Dwa tygodnie wcześniej spoglądał na świat roziskrzonymi oczami, uśmiechał się promiennie i buzował energią młodości. Teraz zdecydowanie nie było mu do śmiechu.

Jego zniechęcenie było miarą trudności związanych z eksploracją jaskiń, podkopujących nastroje nawet po tak pokrzepiających wiadomościach jak te, których poprzedniego dnia dostarczył im uszczęśliwiony John Kerr. Pracując przy końcu tunelu po lewej stronie, wykopywał zbitą ziemię i wyciągał kamienie jeden po drugim, jakby demontował gigantyczną układankę. Monotonia wykonywanego od wielu godzin zajęcia wprowadziła go w rodzaj transu. Wreszcie wyciągnął jednak wielki kamień, za którym – patrzcie i podziwiajcie! – nie było już ani ziemi, ani skał, a rozciągała się przepiękna kusząca pustka.

Kerr oświetlił powstały otwór i szybko zorientował się, że wykopał dziurę w suficie znajdującej się poniżej sali wielkości sypialni. Eureka! To była doskonała wiadomość, ale była jeszcze lepsza: poczuł na twarzy silny, zimny powiew, a to oznaczało dużą jaskinię poniżej.

Kerr, Stone i Hunter poszli tym tropem. Poszerzyli otwór zrobiony przez Kerra i zjechali do znajdującej się poniżej sali. Dalej korytarz ciągnął się kolejnych 15 metrów, by w końcu utworzyć salę mierzącą około 1,5 metra kwadratowego i wystarczająco wysoką, by móc w niej stanąć. Stąd krótkie zejście poprowadziło ich do dziewięciometrowego poziomego korytarza tak niskiego, że musieli się czołgać. Wkrótce znaleźli się na krawędzi studni o głębokości 23 metrów i średnicy 3 metrów. Po jej drugiej stronie poziomy korytarz prowadził dalej; jego także należało zbadać. Aby dotrzeć do przeciwległej ściany, musieli zjechać na dno studni, a potem wspiąć się, co wymagało liny, wiertarek, kotew i w ogóle sprzętu.

To znaczące znalezisko domagało się zwołania na powierzchni zebrania przy lunchu, podczas którego krzepiąca wiadomość tchnęła nowego ducha w zmaltretowany zespół. Każdy uczestnik wyprawy zdawał sobie sprawę z tego, że kolejny dzień będzie pod wieloma względami dniem bitwy. Mógł się zakończyć rozczarowaniem (a w najgorszym razie urazem lub śmiercią jednego z uczestników) lub otworzyć „tylne

drzwi” do wielu kilometrów korytarzy prowadzących być może do Cheve.

Następnego dnia podniecenie stało się niemal namacalne. Ludzie poruszali się po obozie sprężystym krokiem, uśmiechnięci od ucha od ucha. Ten dzień miał przynieść rozwinięcie opowieści lub jej finał. Pauline Barendse poprowadziła grupę trzech grotolazów w głąb studni. Na dnie zbadali szereg wąskich korytarzy schodzących w dół jak wewnętrzne schody w domu jednorodzinny. Jeden z nich poprowadził ich do otworu zawalonego głazami, które można było usunąć następnego dnia. W drodze powrotnej wspięli się na przeciwległą ścianę studni i odkryli okno umieszczone na tyle wysoko, że dotarcie do niego wymagało wspinaczki z użyciem kotew. Nie otworzyli jeszcze tylnych drzwi do Cheve, ale przynajmniej nie utknęli w ślepej uliczce.

Po opracowaniu komputerowych symulacji opartych na zgromadzonych przez zespół danych Stone doszedł do wniosku, że korytarze dziur po lewej i po prawej w końcu się połączą. Nie stanie się to szybko, ale jeśli będą nadal kopać, w końcu do tego dojdzie. Niestety, praca po prawej stronie nie przyniosła tak obiecujących rezultatów jak praca po lewej i wydawała się zgoła syzyfowa. Osoba pracująca na przodku, zazwyczaj Andi Hunter, napełniała wiadro mazistym błotem i krzyczała do pracujących za nią, by wywlekli wiadro na zewnątrz. Zanim zniknęło z pola widzenia, kolejne wiadro przesunęło się w kierunku Hunter, która je napełniała i wysyłała na górę, a potem znów wracała do kopania. Kiedy opadała z sił, jej miejsce zajmował kolejny kopacz. W miarę pogłębiania studni stęchłe powietrze stawało się coraz bardziej dotkliwym problemem; w tunelu nie było żadnego przewiewu. Przymocowali do dmuchawy dłuższy wąż i podjęli pracę.

Kolejnego dnia, czyli 26 lutego, Pauline Barendse precyzyjnie przeszła przez otwór po lewej stronie otwierający prawie 45 metrów nowego korytarza, który – jak mają to w zwyczaju korytarze w większości jaskiń – szybko zakończył się ślepa ścianą.

Na domiar złego zaczęło padać. Woda spływała do obu wykopów, ale największe problemy sprawiała po prawej stronie, ponieważ tam spływała bezpośrednio do dziury zajmowanej przez zawieszoną głową w dół kopacza, zalewając mu oczy, uszy i usta błotem i pogłębiając nędzę jego położenia. Deszcz nie ustawał. Wszystko, co się wznosi, musi w końcu opaść, włączając w to nastrój całego zespołu. Dla Billa Stone'a było oczywiste, że trzy dni nieprzerwanego deszczu w połączeniu z uporczywym wysiłkiem pod ziemią musi podkopać morale. Jedną z największych zachęt był silny powiew wyczuwalny w otworze po lewej, ale ten stopniowo słabł, aż w końcu zupełnie zamarł. Przyczyną mogła być zmiana ciśnienia spowodowana układem pogodowym, który przyniósł opady deszczu, jednak niezależnie od powodów zanik tak silnego przewiewu był niezwykle i niezwykle zniechęcający.

Stone wiedział, że skoro nie ma przepływu powietrza, za którym można by podążać, ich praca pod ziemią straciła znamiona logicznego zajęcia, a stała się rodzajem

zgadywanki. Fakt ten nie umknął uwadze pozostałych uczestników wyprawy. Nawet zawsze uśmiechnięta Andi Hunter straciła zapał. Po drugim dniu nieustającego deszczu zaszyła się w namiocie i nie przyszła na kolację. Jeśli Hunter miała takiego doła, to inni musieli być pogrążeni w głębokiej depresji.

Trzeciego dnia deszczu Stone postanowił zbadać strop studni, którą Barendse znalazła w lewym tunelu. Wziął ze sobą Hunter i Jima Browna, ochrzczonego ksywą „Inspektor Gadżet” ze względu na zamiłowanie do gadżetów. Mógł się wydawać osobliwie dobranym uczestnikiem wypadu, ponieważ był światowego formatu nurkiem jaskiniowym, lecz miał znacznie mniej doświadczenia w korzystaniu ze sprzętu zjazdowego, przyrządów zaciskowych i ciężkich wiertarek. Stone’em kierowały jednak ukryte motywy. Wraz z upływem lat stawał się coraz lepszym obserwatorem fizycznej i psychicznej kondycji uczestników swoich wypraw. Podczas jednej z wypraw obserwował, jak niedosłyszający, introwertyczny Brown został odsunięty przez grupę. To było jak łyżka dziegciu w beczce miodu: dziegieć nie stawał się od tego słodszy, a miód był już do niczego. Nie mógł dopuścić do powtórzenia się tej sytuacji. Chciał pomóc Brownowi, spędzając z nim nieco czasu.

Rozpoczęli wspinaczkę. Hunter była doświadczonym wspinaczem, przyzwyczajonym do ryzykownego prowadzenia na wysokich ścianach. Przeciskanie się z wielkimi worami liny i sprzętu do wspinaczki przez wykop po lewej stronie, gdzie tyle głazów wydawało się opierać wyłącznie na piasku i żwirze, było doświadczeniem trudnym nawet dla ludzi o stalowych nerwach. Stone, którego doświadczenie dawało mu przewagę, oszacował, że wystarczyłyby dwa uderzenia młotkiem, żeby zdestabilizować część głazów i spowodować zawał.

Stone pomógł w transporcie przez niestabilne zawalisko i wrócił do obozu bazowego. Wspinać mieli się Hunter i Brown, a więc tak naprawdę sama Hunter. Nawet biorąc pod uwagę jej sprawność fizyczną i umiejętności, miało to być spore wyzwanie. Hunter założyła uprząż na wysmarowany błotem kombinezon jaskiniowy, następnie przerzuciła pętlę przez ramię i zawiesiła na niej wiertarkę udarową, akumulator, rurkę do przedmuchiwania wywierconych otworów, klucz, plakietki, kotwy, śruby, dynamiczną linę do wspinaczki i statyczną linę używaną przez grotolazów. Waga całości sprzętu przekroczyła 22 kilogramy, co wystarczyłoby sprawnemu turyście z plecakiem na powierzchni, a dla grotolaza mającego przed sobą wspinaczkę było bardzo dużym obciążeniem. Nitowanie, czyli wspinaczka sztucznych ułatwień na kotwach, było jak zakładanie przepinek, tylko na odwrót, szło się w górę, a nie w dół. Na początek wywierciła dziurę tak wysoko nad głową, jak była w stanie sięgnąć ciężką wiertarką z akumulatorem, przypięła dwie ławki, czyli krótkie drabinki taśmowe, do plakietki i stanęła w nich. Potem powtórzyła tę procedurę, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Z każdą kotwą coraz bardziej oddalała się od dna studni. Był to upiornie powolny

sposób wspinania się.

Hunter dotarła już na odległość dwóch punktów asekuracyjnych od stropu studni, co było bohaterskim osiągnięciem, gdy zupełnie opadła z sił. Na szczęście w tym momencie dostrzegła niewielką półkę, przysiadła na niej i w tej pozycji dokończyła pracę. Jakby na sygnał do jaskini wrócił Bill Stone. Wspiął się po linie, którą zrzuciła Hunter, i razem zbadali szereg ciasnych korytarzy – lepszym określeniem byłoby szczeliny – rozchodzących się spod szczytu studni. Nitowanie jest pionowym odpowiednikiem kopania, niebezpieczną i wyczerpującą pracą bez gwarancji sukcesu i właśnie tym razem nie zostali nagrodzeni za swój wysiłek, choć Hunter nie popełniła żadnego błędu. Tego wieczoru ona, Stone, Brown i reszta zespołów powrócili do obozu bazowego dopiero po dziesiątej. Kiedy, powłócząc nogami, dotarli do obozu, byli wyczerpani i zniechęceni.

Nie dokonawszy żadnych przełomowych odkryć w ponorze Barranca Estrella, 29 lutego Stone postanowił obstawić kilka koni. On, Hunter i John Kerr zaczęli badać otaczające ich góry. Były to zdecydowanie nieprzyjazne tereny. Czas i woda wyrzeźbiły powierzchnię wapiennych skał, tworząc niebezpieczny labirynt szczelin, skalnych półek i kolców podobnych do stalagmitów. Pomiędzy półkami i graniami znajdowały się zapadliska różnej głębokości, na których dnie wśród ostrych skał rosły kaktusy, co czyniło z nich naturalne pułapki. Na domiar złego, wśród skał mieszkwały węże. Ogólnie rzecz biorąc, był to fatalny rejon na dokonywanie odkryć, a jeszcze gorszy na spadanie.

Nie włączyli się bez planu z nadzieją na szczęśliwy traf. Geolodzy i speleolodzy dysponujący odpowiednim wykształceniem i doświadczeniem są w stanie „przejrzeć” powierzchnię Ziemi i dostrzec to, co znajduje się poniżej, tak jakby patrzyli na dno oceanu przez krystalicznie czystą wodę. Stone i reszta wspinali się górskim zboczem zbudowanym z twardej, metamorficznej skały tak długo, aż w końcu znaleźli warstwę wapienia. Miejsce zetknięcia się tych dwóch rodzajów skał tworzy często „złotą strefę”, w której powstają jaskinie. Nieprzepuszczalna skała metamorficzna kierując wodę w stronę miękkiego, rozpuszczalnego wapienia, gdzie wcześniej czy później woda znajduje szczelinę lub otwór. Jeśli dojdzie do szczęśliwego zbiegu geologicznych okoliczności, powstanie jaskinia. Ponieważ rzeki i strumienie płyną w sposób mniej lub bardziej nieprzerwany, naukowcy badający wapienne rejony jaskiniowe najpierw szukają tych cieków i podążają za nimi z nadzieją, że w pewnym momencie znikną w ponorze. Po krótkim czasie zespół Stone’a zlokalizował metrowej średnicy otwór, w którym rozpływała się część wody płynącej łożyskiem strumienia. Jak wiele innych tropów, ten również prowadził donikąd. Dokądkolwiek podążała woda, człowiek nie mógł pójść w jej ślady.

Kontynuowali poszukiwania przez kilka kolejnych godzin, nie znajdując żadnych jaskiń, które ciągnęłyby się dalej, ale w pewnym momencie Stone doznał olśnienia.

Kiedy idąca przodem Andi Hunter przedzierała się przez gęste zarośla, Stone zobaczył wydrukowaną na biało na plecach jej niebieskiej koszulki mapę jaskini Cheve. Podobne T-shirty otrzymali wszyscy członkowie wyprawy z poprzedniego roku. W tym momencie Stone, znając doskonale położenie Cheve względem punktów orientacyjnych na powierzchni, zrozumiał, że znajdują się dokładnie powyżej jej najniższego punktu. Rozdrażniony przez Cheve, mógł tylko pokręcić głową i wyładować frustrację na leśnym poszyciu.

Rekonesansowy wypad nie przyniósł żadnych znaczących rezultatów i Stone zaczął rozważać inny ponor jako ostatnią deskę ratunku. Ponor, za którym kryła się częściowo niezbadana jaskinia, znajdował się na dnie łożyska rzeki Aguacate niecały kilometr na południowy wschód powyżej wioski San Francisco Chapulapa. Jaskinia ta, nazwana Sumidero Aguacate, została odkryta w 1989 roku podczas rekonesansu, w którym uczestniczył również Stone. W roku 1994 część członków wyprawy do jaskini Huautla poznała ją na długości 800 metrów do głębokości 182 metrów; dalszą drogę blokował syfon. Choć przypominała koszmarną jaskinię Charco, ta była bardziej przyjazna, szeroka na 24 metry i wysoka na 15 metrów od spągu do stropu. Fakt, że rozwijała się w tym samym kierunku, co jaskinia Cheve, 330 stopni, skłonił Stone'a do wniosku, że był to kolejny „szew” w długim, ale nadal nie połączonym ściegu prowadzącym w dół aż do wywierzyska.

Zespół był coraz bardziej wyczerpany. Bill Stone chciał uniknąć buntu kończącego kolejną wyprawę. Uznał, że czas zwołać naradę.



Kasia Biernacka, Cheve
fot. Speleo

Spotkanie odbyło się 3 marca. Tego dnia Stone zgromadził całą ekipę, by przedyskutować następny ruch. Podziękował wszystkim za zaangażowanie i ciężką pracę, przywołał znaczące osiągnięcia i przedstawił dostępne opcje kontynuowania wyprawy. Ponieważ w innych miejscach postępy były nieznaczące, grupa zdecydowała się skoncentrować wysiłki na jaskini Sumidero Aguacate i wysoko położonym lesie mglistym oraz suchym kawałku „martwego krasu” (jak zaczęli nazywać tę nieprzyjazną okolicę), który Stone i Hunter zwiedzili wcześniej. Chociaż wspinaczka była dość trudna, znaleziono trzydzieści pięć nowych otworów. W sobotę, 6 marca, cały zespół przeniósł się 6,5 kilometra na południowy wschód do San Francisco Chapulapa, skromnej wioski nasuwającej Stone’owi skojarzenia z westernami z Clintem Eastwoodem – zakurzone ulice, bezpieczeństwa psy, walące się zabudowania.

W niedzielę, 7 marca, rozpoczął się czwarty tydzień wyprawy. John Kerr, Ryan Tietz i grupa Polaków, którzy dotarli na miejsce kilka dni wcześniej, wzięli jedną z krótkofalówek będących na wyposażeniu wyprawy i wspięli się do lasu mglistego, by założyć obóz wysunięty. W tym czasie Bill Stone, Andi Hunter i Jim Brown weszli do jaskini Sumidero Aguacate. Aby tego dokonać, musieli ominąć kolejne zagrożenie. W tej jaskini widywano węże koralowe, których czarno-czerwono-żółta uroda skrywa fakt, że władają one jedną z najgroźniejszych neurotoksyn.

Tego dnia szczęście im sprzyjało, gdyż żaden wąż nie czaił się, by zaatakować stopę niczego niepodejrzewającego grotolaza. Za dużą studnią wejściową sklepienie jaskini szybko opadało, pozostawiając ciasny przełaz, przez który rzeka Aguacate wpływała do jaskini. Z powodu nieustannych deszczy podczas kilku ostatnich dni poziom wody we wszystkich ciekach znacząco wzrósł, wodospady wprost grzmiały, lecz między lustrem wody a sklepieniem niskich sal pozostało jeszcze tyle miejsca, by grotolazi mogli przejść. Jak się okazało, krótki odcinek zmuszający do czołgania się doprowadził ich do ogromnego wodospadu spływającego z krawędzi pierwszej z czterech studni, które miały ich poprowadzić dalej w głąb głównej jaskini.

Woda spływająca z kolejnych wodospadów robiła duże wrażenie, a zjazd Andi Hunter z drugiego progu został uwieczniony na zdjęciu najlepiej oddającym atmosferę tej wyprawy. Jim Brown wiszący po jednej stronie sfotografował Hunter z profilu. Jej żółty wodoodporny kombinezon i czerwony kask odcinają się wyraźnie od ciemnej ściany jaskini. Woda leje się na nią strumieniami, kiedy zjeżdża w dół. Ma zaciśnięte powieki i szeroko otwarte usta, jakby została uchwycona podczas krzyku. Wokół niej drobinki wody rozpraszające światło lampy błyskowej błyszczą jak maleńkie, zawieszane w powietrzu rubiny, a ogromny głaz z przodu wygładzony spadającą przez wieki wodą błyszczą jak wypolerowany agat.

Po ostatnim zjeździe znaleźli się w głównym korytarzu jaskini długim na 800

metrów, szerokim na 9 metrów i wysokim na 9 metrów. Wkrótce dotarli do kolejnego potężnego wodospadu. Jego wody spływały w dół cylindrycznej sali, której ściany ginęły w ciemności ponad ich głowami. Stone ocenił, że przepływ wody był dwukrotnie większy w tym miejscu niż przy otworze wejściowym. Istniały dwa możliwe źródła wody: ponor znajdujący się w górnym biegu strumienia albo wody z zasilających główną jaskinię mniejszych jaskiń znajdujących się wyżej w masywie górskim. Kwestia ta błagała o zbadanie, ale nie mieli wiertarek ani kotew umożliwiających wspięcie się po ścianie jaskini. Idąc dalej, dotarli do syfonu, do którego Jim Brown, znajdujący się wreszcie w swoim żywiole, wskoczył szczęśliwy, by zbadać go pod kątem istnienia zalanych korytarzy. Niestety, nie znalazł.

Przybici, rozpoczęli odwrót, ale zanim pokonali połowę drogi, Andi Hunter coś dostrzegła.

„Poczekajcie – powiedziała. – Popatrzcie na to”.

Był to otwór wielkości mniej więcej połowy ekranu komputerowego, który znajdował się w miejscu, w którym dno jaskini i jej ściana się spotykały.

„Dajcie mi minutkę” – poprosiła i szybko prześliznęła się na drugą stronę.

„Nie uwierzycie!” – krzyknęła.

Stone poszedł za nią, z trudem przeciskając swoje potężne ciało przez niewielki otwór, i wkrótce wszyscy stali na górnej krawędzi okazałych rozmiarów sali ze stromo opadającymi ścianami zbudowanymi miejscami z twardego błota. Wycinając sobie stopnie jak niegdysiejsi wspinacze, zeszli na dno sali, gdzie otwór o średnicy 10 metrów prowadził w ciemność, której nie były w stanie rozproszyc światła ich latarek. A zatem jest nadzieja. Bez lin nie byli w stanie zejść dalej, ale mieli tu wrócić.

Tego wieczoru w obozie bazowym Stone czuł się podniesiony na duchu. Nowa sala, nazwana Andi's Room, Salą Andi, rozwijała się na tym samym azymucie 330 stopni, na którym znajdowały się wszystkie inne szwy, które ostatecznie miały utworzyć połączenie z wywierzyskiem.

„Jeśli prawidłowo odczytuję ten plan – powiedział Stone do Hunter – to wydaje mi się, że wiem, czego się spodziewać. Korytarz odejdzie na wschód, zejdzie odrobinę, a potem podejmie kierunek 330 stopni, za syfonem”.

Nie musiał dodawać, że jeśli uda im się ominąć syfon, mogą znaleźć brakujące ogniwo prowadzące do jaskini Cheve. Musieli zbadać tę możliwość, ale wcześniej trzeba było założyć w jaskini biwak. Przespali się na powierzchni, czując przypływ optymizmu, ale też wzrastający niepokój. Korytarze poza Salą Andi były ich ostatnią nadzieją.

Następnego ranka do Stone'a i Hunter przyłączył się Bart Hogan. Zapakowali wszystko, co – jak mieli nadzieję – będzie potrzebne podczas dłuższego pobytu w jaskini. Jim Brown i przyjaciel Stone'a, meksykański grotolarz José Antonio Soriano, mieli wziąć na siebie obowiązki szerpów i wspierać pozostałą trójkę, przenosząc zapasy na podziemne biwaki w zależności od potrzeb.

Okolo południa Stone i jego grupa zeszli do jaskini Sumidero Aguacate. Podczas pierwszego zjazdu Hunter zdarzyło się to, czego obawia się każda kobieta (i każdy mężczyzna z długimi włosami): włosy Hunter zaplątały się w drabinkę zjazdową. Były tylko dwie metody wydostania się z tej pułapki: obciąć włosy albo je wyciągnąć. Hunter ze stoickim spokojem część włosów wyciągnęła, a część obcięła. Założyli pierwszy biwak na głębokości 170 metrów.

Przez trzy dni pracowali na dnie Sali Andi, kopiąc, przesuważąc głazy i krusząc skały. Czwartego dnia pojawił się John Kerr z Jimem Brownem, José Soriano i dobrymi wiadomościami. Zespół badający wysoko położony las mglisty znalazł kilka robiących wrażenie jaskiń i dotarł w jednej z nich na głębokość prawie 120 metrów.

Stone poczuł ulgę. Wielki zegar bezlitośnie odmierzał czas. Zostały im tylko trzy tygodnie na dokonanie znaczącego przełomu. I wówczas, 15 marca, jego czas prawie się skończył – dosłownie.

Stone, Hunter, Tietz i Brown wycofali się, by zbadać wysoko położoną kopułę w górze cieku wodnego. Stone uznał, że to dobry moment, by dwóch mężczyzn mogło podszlifować trochę swoje umiejętności jaskiniowej wspinaczki. Tietz poszedł pierwszy i dotarł na górę, nie popełniwszy żadnego błędu. Nadeszła kolej Jima Browna. Wspiął się wyżej, korzystając z kotew umieszczonych w skale przez Tietza, i zatrzymał się, by odpocząć na wysokości mniej więcej 12 metrów od dna. Wtedy wydarzyło się coś, czego później nie mógł sobie przypomnieć, efekt był jednak taki, że wielka wiertarka z 30-centymetrowym wiertłem ostrym jak sztylet spadła na dno jaskini. Andi Hunter patrzyła z przerażeniem, jak wiertarka mija o włos głowę Stone'a. Miał na głowie kask, ale wiertarka rozbiła go i kask, i jego czaszkę jak skorupkę jajka.

Następnego dnia, we wtorek 16 marca, miały miejsce zarówno najlepsze, jak i najgorsze momenty całej wyprawy dowodzące, że w jaskiniach mogą szybko załamać się wszelkie prognozy sukcesu i trwałości związku. Tego ranka wszyscy objadali się naleśnikami, które Hunter w sekrecie usmażyła na powierzchni i przemyciła do jaskini razem z wielkim słoikiem syropu klonowego, co było niespodziewaną i przyjemną odmianą od codziennej liofilizowanej papki. Hunter była prawdziwym graczem zespołowym i słynęła z tego rodzaju zagrywek. Brała na siebie najcięższą, najbardziej niewdzięczną pracę, a potem robiła jeszcze coś na bis.

Po śniadaniu Hogan i Kerr zeszli do najdalszego punktu, do którego grotolarzy zdołali

dotrzeć poprzedniego dnia, żeby poszukać nowych tropów. Brown, Stone i Hunter zostali z tyłu, by wykonać mniej obiecującą, ale konieczną pracę skartowania jaskini. Wkrótce przywitani parę dobrze znanych doświadczonych grotolarzy, którzy wpadli z niezapowiedzianą wizytą. Po zrelacjonowaniu postępów dokonanych do tej pory przez członków wyprawy Stone zaproponował, żeby nowi grotolarze pomogli w miejscu, w którym od kilku godzin mozolili się Hogan i Kerr. Ci niewątpliwie z ulgą powitaliby posiłki. Po krótkim namyśle nowo przybyli ruszyli w dół, zabierając ze sobą Soriano. Dopiero około godziny 16.00 Stone i Hunter dotarli do miejsca, w którym przez cały dzień kopali Kerr i Hogan. A potem doszło do przedziwnej wymiany zdań.

Hogan i Kerr stali przy paskudnie wyglądającej dziurze głębokiej na nie więcej niż 45 centymetrów, w której można było się najwyżej czołgać. Zakładając, że korytarz kończy się niczym, Stone ponuro zażartował:

„A teraz za karę zrobicie ostatni pomiar”.

Kerr i Hogan wymienili spojrzenia, a potem zaczęli chichotać jak dzieciaki. Kerr powiedział: „Musisz przejść i to zobaczyć”, po czym wraz z Hoganem prześliznęli się przez niewielki otwór w dnie sali. Za nimi poszła Hunter, a na końcu Stone, przepychając się i wijąc w wykopany otworze. Kiedy stanął na nogi, pozostali uśmiechnęli się szeroko. Najwyraźniej nabijali się z niego, taki żart z szefuńcia. Wszyscy upchnęli się w przestrzeni nie większej od wychodka, z którego nie prowadziło dalej żadne rzucające się w oczy wyjście. Stone był zmęczony, podrapany i zniecierpliwiony.

„No dobra, świetny dowcip, skończmy kartowanie i wracajmy do kopania” – powiedział.

„To może nam chwilę zająć – odpowiedział Kerr – bo macie sporo do zmierzenia”.

„Co najmniej kilometr” – wtrącił Hogan.

„Dobra, dobra, przestańcie mnie wkręcać” – powiedział Stone, próbując ukryć pobrzmiwające w głosie zmęczenie i irytację. To była długa i męcząca wyprawa, która nie przyniosła żadnych znaczących rezultatów. Ten dowcip był już spalony. Ale Kerr nadal szeroko się uśmiechał.

„Żadnej ściemy, rozwaliliśmy tego sukinsyna. Minęliśmy syfon i zesliśmy do nowego ciekłu wodnego o przepływie na poziomie mniej więcej połowy tego, co mamy na biwaku”.

A potem Kerr wyciągnął rękę i uściśnił dłoń Stone'a, który nagle zorientował się, że to dzieje się naprawdę.

„Nie wkręcam w takich sprawach – powiedział Kerr. – Gratulacje, chłopie”.

Nagła myśl uderzyła Stone'a jak spadający głaz. Przełom.

Hogan i Kerr zaczęli opowiadać. Okazało się, że z salki, w której stali, znaleźli przejście do prowadzącego dalej korytarza, którym przeszli i przeczołgali się prawie

800 metrów. Każdy ich krok był zbieraniem śmietanki z całej wyprawy. Dotarłszy tak daleko, zdali sobie sprawę z tego, że to do nich należało najbardziej znaczące odkrycie tej wyprawy i wymagało ono skartowania. Zanim powrócili do miejsca, w którym wszyscy właśnie stali, zatrzymali się na brzegu podziemnej rzeki. Soriano i dwóch nowo przybyłych zadeklarowali chęć zobaczenia nowego korytarza i w tym momencie właśnie go oglądali.

Przed wyruszeniem w dalszą drogę rozdzielili zadania. Kerr miał poprowadzić zespół pomiarowy, Hunter i Stone'a naprzód krętym korytarzem. Hogan miał zostać z tyłu i poszerzyć ciasny jak imadło przełaz.

Hunter była równie podekscytowana jak pozostali, ale po jakimś czasie zauważyła nieobecność części grotolazów. Gdzie jest ta trójka? Zgodnie z tym, co mówili Hogan i Kerr, mieli pójść „tylko kawałek w dół rzeki”. Nie było ich jednak już od kilku godzin. Hunter obawiała się, że eksplorują właśnie dziewicze terytorium, „spijając śmietankę”. Ten przywilej należał się ludziom, którzy ciężko pracowali nad otwieraniem kolejnych partii jaskini. Był to irytujące naruszenie niepisanych zasad. Bart Hogan, weteran wypraw z lat 2003–2004, podobnie jak wielu innych wypraw, ujął to w ten sposób: „Kompletnym pogwałceniem etosu grotolaza jest eksploracja nowego korytarza, niezmiernie go i wyjście z powrotem. Kartowanie jest najważniejsze”.

Hunter podzieliła się swoimi obawami ze Stone'em, który zbył je, skoncentrowany jak zawsze na celu wyprawy. W miarę upływu godzin Hunter była coraz bardziej zaniepokojona, ustawicznie zwracając uwagę Stone'a na ich nieobecność.

Po czterech godzinach roztrzęsiona i zalana łzami Hunter starła się ze Stone'em. Ci uzurpatorzy po prostu weszli tutaj i zgarniają coś, na co wszyscy tak ciężko pracowaliśmy! Stone przyznał, że to możliwe, ale powiedział, że nic nie mogą zrobić w tej sprawie. Hunter mogła się tylko wściekać.

Nieobecna trójka pojawiła się ponownie o godzinie 19.00. Nic nie skartowali. Ani Stone, ani Hunter nie odezwali się do nich ani słowem. Stone odciągnął na stronę swojego przyjaciela Soriano i cicho poprosił go po hiszpańsku, żeby on i pozostali, jeśli mają zamiar wrócić, przejęli następnego dnia prace pomiarowe. Tłumaczenie: „Nie chcemy, żebyście wyprzedzali całą resztę, amigo. Łapiesz?” Soriano załapał. Cała trójka ruszyła w swoją stronę. Wkrótce Hunter wręczyła swoje przyrządy pomiarowe Stone'owi i powiedziała: „To już nie jest zabawne”, po czym samotnie wróciła do biwaku.

Dwie godziny później również Stone wrócił do pierwszego biwaku i zdobył nieco więcej informacji. Para powiedziała Bartowi Hoganowi, że nie dotarła dalej, niż zatrzymali się Kerr i Hogan, na brzeg niewielkiego strumienia. Jeśli była to prawda, nie zbadali dziewiczych korytarzy, lecz poszli jedynie po śladach Kerra i Hogana. Stone ucieszył się, kiedy to usłyszał. Nie tylko Hunter była zmartwiona.

Pod koniec dnia nowo przybyli zanotowali w dzienniku wyprawy: „Po dotarciu do przodka (co miało prawdopodobnie oznaczać rzekę, nad której brzegiem Kerr i Hogan zawrócili) niechętnie wróciliśmy do biwaku, a później na powierzchnię”. Innymi słowy, nie weszli na dziewicze terytorium.

W kolejnym dniu wyprawy, 18 marca, Stone i pozostali zeszli nad rzekę i poszli dalej. Zapisał później w dzienniku: „Ślady butów były oczywistym dowodem na to, że poszli znacznie dalej”. Nie można było już nic zrobić, ale nikt nie czuł się z tego powodu szczęśliwy. John Kerr zauważył: „Nie jest dobrze, kiedy musisz oceniać charakter swoich przyjaciół liczbą metrów odpowiadających określeniu: tylko kawałek w dół rzeki”.

Zespół Stone'a dotarł do sali położonej półtora kilometra za „końcowym” syfonem jaskini. Tunel szybko uległ zwężeniu, zmuszając ich do pełznięcia na brzuchu. John Kerr był w swoim żywiole. Objął prowadzenie uzbrojony w tytanowy łom i przekopał się kolejnych 45 metrów korytarza. Hogan, czołgający się w pewnej odległości za nim, zawołał Kerra. Brak odpowiedzi. Hogan kilkakrotnie powtórzył wezwanie i ponownie nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zaczął się obawiać najgorszego – Kerr mógł się udusić – kiedy ten pojawił się w końcu z zatrważającą informacją. Strop tunelu zawalił się na niego, zasypując go całego aż po oczy.

„Musiałem naprawdę szybko się wycofać, żeby złapać oddech” – zameldował spokojnie. Mimo wszystko niewiele dzieliło go od śmierci, podobnie jak Stone'a, którego spadająca wiertarka minęła o włos. Gdyby strop zawalił się, grzebiąc jego ramiona i twarz – a naprawdę mało brakowało – Kerr zginąłby najbardziej nieprzyjemnym rodzajem śmierci, pogrzebany za życia.

Nie ma dowodów na to, że grotolazi uznali przygodę Kerra za zły omen, ale wydarzenia, które później nastąpiły, musiały wielu z nich skłonić do refleksji. Podczas wyjścia na powierzchnię z biwaku 1 Andi Hunter zaplanowała kolejną kulinarną niespodziankę dla kolegów. Ugotowała wielki gar czarnej fasoli i zniosła go do biwaku, gdzie dodała przypraw, sosu i kiełbasy, przygotowując ucztę z chili con carne w roli głównej.

Po smacznym posiłku wszyscy udali się na spoczynek. Wkrótce Hunter poczuła, że zaczyna jej się przewracać w żołądku, i nie była w tym odosobniona. Nie minęło dużo

czasu i cały biwak rozbrzmiewał detonacjami grzmiących bąków, a wszyscy smakosze zaczęli biegać do oddalonej o 30 metrów latryny, cierpliwie ustawiając się w kolejce za innymi poszkodowanymi. Po dokuczliwych skurczach i biegunce pojawiły się gwałtowne wymioty. Zatrucie pokarmowe przyćmiło dobre chęci Hunter.

Stone'a dotknęła wyjątkowo okrutna forma kary. Kiedy Hunter poszła do latryny, Stone skorzystał ze swojej butelki do sikania. Jak zawsze dbając o oszczędzanie światła, nie trafił do butelki i obsikał ich śpiwory. Nie było to jego pierwsze nieprzyjemne spotkanie z butelką na mocz. Dwa dni wcześniej, znów w kompletnych ciemnościach, wziął swoją butelkę, z ulgą opróżnił pęcherz, zakręcił nakrętkę i poszedł spać. Następnego dnia, przetrząsając zapasy w poszukiwaniu batoników z muesli, otworzył butelkę Nalgene i odkrył, że poszukiwane batoniki marynują się właśnie w obrzydliwym żółtym płynie.

Kiedy Stone dotarł w końcu do latryny, była już przepełniona wymiocinami, rzadką kupą i papierem toaletowym. Odkrył również, że zostało im zaledwie kilka ostatnich listków tego ostatniego. Zasikany, ze ściśniętymi kiszka, z trudem powstrzymując gwałtowną potrzebę oczyszczenia układu pokarmowego z obu stron, wykopał razem z Kerrem nowy dół i natychmiast z niego skorzystał. Tak właśnie wyglądają romantyczne odkrycia.

W poniedziałek, 22 marca, nadal nie mogąc się pochwalić znaczącym przełomem, Stone, Hunter, Brown, Kerr i Hogan wrócili na powierzchnię po spędzeniu ponad tygodnia pod ziemią. Rozczarowani, że ich praca nie doprowadziła do żadnych znaczących rezultatów, ucieszyli się – „nie posiadali się z radości” byłoby może lepszym określeniem – na wieść o tym, że zespoły w lesie mglistym dokonały eksploracji jednej z jaskiń do głębokości 300 metrów. Dwaj grotolazi, Paweł Skoworodko i Artur Nowak, zostali na górze, ale nie mieli już więcej liny.

W środę pięciu grotolazów, z którymi podążała karawana osiołków, wspięło się do obozu w lesie mglistym założonego na wysokości 2430 metrów. Mijali dziwne ostępy, w których 30-metrowe drzewa przyozdabiały girlandy zielonego mchu i podobnych do węży pnączy, i przedzierali się przez zarośla rośliny zwanej mała mujer (zła kobieta). Była to urocza roślina z delikatnymi, białymi kwiatkami i błyszczącymi liśćmi podobnymi do liści klonu oraz jadowitymi kolcami na łodygach i liściach. Ich ukłucie powodowało ogromny ból i nieprzyjemną pokrzywkę mogącą się utrzymywać wiele dni i pozostawiającą paskudne krosty i plamy utrzymujące się na skórze często wiele miesięcy.

Mieszkańcy założonego wysoko obozu nazwali nową jaskinię J2, od polskiego słowa „jaskinia”. J2 obiecująco ciągnęła się dalej. Stone doskonale rozumiał, że końcówka tej rozgrywki zależy od niej. Dalszą drogę w Cheve blokowało w najniższym miejscu

zawalisko. Charco kończyła się syfonem. Jaskinia Sumidero Aguacate zwęziła się do tunelu, który nieomal pozbawił życia Johna Kerra. Jaskinie w kanionie Barranca Estrella prowadziły donikąd. To była ich ostatnia nadzieja. Desperacko potrzebowali tego, by jaskinia J2 biegła dalej.

Pięć dni później grupa szturmowa spędziła 18 godzin w J2, osiągając maksymalną głębokość 457 metrów. To była dobra wiadomość, tym bardziej że im głębiej schodzili, tym obszerniejsza stawała się J2. Końcowy korytarz miał około 4,5 metra szerokości i 15 metrów wysokości. Na głębokości mniej więcej 400 metrów kilka strumieni łączyło się w potężną rzekę, wzdłuż której idąc, grotolazi dotarli aż do krawędzi wielkiej sali. Tutaj rzeka spadała z łoskotem w czarną czeluść. W J2 czuło się również silny powiew. Najwyraźniej jaskinia prowadziła znacznie, znacznie głębiej. Nie mając jednak wystarczającej ilości lin, nie mogli zejść niżej.

Po raz kolejny wiele tygodni mozolnej pracy i ogromnego ryzyka zakończyło się frustracją. Na dnie J2 znajdowały się zachęcające znaki – korytarze o wzrastającym przekroju, coraz większy przepływ wody, przewiew. Gdzieś to wszystko musiało prowadzić. Ponieważ J2 znajdowała się pomiędzy główną jaskinią Cheve a jej wywierzyskiem nad rzeką, rozsądne było oczekiwanie, że może okazać się brakującym ogniwem, którego szukał Stone, lub przynajmniej jego częścią.

Nie dowiedzieli się tego jednak i może upłynąć kolejnych dwadzieścia lat, zanim J2 ujawni swoje tajemnice. Niezłomny Stone, co zdumiewające, przyrzekł, że wróci w to miejsce: „Nie mamy wyboru. Możemy się tylko wycofać i ustanowić J2 celem następnej wyprawy”. Jego determinacja była godna podziwu, lecz pomimo dziesięcioleci ciężkiej pracy nie zdołał dowieść, że Cheve jest najgłębszą jaskinią świata.

Pozostawało czekać na efekty wyprawy po drugiej stronie globu do jaskini Krubera, w której uczestniczyli Aleksander Klimczuk i jego grotolazi w 2004 roku.

Wypadek Aleksandra Kabanichina zakończył wyprawę do jaskini Krubera w 2003 roku. Aleksander Klimczuk planował poprowadzenie własnej wyprawy – szóstej od 1999 roku – do tej jaskini latem 2004 roku. W sierpniu jego zespół dotarł do masywu Arabiki, mając w składzie pięćdziesięciu sześciu grotolazów (czterdziestu pięciu mężczyzn i jednaście kobiet) z siedmiu krajów, 4,5 tony zapasów i sprzętu oraz ponad 3 kilometry lin.

Nie mieli złudzeń co do nadchodzących tygodni, podobnie jak nie mieli ich poprzednicy w jaskini Krubera. W Cheve nie brakowało wyzwań i ryzyka i nie było przesady w stwierdzeniu, że jej eksploracja przypomina wyprawę na Mount Everest, tylko w drugą stronę. Nierzadko jednak grotolazi rozpltywali się w zachwytach nad turkusowymi jeziorkami Swim Gym, wypolerowanymi, lśniącymi ścianami Turbines i onieśmielającymi przepychem Nightmare Falls. Innymi słowy, nad piękną Cheve.

Krubera była diametralnie inna. Z estetycznego i technicznego punktu widzenia była to paskudna jaskinia, ciasna, mokra, lodowata i nieubłagana pionowa. Cheve witała grotolazów korytarzami i niewymagającymi technicznie zejściami w stylu A.S. Borehole czy Low Rider Parkway. Jaskinia Krubera w 90 procentach wymagała dużych umiejętności technicznych, lin i odpowiedniego sprzętu; serie studni były połączone krętymi meandrami, a grotolazów zalewały wodospady lodowatej wody spływającej z lodowca. Cheve dawała swoim odkrywcom oddech, szansę na wycofanie się i podziwianie widoków jak turystom w górach Blue Ridge lub na krawędzi Wielkiego Kanionu. Krubera nigdy nie rozluźniała ciasnego uścisku.

Mimo wszystko grotolazi działający w jaskini Krubera spotykali się z pięknem innego rodzaju: elegancją doskonałego przywództwa i organizacji. Ludzie mieli jasno przydzielone zadania, rozumieli, na czym one polegają, i prawidłowe ich wykonanie dla dobra całego zespołu było źródłem satysfakcji i dumy. Co więcej, podczas wypraw Klimczuka grotolazi rzadko odnosili obrażenia. Uczestniczyli w nich zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ale w oczy rzucał się brak jakichkolwiek podtekstów seksualnych. Nawet pary spały oddzielnie, by nie stawiać pozostałych w niezręcznej sytuacji.

Wyprawa Klimczuka w sierpniu 2004 roku rozpoczęła się typową cichą skutecznością. Członkowie zespołu po raz kolejny przystosowali się do środowiska superjaskini, oporęczowali wszystkie progi, założyli i wyposażyli wszystkie biwaki, rozwiertli i poszerzyli przejścia za pomocą materiałów wybuchowych. Założyli również linię telefoniczną prowadzącą do najgłębszego biwaku.

Po trzech tygodniach pracy dotarli do syfonu na głębokości 1775 metrów. Giennadij Samochin, który w środowisku wschodnioeuropejskiego nurkowania jaskiniowego był tym, kim Jim Brown dla Amerykanów, założył sprzęt i zanurkował w wodzie, której

temperatura było bliska zeru. Syfon miał mniej więcej 11 metrów głębokości, a na jego dnie Samochin znalazł ciasny otwór, którym płynęła woda, lecz nie był w stanie przepłynąć przez niego nurek. Pozostawały zatem dwie możliwości: poszerzyć otwór ręcznymi narzędziami w warunkach zerowej widoczności albo znaleźć obejście.

Sergio García-Dils, który postanowił ponownie spotkać się z jaskinią Krubera, zjechał w strugach lodowatej wody na dno ciasnej salki w pobliżu, mając nadzieję, że poprowadzi go dalej. Nie miał szczęścia. Dwaj inni członkowie wyprawy, Dmitrij Fiedotow i Denis Kurta, znaleźli korytarz przypominający rurę o średnicy około 75 centymetrów, który schodził stromo z partii jaskini tuż za ich najgłębszym biwakiem, jakieś 126 metrów powyżej końcowego syfonu. Jeśli inne ciągi Krubery były obrzydliwe, to ten był po prostu koszmarny. Przez ponad 90 metrów nie było nawet tyle miejsca, by stanąć na czworakach. Przez wieki pędząca woda zdzierająca materiał skalny drapała i żłobiła ściany rury, pozostawiając na jej obwodzie ostre jak brzytwa krawędzie. Na wszystkie strony wystawała masa ostrych skalnych płetw. Całość przypominała czołganie się na brzuchu przez wirujący bęben, z którego ścian sterczały do środka ostrza sztyletów.

Na szczęście grotolazi zostali hojnie nagrodzeni za swoje wysiłki. Korytarz nazwany przez nich Way to the Dream, Drogą ku Marzeniu, omijał syfon i ciągnął się aż do kolejnego syfonu na głębokości 1795 metrów. Pod koniec sierpnia Samochin zanurkował w syfonie bez sprzętu, na wstrzymanym oddechu, znikając w ciemnej, mętnej wodzie. Nie wynurzał się przez dłuższą chwilę, wzbudzając w oczekujących na krawędzi syfonu obawy i nadzieje jednocześnie. Gdyby pojawił się natychmiast, oznaczałoby to, że nie znalazł żadnej drogi prowadzącej dalej przez syfon. Fakt, że zabawił pod wodą znacznie dłużej, mógł oznaczać nową drogę albo kłopoty.

Koledzy Samochina w napięciu otaczali syfon, wydychając obłoczki pary wodnej w zimnej, mokrej sali. Po pewnym czasie, który wydawał się wiecznością, dostrzegli światełko płynące w ich stronę w niebieskawej wodzie. Samochin wynurzył się, z trudem łapiąc oddech, ale uśmiechając się od ucha do ucha.

„Puszczaj – powiedział. – Tam jest zawałisko, ale można poszerzyć otwór”.

Samochin wykonał właśnie nurkowanie na największej głębokości w jaskini i pogłębił Krubera do 1840 metrów, ustanawiając ją ponownie z dużym zapasem najgłębszą jaskinią świata. Było to historyczne osiągnięcie. Samochin i inni byli tego całkowicie świadomi i już nad syfonem świętowali entuzjastycznie, wiwatując, ściskając się i poklepując po plecach. Kiedy informacja została przekazana telefonicznie Klimczukowi i pozostałym mieszkańcom obozu, wiwatom nie było końca.

Kilka dni później członkowie zespołu zaczęli jeden po drugim wyłaniać się z otworu jaskini Krubera. Klimczuk ściskał każdego po kolei, a pozostali wręczali im bukiety

kwiatów i kubki wina. Kiedy już zgromadził się cały zespół, zaczęto świętować po raz trzeci.

Każdy członek wyprawy bezpiecznie dotarł na powierzchnię; wykonano kawał dobrej roboty. Wszystko dobrze się skończyło. A jednak nie udało się jeszcze dotrzeć do bieguna; kolejne partie jaskini czekały na eksplorację.

Nie mogli jednak podjąć dalszych prac podczas tej wyprawy. Klimczuk zaplanował miesiąc w masywie Arabiki i ten czas dobiegał końca. Kończyły się zapasy i wytrzymałość grotolazów. Należało się wycofać.



Kasia Biernacka i Marcin Gala w Cheve
fot. Speleo

Trzeba przyznać, że dzięki umiejętnościom organizacyjnym Klimczuka jego wyprawy były precyzyjne jak szwajcarskie zegarki. Co więcej, był on w stanie w ciągu roku zorganizować ich kilka. W roku 2004 były jeszcze co najmniej cztery tygodnie pogody nadającej się do prowadzenia eksploracji jaskiń i cztery kolejne tygodnie pogody bardziej wątpliwej przed nastaniem w masywie prawdziwej zimy. Klimczuk i jego koledzy byli zdecydowani je wykorzystać.

Wyprawa Klimczuka z sierpnia 2004 roku utorowała drogę drugiej wyprawie z 2004 roku. Przed ekspedycją z sierpnia 2004 i poprzednią, którą poprowadził w Turcji, Klimczuk był w terenie od dwóch i pół miesiąca. Nie mógł więc sobie pozwolić na spędzenie kolejnego miesiąca z dala od rodziny, uczelni i laboratorium. Ktoś inny musiał poprowadzić wyprawę zaplanowaną na październik.

Najbardziej logicznym wyborem był Jurij Kasjan. Znał jaskinię Krubera lepiej niż ktokolwiek inny. Podobnie jak Klimczuk, był świetnym liderem, cichym i łagodnym, miał niewiarygodne pokłady wytrwałości i był doświadczony technicznie pod każdym względem. Młodszy grotolazi cenili go za przewidywalność, sarkastyczne poczucie humoru, rozległe doświadczenie i troskę o ich bezpieczeństwo.

Kasjan wyjechał z domu wcześniej rano w czwartek, 30 września 2004 roku. Przed wyjazdem znalazł wiadomość od syna:

Tato,

Stawiam paczkę snickersów na to, że znajdziesz nową drogę i pogłębisz tę jaskinię. Więc lepiej się postaraj!

Zrobię, co w mojej mocy, synu, pomyślał Kasjan. Nie można było jednak liczyć na łatwe zwycięstwo. W masywie Arabiki pojawiał się dziesięciokrotnie i sześciokrotnie schodził do jaskini Krubera. Znosił dotkliwie zimno, trzął się w strumieniach lodowatej wody, posuwał się centymetr po centymetrze w niekończących się tunelach zmuszających do pełznięcia na brzuchu, i zjeżdżał na dno gigantycznych studni. Spędził nie tylko dni czy tygodnie, ale miesiące w najgłębszych, najciemniejszych otchłaniach. Wiedział, że ta wyprawa może się okazać najtrudniejszą ze wszystkich, nie tylko w jaskini Krubera, ale w całym jego życiu.

Mimo wieloletniego doświadczenia, kiedy wjeżdżał na nowy kijowski dworzec kolejowy błyszczący szkłem i stalą, złapał się na tym, że martwi się bardziej niż zwykle. Na poziomie morza panowało jeszcze późne lato, ale październik mieli spędzić na wysokości prawie 2500 metrów w górach Kaukazu. W listopadzie nieubłaganie zacznie się zima. Październik był niepewny, pogoda zmieniała się z godziny na godzinę. Czy obfite opady śniegu i wichury nie przerwą ich wyprawy? Nawet gdyby w październiku

nie śnieżyło, na pewno spadnie deszcz, potęgując ryzyko niebezpiecznego przyboru. Co znajdą za syfonem, który zatrzymał Giennadija Samochina w sierpniu? Opierając się na eksperymentach z barwnikiem, szacowali, że jaskinia Krubera może osiągnąć głębokość 2438 metrów lub więcej. Czy zdołają dostać się do tych jej partii, które dowiodą raz na zawsze, że jaskinia Krubera jest najgłębszą jaskinią na świecie?

Kasjan martwił się również o swój dziewięcioosobowy zespół. Według standardów wypraw superjaskiniowych była to mała grupa, jaskiniowy odpowiednik zespołu wspinającego się w stylu alpejskim. (Jak na ironię, był to odpowiednik niewielkiej grupy, którą Stone zabrał w rejon Cheve tego samego roku). Wszyscy członkowie zespołu byli sprawni fizycznie, świetnie wyposażeni i doświadczeni, ale tylko Kasjan już wcześniej odwiedził jaskinię Krubera. Jak pozostali poradzą sobie w najgłębszej, najbardziej niebezpiecznej jaskini świata?

Nad tym samym zastanawiał się Emil Wasz, jeden z najmłodszych członków ekipy Kasjana mający wówczas dwadzieścia dwa lata. Wysoki, szczupły, przypominający amerykańskiego aktora Edwarda Nortona studiował fizykę na uniwersytecie w Użgorodzie w zachodniej części Ukrainy. Podobnie jak Klimczuk i wielu innych, Wasz wcześniej rozpoczął swoją przygodę z jaskiniami, w wieku piętnastu lat, ze speleoklubem działającym w Pałacu Młodzieży. Spotkał Kasjana w 2000 roku i wkrótce przyłączył się do jego wypraw. W roku 2001 prowadził własne zespoły w poważnych jaskiniach.

W Użgorodzie padało, kiedy Wasz wsiadał do pociągu jadącego do Kijowa, gdzie miał się spotkać z Kasjanem i częścią pozostałych grotolazów. Dzielił przedział z cichym mężczyzną o imieniu Wasyl, gadatliwym Siergiejem i śliczną Swietłaną, która zabawiała pozostałych anegdotami ze swojej psychoterapii. Jak wszystkie dalekie podróże, ta również rozpoczęła się „w cudownej atmosferze zrozumienia pomiędzy nieznanymi sobie, ale nie obcymi ludźmi”, zapisał Wasz w swoim dzienniku. Będąc po raz pierwszy w jaskini Krubera, Wasz patrzył na wszystko świeżym okiem, a dzięki temu jego obserwacje były szczególnie wartościowe. Co więcej, miał talent do ujmowania zdarzeń w słowa i jego dziennik jest najlepszym zapisem wyprawy z października 2004 roku.

W Kijowie wysiadł i poszedł na zakupy do Atlantydy, ukraińskiego centrum handlowego ze sprzętem outdoorowym, by kupić sobie nowy kombinezon jaskiniowy, baterie, przyrząd zaciskowy i inny ekwipunek. Spotkał się z Kasjanem i pozostałymi i wspólnie wsiedli do pociągu jadącego do Soczi, gdzie miała się rozpocząć ukraińska wyprawa do jaskini Krubera. Kolejnego dnia, 3 października, gdy z szarego nieba kapał deszcz, Kasjan, Wasz i pozostali członkowie wyprawy bezpiecznie i bez niespodzianek przekroczyli granicę rosyjsko-gruzińską, pomijając podejrzliwą skrupulatność jednego z celników, który był przekonany, że dziesiątki znajdujących się w ich bagażach

niewielkich baterii to naboje do karabinu.

Dziwiewięciu grotolazów miało pracować pod ziemią w dwóch oddzielnych grupach. W grupie A znaleźli się Kasjan, Wasz i trójka innych. Dwudziestotrzyletnia blondynka Jekatierina „Katia” Miedwiediewa była równie silna i odważna, jak urodziwa. Igor Iszenko, trzydzieści sześć lat, oraz Kirył Gostiew, dwadzieścia jeden lat, dopełniali składu zespołu. Ta piątka miała poprowadzić wyprawę, przyjmując filozofię Klimczuka: żadnych ślepych uliczek. Grupa B, mająca wspierać grupę A w ich wysiłkach, składała się z Dmitrija Furnika, trzydzieści sześć lat, Ilji Łapy, dwadzieścia jeden lat, Siergieja Boguckiego, czterdzieści dwa lata – wszyscy z Jałty – i Władimira Diaczenko z Charkowa.

Plan Kasjana przewidywał założenie co najmniej czterech podziemnych biwaków, które podczas wyprawy sierpniowej stanęły na głębokości 700 metrów, 1215 metrów, 1400 metrów i 1640 metrów. Zgodnie z harmonogramem mieli poświęcić tydzień na zejście, tydzień na eksplorację dna i kolejny tydzień na wyjście. To mniej czasu niż zazwyczaj przyjmowano podczas dużych wypraw do jaskini Krubera, ale Kasjan miał nadzieję, że oporęczowanie pozostawione po letniej wyprawie przyspieszy ich przejście.

Jak zwykle członkom wyprawy zabrało sporo czasu podzielenie i zapakowanie racji żywnościowych, z których każda składała się z posiłków dla pięciu ludzi na dwa dni. Grotolazi Billa Stone’a zgodnie z poglądem swojego lidera, że ograniczanie wagi jest ważniejsze podczas wyprawy niż komfort, zabierali na najgłębsze biwaki lekką, ale obrzydliwą żywność liofilizowaną. Klimczuk wolał pracować w jaskiniach, niż je „atakować”; był również przekonany, że szczęśliwi i najedzeni grotolazi będą prowadzili eksplorację bardziej skutecznie niż udręczeni spartańskimi warunkami. Poza tak podstawowymi artykułami żywnościowymi jak ryż i makaron, zespoły Klimczuka zabierały ze sobą rarytasy w postaci cukierków, ciasteczek, ciasta, kiełbasy, sera, żywności w puszkach, mleka skondensowanego, pasztetu, mieszanki słodyczy i oczywiście napoje alkoholowe nadające właściwą oprawę wszystkim uroczystościom.

Obóz bazowy członkowie wyprawy założyli 4 października. Emil Wasz i Władimir Diaczenko, którzy nie wzięli namiotów, zaszyli się w niewielkiej lodowatej jaskini. Tego wieczoru Wasz wypił do kolacji gorące mleko z masłem i z miodem, które miało usunąć rwący kaszel będący wynikiem całodziennego wysiłku i dużej wysokości. Śnieg pokrył ziemię wokół ich lisiej nory. Obaj nie mogli się już doczekać, kiedy zejść pod powierzchnię, gdzie warunki miały być zdecydowanie bardziej komfortowe.

Następnego dnia Wasz, Kasjan, Miedwiediewa i Iszenko weszli do jaskini Krubera. Zjeżdżali jedną studnią po drugiej, przeciskając się przez meandry Krym i Mozambik, zrzucili worki na głębokości 366 metrów i się wycofali. Ściany meandrów miały dziwaczny, ospowaty wygląd, nasuwający Waszowi skojarzenia ze ścianami abchaskich budynków podziurawionych pociskami karabinów maszynowych i granatników raketowych. Ratownicy Kabanichina wiercili w ścianach jaskini Krubera, by umieścić w nich materiały wybuchowe, dzięki którym udało się poszerzyć korytarze zbyt ciasne, by można było przez nie przecisnąć nieporęczne nosze.

Mieli poważne problemy z oporęczowaniem – zaciśnięte węzły, stare liny, zbyt duża odległość między przepinkami. Były to fragmenty z wyprawy z sierpnia 2004 roku, jakich zazwyczaj nie pozostawiały po sobie zespoły Klimczuka. W tej grupie znalazło się jednak prawie sześćdziesięciu uczestników w różnym wieku, z różnym doświadczeniem, pochodzących z różnych krajów. To pozwalało lepiej zrozumieć niechlujnie wykonaną pracę, ale ani na jotę nie zmniejszało frustracji. Dla Kasjana i jego niewielkiego zespołu było to jak rozplątywanie byle jak zwiniętego kołowrotka, jedna irytująca pętla po drugiej, pomijając fakt, że robili to w ciemnościach, zwisając z nagich ścian ponad ziejącymi poniżej kilkusetmetrowymi przepaściami, skąpani w lodowatej wodzie, która w ciągu kilku minut odbierała im czucie w palcach.

Pogodny zazwyczaj Wasz popadł w ponure przygnębienie. „Długo wisiałem pełen wątpliwości, przeporęczowując i zabezpieczając przepinki – napisał w swoim dzienniku. – Wreszcie wylądowaliśmy na starym biwaku na głębokości 500 metrów”. Od tego miejsca, od biwaku na 500 metrach, ratownicy Kabanichina rozpoczęli jego długi transport na powierzchnię.

Tego dnia Jurij Kasjan pozostał w jaskini dłużej, po tym jak pozostali wrócili już na powierzchnię. Często pracował samotnie, rozkoszując się uczuciem bycia sam na sam z jaskinią, wdzięczny, że nikt i nic nie odrywa go od pracy. Znajdował się na głębokości mniej więcej 350 metrów, wspinając się bez asekuracji 3-metrowym progiem w kierunku najbliższej półki, kiedy stopa obsunęła mu się na mokrym, śliskim stopniu i spadł, skręcając kolano. Nie był to uraz, który całkowicie by go unieruchomił, ale niewiele brakowało. Ten niefortunny wypadek był doskonałym przykładem na to, że w jaskini każdy ruch, nawet całkiem zwyczajny, mógł skończyć się fatalnie. Emil Wasz gotował na górze kolację, kiedy do niego i reszty ekipy dotarła wiadomość o wypadku lidera. Dla zapatrzonych w swego wodza młodych grotolarzy musiała to być informacja rozstrajająca nerwowo, że postać-legenda Kasjan mogła już na początku wyprawy wpaść w takie tarapaty.

Chociaż Wasz do tej pory nie miał takich przygód, wcale nie czuł się dobrze.

Powiedziano mu, że wychodzący na górę grotolazi są w stanie zabrać z biwaku na 500 metrach dwa 25-kilogramowe wory, dwa razy dziennie i czuć się świetnie. Waszowi trudno było to sobie wyobrazić, bo jego doświadczenia całkowicie temu przeczyły, choć był sprawnym fizycznie, doświadczonym grotolazem. Co więcej, wychodząc na górę, Wasz odkrył, jak w jaskiniach zmęczenie i ślepy traf mogą sprzysiąc się przeciwko grotolazowi. Nieco ponad 100 metrów powyżej biwaku na 500 metrach dotarł do przepinki. Pokonując ją do góry, musiał przepiąć oba swoje przyrządy zaciskowe z niższego odcinka liny na wyższy. Aby tego dokonać, zawisł w kotwie za pomocą krótkiego odcinka liny przymocowanego do jego uprząży, zwanego „lonżą”. Nagle karabinek, którym był wpięty do przepinki, obrócił się, otworzył i wypiął z lonży. Całe szczęście zgodnie z zasadami bezpieczeństwa wciąż pozostawał wpięty jednym przyrządem do liny i to go ocaliło. Gdyby wisiał tylko na lonży, spadłby i zginął.

Wasz dotarł na powierzchnię już bez niespodzianek. Kiedy się wynurzył z otworu, było ciemno i tylko jasne gwiazdy rozświetlały niebo. Z Kasjanem i Miedwiediewą zjadł w ciszy kolację, popijając słodką herbatą. Linia telefoniczna odbierała przypadkowe sygnały z różnych stacji radiowych i w jakiś sposób urywane piosenki i niedokończone wywiady uspokoiły Wasza, będąc dowodem na to, że gdzieś tam toczy się normalne życie.

W towarzystwie zmieniających się członków ekipy Wasz spędził kilka kolejnych dni, znosząc zapasy do jaskini i poręczując jej następne fragmenty. Nie była to tylko kwestia powtarzających się zjazdów. Musieli również przeciągać ciężkie wory przez poziome meandry, doprowadzające do szafu tunele, który wymagały poruszania się na czworakach, a czasem pełzania na brzuchu. Dobrym przykładem był trafnie nazwany meander Sinusoida. Długości około 200 metrów, pokonywał 100-metrową różnicę poziomów serią ciasnych, wąskich, krętych korytarzy, które na mapie wyglądają jak jama nosowa olbrzyma z koszmarnie skrzywioną przegrodą. Po jednym z takich transportów Wasz dotarł do obozu na 700 metrach o pierwszej nad ranem kompletnie zmęczony, dręczony uporczywym kaszlem, z bólem pleców i skręconym kolaniem.

Zdecydowanie jaskinia Krubera była niepodobna do jaskiń, z którymi Wasz miał okazję się zetknąć. Po czymś, co przypominało lekki atak paniki, wyznał w swoim dzienniku: „Zasadniczo nie odczuwam jeszcze jakiegoś duchowego powinowactwa z jaskinią Krubera. Kojarzy mi się z brakiem wyobraźni; patrzę w głąb siebie i zaczynam się zastanawiać nad własną szorstkością i znieczulicą”.

Zdecydowany nie poddawać się, Wasz próbował uspokoić własne lęki, przypominając sobie życie na powierzchni. Zasypiał w biwaku na 700 metrach, myśląc o bujnej, zielonej murawie na zboczach masywu Arabiki i łąkach tak obsypanych kwiatami, że wyglądały jak jedno z impresjonistycznych dzieł Moneta.

Dziewiątego października grupa B transportowała kolejne wory do biwaku na 500 metrach, kiedy działający głębiej zespół Wasza o godzinie 11.00 wyprawił się w kierunku biwaku na 1200 metrach. To była zdradliwa droga, pionowe progi zalewane lodowatymi kaskadami przecinały ciasne, kręte meandry. Wieczorem, o godzinie 20.00 Wasz, Kasjan i Miedwiediewa dotarli do biwaku na 1200 metrach, który Waszowi wydał się zaskakująco przestronny – suchy, rozległy i wyposażony w namiot na tyle duży, że bez trudu zmieściło się w nim sześć osób. Wasz dokonał drobnych napraw sprzętu, przekąsił co nieco i wsłuchał się w pytanie, które wydawało się pobrzmiwać nieustannie w zakątkach jego umysłu: Czy dotrę na dno? Jak zawsze odezwał się jego zły brat-bliźniak: Czy wyjdę na powierzchnię?

W biwaku będącym Hiltonem według standardów wypraw jaskiniowych znajdowała się spiżarnia, w której składowano pożywienie, przeliczając je na 100 osobodni, co stanowiło równowartość zaopatrzenia pięcioosobowego zespołu A na dwadzieścia dni pod ziemią. Tego wieczoru, kiedy suchy i zagrzany leżał w swoim niebieskim śpiworze, Wasz śnił nie o łąkach obsypanych polnym kwieciem, lecz, zdumiewające, o pięknych obrazach w wielkim muzeum. Jeśli w jego śnie kryły się jakieś symbole wiążące go z obecną wyprawą, po obudzeniu się Wasz nie był w stanie ich uchwycić. Przynajmniej nie dręczyły go koszmary.

Dzień po dniu, jak wspinacze pracy do coraz wyżej położonych obozów, Wasz i jego towarzysze schodzili do coraz niżej zlokalizowanych biwaków. Do biwaku położonego na 1400 metrach dotarli 11 października. Od tego miejsca letnie zespoły Klimczuka zbadały jaskinię do głębokości 1840 metrów, ustanawiając jaskinię Krubera najgłębszą jaskinią świata. Od tego najniższego punktu rozpocznie się prawdziwa eksploracja podczas tej wyprawy. Cała praca wykonana dotychczas była tylko przygrywką.

W dniu planowanego przenurkowania syfonu, 12 października, Wasz był tak zdenerwowany, że nie był w stanie przełknąć śniadania, co było raczej nietypowe jak na ciężko pracującego i cieszącego się zazwyczaj wilczym apetytem grotolaza. Późnym rankiem przypiął do uprząży dwa wory i ruszył w dół, zjeżdżając z dwóch wysokich, pionowych progów, którymi spadały kaskady lodowatej wody. Podczas zejścia przepełniały go na zmianę podniecenie i obawy, które czasem ustępowały miejsca spokojnej, cierpliwej wytrwałości. Po dotarciu nad brzeg swojego Rubikonu Wasz zorientował się, że Kasjan przenurkował już syfon i wynurzył się po drugiej stronie. Nadszedł czas, by inni grotolazi poszli w jego ślady.

Energiczna Katia Miedwiediewa ruszyła jako pierwsza. Nałożyła maskę nurkową, wzięła głęboki wdech i zniknęła w zalanym tunelu. Czekali kilka minut, ale wciąż nie wracała. Wasz i reszta uznali – mieli nadzieję – że wynurzyła się bezpiecznie po drugiej stronie. Po chwili, która wydawała się wiecznością, Katia pojawiła się z powrotem, wysłana przez Kasjana, by pomóc mniej doświadczonemu Waszowi i pozostałym. Wynurzyła się na powierzchnię, a kaskady wody spłynęły z jej kasku. Jej śliczną twarz rozjaśniał uspokajający uśmiech. „W sumie jest nie najgorzej – zapewniła pozostałych. – Po prostu spróbujcie się nie denerwować”.

Nadeszła kolej Wasza. Wiedział, że podwodny tunel ma mniej więcej 75 centymetrów wysokości i 3 metry długości. Nie brzmiało to przerażająco, ale groźny był trzeci wymiar: korytarz miał tylko 45 centymetrów szerokości, co odpowiadało średnicy dużej pizzy. Ściany były nierówne i naszpikowane występami, o które grotolaz mógł się zaczepić. W tych warunkach ryzyko utonięcia rosło w zastraszającym tempie. Byłoby świetnie, gdyby w tej lodowatej wodzie udało mu się wstrzymać oddech na minutę. Gdyby jednak wpadł w panikę po zaczepieniu się o występ, gwałtowne próby wydostania się spowodowałyby przyspieszone zużycie tlenu przez organizm i zmusiły go do zaczerpnięcia śmiertelnego oddechu.

Wasz miał przecucie, że nie zdoła przepłynąć na drugą stronę, ale podjął próbę. Szybkimi oddechami przewentylował płuca, żeby usunąć z krwiobiegu jak najwięcej dwutlenku węgla, zaczerpnął ostatni głęboki wdech i zanurkował. Jego przecucie szybko się sprawdziło. Nie zanurzył się wystarczająco głęboko i w połowie drogi zahaczył kaskiem o występ sklepienia. Wpadł w panikę i gwałtownie wynurzył się na powierzchnię, z trudem łapiąc powietrze i trzęsąc się ze zdenerwowania. To był jeden z najgorszych momentów jego podziemnej kariery. Chociaż wydostanie się na powierzchnię zajęło mu może 20 sekund, wydawało się, że są to najdłuższe sekundy jego życia. Wysilek gwałtownie zredukował zasoby tlenu w krwiobiegu, w związku z tym Wasz szybko poczuł, że się dusi. Zastanawiając się nad tym później, nie mógł sobie przypomnieć, o czym myślał pod wodą. Wydawało mu się, że ma w głowie

kompletną pustkę wypełnioną czystym przerażeniem.

Grotołazi są bez wątpienia bardzo wytrwali. Wasz uspokoił się i ponownie zanurzył w syfonie, zwracając uwagę, by zejść aż na dno. Tym razem nie zahaczył o strop, ale odkrył z przerażeniem, że korytarz jest tak wąski, że szoruje o jego ściany kaskiem i całym ciałem. Nie było łatwo przecisnąć się na drugą stronę w warunkach zerowej widoczności, w stanie zupełnego zanurzenia w lodowatej wodzie. Wyjaśniono mu, czego ma się spodziewać, ale każda matka i każdy żołnierz potwierdzą, że choćby usłyszało się wcześniej bardzo obszerne wyjaśnienia, poród i walka są zawsze ogromnym zaskoczeniem.

Kiedy w końcu wysliznął się po drugiej stronie, czuł się jak dziecko, które właśnie przyszło na świat: bolesne przejście przez wąski kanał, a po nim wstrząsające wynurzenie w zimnym pomieszczeniu wypełnionym dziwnie ubranymi ludźmi z lampami na głowach.

„Spokojnie, nie denerwuj się, wszystko w porządku” – powiedział Kasjan uspokajającym głosem do roztrzęsionego grotołaza po chrzcie bojowym w jaskini Krubera. Wasz czuł ogromną ulgę, że uszedł z tego doświadczenia z życiem. Napawała go jednak przerażeniem myśl, że jako szarpa będzie musiał pokonać tę koszmarną drogę jeszcze wiele razy w tę i z powrotem, zanim wyprawa dobiegnie końca.

Znalazłszy się za syfonem, Wasz i Igor Iszenko pomogli Kasjanowi zaopatrzyć biwak na 1400 metrach, deponując w nim dodatkowe zapasy żywności, baterie, zbiorniki z paliwem do kuchenek i inne rzeczy. Zanim udało im się doprowadzić tę pracę do końca, Iszenko zaczął odczuwać mdłości i osłabienie, wycofał się więc do biwaku położonego wyżej. Wasz i Kasjan dokończyli zaopatrywanie głębokiego biwaku i zbierali się do powrotu przez syfon.

Kasjan zanurkował pierwszy, pozostawiając po drugiej stronie Wasza, który w tym momencie był prawdopodobnie najbardziej samotnym człowiekiem w najgłębszym zakątku Ziemi. Tylko jedna osoba zeszła kiedykolwiek głębiej, a był to Giennadij Samochin – w sierpniu 2004 roku zanurkował na dno innego syfonu, osiągając głębokość 1726 metrów.

Z walącym sercem, z trudem opanowując strach, Wasz wziął głęboki wdech i zanurkował. Przepłynięcie na drugą stronę zajęło mu nieco więcej czasu niż za pierwszym razem i wynurzył się po drugiej stronie roztrzęsiony, z trudem łapiąc oddech. Tam jednak czekał na niego Kasjan, niczym ukraiński Marion Smith.

„Spokojnie, spokojnie – odezwał się z uspokajającym uśmiechem i poklepał go po ramieniu. – Wszystko w porządku”.

Wasz przez wiele dni nie wychodził na powierzchnię. Był mokry, zmarznięty, a otaczające go ciemności rozpraszały tylko blade światła czołówek. Nie był doświadczonym nurkiem, a syfon, przez który musiał przepłynąć, chociaż niedługi, był

bardzo ciasny, najeżony występami i wypełniony mętną wodą. Spędzone tam sekundy miały być najdłuższymi sekundami jego młodego życia. Ciarki przechodziły mu po plecach za każdy razem, gdy zmuszony był go pokonać.

W ciągu kilku następnych dni oba zespoły transportowały do najniższego biwaku kolejne worki sprzętu i jedzenia, tworząc jaskiniową wersję wysuniętego obozu himalaistów, ostatniego miejsca, w którym można było odpocząć przed przypuszczeniem ataku szczytowego. Pracując tak ciężko na tak dużej głębokości, Wasz odkrył, że w jaskiniach, podobnie jak na wysokości ponad 8000 metrów n.p.m., również istnieje „strefa śmierci”: ciało przestaje się regenerować, a jego stan ulega systematycznemu pogorszeniu w tempie zależnym od predyspozycji grotolaza. Większość uczestników wypraw do superjaskiń chudnie każdego dnia o około pół kilograma, a ponieważ niewielu z nich rozpoczyna wyprawę z jakimikolwiek zapasami tłuszczu, ich organizmy szybko spalają tkankę mięśniową. Wasz czuł się tak wyczerpany pracą, że od czasu do czasu zdarzało mu się odpłynąć, podobnie jak Andi Hunter w Cheve, a jego umysł bezwiednie porzucał wyczerpane ciało poobijane o zimne, ostre skały i palące bólem mięśnie. Zmaltretowany do granic możliwości, słyszał często dźwięki nieistniejącej muzyki i widział unoszące się nad nim twarze przyjaciół.

Prace przygotowawcze skończyli 14 października i w tym dniu przenieśli się do biwaku na 1400 metrach, oddalonym od świata na powierzchni kilkoma kilometrami biegnących głównie pionowo korytarzy i przerażającym syfonem. Było to zdecydowanie gorsze miejsce na rehabilitację ewentualnych obrażeń od biwaku na 500 metrach, gdzie Kabanichin miał „szczęście”, jeśli można to tak nazwać, odpaść od ściany. Poważna choroba lub uraz odniesiony na tej głębokości, poniżej tak wielu pionowych fragmentów, po drugiej stronie piekielnego syfonu, oznaczała pewną śmierć. Te pocieszające rozmyślenia towarzyszyły wszystkim członkom zespołu, gdy jedli, pili i odpoczywali. Byli gotowi na ostatni, kluczowy etap wyprawy, zaplanowaną na dwa fronty próbę obejścia końcowego syfonu, który latem powstrzymał od dalszej eksploracji Giennadija Samochina. Dwa oddzielne zespoły miały zbadać korytarze rozchodzącego się z miejsca nazwanego Large Fork, Wielki Widelec, tuż powyżej syfonu Samochina. Jeden z korytarzy został już częściowo zbadany w sierpniu. Drugi był terra incognita.

Kasjan podzielił grupę A. On i Miedwiediewa mieli pójść nowym korytarzem, Wasz wraz z pozostałymi otrzymali zadanie starannego zbadania korytarza eksplorowanego w sierpniu przez grupę Klimczuka. Jak się to już wcześniej zdarzało, mogliby tam trafić na okna lub szczeliny, które poprowadziłyby ich dalej.

Przez grubą zasłonę wyczerpania do Wasza dotarło w końcu dramatyczne piękno jaskini Krubera. Pokonywali wdzięcznie wijące się meandry, w których wapienne skały

przybrały bajkowe kształty i kolory, delikatnie pokrywając ściany warstwami białych, brązowych, czarnych i czerwonych nacieków, po których od czasu do czasu spływały pieniające się wodospady. Piękno miało niestety drugie, okrutne oblicze, ponieważ on i jego zmęczeni koledzy nie znaleźli w drodze do końcowego syfonu żadnych nowych możliwości kontynuowania eksploracji. Kiedy już dotarli do syfonu, wszyscy byli skrajnie wyczerpani. Wasz poruszał się z najwyższym trudem. Dygotał z zimna, odczuwał sztywnienie mięśni i z trudem zbierał myśli. Jego ciało błagało o sen. Z trudem wrócili do głębokiego biwaku, gdzie po spałaszowaniu makaronu z serem, garści słodyczy i wypiciu gorącej herbaty z ulgą zagrzebali się w śpiworach.



Końcowe prożki Krubery po wyjściu z 300 metrowej rury
fot. Kota 1000

Następnego dnia grupa B przenurkowała syfon budzący grozę i dotarła do biwaku. Wsparci świeżymi posiłkami Wasz wraz z kilkoma innymi rozpoczął mozolną pracę dokumentowania przebiegu jaskini. Chociaż mieli na sobie wodoodporne kombinezony, po wielu dniach wspinania się w strugach wody i brodzenia w jeziorkach woda zaczynała przedostawać się przez nieszczelności i przeciekać przez uszczelnienia na nadgarstkach i kostkach. Ich nieustannie mokre ciała mimo wypoczynku w ciepłych i suchych śpiworach zaczynały tracić zdolność utrzymywania właściwej temperatury. Po krótkim czasie hipotermia przyćmiła u Wasza nawet potrzebę snu. Jego ciało bardziej niż jedzenia, wypoczynku czy czegokolwiek innego łaknęło ciepła, podobnie jak człowiek wędrujący po spalonej słońcem pustyni łaknie wody.

Stopniowo grotolazi stracili zdolność podążania za naturalnym rytmem dobowym. Kolejnego dnia, 15 października, zabrali się do pracy dopiero o godzinie 14.30 i skończyli o 21.00. Większość następnego dnia spędzili w śpiworach, odpoczywając i próbując się rozgrzać. Dotarli do osiąganego wcześniej czy później podczas każdej większej wyprawy punktu, w którym zwiększony wysiłek przynosi coraz bardziej mizerne rezultaty. Wasz uchwycił to poczucie powolnego, nieuchronnego schyłku słowami nieskładnymi ze zmęczenia, a jednocześnie dziwnie poetyckimi, przypominającymi opis nakreślony ręką Roberta Falcona Scotta, kiedy on i jego niewielka grupa przedzierała się przez polarne pustkowia świadomi tego, że ich jedynym przeznaczeniem jest śmierć:

Czułem się napęczniały wodą i zmęczony nieustannym procesem pozbywania się zbędnej wilgoci; mój organizm wydawał się udręczony funkcjonowaniem w tak zimnym i wilgotnym środowisku. Nic jednak nie mogłem na to poradzić.

Kończył się czas, zapasy i pokłady wytrzymałości uczestników wyprawy. Gorsza była jednak świadomość, że mimo tego, co osiągnęli, najtrudniejszą część nadal mieli przed sobą: wyjście na powierzchnię.

Gdy 16 października Wasz i pozostali odzyskiwali siły, Kasjan i Miedwiediewa kontynuowali eksplorację za Large Fork. Następnego dnia ta dwójka, do której dołączył Igor Iszenko, pracowała w nowej części, którą nazwali Windows, Okna. Na początku były to suche, schodzące w dół korytarze, tak ciasne, że Kasjan wyobrażał sobie, iż musiały je wydrążyć ogromne dżdżownice. Te pochyłe meandry były przerywane znaczących rozmiarów studniami (jedna z nich miała głębokość 53 metrów) do głębokości 1843 metrów, gdzie powstrzymał ich zacisk, przez który nie była w stanie przecisnąć się nawet smukła Miedwiediewa. Pogiębieni, zaczęli wspinać

się ponownie w górę, ale dość szybko Kasjan wypatrzył otwór po drugiej stronie płytkiej studni – w nim pokładał nadzieję na kontynuację. Zjechali na dno studni, wspięli się po jej drugiej stronie i weszli w nowy korytarz. Rzeczywiście prowadził dalej; zbadali go do głębokości 1912 metrów i, widząc, że to nie koniec, zdecydowali się wrócić do biwaku i kontynuować eksplorację następnego dnia.

Wasz i pozostali, sięgając do ostatnich rezerw energii, spędzili dwadzieścia godzin na dokumentowaniu przebiegu drugiego korytarza wychodzącego z Large Fork, zanim wrócili do obozu. Z radością wysłuchali dobrych wiadomości Kasjana i Miedwiediewej i opili sukces koniakiem z plasterkami cytryny. Jednak nawet podniesieni na duchu byli tak zmęczeni, brudni i zziębnięci, że Wasz nie mógł pozbyć się wrażenia, że wylądowali w smoczym tyłku. Zostały im zapasy żywności i paliwa na dwa dni. Mieli nadzieję, że sił wystarczy im na równie długo. Jeśli miał nastąpić przełom, musiał on pojawić się szybko. Sięgali już do ostatnich rezerw, a wszyscy mieli świadomość, że gdy zaczyna ich brakować, dochodzi do wypadków.

Kasjan zarządził zatem, że następnego dnia odpoczną i przygotują się do ostatecznego uderzenia. Ich decydująca próba miała się odbyć 19 października, kiedy to – jak napisał Wasz – „podejdą do przeszkody nie do przewyciężenia”.

Grotołazi spędzili 18 października – zgodnie z zaleceniami Kasjana – na zaszywaniu podartych wodoodpornych kombinezonów, gromadzeniu resztek jedzenia, robieniu zdjęć, zabawianiu się opowieściami, jedzeniu i spaniu. Wszyscy mieli świadomość, że być może za chwilę będą tworzyć historię. Po sutej kolacji położyli się o godzinie 21.25. Mimo wyczerpania Wasz z podniecenia nie mógł tej nocy spać.

Wstał wcześniej rano, pięć po piątej. A zatem nadszedł dzień, na który wszyscy czekali. Na dzień dobry zaparzył sobie wielki kubek „aromatycznej, krzepiącej porannej kawy”. O dziewiątej opuścili biwak; półtorej godziny później dotarli do Large Fork, ciągnąc za sobą ciężkie worki liny i sprzętu jaskiniowego.

Na planie nowy odcinek jaskini wygląda jak prowadzące w dół zdemolowane schody. Wasz i Kirył Gostiew zabrali się do kartowania części korytarzy i studni, które to zadanie dla dręczonego biegunką Wasza okazało się przedstawiać dodatkowe problemy, jako że coraz częściej musiał się oddalać na stronę. Jednocześnie kombinezon jaskiniowy nie ułatwiał mu tego zadania.

Po skończeniu pomiarów dwuosobowy zespół wspiał się z powrotem do Large Fork i dołączył do reszty, a potem wszyscy zeszli do miejsca, w którym pracowali Kasjan i Miedwiediewa. Wasz zauważył od razu, że ta część jaskini była zarówno piękna, jak i obiecująca. Wapień przypominał delikatne odcienie sorbetu truskawkowego i cytrynowego, a jego powierzchnia była usiana kwiecistymi naciekami. Na dnie studni zalegały kamienie, które przypominały misternie wycięte białe ciasteczka. Wasz zdał sobie sprawę, że może być bliski osiągnięcia celu, który niczym udział w wielkiej bitwie dzieli życie człowieka na dwie części: tę przed i tę po.

Progi były tu jednocześnie szersze i bardziej strome, zwiastujące głębię. Cały zespół zgromadził się w najgłębszym punkcie, do którego doszli Kasjan i Miedwiediewa. Była to niewielka sala – w jej dalszej części stromy próg opadał w ciemność. Zapanowała upiorna cisza. Kasjan uważnie analizował wskazania wysokościomierza. W pewnym momencie podczas ostatnich 30 minut przekroczyli głębokość 2000 metrów, co samo w sobie było epokowym osiągnięciem, porównywalnym do pierwszego wejścia na szczyt o wysokości ponad 8000 metrów n.p.m.²¹

Kasjan wyciągnął z kieszeni sponiewieranego snickersa, rozerwał opakowanie, odgryzł kawałek i podzielił się z innymi. Zrobię, co w mojej mocy, kochany synku – pomyślał.

Nadszedł czas. Następny próg miał być rozstrzygający. Kasjan poprawił czołówkę i zjechał w dół. Miedwiediewa poszła za nim, za nią Wasz i pozostali. Zeszli z trzech kolejnych progów rozdzielonych pochyłymi korytarzami i w końcu zjechali do trójkątnej sali, której długość boku wynosiła może 5 metrów, z płaskim, gliniastym

dnem i nijakimi brązowymi ścianami. Światła czołówek chaotycznie tańczyły po ścianach jak rozszalałe białe pająki, ale nie dostrzegli żadnych okien, żadnych przejść. To było to. Dno świata.

Przez chwilę nikt się nie odezwał, a do wszystkich docierało znaczenie tego, co właśnie się wydarzyło. Wasz, zmuszony znaleźć słowa, które wiernie oddawałyby jego uczucia w tamtej chwili, zacytował rosyjskiego poetę Leonida Fiłatowa:

Albo powietrze jest pijane, albo jakiś czart jest zazdrosny.

Nawet w tłumaczeniu słowa te oddają uniesienie, które w końcu stało się udziałem Wasza, Kasjana i pozostałych. Zadanie nie było jednak skończone. Na środku trójkątnej sali znajdowało się okrągłe obniżenie o średnicy mniej więcej metra i głębokości 60 centymetrów. Najgłębszy punkt znajdował się pośrodku, jak odpływ w umywalce (którym kiedyś rzeczywiście mógł być) i w tym miejscu leżał niewielki biały kamień. Wszyscy pochyłili się nad obniżeniem w dnie jaskini Krubera, kiedy Jurij Kasjan przyklękał, by zmierzyć wysokość, na której spoczywał biały kamień. Wyprostował się, zrobił pauzę i ogłosił: „2080 metrów”, a jego zespół wybuchnął okrzykami radości.

Byli dobrze wykształconymi, wyrobionymi naukowcami i odkrywcami. Wiedzieli, że historia dzieje się na ich oczach, a oni sami są ostatnim ogniwem w długim łańcuchu stworzonym przez Peary'ego na biegunie północnym, Amundsena na biegunie południowym, Hillary'ego i Norgaya na Evereście, Piccarda i Walsha w Głębi Challengeera i wiele innych wybitnych postaci wcześniejszych wieków, które utorowały drogę współczesnym odkryciom geograficznym. Kasjan i jego ludzie wiedzieli: właśnie dokonali ostatniego wielkiego odkrycia lądowego.

Ściskali się, krzyczeli, śmiali i tańczyli. Dla Kasjana, podobnie jak dla Klimczuka, który wkrótce dowiedział się o wszystkim, był to najszcześniejszy moment życia pełnego przygód. Podobnie jak inni, nie mógł opanować emocji. Wszyscy mieli wilgotne oczy. Ocierali łzy, ściskali się, cieszyli, robili zdjęcia. Po dokonaniu życiowego odkrycia doświadczali jedynych w swoim rodzaju emocji, które trudno ująć w słowa. Pomyślcie jednak o najszcześniejszym wydarzeniu waszego życia, a potem wyobraźcie sobie, że czujecie radość dziesięć razy większą.

Z pewnością towarzyszyły im inne uczucia. Jeśli czytaliście pamiętniki wielkich odkrywców, choćby wspomnianych wyżej, wiecie, że nieustannie powraca w nich, nawet w chwilach największego uniesienia, wątek wyczerpania. Podobnie wyczerpany był zespół Jurija Kasjana, a najcięższy etap wyprawy był dopiero przed nimi.

Nikt nie chciał opuszczać tego miejsca, ale nie mogli w nim zostać na zawsze. Ktoś wreszcie ruszył w kierunku wznoszącego się korytarza.

„Poczekajcie – rzucił Kasjan. – Coś jeszcze musimy zrobić”.

Odkrywcom nowych partii jaskiń przysługuje przywilej nadania im nazwy. Szybko uzgodnili nazwę, którą od tej pory miało nosić najgłębsze miejsce na Ziemi. Wiedzieli, gdzie są, jak długo trwało dotarcie tutaj i ilu wcześniejszych odkrywców włożyło swój wkład w ten ostatni akt dramatu rozgrywającego się w ostatnich stu latach.

Nadali temu miejscu nazwę, która – jak mieli nadzieję – zawierała wszystkie te znaczenia: Game Over.

²¹ Tego wyczynu dokonał wielki francuski wspinacz Maurice Herzog na Annapurnie w 1950 roku (przyp. tłum.).



Mexikanos, pokonujący wodne prożki Krubery
fot. Kota 1000

POSŁOWIE

„New York Times” 17 sierpnia 2004 roku poinformował, że zespół chorwackich grotolarzy „ustanowił nowy rekord, który przeszedł bez echa – znalazł najgłębszą dziurę w ziemi”. Co ciekawe, artykuł odnosił się nie do jaskini Krubera, lecz do bezimiennej studni, która była tylko dziurą w zboczu górskim w pobliżu Zagrzebia, głęboką na 513 metrów. W dalszej części padło stwierdzenie, że „nie była to najgłębsza jaskinia na świecie [podkreślenie autora]. Tytuł ten należy nadal do jaskini Krubera leżącej w Abchazji, schodzącej na głębokość 1564 metrów (prawie mili)”.

W rzeczywistości sięgała znacznie głębiej. Zaledwie kilka dni po chorwackim odkryciu Dmitrij Fiedotow i Denis Kurta pokonali meander Way to the Dream, pogłębiając Kruberę do 1840 metrów. W październiku Jurij Kasjan zszedł na głębokość 2080 metrów, ustanawiając jaskinię Krubera najgłębszą jaskinią świata i dokonując ostatniego wielkiego odkrycia lądowego. Jaskinia przygotowała dla swoich odkrywców jeszcze jedną niespodziankę. W sierpniu 2006 roku ukraiński nurek jaskiniowy Giennadij Samochin pogłębił ją do 2191 metrów, a długość zbadanych korytarzy sięgnęła prawie 13 kilometrów.

Gdy praca wielu dekad w masywie Arabiki przyniosła w końcu owoce, Aleksander Klimczuk skoncentrował swoje wysiłki w innej superjaskini, tureckiej Aladaglar. Choć Aladaglar nie pobije rekordu Krubera, jest bezsprzecznie superjaskinią stawiającą Klimczuka i jego grotolarzy przed nowymi wyzwaniami.

Klimczuk dzieli czas między pracę w terenie, podróże po świecie i zobowiązania względem uczelni na Ukrainie. Jest chętnie zapraszany jako prelegent na międzynarodowe konferencje naukowe i pracuje nad książką na temat swoich odkryć.

Niestety, nie udało mu się wznowić kontaktów z synem Olegiem; nie rozmawiają ze sobą od lat.

Bill Stone nadal eksploruje system Cheve w Oaxaca; od 2004 roku kierował kilkoma wyprawami w tamtym rejonie. Oficjalna głębokość jaskini Cheve wynosi obecnie 1484 metry, czyli znacznie mniej niż głębokość jaskini Krubera. W roku 2009 Stone poprowadził ambitną próbę połączenia niżej położonej jaskini J2 z Cheve, która zakończyła się fiaskiem. Wraz z pozostałymi członkami wyprawy spędził dziewiętnaście dni pod ziemią, nurkując w kolejnych syfonach i umieszczając na planach prawie 600 metrów nowych korytarzy. Pod koniec wyprawy nadal jednak ponad 900 metrów dzieliło ich od najgłębszego znanego punktu Cheve. Oficjalnie Stone wciąż jest przekonany, że Cheve może pobić rekord głębokości jaskini Krubera.

Niezależnie od prac w jaskiniach Stone zbliżył się nieco do spełnienia swoich marzeń o podboju kosmosu, budując finansowanego przez NASA międzyplanetarnego robota o nazwie Endurance. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w kolejnej dekadzie Endurance zostanie wysłany na księżyc Jowisza o nazwie Europa, gdzie zajmie się poszukiwaniem wody. Zanim to nastąpi, Stone'owi być może uda się postawić stopę na

Księżycu, publicznie bowiem ogłosił zamiar uruchomienia na nim pierwszej komercyjnej kopalni do 2017 roku.



Ciąg studni nad Biwakiem w Kruberze na -700 m
fot. Kota 1000

PODZIĘKOWANIA

Chciałem podziękować przede wszystkim mojej żonie Elizabeth Burke Tabor, bez jej miłości i wsparcia ta książka bowiem nigdy nie zostałaby napisana.

Uznana mikrobiolożka i grotolazka Hazel Barton, prawdziwa Lara Croft, zaraziła mnie ideą, która ostatecznie przybrała kształt tej książki. Nie potrafię właściwie wyrazić mojej wdzięczności. Mogę tylko powiedzieć, że był to jeden z najcudowniejszych podarunków, jakie kiedykolwiek otrzymałem.

Mój nieustraszony, znakomity agent Ethan Ellenberg pomógł mi nadać mojej pisarskiej koncepcji ostateczną formę i przedstawił mnie redaktorowi wydawnictwa Random House, Jonathanowi Jao, któremu składam głębokie podziękowania. Jonathan swoim zaangażowaniem obala teorię, zgodnie z którą „prawdziwi redaktorzy” (w stylu Maxwella Perkinsa) odeszli już w przeszłość. Doskonałe opracowanie redakcyjne jest w takiej samej mierze sztuką i rzemiosłem jak pisanie, a Jonathan jest nieporównanie uzdolniony pod każdym względem. Przedstawienie jego wkładu w tę książkę wymagałoby napisania kolejnej, wystarczy jednak powiedzieć, że zarówno ja, jak i Random House, możemy mówić o ogromnym szczęściu, mając go po swojej stronie. Gdyby jego wartość wymagała jeszcze potwierdzenia, warto wspomnieć, że jest kibicem drużyny Boston Red Sox.

Pracownicy korekty są z pewnością najbardziej niedocenianymi bohaterami przemysłu wydawniczego, anonimowo mozolącymi się nad podniesieniem jakości prac, za które rzadko, jeśli kiedykolwiek, otrzymują pochwały. Biegły w swoim fachu korektor jest prawdziwym przyjacielem autora. Trudno przecenić wkład doskonałej korektorki wydawnictwa Random House, Bonnie Thompson, w wygładzenie stylu tej publikacji i zapewnienie jej zgodności z faktami.

Bonnie nie jest jedynym niedocenionym bohaterem Random House. Bez pomocy pracowników marketingu książka jest pozbawionym silnika samolotem na pasie startowym. Choćby maszyna została wykonana z najwyższą starannością, bez napędu pozostanie uziemiona na wieki. Siłą napędową tej książki są dyrektorzy działu marketingu Sanyu Dillon i Avideh Bashirrad oraz kierująca działem publicity Sally Marvin. Nigdy nie zdołałem im właściwie podziękować za doskonałe przyjęcie na rynku wydawniczym tej książki, mogę jedynie publicznie potwierdzić, że zdaję sobie sprawę z tego, jak ogromny jest mój dług wobec nich.

Zanim jednak Sanyu, Avideh i Sally mogli sięgnąć po swą magię, musieli dysponować gotową książką. Tu składam podziękowania kierownikowi działu produkcji Steve’owi Messinie. Mam niejaki wyobrażenie o tym, jak ogromnym zadaniem jest urzeczywistnienie koncepcji tej publikacji.

Bill Stone, jeden z najbardziej niezwykłych ludzi – i niewątpliwie jeden z najbardziej zajętych – jakich kiedykolwiek spotkałem, hojnie obdzielił mnie swoim czasem i wiedzą, cierpliwie znosząc kolejne wizyty, spotkania i niekończące się godziny wywiadów, niezliczone telefony i e-maile, które odbierał nawet podczas prac

prowadzonych na Antarktydzie. Dostarczył mi zdjęcia, dzienniki wypraw i rozliczne informacje, wspierając moją pracę w każdy możliwy sposób. Jego zaufanie, wiedza i pomoc okazały się bezcenne.

W moją pracę pisarską ogromny wkład wniosła książka *Beyond the Deep* autorstwa Billa Stone'a, Barbary am Ende i Monte Paulsena opisująca nieudaną wyprawę do jaskini Huautla w 1994 roku. To nieocenione źródło dostarczyło mi zapisów rozmów, myśli i doświadczeń i stało się podstawą moich badań nad tym okresem życia Billa Stone'a. Jestem wdzięczny wszystkim trzem autorom zarówno za napisanie tej fascynującej książki, jak i za zgodę na częste jej cytowanie. *Beyond the Deep* nie stała się bestsellerem tylko ze względu na serię niefortunnych zdarzeń, które wszystkich autorów nawiedzają w koszmarnych snach. Osobom, którym podobała się moja książka, a także tym, którzy czerpią przyjemność z czytania doskonałej literatury o niezwykłych ludziach, polecam lekturę *Beyond the Deep*.

Carol Vesely przypomniała jej i Billa Farra odkrycie Cheve i początki jej eksploracji. Barbara am Ende rzuciła światło na eksplorację Huautli przez nią i Billa Stone'a. Andrea Hunter, Bart Hogan, John Kerr, Dave Kohuth i Gregg Clemmer pozwolili mi zrozumieć szczegóły działań w Cheve.

Chciałem również podziękować Pat Kambesis, Nancy Pistole, Yvonne Droms, Dianie Northup, Jeffowi Stolzerowi, Marcusowi Gary'emu, Billowi Torode'owi i Dave'owi Bunnellowi.

Bill Mixon jest prawdopodobnie największym żyjącym badaczem historii meksykańskiej speleologii. On i jego słynna na całym świecie prywatna biblioteka mieli dla mnie ogromną wartość. John Schweyen przypominał barwne szczegóły swojego pionierskiego nurkowania w Huautli. Bob Jefferys przekopał się przez archiwa, by zdobyć zdjęcia i teksty na temat eksploracji Peña Colorada w 1984 roku i jego innych wypraw jaskiniowych. Wybitny brytyjski nurek jaskiniowy Rick Stanton podzielił się swoimi wrażeniami z wypraw prowadzonych przez Stone'a, podobnie jak jego brytyjscy koledzy grotolazi Robbie Warke i Paula Grgich. Dziennikarz Craig Vetter opowiedział o spotkaniach z Billem Stone'em. Geary, Sue i Aspen Schindel zakwaterowali mnie w Teksasie i zabrali na Teksasński Zjazd Grotolazów w 2008 roku, podczas którego dowiedziałem się, że zapasy w błocie są nieodłączną częścią każdego szkolenia jaskiniowego.

Aleksander Klimczuk, podobnie jak Bill Stone, w każdy możliwy sposób wspierał moje badania, godząc się na moje wizyty, niekończące się wywiady i zakłócające jego pracę telefony i e-maile. Co więcej, przedstawił mi wybitnym ukraińskim i rosyjskim grotolazom. Pokazał ukryty skarb informacji dostępnych jedynie w języku rosyjskim, a następnie przedstawił doskonałą tłumaczkę, Olgę Riazanową, dzięki której mogłem to wszystko przeczytać po angielsku. Klimczuk mówił szczerze nie tylko o swoich

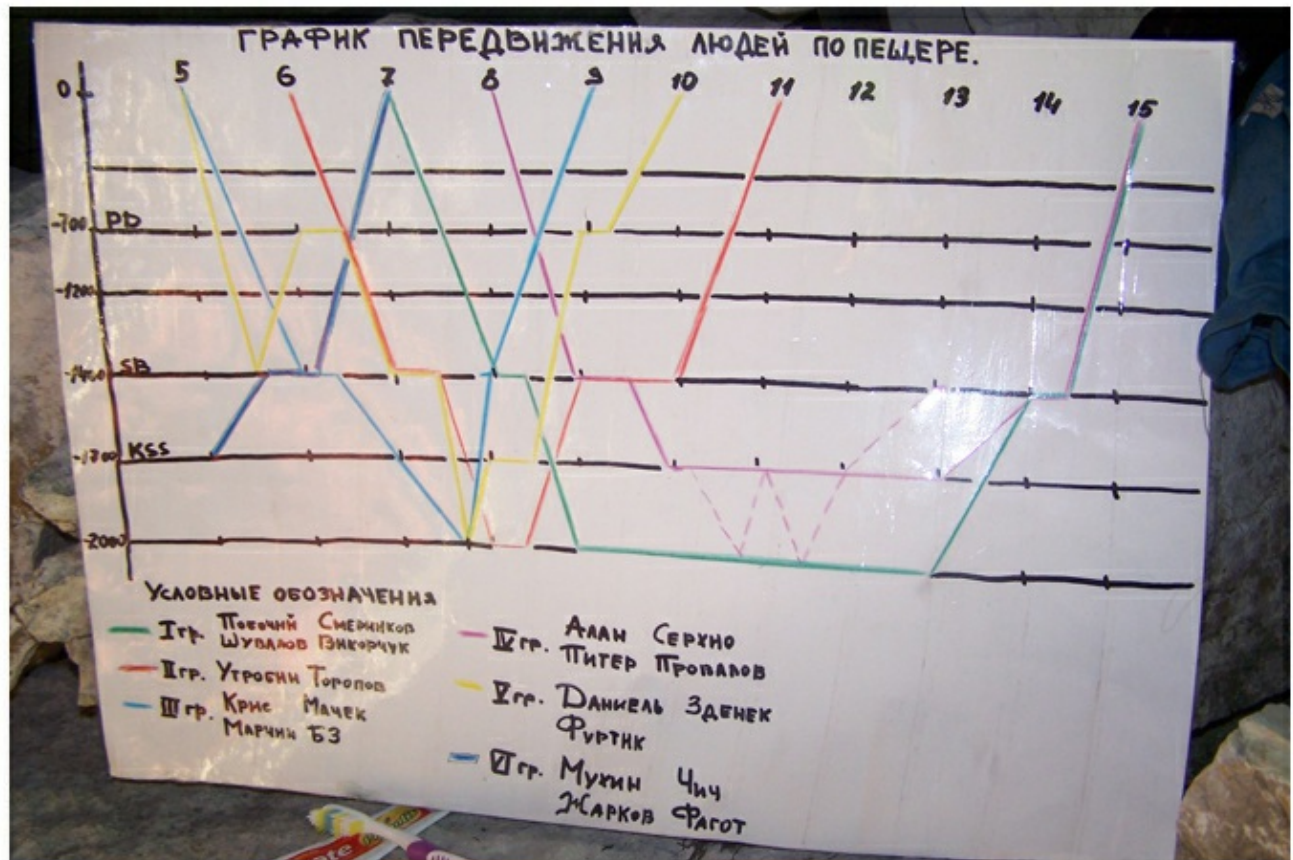
doświadczeniach z wypraw, ale również o osobistych porażkach, które były ich owocem. Dzięki temu coś, co mogłoby zostać uznane za suchą naukę czy napędzaną adrenaliną przygodę, zyskało ludzką twarz.

Równie pomocny był Jurij Kasjan ustępujący jedynie Klimczukowi pod względem sławy i doświadczenia w europejskich jaskiniach. Wybitny fotograf Stephen Alvarez opowiedział o próbach uwiecznienia prowadzonych przez Klimczuka wypraw do jaskini Krubera i wypraw amerykańskich. Emil Wasz podzielił się prywatnymi zapiskami i zdjęciami. Jekatierina Miedwiediewa opowiedziała o jaskini Krubera z kobiecej perspektywy. Chris Nikola, członek Explorers Club, wybitny grotolarz, pomógł mi znaleźć europejskich grotolarzy i nawiązać z nimi kontakt. Artykuły hiszpańskiego grotolarza Sergia Garcíi-Dilsa o jaskini Krubera uzupełniły moją wiedzę w wielu obszarach. Wywiad przeprowadzony przez historyka Bogdana Onaca z Uniwersytetu Florydzkiego z Aleksandrem Klimczukiem jest najlepszą biografią tego niezwykłego człowieka- dostarczył mi wielu szczegółów z jego życia i kariery. Francuski historyk Pierre Olaf Schut rzucił światło na życie i pracę Edouarda Alfreda Martela, podobnie jak niemiecki historyk Bernd Kliebhan.

I wreszcie australijski grotolarz Alan Warild jest jedną z nielicznych osób, która eksplorowała zarówno Krubera, jak i Cheve. Jego opisy obu tych jaskiń i znajomość ludzi, którzy poprowadzili wyprawy, pozwoliła mi dokonać porównań, które inaczej nie byłyby możliwe.

Na wyboistej drodze do ukończenia maszynopisu tego tekstu został oceniony i zrecenzowany przez Elizabeth Tabor, Damona Tabora, Jacka Tabora, Sarah Ochs, Wallis Wheeler, Stevena Butlera, Tashę Wallis i Sheilę Bannister.

Niewątpliwie pominąłem inne osoby, które włożyły znaczący wkład w tę książkę. Z góry proszę ich o przyjęcie przeprosin i składam im podziękowania od nieodmiennie wdzięcznego autora.



Grafik wyjść do jaskini Krubera
 fot. Speleo klub Bobry

WARTE PRZECZYTANIA

Na temat eksploracji jaskiń nie napisano nawet części książek, które powstały na temat wspinaczki wysokogórskiej i badań świata podwodnego, ale również na tym polu powstały pozycje uznawane dziś za klasyczne. Zainteresowanym historią speleologii spodobają się z pewnością książki Edouarda Alfreda Martela, w szczególności *Les Cévennes* i *Les Abîmes*. Na kartach *La Côte d'Azur Russe* opisał swoją wizytę w rejonie Morza Czarnego i masywie Arabiki.

Uczeń Martela, Norbert Casteret, był jednym z najbardziej płodnych autorów w historii odkryć geograficznych; opublikował setki artykułów i ponad czterdzieści książek. Jego klasyczna pozycja *Dix ans sous terre* (1933) pozostaje do dziś lekturą zabawną i dostarczającą cennych informacji.

„Vertical Bill” Cuddington był pionierem techniki pojedynczej liny¹, stosowanej obecnie nie tylko podczas pokonywania pionowych jaskiń, ale również przez zespoły poszukiwawczo-ratownicze, wspinaczy skałkowych i alpinistów przemysłowych. Jego najlepszą biografią jest *Vertical Bill* autorstwa Davida W. Hughesa.

Sheck Exley był tym dla nurkowania jaskiniowego, kim Bill Cuddington dla pokonywania pionowych jaskiń. Zanim zginął w meksykańskim cenocie El Zacatón 6 kwietnia 1994 roku, opracował w zasadzie wszystkie podstawowe techniki nurkowania jaskiniowego i był mentorem dla setek nurków, w tym Billa Stone'a. Jego pozycje *Basic Cave-Diving: A Blueprint for Survival* i *Caverns Measureless to Man*² należą już do klasyki.

Najlepszym źródłem informacji na temat eksploracji meksykańskich superjaskiń jest Association for Mexican Cave Studies (www.amcs.org) kierowane przez legendarnego grotolaza z Teksasu Billa Mixona. Od roku 1975 w roczniku AMCS Activities Newsletter ukazują się artykuły na temat znaczących wypraw do meksykańskich jaskiń. Zarówno teksty, jak i zdjęcia są na bardzo wysokim poziomie. AMCS Bulletins, które ukazują się nieregularnie, są pogłębionymi monografiami, na przykład *Hydrogeology of the Sistema Huautla Karst Groundwater Basin* (2002).

Rosyjski geograf Aleksander Kruber rozwinął speleologię w swoim regionie świata i posunął naprzód eksplorację masywu Arabiki. Tym, którzy znają język rosyjski (albo skłonni są zapłacić za tłumaczenie), polecam jego wczesne artykuły, zwłaszcza „Podróż do Arabiki” (1912).

Aleksander Klimczuk opublikował wiele artykułów w czasopismach naukowych i akademickich, większość po rosyjsku. Jego fascynującą relację podaną w języku angielskim z ustanowienia jaskini Krubera najgłębszą jaskinią świata *In Search for the Route to 2000 Meters Depth: the Deepest Cave in the World in the Arabika Massif, Western Caucasus*, napisaną wspólnie z Jurijem Kasjanem, można znaleźć w magazynie „CaveDiggers”³.

Należy też wspomnieć o niezliczonych artykułach opublikowanych przez Billa Stone'a w prasie zarówno popularnej, jak i naukowej. Jego książka *Beyond the Deep* napisana wspólnie z Barbarą am Ende i Monte Paulsenem, jest dokładnym opisem wyprawy do jaskini Huautla, która zakończyła się tak nieszczęśliwie.

1 Technika SRT nie jest używana przez wspinaczy skałkowych (przyp. red.).

2 Wydana w Polsce pod tytułem „Autobiografia pod ciśnieniem” w serii *360 stopni Człowiek na krawędzi* (przyp. tłum.).

3 Numer 8, grudzień 2003–luty 2004 (także na stronie <http://www.cavediggers.com/magazine/Issue8.pdf> – przyp. tłum.).

PRZYPISY

CZEŚĆ PIERWSZA: STONE

Rozdział 1

Szczegółów śmiertelnego wypadku Chrisa Yeagera dostarczyły mi rozmowy i korespondencja z Billem Stone'em, Tiną Shirk (obecnie Oliphant, niezwiązaną jednak z Mattem Oliphantem) i Johnem Schweyenenem, którzy byli członkami tej wyprawy. Oficjalny raport dotyczący wypadku *Cueva Cheve, Oaxaca, Mexico, March 1 Aece – Caver fall, Equipment?* Steve'a Knutsona ukazał się w 1992 roku w grudniowym wydaniu „NSS News”. Louise D. Hose również uczestniczyła w tej wyprawie. Bardzo pomocna okazała się jej szczegółowa relacja z wypadku *Exploration in the Sierra Juarez, Oaxaca: Cueva Cheve 1991–1992* opublikowana w „AMCS Activities Newsletter” z 1992 roku, wydawanym przez Association for Mexican Cave Studies. Inny opis wypadku pojawił się w artykule „A History of Mexican Speleology to 1992”, którego współautorami byli Bill Stone i Terry Raines, zamieszczonym w maju 1997 roku w „AMCS Activities Newsletter”. Inne relacje na swoich łamach zamieściły „Rocky Mountain Caving”, „Texas Caver” i „Met Grotto News”.

Konstruując opisy sprzętu jaskiniowego, czerpałem z własnego doświadczenia. Moją wiedzę uzupełnił artykuł *On Technical and Safety* napisany przez Williama Storage'a będącego w tej dziedzinie specjalistą, który ukazał się w „NSS News” w lipcu 1993 roku.

Rozdział 2

Hazel Barton i Bill Stone osobiście i listownie przekazali mi szczegóły wypadku Emily Davis Mobley i akcji ratowniczej zorganizowanej w Lechuguilla. Jeden z odcinków serialu Code 3 telewizji Fox zawierał szczegółowe nagranie akcji ratowniczej oraz wywiad z Mobley. Inne relacje pojawiły się w „New York Timesie” i „Los Angeles Timesie”. Moja wiedza na temat sprzętu ratowniczego pochodzi z wcześniejszych rozmów z Buddy Lane'em, który kierował akcją ratowania Mobley.

Bill Stone natomiast opowiedział mi o swoich kontaktach z rodziną Chrisa Yeagera i władzami Meksyku.

Tina Oliphant zrelacjonowała akcję wydobywania ciała Chrisa Yeagera w 1992 roku.

Porównanie Billa Stone'a z Reinholdem Messnerem nasunęło mi się na dość wczesnym etapie moich badań i, jak się okazało, pojawiło się już w kilku publikacjach, w tym w magazynie „Outside”. W wielu artykułach i książkach Messnera i o Messnerze opisano jego zamiłowanie do wspinaczki wysokogórskiej, kładąc szczególny nacisk na wynikające z tego straty.

Rozdział 3

Carol Vesely w korespondencji z nią i w rozmowach face to face przedstawiła mi własne życie i podała szczegóły dotyczące odkrycia przez nią i Billa Farra jaskini Cheve. Pomocne były również relacje z wielu wypraw zgromadzone przez nią i Billa Farra w Proyecto Cheve 1986–1993. Dodatkowe informacje znalazłem w ich artykułach zamieszczonych na łamach „AMCS Activities Newsletter”.

Termin „ośmiotysięcznik” określa unikatową kategorię szczytów górskich o wysokości ponad 8000 metrów n.p.m. Nie istnieje analogiczne określenie w odniesieniu do szczególnie głębokich jaskiń, ukułem więc termin „superjaskinia”.

Długą, lecz w żadnej mierze nie wyczerpującą zagadnienia listę zagrożeń czyhających w jaskiniach opracowałem na podstawie własnego doświadczenia oraz doskonałych prac Williama Storage’a, który badał wypadki i ryzyko związane z grotłożeniem. Szczególnie pomocny był jego artykuł *Using the Tool of Science and Industry to Build a Comprehensive Caving Safety Program* ilustrowany przez Lindę Heslop, który ukazał się w „NSS News” w październiku 1991 roku.

Osobiście poczułem „niezwykle żywy zapach” głębokiej jaskini.

W wielu książkach opisano niepowtarzalną więź łączącą miejscowych z okolicznymi jaskiniami i ich wierzenia dotyczące jaskiń jako bytów obdarzonych życiem. Na wyróżnienie zasługuje książka Benjamina Franklina *The Devil’s Book of Culture: History, Mushrooms, and Caves in Southern Mexico*.

W książce Billa Stone’a *Beyond the Deep* pojawiają się jego spostrzeżenia na temat związku Mazateków z jaskiniami uznawanymi przez nich za obdarzone życiem. Mazatekowie nie używają hiszpańskiego słowa cueva, lecz słowa gui-jao, które, jak zauważa w książce znawca kultury Mazateków Renato García Dorantes, „oznacza coś, co żyje”.

Artykuł Angeli M.H. Schuster *Rituals of the Modern Maya* w „Archeology”, nr 4, lipiec–sierpień 1997, rzuca światło na wierzenia współczesnych Indian amerykańskich dotyczące jaskiń.

Rozdział 4

Opis Sali Wejściowej Cheve zaczerpnąłem z rozmów i korespondencji z Carol Vesely, Billem Stone’em, Johnem Kerrem, Andi Hunter i innymi osobami zaangażowanymi w eksplorację Cheve. Podobne opisy zawierają artykuły publikowane w „AMCS Activities Newsletter”.

W czasopiśmie „American Antiquity”, vol. 25, nr 3 (styczeń 1960), William R. Holland i Robert J. Weitlaner opisali składanie ofiar z ludzi przez Cuicateków, których potomkowie zamieszkują dziś rejon Cheve. Współcześni Cuicatekowie nadal składają krwawe ofiary, ale dziś ograniczają się do kur i kóz.

Doświadczony grotłożaz Gary D. Storrick utrzymuje stronę

www.storrick.cnchost.com, która jest prawdopodobnie najlepszym na świecie źródłem informacji na temat sprzętu jaskiniowego, jego historii i zastosowań. Na stronie, podobnie jak w wielu innych źródłach, wspomniano o brzemienym w skutki wynalezieniu drabinki zjazdowej przez Johna Cole'a.

Pierre Humblet, prezes Międzynarodowej Unii Towarzystw Alpinistycznych (UIAA), wyjaśnił mi, że drabinka zjazdowa, podobnie jak sukces, ma wielu ojców. Francuzi przypisują jej wynalezienie przewodnikowi z Chamonix, Jeanowi Estérilowi Charletowi. Niemcy wskazują na Hansa Dulfera, Włosi na Tizę Piazza, którego wynalazek został później udoskonalony przez Emilio Comiciego. Biorąc pod uwagę, że nawet w kolebce wspinaczki górskiej nie udaje się osiągnąć w tej kwestii zgody, postanowiłem w tekście książki nie przypisywać nikomu zasług.

Rozdział 5

Bill Stone dostarczył mi w rozmowie szczegółów dotyczących swojego ojca, życia rodzinnego, początków przygody z jaskiniami i pierwszych osiągnięć. Siostra Stone'a, Judith Stone Jordan, przywołała wiele wspomnień z życia ich rodziny w Ingomar.

Rozdział 6

Bill Stone przekazał mi osobiście i korespondencyjnie obustronnie korzystny układ z wydziałem geologii RPI. Opisał również spotkanie ze swoją byłą żoną, Pat Wiedeman, i ich wspólne wyprawy, włącznie z wejście na Mount McKinley w 1982 roku (szczyt ten częściej określa się dziś nazwą Denali). W biuletynach AMCS i innych źródłach, włącznie ze stroną United States Deep Caving Team pod adresem www.usdct.org, można natknąć się na wiele opatrzonych zdjęciami relacji dokumentujących wkład Pat Wiedeman Stone w rozwój eksploracji jaskiniowej. Była jedyną kobietą będącą pełnoprawnym członkiem trwającej 118 dni wyprawy do Peña Colorada w 1984 roku i 70-dniowej wyprawy do Wakulla Springs w 1987 roku.

Stone dostarczył mi szczegółów okresu związanego z Kirwood. Grotołaz Jim Smith opowiedział mi o swoim ustanawiającym rekord świata zejściu do jaskini Gouffre de la Pierre Saint-Martin.

„Głęboko w tego rodzaju jaskiniach odkrywcy trafiają na ciekły wodne wystarczająco rwące, by zaspokoić apetyty największych miłośników kajakarstwa górskiego”; natknąłem się na takie ciekły wodne podczas eksploracji jaskiń w Tennessee, Alabamie i Georgii. Opisywali je również inni grotołazi, z którymi rozmawiałem.

Poznałem historię eksploracji jaskini Huautla podczas rozmów i wymiany korespondencji z Billem Stone'em, Billem Mixonem, Barbarą am Ende, Carol Vesely, Gearym Schindelem i Billem Steele'em. Huautla: Thirty Years in One of the World's Deepest Caves, doskonała historia Steele'a opublikowana w lipcu 2009 roku, nie było

dostępna, gdy prowadziłem swoje badania, ale to doskonale opracowane podsumowanie, które zagości na stałe w kanonie lektur na temat eksploracji jaskiń.

Krótką uwagę w tym miejscu na temat fragmentów tej książki dotyczących nurkowania. Jestem certyfikowanym dive masterem i nurkowałem w Atlantyku, Pacyfiku, na Karaibach, w Zatoce Meksykańskiej, Rzece Świętego Wawrzyńca i jeziorze Champlain, podobnie jak w wielu innych jeziorach, rzekach i zalanych kopalniach. Opis trudów nurkowania jaskiniowego zaczerpnąłem pośrednio z własnego doświadczenia, nie w jaskiniach (nie mam wszystkich wymaganych certyfikatów, a nurkowanie w jaskiniach bez odpowiedniego przeszkolenia jest równoznaczne z samobójstwem), ale w innych „środowiskach zamkniętych”, między innymi wrakach, nurkowaniu przy zerowej widoczności i nurkowaniu dekompresyjnym, w których przypadku nie można natychmiast wynurzyć się na powierzchnię.

Ponadto przeprowadziłem rozmowy z wieloma doświadczonymi nurkami jaskiniowymi, takimi jak Bill Stone, Barbara am Ende, John Schweyen, Rick Stanton, Bob Jefferys, Jurij Kasjan, Jekatierina Miedwiediewa, Lisette Wiese-Hansen i Jim Parker.

Szczegóły dotyczące nurkowania Billa Stone'a w syfonie San Agustín pochodzą z rozmowy ze Stone'em oraz relacji zamieszczonych w *Beyond the Deep* i artykułach w biuletynach AMCS.

Rozdział 7

Bill Stone opowiedział mi w szczegółach swoje przerażające nurkowanie. Pomocna była również relacja zamieszczona w *Beyond the Deep*.

Stone i Bob Jefferys, kierujący wspólnie z nim wyprawą, opowiedzieli mi o wyprawie do Peña Colorado z 1984 roku. Artykuł Stone'a Peña Colorado w „AMCS Activities Newsletter” z września 1984 roku dostarczył mi wielu informacji, podobnie jak tekst Marka Mintona *Huautla Project* na ten sam temat.

Kolejne informacje na temat postępów eksploracji zaczerpnąłem z tekstu Marka Mintono *Huautla Connection* w „AMCS Activities Newsletter” z grudnia 1985 roku. Tekst Stone'a *Camping Beyond Sumps*, również na ten temat, przedstawiał fascynujący opis rozwijającej się sztuki i nauki wielodniowej eksploracji superjaskiń.

Opis uroków przygotowywania ofert i desperackiego poszukiwania sponsorów oparłem na rozmowach z Billem Stone'em i własnym doświadczeniu.

Stone odniósł się do postaci Krzysztofa Kolumna podczas jednej z naszych rozmów. Tę samą opinię wyraził w rozmowach z innymi badaczami, włącznie z Johnem Tuttle w jego tekście *Visionary Bill Stone Counting on Unmanned Vehicles*, który ukazał się na stronie Cyber Diver News Network (www.cdnn.com) 12 grudnia 2007 roku.

Rozdział 8

W listach i rozmowach zarówno Bill Stone, jak i Bob Jefferys przypomnieli szczegóły wyprawy do Peña Colorada z 1984 roku, którą wspólnie prowadzili. Bob Jefferys dostarczył mi wielu niepublikowanych wcześniej zdjęć, które okazały się warte tysiąca słów. Znalazłem dodatkowe informacje i zdjęcia w raporcie z wyprawy na stronie www.usdct.org.

Bardzo pomocny był artykuł Stone'a *The 1984 Peña Colorado Cave Expedition* zamieszczony w „Explorers Journal”, vol. 63, nr 2 (czerwiec 1985), podobnie jak *The Challenge of the Peña Colorado*, „AMCS Activities Newsletter, nr 14 (wrzesień 1984).

Rozdział 9

Wielu wartościowych informacji na temat historii i rozwoju nurkowania jaskiniowego dostarczyła mi klasyczna pozycja Roberta Forresta Burgessa *The Cave Divers*. Równie pomocne były dwie książki autorstwa Shecka Exleya, legendarnego pioniera nurkowania jaskiniowego, *Basic Cave Diving: A Blueprint for Survival* i *Caverns Measureless to Man*.

Na fascynującej i pouczającej stronie www.dutchsubmarines.com znajduje się opis wkładu Corneliusa Drebbela w rozwój łodzi podwodnych i rebreatherów. Więcej informacji na temat wynalazków Drebbela znalazłem w artykule Johna H. Lienharda *Engines of Our Ingenuity No. 574: Cornelius Drebbel* na stronie kolegium inżynierskiego uniwersytetu w Houston, www.uh.edu. Kanał historyczny BBC pod adresem www.bbc.co.uk/history dostarczył mi dodatkowych informacji na temat Drebbela i jego wynalazków, włącznie z fotografią, na której Drebbel przypomina odchudzonego Wilforda Brimleya.

Historia rozwoju FRED-a pochodzi głównie z rozmów z Billem Stone'em, opisów zamieszczonych w *Beyond the Deep* i strony www.usdct.org. Pomocny był wykład Stone'a „Deep/Underwater Cave Environments” wygłoszony na sympozjum NASA „Risk and Exploration: Earth, Sea, and Stars”. Raport z niego został opracowany przez Stevena J. Dicka i Keitha L. Cowinga, można go znaleźć pod adresem www.spaceref.com. Pomocny był wreszcie prowokacyjny „TED Talk” Stone'a, prezentacja wygłoszona w marcu 2007 roku. Nagranie wideo z wystąpienia Stone'a można znaleźć pod adresem www.ted.com.

Informacje na temat porzuconego przez marynarke projektu rebreathera *EX-19* pochodzą z *EX 19 Performance Testing at 850 and 450 FSW (Feet of Seawater)*, „US Naval Experimental Diving Unit Technical Report NEDU-8-89”.

Rozdział 10

Z własnego doświadczenia jaskiniowego wiedziałem co nieco na temat poręczowania

i przepinek, o wiele więcej jednak dowiedziałem się od Billa Stone'a, Andi Hunter, Vickie Siegel, Barta Hogana, Robbiego Warke'a, Pauli Grgich, Johna Kerra, Gregga Clemmera, Davida Kohutha, Aleksandra Klimczuka, Jurija Kasjana i Emila Wasza. Fascynująca i pouczająca relacja z poręczowania napisana przez historyka Boba Hoffa znalazła się w „Cave History Update” z 15 grudnia 2003 roku.

Rozdział 11

Carol Vesely i Bill Stone opisali mi wyprawę do Cheve z marca 1989 roku osobiście i korespondencyjnie. Historię nieomal tragicznego wypadku Meri Fish opowiedzieli mi Stone i kilka innych osób, z którymi rozmawiałem, między innymi John Kerr i Andi Hunter.

Pobyty i pracę w ciemnościach znam z własnego doświadczenia. Wpływ przedłużających się ciemności i izolacji na organizm ludzki badany był wielokrotnie, np. przez Sheryl Bishop, psycholog społeczną Uniwersytetu Teksasńskiego, która opublikowała wiele prac na ten temat. Szczególnie przydatna była pozycja *Evaluating Teams in Extreme Environments: Deep Caving, Polar and Desert Expeditions* zaprezentowana 1 lipca 2002 roku na 32. Międzynarodowej Konferencji Systemów Środowiskowych w San Antonio w Teksasie. W książce odnosiłem się również do innych prac Bishop.

Naukowcem prawdopodobnie najbardziej zainteresowanym kwestiami ciemności i odosobnienia był włoski socjolog Maurizio Montalbini, który zmarł we wrześniu 2009 roku, gdy opracowywałem niniejsze przypisy. W latach 1992–1993 w ramach wspieranego przez NASA projektu badań nad wpływem ciemności i izolacji na załogi misji na Marsa Montalbini spędził w jaskini 366 dni, ustanawiając w ten sposób niepobity do tej pory rekord. Prawie cały ten czas spędził w zupełnych ciemnościach. Wśród wielu rozmaitych efektów odnotował dwukrotne wydłużenie cyklu snu i czuwania, dramatyczny spadek sprawności systemu immunologicznego i całkowitą utratę poczucia czasu. Wynurzając się z jaskini po 366 dniach, Montalbini był przekonany, że minęło zaledwie 219 dni. Wyniki tego i innych pobytów pod ziemią (Montalbini mieszkał w jaskiniach łącznie przez prawie trzy lata, prowadząc kolejne prace badawcze) zostały opublikowane na jego stronie www.mauriziomontalbini.it oraz w czasopiśmie „Advances in Space Biology and Medicine”, vol. 3, grudzień 1993.

„Ciemność jest dla grotolaza tym, czym woda dla nurka i powietrze dla lotnika” – nurkuję z akwalungiem i latałem zarówno szybowcami, jak i samolotami z własnym napędem.

Opis biwakowania w jaskiniach pochodzi z mojego doświadczenia oraz rozmów i korespondencji z Bille Stone'em, Andi Hunter, Greggiem Clemmerem, Johnem Kerrem, Davidem Kohuthem, Barbarą am Ende, Vickie Siegel, Aleksandrem

Klimczukiem, Jurijem Kasjanem i Emilem Waszem.

Carol Vesely, Bill Stone, Andi Hunter, John Kerr, Gregg Clemmer i inni opowiadali mi o urokach pokonywania labiryntów zwalonych głazów. Kilka krótszych sam miałem okazję pokonać.

Rozdział 12

Bill Stone i Carol Vesely osobiście i korespondencyjnie opisali mi niesamowite przejście Vesely przez zawałisko, które wydawało się nie do pokonania.

Vesely i Bill Farr zdali relację z eksploracji Through the Looking Glass w Proyecto Cheve 1986–1993.

Bill Stone i Carol Vesely w kolejnych rozmowach opowiedzieli mi o wyprawie do Cheve w 1990 roku. Ponadto Vesely i Farr zawarli szczegółowe relacje w Proyecto Cheve 1986–1993.

Jim Smith opisał barwienie wody w 1990 roku w artykule *Huautla Project*, „AMCS Activities Newsletter”, styczeń 1991.

Rozdział 13

John Schweyen opowiedział mi osobiście o nurkowaniu w syfonie.

Szczegóły fatalnej wyprawy z 1991 roku pochodzą z rozmów z Billem Stone'em, Tiną Oliphant, Johnem Schweyem i innymi rozmówcami. Bardzo pomocny okazał się artykuł Louise D. Hose *Exploration in the Sierra Juarez, Oaxaca: Cueva Cheve, 1991–92* w „AMCS Activities Newsletter” z sierpnia 1992 roku. Hose uczestniczyła w wyprawie w 1991 roku. Jej obszerny, poparty wyczerpującymi badaniami materiał zawierał wywiady z wieloma członkami wyprawy i szczegółową analizę wypadku Chrisa Yeagera.

Opisy wypraw z 1993 roku pojawiły się w tekście *Projecto Cheve Expedition 1993*, „AMCS Activities Newsletter”, październik 1993. Budując tę relację, członek wyprawy Mike Frazier dokonał kompilacji prac kilku autorów, w tym własnych, Nancy Pistole, Petera Bosteda i Petera Haberlanda.

Bill Stone opisał doświadczenie Brada Pecela. Zostało ono również wspomniane w *Beyond the Deep*.

Rozdział 14

Opis śmierci Rolfa Adamsa jest pochodną rozmów i korespondencji z Billem Stone'em, Barbarą am Ende i Craigiem Vetterem. Opierałem się również na artykułach Vettera *The Deep*, *Dark Dreams of Bill Stone* i *Bill Stone in the Abyss*, które ukazały się magazynie „Outside”, w numerach z listopada 1992 roku i listopada 1994 roku.

Bardzo pomocne były wspomnienie Billa Stone'a Rolf Adams, 1965–1992,

opublikowane w „AMCS Activities Newsletter” z sierpnia 1992 roku.

Nauczyłem się już dawno temu, że wyznań, w przeciwieństwie do zemsty, lepiej nie odkładać. Oto więc moje wyznanie: Nie mogłem się zmusić do wypytywania Pat Wiedeman o rozpad jej rodziny. Własne dwa rozwody zaliczam do najbardziej bolesnych życiowych doświadczeń. Burzy się we mnie krew, kiedy tylko wyobrażę sobie, że kompletnie obcy człowiek miałby wyciągać ze mnie szczegóły okresu naznaczonego głębokim cierpieniem. Jako zupełnie obcy człowiek nie mogłem nękać Pat Wiedeman w tej sprawie. Dlatego opis wydarzeń w tym rozdziale i w innych opiera się na faktach przedstawionych przez Billa Stone’a mnie i innym jego rozmówcom, w tym Craigowi Vetterowi i Geoffreyowi Normanowi. Pomocne były również opisy rozpadu małżeństwa zamieszczone przez Stone’a w książce *Beyond the Deep*. Moim celem było jedynie przybliżenie chronologii i przyczyn rozvodu; niniejsza książka nie wymagała większych szczegółów. Miałem nadzieję, że nie przyczynię się do rozdrapywania starych ran i nie naruszę granic prywatności opisywanych osób. Jeśli mimo wszystko nie udało mi się to, wszystkim bardzo serdecznie przepraszam.

Rozdział 15

Opis i szczegóły pierwszej fazy, poprzedzającej śmierć Iana Rollanda, wyprawy do Huautla z 1994 roku zaczerpnąłem z rozmów i korespondencji z Billem Stone’em, Barbarą am Ende, Craigiem Vetterem i innymi rozmówcami. Niezwykle wartościowym źródłem była książka *Beyond the Deep*, koncentrująca się na tej wyprawie. Równie pomocny był artykuł Billa Stone’a na temat wyprawy Huautla Cave Quest w numerze „National Geographic” z września 1995 roku. Odnosiłem się również do artykułu Ann Goodwin Sides i Hamptona Sidesa *Journey Toward the Center of the Earth* opublikowanego w „Washington Post Magazine” 28 sierpnia 1994 roku.

Opisałem szczegółowo ostatnie nurkowanie Iana Rollanda, opierając się na własnym doświadczeniu nurkowym, szczegółowej relacji w *Beyond the Deep* oraz relacjach Billa Stone’a i Barbary am Ende, którzy nie szczędzili mi bolesnych zapewne dla nich obojga szczegółów.

Rozdział 16

Szczegóły spotkania Billa Stone’a i Barbary am Ende pochodzą z rozmów i korespondencji z nimi oraz z książki *Beyond the Deep*.

Mój opis Barbary am Ende w 1994 roku oparłem na jej zdjęciach z tego okresu pochodzących ze strony www.usdct.org i innych, które ukazały się w numerze „National Geographic” we wrześniu 1994 roku.

Dowiedziałem się o niesnaskach, jakie budziła obecność Barbary am Ende na

wyprawie do Huautla z 1994 roku, z wywiadów z nią, Billem Stone'em, Carol Vesely, Craigiem Vetterem i innymi rozmówcami. W artykule *Bill Stone in the Abyss*, który ukazał się w „Outside”, Craig Vetter wspominał wielokrotnie o tych animozjach i cytował kilku niezadowolonych członków wyprawy.

Stosunkowo prymitywne środki komunikacji, którymi dysponowali grotolazi w superjaskiniach, opisali mi podczas rozmów między innymi Bill Stone, John Kerr i Aleksander Klimczuk.

W oddzielnych rozmowach Stone i am Ende przybliżyli scenę w obozie 3 po tym, jak Kenny Broad przyniósł wiadomość o nieobecności Iana Rollanda. *Beyond the Deep* również zawierała szczegółowy opis, podobnie jak artykuł Craiga Vettera w „Outside”.

Rozdział 17

Opis zagrożeń, jakie niesie akcja wydobywania ciała z jaskini, zaczerpnąłem z własnego szkolenia na ratownika nurkowego, wcześniejszych wywiadów z ratownikiem Buddym Lanem, przeprowadzonych niedawno rozmów z doświadczonymi nurkami jaskiniowymi Lisettą Wiese-Hansen i Jimem Parkerem oraz niezliczonych opisów tego rodzaju akcji opublikowanych przez Sekcję Nurkowania Jaskiniowego Amerykańskiego Towarzystwa Speleologicznego (CDS NSS) i organizację Divers Alert Network (DAN). Czytelnicy o mocnych nerwach mogą znaleźć w serwisie YouTube nagrania nieudanych akcji ratowniczych w jaskiniach. Niektórzy mogą uznać oglądanie ich za najgorszy rodzaj wojeryzmu, ale to właśnie one mogą odstraszyć osoby nieposiadające odpowiednich kwalifikacji od nurkowania w jaskiniach. W nurkowaniu jaskiniowym ofiarą większości wypadków śmiertelnych padają nurkowie, którzy nie przeszli odpowiedniego szkolenia.

We wcześniejszych pracach dotyczących wyprawy do Huautla w 1994 roku rzadko i oszczędnie wspominało się o wydobyciu ciała Iana Rollanda przez Billa Stone'a. Należy to być może przypisać niewielkiej wadze przykładanej przez osoby niebędące nurkami ani grotolazami przedsięwzięciu tak niezwykle ryzykownemu, ale też niechęci, jaką Bill Stone zaczął żywić do autorów tekstów po kilkakrotnym opisanie go przez pryzmat jego osobowości, a nie osiągnięć.

Podczas naszych spotkań, rozmów telefonicznych i w e-mailach Stone odpowiadał na każde zadane mu pytanie wyczerpująco i bez ograniczeń, nawet na pytania, które dotyczyły najbardziej bolesnych doświadczeń jego życia, a śmierć Iana Rollanda była z pewnością jednym z nich. Bez otwartości Stone'a nie powstałaby nigdy tak szczegółowa relacja z wydobyćcia ciała Rollanda. Wiele przydatnych informacji znalazłem również w książce *Beyond the Deep*.

Rozdział 18

Pouczająca analiza tragedii wyprawy do Huautla z 1994 roku została opublikowana w „Journal of Human Performance in Extreme Environments”, vol. 3, nr 1. Autorami tej pracy byli S.L. Bishop, P.A. Santy i D. Faulk, naukowcy z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Teksasńskiego. Za zgodą Billa Stone’a przed rozpoczęciem wyprawy i po jej zakończeniu przeprowadzali zarówno rozmowy z członkami wyprawy, jak i odpowiednie badania. Poprosili również niektórych członków wyprawy o prowadzenie dzienników, które miały posłużyć później do badań naukowych.

Bill Stone, Barbara am Ende, Carol Vesely i Craig Vetter opisali ciężką atmosferę, która zapanowała w obozie po śmierci Rollanda. Dwie zupełnie inne wersje zdarzeń pojawiły się w artykule Vettera z 1994 roku opublikowanym w „Outside” i książce *Beyond the Deep* wydanej drukiem dopiero w 2002 roku.

Wielu informacji na potrzeby tego i innych rozdziałów dostarczył mi będący relacją na gorąco z wyprawy do Huautla w 1994 roku artykuł Barbary am Ende *Off the Mainline: San Agustín Sump, Mexico*, który ukazał się w numerze styczeń–luty 1995 „Underwater Speleology”.

„Powiem ci, dlaczego ten dobry człowiek zginął”: w relacjach z tego zdarzenia pojawiło się kilka różnych wersji słów starego Mazateka, ale wszystkie sprowadzają się w zasadzie do jednego. Ta wersja pochodzi od Billa Stone’a, który był obecny na miejscu i do którego stary człowiek kierował swoje słowa.

Andi Hunter i Bill Stone podzielili się swoimi wspomnieniami z wymiany zdań, która wywiązała się między Stone’em a młodym nowicjuszem.

Rozdział 19

„Zdrowo im wpięprzyliliśmy”: ten cytat pochodzi z artykułu Craiga Vettera opublikowanego w „Outside” w 1994 roku.

Szczegółów dotyczących wszystkich aspektów wyprawy dostarczył mi obszerny artykuł Billa Stone’a i Barbary am Ende *The 1994 San Agustín Expedition* opublikowany w „AMCS Activities Newsletter” w maju 1995 roku.

Opis wizyty meksykańskich policjantów pojawił się w *Beyond the Deep*. Bill Stone dostarczył mi kolejnych szczegółów.

Opis wizyty Sloana u curandero pochodzi z wywiadów z Billem Stone’em cytowanego wyżej artykułu z „AMCS Activities Newsletter”, fragmentów *Beyond the Deep* i artykułu Craiga Vettera w „Outside”.

Barbara am Ende opowiedziała mi o swojej rozmowie ze Noelem Sloanem i spisku dotyczącym nurkowania za syfonem ze Stone’em.

Do dziś nie ustalono bezspornie, co było przyczyną śmierci Iana Rollanda. Na kwestię tę rzuciły najwięcej światła dwie relacje napisane wkrótce po śmierci Rollanda. Pierwszą była *Accident Analysis*, techniczny raport autorstwa Billa Stone’a i Kenny’ego

Broadia, który ukazał się w „Underwater Speleology” w numerze styczeń–luty 1995. Drugim był artykuł Barbary am Ende *Off the Mainline: San Agustín Sump, Mexico* opublikowany w tym samym numerze.

Rozdział 20

Bill Stone i Barbara am Ende osobiście opisali mi swoje przeżycia podczas eksploracji jaskini za syfonem 5. Doskonały opis pojawił się również w *Beyond the Deep* i ich artykule *The 1994 San Agustín Expedition* w „AMCS Activities Newsletter” opublikowanym w maju 1995 roku. Pomocny był również raport Stone’a zamieszczony w „Underwater Speleology”, wspomniany wcześniej. Am Ende jest doskonałym kartografem i jej mapy Huautli okazały się niezwykle cennym źródłem, umożliwiającym mi lepsze poznanie charakteru tej niezwykłej jaskini.

Rozdziały 21–23

Szczegóły wydarzeń opisanych w tym rozdziale zaczerpnąłem z rozmów i korespondencji z Billem Stone’em i Barbarą am Ende, jak również z książki *Beyond the Deep*, artykułu *The 1994 San Agustín Expedition* w „AMCS Activities Newsletter” ich autorstwa opublikowanego w maju 1995 roku, artykułu Stone’a *Huautla Cave Quest* zamieszczonego w „National Geographic” we wrześniu 1995 roku i relacji am Ende *Off the Mainline: San Agustín Sump, Mexico*, który ukazał się w numerze styczeń –luty 1995 „Underwater Speleology”.

Rozdział 24

Szczegóły wydarzeń opisanych w tym rozdziale zaczerpnąłem z wywiadów i korespondencji z Billem Stone’em i Barbarą am Ende, jak również z książki *Beyond the Deep*, artykułu *The 1994 San Agustín Expedition* w „AMCS Activities Newsletter” ich autorstwa opublikowanego w maju 1995 roku, artykułu Stone’a *Huautla Cave Quest* opublikowanego w „National Geographic” we wrześniu 1995 roku i relacji am Ende *Off the Mainline: San Agustín Sump, Mexico* zamieszczonej w „Underwater Speleology”, styczeń–luty 1995.

Sam doświadczyłem rozstrajającego nerwowo przeciskania się przez wąski, częściowo zalany korytarz jaskini. Najbardziej pouczająca (i mrożąca krew w żyłach) relacja, z jaką kiedykolwiek się zetknąłem, została napisana przez grotołaza Johna Ackermana. W 1987 roku postanowił on zbadać jaskinię Tyson Spring w Fillmore County w Minnesocie. Opisał to przerażające doświadczenie w tekście *John Ackerman’s Update on the Tyson Spring Cave* opublikowanym 23 grudnia 2006 roku na stronie greckiej organizacji grotołazów Zenas www.zenas.gr/site/home/eng_detail.

W końcu dotarłem do kolejnego syfonu, ale widziałem kilka centymetrów wolnej przestrzeni nad lustrem wody, więc zdecydowałem się ponownie zaryzykować. Błąd ten okazał się nieomal śmiertelny, ponieważ zgubiłem się w tym korytarzu z ustami przyciśniętymi do sklepienia. Błąkałem się w lodowatych, atramentowych ciemnościach, rozpaczliwie chwytając powietrze i marząc o jakimkolwiek wyjściu. Kark zdrętwiał mi do tego stopnia, że z trudem utrzymywałem usta tuż przy sklepieniu.

W końcu skręciłem we właściwą stronę i wypadłem na obszerny korytarz będący dalszym ciągiem jaskini. Kilka godzin później, przeszedłszy ponad 3 kilometry zdumiewających korytarzy, zawróciłem i ruszyłem w długą, samotną drogę powrotną. Kiedy szedłem, zafascynowało mnie rwące piękno podziemnej rzeki i zrozumiałem nagle, jaki los stałby się moim udziałem, gdyby na zewnątrz zaczęło padać, a poziom wody podniósłby się choć o centymetr.

Rozdział 25

Szczegóły zdarzeń opisanych w tym rozdziale zaczerpnąłem z wywiadów i korespondencji z Billelem Stone'm i Barbarą am Ende, jak również z książki *Beyond the Deep*, artykułu *The 1994 San Agustín Expedition* w „AMCS Activities Newsletter” ich autorstwa opublikowanego w maju 1995 roku, artykułu Stone'a *Huautla Cave Quest* opublikowanego w „National Geographic” we wrześniu 1995 roku i relacji am Ende *Off the Mainline: San Agustín Sump, Mexico* zamieszczonego w „Underwater Speleology”, styczeń–luty 1995.

Wypowiedzi Billa Stone'a i na jego temat w pierwszej części tego rozdziału pochodzą z artykułu Craiga Vettera opublikowanego w magazynie „Outside” w 1994 roku. Vetter potwierdził w rozmowie ze mną, że magazyn wysłał go do Meksyku dopiero wtedy, gdy wieści o fatalnych wydarzeniach dotarły na północ.

Rozdział 26

Cytaty i informacja na temat projektu Billa Stone'a w Wakulla Springs pochodzą z rozmów i korespondencji z nim, artykułu Petera Symesa o nim w magazynie „X-ray Mag”, vol. 15 (2007) oraz artykułu Geoffreya Normana, który ukazał się w „National Geographic Adventure” latem 1999 roku.

Rozdział 27

Andi Hunter opowiedziała mi o swoim pierwszym spotkaniu z Cheve i przyjęciu urodzinowym zorganizowanym przez Billa Stone'a.

John Kerr przybliżył swoje przygody na El Capitan i podczas wypraw do Cheve.

Poznałem uroki kopania w Cheve i Charco dzięki rozmowom i korespondencji

z Billem Stone'em, Andi Hunter, Johnem Kerrem, Greggiem Clemmerem, Davidem Kohuthem i Bartem Hoganem.

Andi Hunter i Bill Stone zrelacjonowali mi niezależnie od siebie wypadek, który opisuję pod koniec rozdziału.

Rozdział 28

John Kerr opisał mi swoje wstrząsające pierwsze spotkanie z Cheve w rozmowach i listach.

Andi Hunter i inni rozmówcy opowiedzieli o biwakowych pieszczotach w głębi jaskiń.

R.D. Milhollin opisał wejście do Cheve w 2003 roku w doskonałym, czteroczęściowym artykule *Notes from Cheve*, który ukazał się we wrześniowym, październikowym, listopadowym i grudniowym numerze „Maverick Bull” z 2003 roku, miesięcznego biuletynu Maverick Grotto, speleoklubu zrzeszającego grotołazów z Fort Worth i Tarrant County w stanie Teksas. „Maverick Bull” jest wyjątkowym przykładem piśmiennictwa jaskiniowego publikowanego przez speleokluby w całym kraju. Pomocny był również artykuł Milhollina *Caving in Sistema Cheve, Oaxaca*, który ukazał się w maju 2004 roku w „AMCS Activities Newsletter”. Raport *Yvonne Drom Cheve 2003 Expedition News*, zamieszczony na łamach „NSS News” w sierpniu 2003 roku, poszerzył moją wiedzę na tę wyprawę i umożliwił ustalenie chronologii wydarzeń.

Rozdział 29

Andi Hunter w rozmowie opisała mi swój atak paniki.

Bill Stone scharakteryzował brytyjskich nurków Ricka Stantona i Jasona Mallinsona w rozmowach i korespondencji ze mną, dzieląc się jednocześnie wątpliwościami co do ich minimalistycznych rebreatherów.

Niezwykle pomocny był doskonały artykuł Ricka Stantona *Diving in Cheve Sumps*, który ukazał się w maju 2004 roku w „AMCS Activities Newsletter”.

Rozdział 30

Rick Stanton opisał swój rytuał poprzedzający nurkowanie oraz nurkowanie, podczas którego on i Jason Mallinson odkryli Mad Man's Falls.

Informacje do tego rozdziału zgromadziłem również podczas rozmów i wymiany korespondencji z Billem Stone'em, Andi Hunter, Bartem Hoganem, Robbiem Warkem i Johnem Kerrem.

CZEŚĆ DRUGA: KLIMCZUK

Rozdział 32

Opis wypadku Aleksandra Kabanichina oparłem na relacjach Olega Klimczuka, Denisa Prowałowa, Julii Timoszewskiej, Barnarda Tourte'a i Sergia Garcíi-Dilsa. Dalszych szczegółów dostarczył mi w rozmowie i korespondencji Aleksander Klimczuk.

Rozdział 33

Dowiedziałem się o wypadku śmigłowca z 2005 roku z relacji opatrzonej fotografiami, zamieszczonej przez „Steliosa” na jego blogu pod adresem selasvoronya.blogspot.com/2005_04_01_archive.html. Dodatkowych informacji dostarczył mi w rozmowie i korespondencji Aleksander Klimczuk.

Szczegóły biografii Aleksandra Klimczuka pochodzą z rozmów i korespondencji z nim. Pomocne okazało się również nagranie wideo rozmowy z Klimczukiem przeprowadzonej przez profesora Bogdana Onaca z Uniwersytetu Południowej Florydy, które znajduje się pod adresem kong.lib.usf.edu:8881.

Wciągający opis Kijowa z roku 1966 roku autorstwa Petera Grose'a *Kiev the Captivating*, który ukazał się 28 maja 1966 roku w „New York Timesie”, pozwolił mi odmalować żywo obraz tego miasta w okresie przed transformacją.

Rozdział 34

Informacji do tego rozdziału dostarczyły mi rozmowy i korespondencja z Billem Stone'em i Aleksandrem Klimczukiem oraz wywiad Bogdana Onaca z Klimczukiem.

Rozdział 35

Wiele fascynujących szczegółów na temat życia i pracy francuskiego ojca speleologii znalazłem w artykule Pierre'a-Olafa Schuta E.A. *Martel: The Traveller Who Almost Became an Academician*, opublikowanym przez „Acta Carsologica”, vol. 35, nr 1 (2006). Doktor Schut odpowiedział również na moje dodatkowe pytania dotyczące Martela.

Niemiecki historyk Bernd Kliebhan również studiował życie Martela. Jego strona www.kliebhan.de/spelhist/mar/mar-eng.htm składa się na minibiografię Martela i jest źródłem wielu przydatnych informacji.

Aleksander Klimczuk przedstawił swoje wczesne wyprawy organizowane w masywie Arabiki.

Rozdział 36

Jirij Kasjan opowiedział mi o swoim życiu i badaniach. On i Aleksander Klimczuk opisali przełom dokonany przez Aleksieja Zdanowicza w jaskini Krubera.

Rozdział 37

Sergio García-Dils zrelacjonował swoją pierwszą wyprawę do jaskini Krubera w *Nuevo Récord del Mundo de Profundidad: La Cima Krubera-Voronya* w czasopiśmie „Subterránea”, nr 14 (2000). Jurij Kasjan również opisał wyprawę podczas rozmowy.

Aleksander Klimczuk opowiedział mi o negocjacjach dotyczących udziału członków CAVEX-u w wyprawie w 2000 roku.

Pomocne informacje na temat wyprawy z 2000 roku i eksploracji Krubera znalazłem w artykule Klimczuka i Kasjana *In a Search for the Route to 2000 Meters Depth: The Deepest Cave in the World in the Arabika Massif, Western Caucasus*, który ukazał się numerze 8 „Cavedigger” grudzień 2004/styczeń 2005.

Rozdział 38

Aleksander Klimczuk opowiedział mi o pogłębiającej się przepaści między nim a Olegiem. Opisał również, w jaki sposób media potraktowały CAVEX i Ukraińskie Stowarzyszenie Speleologiczne.

Rozdział 39

Aleksander Klimczuk przybliżył szczegóły wyprawy do jaskini Krubera w 2003 roku w rozmowach i korespondencji. Sergio García-Dils napisał szczegółową relację z wyprawy do jaskini Krubera w 2003 roku w tekście *Arábika – 2003: En Busca del Premier –2000 del Planeta* w „Subterránea”, nr 20 (2003). Ponadto Aleksander Klimczuk, Jurij Kasjan i Nikołaj Sołowiew zamieścili swoje wrażenia z tej ekspedycji na stronie dla www.speleogenesis.net. W rozmowie i korespondencji Jurij Kasjan uzupełnił wspomniane relacje o nowe szczegóły.

Rozdział 40

Szczegóły akcji ratunkowej Kabanichina zaczerpnąłem z relacji Sergia Garcíi-Dilsa i Aleksandra Klimczuka. Pomocny był również artykuł Yvonne Droms *2003 Voronja (Krubera) Expedition News* w „NSS News” z grudnia 2003 roku.

CZEŚĆ TRZECIA: GAME OVER

Rozdziały 41–45

Bill Stone, Bill Mixon i Andi Hunter opisali odkrycie przez Pedro Péreza ponoru

Barranca Estrella.

Źródłem informacji do tego i kolejnych rozdziałów dotyczących wyprawy 2004 USDCT Cueva Cheve były rozmowy i wymiana korespondencji z Billem Stone'em, Andi Hunter, Johnem Kerrem, Greggiem Clemmerem, Davidem Kohuthem i Bartem Hoganem. Udostępniono mi również oficjalny dziennik wyprawy, który był uzupełniany wpisami wielu członków wyprawy, dzięki czemu stał się doskonałą kroniką przedstawiającą wyprawę z wielu punktów widzenia.

Artykuł Andi Hunter *Extreme Earth*, który ukazał się wiosną 2005 roku w „Explorers Journal”, był lekturą niezwykle pomocną i jednocześnie bardzo ciekawą.

Przeanalizowałem również wszystkie „doniesienia z terenu” wysyłane każdego dnia czasopismu „National Geographic”, jednemu ze sponsorów wyprawy. Niektóre z nich stały się później częścią artykułu *Race to the Center of the Earth* opublikowanego w „National Geographic” w kwietniu 2004 roku oraz na stronie www.nationalgeographic.com. Miałem okazję zapoznać się z doniesieniami, które nie zostały opublikowane, i tymi, które zostały upublicznione w części.

Uzyskałem dostęp do setek zdjęć zrobionych przez członków USDCT i towarzyszących im obszernych opisów.

Rozdział 46

Incydent ze „spijaniem śmietanki”, który opisuję w tym rozdziale, został mi zrelacjonowany przez Billa Stone'a, Andi Hunter, Johna Kerra i Barta Hogana.

Rozdział 48

Aleksander Klimczuk, Jurij Kasjan, Emil Wasz, Jekatierina Miedwiediewa, Stephen Alvarez i Marcus Taylor opisali mi posępny i odpychający charakter jaskini Krubera w rozmowach i korespondencji. Wszyscy dostarczyli mi szczegółów wyprawy z sierpnia 2004 roku.

Pomocne opisy jaskini Krubera znalazłem na stronach www.cavex.ru i www.selasvoronya.com, a zdjęć wraz z towarzyszącymi im opisami dostarczyli mi Aleksander Klimczuk, Jurij Kasjan, Jekatierina Miedwiediewa i Emil Wasz. Angielski fotogram i kamerzysta Marcus Taylor przekazał mi fotografie i nagrania wideo. Pomocne okazały się również zdjęcia znanych amerykańskich fotografów Stephena Alvareza i Alana Cresslera opublikowane wraz z artykułem Aleksandra Klimczuka *Call of the Abyss – the World's Deepest Cave* w magazynie „National Geographic” w maju 2005 roku.

Rozdziały 49–53

Jurij Kasjan i Jekatierina Miedwiediewa opowiedzieli mi o swoich przeżyciach

podczas wyprawy do jaskini Krubera w październiku 2004 roku. Skorzystałem również z przywołanego wyżej artykułu Aleksandra Klimczuka, który ukazał się w magazynie „National Geographic” w maju 2005 roku.

Jestem dłużnikiem Emila Wasza, który udostępnił mi prywatny dziennik z wyprawy do jaskini Krubera w 2004 roku.

25 NAJGŁĘBSZYCH JASKIŃ ŚWIATA

lp	Nazwa jaskini	Kraj	Głębokość w metrach
1.	Krubera (Woronia)	Gruzja	2197
2.	Sarma	Gruzja	1830
3.	Śnieżnaja	Gruzja	1753
4.	Lamprechtsofen Vogelschacht Weg Schacht	Austria	1632
5.	Gouffre Mirola / Lucien Bouclier	Francja	1626
6.	Réseau Jean Bernard	Francja	1602
7.	Torca del Cerro del Cuevon	Hiszpania	1589
8.	Sistema Huautla	Meksyk	1545
9.	Shakta Vjacheslav Pantjukhina	Gruzja	1508
10.	Sima de la Cornisa - Torca Magali	Hiszpania	1507
11.	Cehi 2	Słowenia	1502
12.	Sistema Cheve (Cuicateco)	Meksyk	1484
13.	Sistema del Trave	Hiszpania	1441
14.	Sustav Lukina jama - Trojama (Manual II)	Chorwacja	1431
15.	Evren Gunay Dudeni (Mehmet Ali Ozel Sinkhole)	Turcja	1429
16.	Boj Bułok	Uzbekistan	1415
17.	Gouffre de la Pierre Saint Martin - gouffre des Partages	Francja/Hiszpania	1408
18.	Sima de las Puertas de Illaminako Ateeneko Leizea (BU.56)	Hiszpania	1408
19.	Kuzgun Cave	Turcja	1400
20.	Hochscharten-Hohlensystem	Austria	1394
21.	Abisso Paolo Roversi	Włochy	1350
22.	Sistema Arañonera	Hiszpania	1349
23.	Réseau Siebenhengste-Hohgant Hoehlensystem	Szwajcaria	1340
24.	Gouffre Berger - Gouffre de la Fromagere	Francja	1323
25.	Slovacka Jama	Chorwacja	1320

Źródło: NSS Geo2 i Bob Gulden, luty 2014

25 NAJDŁUŻSZYCH JASKIŃ ŚWIATA

lp	Nazwa jaskini	Kraj	Długość w metrach
1.	Mammoth Cave	USA	643 738
2.	Sistema San Actun	Meksyk	310 718
3.	Jewel Cave	USA	267 570
4.	Sistema Ox Bel Ha	Meksyk	243 031
5.	Optymistyczna	Ukraina	236 000
6.	Wind Cave	USA	228 237
7.	Lechuguilla Cave	USA	222 572
8.	Hoelloch	Szwajcaria	200 421
9.	Fisher Ridge Cave System	USA	197 127
10.	Clearwater System (Gua Air Jernih)	Malezja	197078
11.	Siebenhengste-hohgant Hoehlsystem	Szwajcaria	157 000
12.	Shuanghe Dongqun	Chiny	151 871
13.	Schoenbergssystem (RaucherkarHoehle-Feuertal-hoehlsystem)	Austria	140 054
14.	Sistema del Mortillano	Hiszpania	130 000
15.	Ozerna (Gypsum)	Ukraina	127 779
16.	Bullita Cave System (Burke's Back Yard)	Australia	120 400
17.	Sistema del Alto Tejuelo	Hiszpania	117 021
18.	Systema de Ojo Guarena	Hiszpania	110 000
19.	Sistema del Gándara	Hiszpania	108 670
20.	Reseau Felix Trombe/Henne-Morte	Francja	105 767
21.	Toca da Boa Vista	Brazylia	102 500
22.	Three Counties System	Wlk. Brytania	102 000
23.	Hirlatzhohle	Austria	100 906
24.	Schwarzmooskogelhoehlensystem	Austria	99 613
25.	Sistema Purificacion	Meksyk	93 755

Źródło: NSS Geo2 i Bob Gulden, luty 2014

ISBN: 978-83-62827-02-2



9 788362 827022

Dwadzieścia lat po zimnej wojnie James M. Tabor z zacięciem korespondenta wojennego relacjonuje wyścig do wnętrza Ziemi. Jego bohaterowie – Amerykanin Bill Stone i Ukraińiec Aleksander Klimczuk – większą część zawodowego życia poświęcili odkrywaniu najgłębszej jaskini. Sam wyścig jest zarówno mozolną podróżą w głąb znanego nam świata, dostojnym odkopywaniem kolejnego metra zawałonych korytarzy, jak i zapierającą dech w piersiach jazdą w dół niebotycznych studni. W tle rozpadają się związki, giną ludzie, rozpoczynają się i kończą wojny. Pozostaje obsesyjne wręcz pragnienie bycia pierwszym na dnie świata. Mylili się zwolennicy teorii płaskiej Ziemi i mylili się ci, którzy przedwcześnie optakiwali zmierzch epoki odkrywców. Wraz z nadejściem trzeciego milenium stało się jasne, że jeszcze jedno miejsce czeka na swoich odkrywców: najgłębsza jaskinia na Ziemi. Superjaskinia. Jedyne na świecie wydanie z przedmowami Aleksandra Klimczuka, Macieja Kuczyńskiego, Billa Stone'a i mapą obu systemów Cheve oraz Krubery.

Fascynująca książka Tabora pozwala rozjaśnić mrok spowijający osiągnięcia grototazów i nurków zdobywających najgłębsze jaskinie świata – miejsca z piekła rodem.

PIÓTR KOFTA

Dziennik Gazeta Prawna

Fantastyczna książka o mocnej i – czym lita skała treści!

KACPER AGNIESZCZAK

Gazeta Co Jest Grane

Opowieść o pasji, wytrwałości i nieustającej ciekawości świata. Inspirująca!

MARTYNA WOJCIECHOWSKA

National Geographic Polska

Amundsen-Scott, Kukuczka-Messner, Maiorca-Mayol. Czas na kolejny pojedynek.

W głębinach Ziemi.

PAWEŁ ZAJĄC

OnetPodróże



Świadectwo sily ducha, cech charakteru, każących ludziom dążyć do niemal abstrakcyjnego celu, wbrew potocznej

logice, wbrew własnemu ciału, wbrew strachowi, z pogwałceniem zdrowego rozsądku.

MACIEJ KUCZYŃSKI

speleolog, członek The Explorers Club



Mistrzowska próba przybliżenia czytelnikowi warunków, atmosfery i wewnętrznej logiki poszukiwań najgłębszej jaskini na naszej planecie.

ALEKSANDER KLIMCZUK

odkrywca, szef Ukraińskiego Stowarzyszenia Speleologicznego